

ABSOLUTNIE MAGICZNA KSIĄŻKA

ELIZA

I JEJ POTWORY

JEJ OPowieść
JEST FENOMENEM

JEJ ŻYCIĘ TO
KATASTROFA



Francesca Zappia

Feeria
young

Francesca Zappia

ELIZA

I JEJ POTWORY

Przekład:
Marek Cieřlik

Feeria
young



Tytuł oryginału: Eliza and Her Monsters

Przekład: Marek Cieślik
Redaktor prowadzący: Maria Zalasa
Redakcja: Marta Stęplewska

Projekt książki: Sylvie le Floc'h
Projekt okładki: Rachel Baran

Copyright © 2017 by Francesca Zappia
Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Motto w przekładzie Miry Michałowskiej

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-707-5

Wydawnictwo JK

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,
92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

Moim przyjaciołom w internecie i poza nim
oraz Jackowi i Normowi

Głęboko nabrałam powietrza w płuca i wsłuchiwałam się w znajomy rytm mojego serca.

Je-stem, je-stem, je-stem.

Sylvia Plath, *Szklany klosz*



Eliza Mirk ¹ to nazwisko z gatunku tych, jakie noszą upiorne laski, które lgną do byłych chłopaków, nie chcąc pogodzić się z faktem, że zostały rzucone, bo ktoś tak strasznie nie mógł z nimi wytrzymać. Eliza Mirk to nazwisko łotrzycki najgorszego sortu, która ukrywa się w miejskich kanałach. Eliza Mirk to nazwisko kogoś wyjętego z komiksu.

Ale Eliza Mirk to ja. Nie sędzę, żebym miała w sobie dość desperacji – czy naiwności – żeby lgnąć do byłego chłopaka po tym, jak mnie rzucił; do miejskiego kanału nie podeszłabym bez kija; i – niestety – nie mieszkam na kartach komiksu. Poniekąd jednak wiodę coś w rodzaju komiksowej egzystencji.

Za dnia chodzę do szkoły, nocą zaś zrzucam kamuflaż swojej fikcyjnej tożsamości i staję się LadyKonstelacją, twórczynią jednego z najpopularniejszych internetowych komiksów, zatytułowanego *Morze Potworne*, oraz nieustraszoną matką fandomu. Moja supermoc to zdolność do rysowania przez długie godziny przy kompletnym zatraceniu poczucia czasu czy uczucia głodu. Z powodzeniem ukrywam się w swoim przebraniu, za to z upodobaniem objawiam się w swej prawdziwej postaci.

Dlaczego LadyKonstelacja? – ktoś zapyta.

Dlatego – odpowiem – że ulubioną przeze mnie kulturę w *Morzu Potwornym* stworzyli ludzie, którzy gwiazdy i gwiazdozbiory mają we krwi. Ci ludzie – Nokturnianie – potrafią intuicyjnie sporządzać mapy gwiazd. To ich życiowe powołanie. Czują, że to właśnie muszą robić, tak jak ja czuję, że muszę opowiadać ich historię.

LadyKonstelacja to ktoś, kto kreśli mapę tej historii, wytyczając linie między wątkami, postaciami i miejscami, tak jak Nokturnianie kreślą połączenia między gwiazdami. Jest nieulekła, tak samo jak Nokturnianie; jest tak samo jak oni tajemnicza i powściągliwa; wreszcie, tak samo jak oni, wierzy w to, co mistyczne, nadprzyrodzone i nieznanne.

LadyKonstelacja to bohaterka, która raz w tygodniu odnosi zwycięstwo nad Elizą Mirk, po czym świętuje je z rzeszą oddanych fanów. Kochają ją wszyscy, nawet pokonana łotrzyca, bo bez niej łotrzyca by nie istniała.

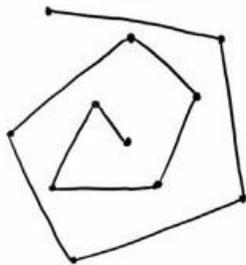
Jestem LadyKonstelacją.

Jestem także Elizą Mirk.

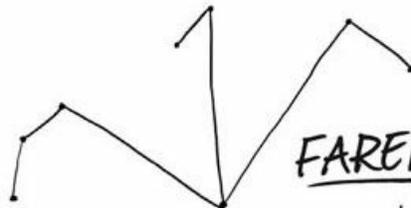
Jest to paradoks, którego nigdy nie da się rozwikłać.

1. W języku angielskim wyraz „mirk” lub „murk” to poetyckie określenie ponurego mroku, ciemnej wody albo gęstej, nieprzeniknionej mgły (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

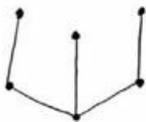
KONSTELACJE NOKTURNIAN



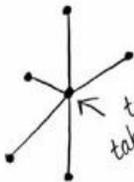
Konstelacja Amity ???
nienokturniańska



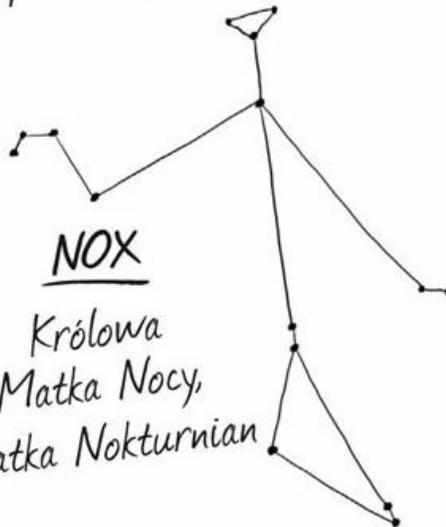
FAREN
kruczy król,
pierwszy Nokturnianin



REIRAL
Podskarpie,
Urwiska Dusz



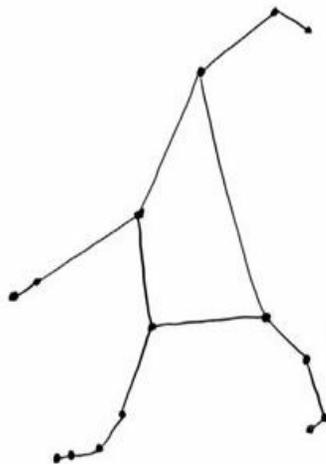
ta gwiazda
także nazywa się
Lucis
LUCIS
światło życia



NOX
Królowa
Matka Nocy,
Matka Nokturnian



BYRAL
Dziób, złodziej,
który wykrada
światło życia
z ręki Nox



GYURHEI
Pożeracz światła
(co tysiąc lat powstaje
z morza, aby połączyć słońce)

Megamózgi :: Podmózg :: Webkomiksy

NIC LEPSZEGO NIE UDA SIE WAM DZIS PRZECZYTAC

Post z 19.02.2014 godz. 10.46, napisał(a) Zraz_Apokalipsy

klikajcie. czytajcie. podziękujecie mi później.

<http://morzopotworne.com/>

+503 830/-453 | Komentarzy: 2 446 873 | Odpowiedz | Zgłoś



Tamten post, od którego wszystko się zaczęło, jest otwarty na ekranie mojego komputera, kiedy wlokę się do niego rano. W ciągu nocy pojawiło się ze trzysta nowych komentarzy. Już nawet nie czytam, co ludzie w nich piszą – nie sprawdzałam ich od miesiący. Wiem, że niektóre pochodzą od fanów. Wiele innych – od trolli. Nie zaglądam do tego postu ze względu na komentarze. Zaglądam, bo to moja codzienna przypominałka, że wszystko to – całe moje życie – naprawdę się dzieje.

Moja geneza jest odcisnięta na kartach historii jak pieczęć datownika.

Wygładzam skołtunione włosy, ziewam i odpędzając sen, przecieram zaspane oczy. Kiedy je znów otwieram, ten sam post nadal jest tam, gdzie był, usadowiony wygodnie w górnych strefach podforum portalu Megamózgi poświęconego webkomiksom. Można by sądzić, że po dwóch latach spadnie gdzieś niżej. Nie chce jednak spaść.

Zamykam przeglądarkę, żeby nie złamać swoich własnych zasad. Nie czytam komentarzy. Komentarze to dynamit, który potrafi rozsadzać mentalne mury, a te akurat teraz potrzebuję, jak co rano, wznieść. Otwieram w Photoshopie plik, nad którym pracowałam poprzedniej nocy; to na wpół

ukończona plansza *Morza Potwornego*. Wszystkie kontury są już gotowe. Zaczęłam wypełniać je kolorem, ale nie dokończyłam, a poza tym muszę jeszcze dodać tekst. I tak jednak idzie mi szybciej, niż planowałam. Zanoszę się, że w tym tygodniu narysuję cały rozdział. Moje prywatne minimum na każdy tydzień to jedna plansza; średnio rysuję trzy. Zawsze mam coś do opublikowania.

Prześlizguję się po planszy komiksu, przechodzę z panelu do panelu, po raz kolejny weryfikując postaci i scenerię. W myślach rozkładam pozostałe kolory, a także źródła światła i cienie. Potem tekst. Akcja toczy się jak należy, ale w dolnym panelu nos Amity znowu wyszedł mi za wąski. To zawsze daje się zauważyć w zbliżeniach jej twarzy, i zawsze chodzi o jej nos. Będę musiała poprawić go później. Teraz nie mam czasu.

Budzik odzywa się, zupełnie jakby się ze mną zgadzał, a ja podskakuję. Jak zawsze – nawet kiedy wiem, że zadzwoni, nawet kiedy gapię się wprost na niego. Człapię na drugą stronę sypialni, żeby go wyłączyć, zanim obudzi Churcha i Sully'ego w pokoju obok. Głupia gimnastyka, mogą sobie pospać o pół godziny dłużej, też mi wielcy panowie.



Amity

Kiedy schodzę na dół, czekają już na mnie naszykowane przez mamę dwa jajka na twardo i szklanka świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Pojęcia nie mam, kiedy udało jej się te jajka ugotować. Na pewno nie w nocy, a jest przecież dopiero blady świt. Mama siedzi przy wyspowym blacie w stroju do biegania i z włosami spiętymi w kitkę, czytając na tablecie jakiś artykuł o zdrowiu. Kilka kosmyków wyślizguje się jej niesfornie z kucyka. Spod prysznicza z łazienki na końcu przedpokoju dobiegają pluski wody. Mama i tata zdążyli już wrócić z porannej przebieżki. Ohyda.

– Dzień dobry, kotku! – Wiem, że w jakimś wszechświecie natężenie jej głosu uszłoby za normalne, ale na pewno nie w naszym. – Zrobiłam ci śniadanie. Nic ci nie jest? Wyglądasz jakoś szaro.

Kwituję to burknięciem. Ranek to szatańska pora. A mama mówi mi, że wyglądam „szaro”, co najmniej raz na tydzień od jakiegoś roku. Opadam na taboret przed jajkami i sokiem spoczywającymi na wyspowym blacie i zaczynam jeść. Może powinnam napić się kawy. Mogłaby pomóc. Mogłaby też wpędzić mnie w wielopiętrową spiralę depresji.

Pod łokciem mamy widzę świeży numer „Westcliff Star”. Przyciągam gazetę i obracam do siebie. Nagłówek na pierwszej stronie brzmi PAMIĄTKI PRZY ZAKRĘCIE WELLHOUSE. Poniżej widnieje zdjęcie ostrego zakrętu drogi tuż za mostem Wellhouse, gdzie ziemię zdobią wieńce z kwiatów, wstęgi i zabawki. To typowe dla lokalnych wiadomości w stanie Indiana: nic się nie dzieje, więc zapełniają strony przypomnieniami, że zakręt Wellhouse zabija rocznie więcej ludzi niż żarłacze ludojady. Druga rzecz typowa dla wiadomości z Indiany: porównywanie miejsca na drodze do rekina.

Kończę pierwsze jajko. Tata wchodzi z przedpokoju, pachnąc jak paczka miętowej gumy do żucia; ma na sobie strój sportowy nieco inny niż ten, w którym wychodzi na przebieżki z mamą, co znaczy, że to jest dzisiaj jego

ubranie do pracy.

– Dzień dobry, Jajeczko! – Przystaje za mną, kładzie mi ręce na ramionach i pochyla się, żeby pocałować mnie w czubek głowy. Burczę coś w odpowiedzi na to przezwisko i wsadzam sobie w usta drugie jajko. Niebo (na twardo) w gębie. – Jak ci się spało?

Wzruszam ramionami. Chcę tylko, żeby nikt się do mnie rano nie odzywał; czy proszę o zbyt wiele? W szczękach mam tylko tyle energii, żeby jeść przepyszne jajka; nie wystarcza jej już na formowanie słów. A nawet nie wspomnę, że za dwadzieścia minut muszę wsiąść do samochodu i pojechać na siedem godzin do szkoły, w której bez wątpienia czeka mnie mnóstwo rozmawiania, czy mi się to podoba, czy nie.

Mama odwraca uwagę taty swoim artykułem o zdrowiu, który zdaje się omawia dobroczynne skutki jazdy na rowerze. Przestaję ich słuchać. Czytam o tym, jak z zakrętu Wellhouse wypadł zeszłego lata kierowca autobusu wracającej z konkursu regionalnego orkiestry z liceum w Westcliff, ponieważ zasnął za kierownicą. Przeżuwam. Przedtem, w zimie, to samo zdarzyło się jakiemuś facetowi jadącemu z synem. Popijam sok. A jeszcze wcześniej – kobiecie wiozącej wczesnym rankiem dwójkę maluchów do przedszkola. Przeżuwam dalej. Grupie pijanych nastolatków. Kończę jajko. Samotnej dziewczynie, która pechowo trafiła na fragment nawierzchni pokryty gołoledzią. Kończę sok. Powinno się postawić jakąś porządniejszą barierę, żeby uniemożliwić ludziom wystrzeliwanie z zakrętu i rozbijanie się na opadającej ku rzece skarpie, ale skąd. Bez zakrętu Wellhouse nie mielibyśmy żadnych wiadomości.

– Pamiętasz, że po południu twoi bracia mają swój pierwszy mecz futsalu?
– pyta mama, kiedy ześlizguję się z taboretu i zanoszę talerz ze szklanką do zlewu. – Już się nie mogą doczekać, więc musimy wszyscy pokibicować im z trybun. Dobrze?

Nie cierpię, kiedy rzuca mi to pytanie: „Dobrze?”. Jakby się spodziewała, że rozzłoszczę się na nią, zanim jeszcze skończy mówić. Zawsze szykuje się na jakiś konflikt.

– Aha – bąkam. Na nic więcej nie potrafię się zdobyć.

Wracam na górę do swojego pokoju po plecak, szkieletownik i buty. Kilkakrotnie podskakuję – góra, dół, góra, dół – usiłując zwiększyć napływ krwi do mózgu. Jajka zjedzone. Energia odnowiona. Gotowość do walki.

Zwalczam w sobie pokusę powrotu do komputera, otwarcia przeglądarki i sprawdzenia forów *Morza Potwornego*. Przed wyjściem do szkoły nie czytam komentarzy i nie sprawdzam forów. Internet jest moją krainą czarów; ten komputer – prowadzącą do niej króliczą norą.

Wolno mi w nią wpadać tylko wtedy, kiedy nie ma znaczenia, czy się w niej zgubię.



Amity urodziła się dwa razy. Pierwszy raz w taki sam sposób jak wszyscy inni i tego razu nie pamiętała. Nie zawracała sobie głowy rozmyślaniami o tym, że go nie pamięta, bo już wiele lat wcześniej nauczyła się, że z rozmyślań nie wynika nic dobrego. Swoje drugie narodziny – czy też odrodzenie, w zależności od nastroju, w którym akurat o tym myślała – pamiętała niesamowicie wyraźnie i spodziewała się, że tak będzie do końca życia.

Jej drugie narodziny zdarzyły się w dniu, w którym Strażnik osiedlił się w niej jako w swojej żywicielce.



Niektórzy nazywają *Morze Potworne* fenomenem. W artykułach tu i ówdzie. Garść krytyków. Fani.

Ja nie mogę go tak nazywać, bo ja je stworzyłam. To moja historia – interesuje mnie ona najbardziej na świecie, a tak się składa, że podoba się też wielu innym ludziom – ale nie nazwałabym jej fenomenem, bo to brzmi pretensjonalnie, narcystycznie i szczerze mówiąc, mdli mnie, kiedy myślę o niej w ten sposób.

Czy to dziwne, że uznanie przyprawia człowieka o mdłości?

Przyprawia mnie o nie wiele aspektów *Morza Potwornego*.

Sama fabuła jest równocześnie bardzo prosta i bardzo trudna do opisanie. Nigdy nie próbowałam objaśniać jej komuś twarzą w twarz, ale spodziewam się, że gdybym musiała, skończyłoby się tym, że zwymiotowałabym tej osobie na obuwie. Objaśnianie czegoś online jest proste – wystarczy wkleić gdzieś linka i napisać: „Proszę bardzo, przeczytaj sobie”. Ktoś klika. Czyta pierwszą planszę. Jeśli mu się podoba, czyta dalej. Jeśli nie, no cóż, przynajmniej oszczędziłam sobie gadania.

Gdybym jednak naprawdę musiała objaśnić komuś fabułę komiksu, jakimś

cudem nie mając go na podorędziu, spodziewam się, że poszłoby mi mniej więcej tak:

„Na odległej planecie Orkus dziewczyna i chłopak walczą po przeciwnych stronach toczącej się od dawna wojny między tubylcami i kolonistami z Ziemi. Każde z nich jest żywicielem złożonej z energii pasożytniczej istoty, której jedynym słabym punktem jest jej przeciwnik. Jest też duży ocean, a w oceanie żyją potwory. Coś się dzieje. Kolory są ładne”.

To, że jestem rysowniczką, a nie pisarką, ma sens.

Zacząłam publikować *Morze Potworne* w necie trzy lata temu, ale stało się popularne, kiedy w portalu Megamózgi pojawił się post, od którego wszystko się zaczęło. Okazało się, że ludzie go nawet zauważyli. Zaczęli czytać.

Zainteresowali się.

To było coś najbardziej pokręconego pod słońcem. Komiks zaczął obchodzić ludzi innych niż ja. Obchodzili ich Amity, Damien i los planety Orkus. Obchodziło ich, czy różne gatunki morskich potworów jakoś się nazywają. Obchodziło ich, czy publikuję plansze komiksu na czas i czy dobrze wyglądają. Obchodziłam ich nawet ja i to, kim jestem, chociaż ich wiedza nigdy nie wykroczyła poza moją nazwę użytkownika. Ani w przypadku fanów, ani trolli, ani krytyków czy autorów artykułów. Może to anonimowość twórczyni sprawiła, że komiks stał się fenomenem. Co do mnie, niewątpliwie pozwoliła mi pracować dalej bez nadmiernych mdłości. Agenci i wydawcy piszą do mnie mejle z propozycjami wydania *Morza Potwornego* wielkonakładowym drukiem, ale od razu je kasują; tradycyjna działalność wydawnicza to dla mnie wielkie, przerażające monstrum, od którego co jakiś czas zmuszona jestem oganiać się kijem, żeby nie przytłoczyła mnie myśl o machinie biznesu maltretującej moje dziecko.

Nie stworzyłam *Morza Potwornego*, żeby stało się fenomenem – stworzyłam je, bo była to historia, której sama pragnęłam. Tworzę ją teraz,

bo tkwi we mnie coś, co ściska mi serce i mówi, że muszę to robić. Po to właśnie pojawiłam się na tym świecie, żeby ją stworzyć, dla mnie i dla moich fanów. Tę historię. Jest moja i moim obowiązkiem jest wydobywać ją na światło dzienne.

Czy brzmi to pretensjonalnie?

Wszystko mi jedno.

Taka jest prawda.

MORZE POTWORNE – FORA

PROFIL UŻYTKOWNIKA

LadyKonstelacja **

Administrator



00

: Wyspa Nokturn

: Ujeżdżanie morskich potworów, sporządzanie map gwiazd,
eksploracja mechanicznych pałaców.

Obserwujących: 2 340 228 | Obserwuje: 0 | Postów: 5009

AKTUALNOŚCI

Zobacz wcześniejsze aktualności

14 paź 2016

Pamiętajcie, w tym tygodniu sprzedajemy nowe T-shirty z Morzem Potwornym! Są na nich Amity i Dallas, Damien z kruczydłami oraz krocie morskich potworów. Klikajcie i oglądajcie! morzepotworne.com/sklep

15 paź 2016

Rany, pożarliście te T-shirty w okamgnieniu. Szykujemy następne! (Przy okazji, nie zapominajcie o najbliższym wydaniu kompendium!)

17 paź 2016

Coś mi mówi, że dzisiejsze plansze naprawdę się wam spodobają...

18 paź 2016

Hehehehehe, mówiłam, że się wam spodobają. >:D

19 paź 2016

Tak, tak, wiem, jestem złem wcielonym.

19 paź 2016

Koszulki tak wam przypadły do gustu, że będą w promocji także w tym tygodniu! Świeże, jeszcze ciepłe!

20 paź 2016

Nie mogę się doczekać dzisiejszego odcinka Kanikuły! Do zobaczenia na czacie. Mam nadzieję, że wszyscy wpadniecie.



Kiedy ją pytano, jaki był dla niej moment odrodzenia, Amity umiała odpowiedzieć tylko jednym słowem: „Bolesny”. Istota złożona z czystej energii wpełzła do jej organizmu i przekonstruowała jego fundamentalną strukturę genetyczną. Jakże Amity miałyby odczuć to inaczej? Ale mieszkańcy wyspy Nokturn nie przestawali pytać, a że byli bardzo uduchowieni, a Strażnik był jednym z ich najważniejszych opiekunów, Amity zmieniła w końcu swoją odpowiedź na: „Puczający”.



Dziś bardziej niż kiedykolwiek mam wrażenie, że jestem w tej szkole za karę.

Tak bardzo wszystko mi jedno. Tego uroczego październikowego poranka stoję przy mojej szafce na książki i gapię się na szkolny hol. Całą jego szerokość zdobi transparent, który przypomina wszystkim o zakupie biletów na mecz futbolu zaplanowany z okazji zjazdu absolwentów na piątkowy wieczór. Ktoś tu ten transparent powiesił. Rany, ktoś go wcześniej wykonał. Namalował go i tak dalej. Mijają mnie uczniowie w strojach dobranych odpowiednio do tego akurat dnia tygodnia absolwentów – tak się składa, że to dzień hippisa. Wokół mnie krąży cała masa pacyfek i batikowych wdzianek. Nadmiar szkolnego poczucia wspólnoty.

Ja sama co wieczór ledwo daję radę zmęczyć pracę domową; skąd wszyscy inni biorą siłę woli, żeby ich to obchodziło? Ci, którzy bawią się najlepiej, ubrani w najbardziej absurdalne stroje, to ludzie z ostatnich klas, jak ja. Jakim cudem? Skąd? Chyba mam prawo wiedzieć. Czuję się, jakbym przegapiła puentę czyjegoś dowcipu i teraz śmieją się wszyscy oprócz mnie.

Stoję przy swojej szafce w rozciągniętych džinsach i workowatej bluzie od

dresu, odliczając minuty do momentu, kiedy będę musiała dać za wygraną i pójść do klasy na kwadrans organizacyjny. Przy sąsiedniej szafce tłoczy się grupka chłopaków w pstrokatych opaskach na głowie i różowych okularach; jeden z nich otwiera drzwiczki z takim impetem, że trafia mnie nimi między łopatki. Zaczyna przeproszać, ale kiedy zauważa, że to ja, jego słowa przechodzą w słabo ukrywane parsknięcie. Odwracam się i ignoruję chłopaków aż do chwili, gdy odchodzą, bo wtedy jeden z pozostałych naciąga na głowę kaptur i zaczyna udawać jaskiniowca, garbiąc się i rozczapierzając palce w sękaty pazury. Inni pękają ze śmiechu, jakby mnie w ogóle przy tym nie było. Jednym szarpnięciem sama też naciągam kaptur na twarz.

Nie rozumiem tego miejsca, ale muszę je znieść jeszcze tylko przez siedem miesięcy – siedem miesięcy do ukończenia szkoły i pójścia do college'u. A w college'u, sądząc po tym, co słyszałam od kilku godnych zaufania źródeł informacji z fandumu *Morza Potwornego*, jest o tyle lepiej, że liceum staje się śmiechu warte.

Chcę już tam być. Chcę być gdzieś, gdzie z liceum można kpić i gdzie, jeśli nie będę chciała, nie będę musiała mieć kontaktu z nikim, i gdzie wszystkim będzie wisiąło, w co się ubieram, jak wyglądam i co robię.

Kiedy chłopaki znikają za rogiem i przestają czuć, że ktokolwiek zwraca na mnie uwagę, odwracam się z powrotem do swojej szafki. W pierwszej licealnej wymalowałam ją całą w grafiki i fan art związane z *Dziećmi Hypnosa*, moim ulubionym cyklem książkowym. Po kątach chowałam wtedy kilka wczesnych szkiców do *Morza Potwornego*, ale to było jeszcze przed jego powstaniem. Teraz moja szafka świeci pustkami, nie licząc rzeczy potrzebnych mi w szkole. Pakuję do plecaka podręczniki do matmy i historii. Wciskam szkicownik pod pachę. Plecak zarzucam na ramię, a swoją godność chowam w bezpieczne miejsce.

A teraz – do klasy.

* * *

– Elizo, muszę na chwilę cię porwać.

Profesor Grier ma przykry nawyk: kiedy czegoś potrzebuje, chwyta pierwszego ucznia, który przestąpi próg klasy, a dziś to właśnie ja mam pecha wpaść w ręce wesołej nauczycielki. Pani profesor obrzuca mnie promiennym uśmiechem. W swojej żółtej letniej sukience na ramiączkach i z kolczykami w kształcie bananów wygląda jak uosobienie radości.

Wysuwam ramię z jej uścisku na tyle powoli, by nie sprawiać wrażenia, że brzydzę się jej dotyku. Nie mam nic przeciwko profesor Grier. Przeważnie ją lubię. Nawet żałuję, że jest tylko naszą wychowawczynią, a nie uczy mnie jakiegoś konkretnego przedmiotu, bo nie każe mi się odzywać, kiedy nie chcę mówić, a za całą ocenę aktywności wystarcza jej moje pojawienie się na zajęciach.

– Mamy tu dzisiaj nowego ucznia, który przeniósł się do nas z innej szkoły – mówi z uśmiechem i odsuwa się na bok.

Za nią stoi chłopak trochę wyższy ode mnie, postury futbolisty, w dżinsach i T-shircie liceum Westcliff. Jest tu niespełna dzień, a już się wpasował w szkolną atmosferę. Przeciąga dłonią po krótkich ciemnych włosach i prześlizguje się po mnie wzrokiem z obojętnym wyrazem twarzy, jakby nie do końca mnie widział. Ściska mnie w dołku. To ktoś z dokładnie takiego gatunku, jakiego staram się unikać – lubię być niewidzialna, ale nie kiedy ktoś na mnie patrzy, jakbym powinna być.

– To jest Wallace – mówi profesor Grier. – Pomyślałam sobie, że przed końcem lekcji może mogłabyś mu powiedzieć parę słów o szkole i pomóc z rozkładem zajęć.

Wzruszam ramionami. Nie mam zamiaru jej odmawiać. Odmawianie

zazwyczaj więcej problemów tworzy niż rozwiązuje. Profesor Grier uśmiecha się więc.

– Świetnie! Wallace, poznaj Elizę. Nie krępuj się, usiądź obok niej.

Wallace idzie za mną do mojego miejsca na końcu sali. Porusza się powoli, siada powoli i rozgląda się tak, jakby jeszcze spał. Ponownie rzuca na mnie okiem, a kiedy się nie odzywam, wyciąga z kieszeni komórkę i zaczyna przeglądać esemesy.

Nie żebym planowała cokolwiek mu mówić. Szkoła nie jest aż tak skomplikowana – na pewno jest dość inteligentny, żeby zorientować się w niej samodzielnie.

Podwijam nogi na swoim krześle z pulpitem, opieram o nie szkicownik tak, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka, i zaczynam pracę nad następną planszą *Morza Potwornego*. Zapominam o Wallasie. Zapominam o profesor Grier. Zapominam o całej tej szkole.

Nie ma mnie.

Udaje mi się przetrwać dzień w ten sam sposób, co zawsze: dzięki znikaniu tak umiejętnemu, że nauczyciele nawet mnie nie dostrzegają, i dzięki opieraniu się pokusie sprawdzenia forów *Morza Potwornego* na komórce. Podobno dużo łatwiej jest wytrzymać szkołę, kiedy ma się jakichś przyjaciół, z którymi można rozmawiać, ale wszyscy moi są online. Kiedyś miałam przyjaciół poza internetem. A przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy dorastałam, miałam znajomych w szkole i w sąsiedztwie, ale nigdy prawdziwych przyjaciół. Nigdy takich, którzy zapraszaliby mnie do domu na imprezkę z nocowaniem albo na filmy. Parę razy ktoś zaprosił mnie na urodziny, ale myślę sobie czasem, że to dlatego, że moja mama wierciła o to dziurę w brzuchu innym mamom. Byłam wtedy cudakiem, zresztą teraz też nim jestem. Tyle że teraz ani ja, ani nikt z moich kolegów czy koleżanek z klasy nie ma złudzeń, że musimy wchodzić ze sobą w interakcje w sposób

jakkolwiek wykraczający poza powierzchny.

Tata lubi powtarzać, że uważanie się za cudaka jest czymś normalnym. „No cóż, Jajeczko, musisz mi uwierzyć, że to jest coś, co myśli sobie mnóstwo młodzieży w twoim wieku”. Może ma rację. Wiem tylko tyle, że w zeszłym roku Casey Miller zobaczyła, że idę za nią szkolnym korytarzem, i najpierw autentycznie zapiszczała ze strachu, a potem odskoczyła. Oczywiście chwilę później jakby mnie przeprosiła – bez przekonania – ale to była duża przerwa, wokół pełno ludzi. Kto w takiej sytuacji przestrasza się innego idącego za nim ucznia? Wiem też, że tydzień wcześniej weszłam na salę gimnastyczną spóźniona z powodu wyjątkowo paskudnych skurczów miesięczkowych i zarobiłam dla całej klasy dziesięć minut biegania po schodach, przez co po dziś dzień spotykają mnie spojrzenia, jakie powinny być zarezerwowane dla morderców. I wiem, że kilka miesięcy wcześniej Manny Rodriguez próbował namówić paru kumpli z drużyny pływackiej, żeby wepchnęli się przede mną w kolejkę na stołówce, ale mu odmówili, bo bali się, że naślę na nich jakiegoś demona.

Czy takie właśnie wrażenie sprawiam? Członkini sekty? Fanatyczki religijnej? Czy jestem aż takim cudakiem, że mogłabym grać rolę przestępcy tygodnia w serialu kryminalnym nadawanym w najlepszym czasie antenowym?

Rodzice zachodzą w głowę, dlaczego nie mam więcej przyjaciół, a powód jest prosty: bo t a k i c h przyjaciół nie chcę. Nawet sympatyczne osoby myślą, że jestem pokręcona; mają to wypisane na twarzy, kiedy któraś z nich trafia ze mną do jednej pary podczas zajęć. Jestem kimś, kogo nikt nie życzy sobie widzieć dołączonego do własnej grupy przez nauczyciela. Nie dlatego, że się beznadziejnie uczę albo że inni muszą odwalać za mnie całą robotę, tylko dlatego, że ubieram się jak bezdomna i nigdy się nie odzywam. Kiedy byłam mała, wyglądało to uroczo. Teraz – dziwnie.

Powinnam była z tego wyrosnąć.

Powinnam chcieć mieć jakieś towarzystwo.

Powinnam pragnąć przyjaciół, których będę mogła zobaczyć na własne oczy i dotknąć własnymi rękami.

Ale ja nie chcę przyjaźnić się z ludźmi, którzy z góry decydują, że nie zasługuję na życie, bo jestem zbyt cudaczna. Może gdyby wiedzieli, kim jestem i co stworzyłam... może wtedy nie myśleliby, że jestem dziwna. Może wtedy uznaliby, że jestem tylko ekscentryczna. Ale jedyną osobą, którą mogę w tej szkole być, jest Eliza Mirk, a Eliza Mirk jest niewiele więcej niż przypisem do cudzego życia. Nawet mojego własnego.

* * *

Przed dzwonkiem na koniec siódmej lekcji mam już całą nową planszę *Morza Potwornego* gotową do pociągnięcia tuszem, choć nadal zaprzęta mi myśli ta, która czeka na dokończenie w domu. Nowe plansze pojawiają się online w piątkowe wieczory, jak w zegarku, niczym seriale telewizyjne albo mecze. Moi czytelnicy cenią sobie regularność. Ja lubię im ją zapewniać.

Niepotrzebne mi podręczniki wrzucam z powrotem do swojej szafki i przemykam pod ścianami na parking, kurcząc się przy tym tak, aż sama czuję, że prawie mnie nie ma. Ludzie w większości siedzą już w samochodach i korkują wyjazd. Wychodzę przez frontowe drzwi szkoły, gmerając w plecaku w poszukiwaniu kluczyków.

Na ławce przy chodniku przed budynkiem siedzi tamten chłopak, Wallace; w jednej ręce ma lekko uniesioną komórkę, jakby czekał na jakiś esemes, w drugiej – długopis, gotów do pisania na jednej z pliku kartek spoczywających na segregatorze na jego kolanach. Wciąż wygląda, jakby miał zaraz zasnąć. Może potrzebuje, żeby ktoś podwiózł go do domu. A może tylko jest sprytny i wie, że z wyjeżdżaniem lepiej poczekać, aż na

parkingu trochę się przeredzi. Przystaję przed drzwiami i obserwuję go chwilę. Mogłabym zaproponować mu podwózkę, ale byłoby to niecodzienne. Eliza Mirk nie proponuje nikomu podwózek i nikt jej o to nie prosi.

Kiedy Wallace zaczyna podnosić wzrok, odwracam się i ruszam szybkim krokiem do samochodu.



Zraz_Apokalipsy: pracujesz teraz nad kolejną planszą?

MirkerLurker ¹: Nie - już wcześniej jedną skończyłam. Teraz siedzę w aucie i jadę na mecz futsalu moich braci. Wzięłam tylko szkicownik.

emmiterliter: Slabo

emmiterliter: Ej a dostałaś moja paczkę z darami

MirkerLurker: Nie! Wysłałaś jeszcze jedną? Nie trzeba było, Em!

emmiterliter: DDD Uwielbiam wysyłać wam różne rzeczy!! Poza tym w tej jest coś naprawdę fajowego

Zraz_Apokalipsy: a czy kiedykolwiek włożyłaś do nich coś niefajowego?

Zraz_Apokalipsy: że już nawet nie wspomnę, A GDZIE PACZKA DLA MNIE???

emmiterliter: Och weź wyluzuj ty też taka dostaniesz glupku

emmiterliter: E będziesz później na wspólnym oglądaniu Kanikuły no nie

MirkerLurker: No ba. Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie niż kiedykolwiek przegapię odcinek Kanikuły.

Zraz_Apokalipsy: *robi zrzut ekranu*

Zraz_Apokalipsy: obwieszcza się wszem i wobec, że jeśli eliza kiedykolwiek przegapi kanikule, wyhoduje sobie na dłoni kaktusa.

emmiterliter: Admini Megamozgów byliby zachwyceni

emmiterliter: Autorce Morza Potwornego wyrasta na dłoni kaktus z powodu soap opery dla nastolatków

Zraz_Apokalipsy: tandetnej soap opery dla nastolatkow.

MirkerLurker: Tandetnej soap opery dla nastolatków? A jakże. Szalenie zajmującej?
Również a jakże.

emmiterliter: Swieta racja

– Znowu esemesujesz ze swoim chłopakiem? – Sully przysuwa się do mojego boku i opiera mi brodę na ramieniu.

Słyszac to, Church siedzący po mojej drugiej stronie odlepia się od okna samochodu i też nachyla się nade mną. Trzaskam komórką – ekranem w dół – w leżący mi na kolanach szkicownik.

– Przestańcie czytać mi przez ramię – warczę. – Poza tym to nie mój chłopak. Tylko Max i Emmy.

– Aha, „tylko” Max i Emmy – odpowiada Sully, zaznaczając palcami w powietrzu cudzysłów. – No jasne.

Church chichocze i chwilę później małpuje napowietrzny cudzysłów po bracie.

– Bez kłótni tam z tyłu – szczebiocze mama z przedniego fotela. Tata za kierownicą wydaje pomruk oznaczający, że popiera mamę.

Zatrzymujemy się na parkingu hali sportowej, w której Sully i Church grają w futsal. Pół godziny jazdy minęło mi szybko dzięki Maxowi i Emmy, ale nie wracam wzrokiem do ekranu komórki, dopóki oba moje braciszkowe koszmary nie wygramolą się z samochodu. Potem wysiadam i idę do hali za mamą i tatą, nie wyściubiając nosa z telefonu.

Zraz_Apokalipsy: ale powaznie mowie, kanikula to dno.

emmiterliter: Teraz i tak sa lepsze watki niz w drugim sezonie, kiedy Chris zaczal chodzic z Benem

Zraz_Apokalipsy: w drugim sezonie chris zaczal chodzic nie z benem, tylko z jasonem.

emmiterliter: Mowi ten, co nie oglada Kanikuly

Zraz_Apokalipsy: ...

emmiterliter: Ach jakze nisko upadaja wielcy tego swiata

Wyrywa mi się chichot. Tata ogląda się na mnie przez ramię.

– Co cię tak bawi, Jajeczko?

Wyłączam komórkę i znów przyciskam ją do szkicownika. Mój dobry humor przyćmiewa irytacja, jak małe ciemne plamy pojawiające się na jasnym tle.

– Nic takiego.

Dopóki się nie upewnię, że ani mama, ani tata nie będą już zwracać na mnie uwagi, nie zaglądam do telefonu, a oczy kieruję przed siebie. To miejsce wygląda jak jakiś olbrzymi magazyn. Wielka pusta hala z ruchomymi przegrodami, które oddzielają od siebie rozmaite parkiety: do siatkówki, koszykówki, tenisa. Gigantyczna przestrzeń. W samym środku widać otoczony ściankami parkiet do futsalu ze składanymi trybunami i całą resztą. Strzelam fotkę i wysyłam ją na nasz czat.

MirkerLurker: Jestem w piekle.

emmiterliter: Moja siostra też chodzi do takich hal

emmiterliter: Na ich widok od razu mam ochotę na prysznic

Zraz_Apokalipsy: coz za nadmierna konkretnosc, ems. przykro mi z powodu twojego pecha, e.

MirkerLurker: Kiedy tu umrę, pogrzebicie mnie razem z moim komiksem.

Zraz_Apokalipsy: bedzie spiewanie piesni. oplakiwanie zmarnowanego potencjalu. oczywiscie ktos bedzie musial zawiadomic fanow. jako naczelnny admin ds. bezpieczenstwa biore to na siebie.

emmiterliter: Od kiedy to nazywasz sie naczelnym adminem ds. bezpieczenstwa

emmiterliter: Nic nie robisz tylko banujesz trolle

– Och, Elizo, patrz. – Mama muska mnie dłonią w ramię. Podnoszę wzrok i widzę, że przygląda się plakatowi wiszącemu na tablicy za wejściem do hali. Tata z chłopakami pognął już w kierunku parkietu do futsalu, gdzie zaczyna się rozgrzewka drużyn. – Niedługo zaczynają lekcje tenisa. Myślę sobie, że tenis naprawdę by ci się spodobał... gra się w pojedynkę i to dobrze

robi na kondycję.

– Nie – odpowiadam i wracam do telefonu. Mama poddaje się od razu.

Wypracowywaliśmy ten mechanizm z rodzicami wspólnie i stopniowo przez wiele lat. Kiedy byłam mała i nie miałam nic do powiedzenia, zapisywali mnie na wszystkie zajęcia sportowe pod słońcem. Młodzieżowy bejsbol. Piłkę nożną. Koszykówkę. Siatkówkę. Wszystkich ich nienawidziłam, bo nie miałam – nadal nie mam – żadnej koordynacji ruchowej, a przy tym nie lubiłam – nadal nie lubię – się odzywać, więc nie grałam dobrze, wskutek czego koleżanki z drużyn nie chciały mnie w nich widzieć. Za pierwszym razem, kiedy powiedziałam tacie, że chcę odejść z drużyny softballu, wściekł się i przez tydzień do mnie nie odzywał. Mama próbowała przekonać mnie do powrotu argumentami.

Że to kształtuje charakter. Że pomaga nawiązywać znajomości. Że dobrze robi na kondycję.

Odmówiłam. A potem zrezygnowałam także ze wszystkich innych sportów. Odrzucając je, czułam się, jakbym zrzucała z siebie starą, ciężką zbroję. Church i Sully przepadali za sportem, więc mama z tatą nie mieli już na mnie takiego parcia, ale mimo wszystko podejmowali próby. Nawet jeśli odmawiałam, nie przestawali próbować. Ja nie przestawałam odmawiać.

Teraz jest już taki układ, że kiedy coś proponują, a ja mówię nie, to na tym temat się kończy.

Idę za mamą na parkiet do futsalu i przysiadam obok niej na samym dole trybun. Tata stoi na linii bocznej, trzymając w ręce trenerską podkładkę z klipsem, i mówi coś do grupy tyczkowatych czternasto-i-mniej-latków w błękitnych koszulkach i spodenkach. Wyjmuję z kieszeni ołówek oraz gumkę i rozchylam szkicownik.

– Że też musisz wszędzie go ze sobą brać – komentuje mama. – Nie możesz popatrzeć, jak bracia grają?

Podnoszę wzrok na nią, przenoszę spojrzenie na parkiet, a potem opuszczam oczy z powrotem na szkicownik. Wśród odpowiedzi, jakich mogę jej udzielić, nie ma tej, którą chciałaby usłyszeć, więc wolę milczeć.



FAREN

Amity

Faren i Damien
mają wyglądać
identycznie, ale
z jakiegoś powodu
zupełnie mi to
nie wychodzi

Zmierzchozmór

Wracamy do domu w samą porę na *Kanikułę*. Przeciskam się obok spoconego Churcha, wypadam z samochodu, pędzę do swojego pokoju, łapiąc po drodze z lodówki butelkę z wodą, włączam telewizorek stojący na biurku obok komputera i przerzucam kanały, aż znajduję ten, o który mi chodzi. Zaczynają się napisy początkowe. Wybudzam komputer z uśpienia i w pośpiechu otwieram witrynę.

MorzePotworne.com to nie tylko centralny portal, w którym można znaleźć wszystkie narysowane przeze mnie dotąd plansze *Morza Potwornego*; to także link do największych fanowskich forów poświęconych komiksowi i do czatu, na którym raz w tygodniu pojawiają się pod swoim artystycznym pseudonimem, by wspólnie z fanami oglądać *Kanikułę*. To jedyna pora, kiedy LadyKonstelacja odzywa się w czasie rzeczywistym.

LadyKonstelacja: JESTEM! Bez paniki, jestem!

moby66: Hurra!

GirlWho: hura hura hura

houstonmamaproblem: A już myśleliśmy, że się nie pokazesz!

Po tych komentarzach następuje zalew innych. Zwykle na czacie jest masa ludzi naraz, więc nie ma szans, żebym dała radę komukolwiek odpowiedzieć. Wyskakuję z jakąś uwagą na temat serialu i pozwalam im reagować. Prowadzą rozmowy między sobą. Chodzi zasadniczo o to, że jestem na miejscu, oglądamy w telewizji to samo i choć raz dla odmiany nikt nawet słowem nie piśnie o *Morzu Potwornym*.

Uwielbiam *Morze Potworne* nie mniej – a pewnie jeszcze bardziej – niż oni, ale nawet ja potrzebuję raz na jakiś czas pogadać o czymś nieskomplikowanym.

Na mojej komórce, gdzie wciąż jeszcze jestem zalogowana na koncie MirkerLurker, wyskakuje okienko prywatnego czatu.

Zraz_Apokalipsy: ciekawe, co tym razem! czy spencer odkryje, że jane to lesbijka,

a w dodatku chodzi z jego była dziewczyna??

Max nigdy nie przyzna się do tego na forum publicznym, ale uwielbia oglądać *Kanikułę* tak samo jak my wszyscy. Wiemy o tym tylko ja i Emmy, ale w tej chwili Emmy jest zbyt zajęta wygłupami z resztą fanów na głównym czacie.

Wysłałam Maxowi serię bezsensownych emoji, a w oknie głównego czatu zaczynam komentować początkowe sceny *Kanikuły*, podczas których Spencer faktycznie odkrywa, że Jane dokonała coming outu jako lesbijka, a teraz randkuje z jego byłą dziewczyną Jennifer. Nie mogę się zdecydować, czy to bezmyślne żonglowanie zwrotami akcji, czy też twórcy serialu naprawdę starają się wyrazić jakiś pogląd na temat praw gejów i lesbijek. Wyrażam swoją wątpliwość na czacie. Wszyscy są nią zachwyceni.

Podczas pierwszej przerwy na reklamy skanuję nową planszę *Morza Potwornego*, którą naszkicowałam tego dnia w szkole, po czym otwieram ją w Photoshopie, żeby zacząć porządne rysowanie konturów. Mój tablet graficzny czeka na mnie jak rasowy koń wyścigowy, rwący się do galopu w bramce startowej; na jego wyświetlaczu widać kopię ekranu monitora. Na prawą rękę nakładam sobie osłonę antymazową – starą rękawiczkę z odciętymi trzema palcami: kciukiem, wskazującym i środkowym – żeby tablet się nie paskudził i żeby dłoń gładko się po nim przesuwała. Nic nie psuje roboty szybciej niż kiepska ruchomość ręki.

Line art to moja ulubiona część pracy nad każdą planszą. Na drugim miejscu są kolory, ale to kontury wymagają misterności, z którą nic nie może się mierzyć. To one mogą obraz stworzyć albo zniszczyć. Co więcej, na tej akurat planszy pojawią się naprawdę fajne linie: Amity i Damien biorą właśnie udział w Bitwie Piasków, podczas której siły Orkusjan i Ziemiaków walczą o kontrolę nad stolicą pustyni.

W *Morzu Potwornym* występuje dużo mocy bazujących na żywiołach,

bardzo w stylu anime, więc w większości walk pełno jest świetnych linii. Zwłaszcza kiedy na miejscu są Amity i Damien, bo podczas starć posługują się kryształami i mgłą. Ostre kąty i krzywizny. Miodzio.

Zanim zdążę cokolwiek tak naprawdę zrobić, kończą się reklamy. Odkładałam piórko i wracam do czatu; w gronie fanów zauważam paru istotnych nowo przybyłych.

LadyKonstelacja: Mam nadzieję, że podczas przerwy na reklamy nikt tu za bardzo nie bruździł.

zaklinacz_deszczu: Zależy, co rozumiesz przez "bruździł".

Ogien_na_zimno: Definicja "bruździć": czasownik, "robić to, co mój przedmówca".

zaklinacz_deszczu: Auć! Nieźle.

Ogien_na_zimno: Staram się jak mogę.

Po tej szybkiej wymianie zdań pojawia się lawina ożywionych okrzyków: „zaklinacz!!” i kilka radosnych: „Są Anioły!”.

Wspomniane Anioły to grupa pięciorga fanów, którzy obrali sobie nicki, wzorując je luźno na Aniołach z *Morza Potwornego*, opiekunach planety Orkus. Nigdy dotąd tak naprawdę nie kontaktowałam się z zaklinaczem_deszczu ani innymi Aniołami z fandomu, ale widywałam ich na forach i czatach. Nie bardzo się da ich tam nie widywać. Są prawie równie popularni jak ja.

Muzyka w telewizji narasta gwałtownym crescendo. Oglądam się w samą porę, by zobaczyć, jak Jane dowiaduje się, że jest w ciąży ze Spencerem, po czym następuje kolejna przerwa na reklamy. Naprawdę próbują w tym odcinku pobić rekord zagęszczenia problemów. Wracam do głównego czatu.

LadyKonstelacja: Jeszcze jedna ciąża?! W tym serialu mieliśmy już oddanie dziecka do adopcji, zatrzymanie dziecka w rodzinie i aborcję! Jak im się uda uporać z tą kwestią, żeby przy okazji nie stracić kontaktu z życiowymi problemami PRAWDZIWYCH NASTOLATKÓW?

zaklinacz_deszczu: Hahahahaha

Jego odpowiedź pojawia się od razu, a w moim sercu trzepocze dziwne, ciepłe uczucie. Inni też się śmieją, ale tylko odpowiedź zaklinacza_deszczu robi na mnie wrażenie. To najchętniej czytany autor fanfików do *Morza Potwornego*. Widziałam część z tego, co pisze. Jest naprawdę dowcipny. Dowcipny jak jasna cholera. Moje *Morze Potworne* nigdy nie byłoby tak dowcipne, nawet gdybym się postarała.

Jeśli więc on śmieje się z czegoś, co powiedziałam, jest to jak wygrana w totka.

A potem odpisuje:

zaklinacz_deszczu: ZWROT AKCJI! Tak naprawdę chodzi o dziecko Jennifer. Jane zdradzała Spencera już od dawna. Kiedy dziecko się urodzi, nadadzą mu imię Janifer, będą żyły sobie w szczęśliwym lesbijskim stadle na przedmieściach i już nigdy nawet nie pomyślą o Spencerze.

Przy „Janifer” omal nie parskam pitą właśnie wodą na ekran monitora. Pozostałe wątki przeplatające się na czacie, głosy wszystkich innych osób rozplływają się gdzieś w tle; wyłapuję wzrokiem tylko zaklinacza_deszczu, kiedy się pojawia.

Ogien_na_zimno: Zaraz, jakim cudem dwie lesbijki mają wspólne biologiczne dziecko?

zaklinacz_deszczu: Sorry Gregory, nikt nie twierdzi, że dziecko jest biologicznie dzieckiem Jennifer. Krew=/=rodzina. Mam rację? Ktoś mnie poprze?

LadyKonstelacja: Sorry, zafiksowałam się na "Janifer".

zaklinacz_deszczu: Spodobało się, co? ;)

O Boże, uśmieszek z mrugnięciem. Najbardziej prowokacyjny ze wszystkich emotikonów. Na twarz wypełza mi rumieniec i rozcieram sobie policzki, żeby go ukryć, choć przecież nikt go tu nie widzi. Co za pewny siebie, chojracki sukinkot. Chłopaki w szkole nigdy się tak wobec mnie nie zachowują – sama nie wiem, czy dlatego, że widzę ich twarze, czy dlatego, że oni widzą moją, czy co. Tego rodzaju uczucia miewam tylko w stosunku

do osób, które spotykam online, a szczerze mówiąc, zaklinacz_deszczu wyciąga je na światło dzienne jako pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Jest tak, jakby na tym całym czacie rozmawiał tylko ze mną. Jakbyśmy byli dwojgiem ludzi siedzących obok siebie na kanapie podczas zatłoczonej imprezy.

Teraz więc nowy problem:

Czy cokolwiek odpowiedzieć?

Moje palce zamierają nad klawiaturą. W telewizji miga reklama preparatu na trądzik, potem zwiastun serialu, który będzie na antenie po *Kanikule*. Piszę.

LadyKonstelacja: Ech, dobrze wiesz. ;)

Co za nieudolny wykręt. Przynajmniej udało mi się wcisnąć uśmiezek z mrugnięciem. Może to dość wstydlive, by pokryło kompletny brak inwencji. Bez sensu, bo to, co podoba mi się w internecie, to fakt, że daje człowiekowi czas do namysłu nad tym, co się chce powiedzieć, zanim się to powie. Ale mój mózg nie działa teraz prawidłowo; sama nie wiem, czy to rozsądne, że flirtuję z kimś publicznie jako LadyKonstelacja; przecież nawet nie wiem, kim zaklinacz_deszczu jest. Może to jakiś czterdziestolatek, który nadal mieszka u swoich rodziców w suterenie, ma palce uwalane żółtym pyłem z chrupków Cheetos Cheese i kolekcję wiekowych T-shirtów z *Gwiezdnymi wojnami*, pękających mu w szwach na rozlanym brzuszysku.

Wracam do swojego line artu. Moje drżące ręce nad tabletem graficznym nabierają niewzruszonej pewności, a linie wychodzą mi śmiało i gładko. Dzięki rysowaniu mogę się czymś zająć, kiedy myślę o tamtym uśmiezku i tym drugim, którym odpowiedziałam.

Amity, z burzą białych włosów i przenikliwymi pomarańczowymi oczami, linia po linii materializuje się na nieistniejącym jeszcze tle. Co prawda nie ma

w niej na razie kolorów, ale widzę je za każdym razem, kiedy ją rysuję. Od zawsze zastanawiam się, jak by to było być kimś tak kolorowym, że widać to nawet w nieruchomej postaci. Kimś tak intensywnie jaskrawym, że nie może przejść niezauważony. W przypadku Amity nie odpowiadają za to jej oczy, włosy czy nawet skóra. To po prostu coś w niej całej.

Masę przypominających noże pomarańczowych kryształów, które wyrastają wzdłuż prawej ręki Amity – cofniętej, gotowej do uderzenia we wrogów – zostawiam sobie na później. W telewizji skończyły się reklamy.

Zaklinacz_deszczu nie odzywa się już na czacie. Co pewien czas wrzucam jakiś komentarz na temat serialu, ale przeważnie siedzę sobie z założonymi rękami, wyłączam myślenie i cieszę się z przygód grupy udających nastolatki dwudziestoparolatków, którzy podejmują tragicznie nietrafione decyzje i uczą się na własnych błędach. Niekiedy jakiś troll przejmuje okienko czatu, wrzeszcząc wielkimi literami albo wydalając z siebie ciągi emotikonów, a wtedy pojawia się na chwilę użytkownik Kuznie_Risztu, żeby go zablokować.

Na komórce wyświetla mi się wiadomość od Maxa.

Zraz_Apokalipsy: kuznie meldują się na rozkaz z rozgrzanym banomłotem.

MirkerLurker: Dobra robota, żołnierzu.

Zraz_Apokalipsy: sama widzisz, nie wynajelasz mnie do tej pracy bez powodu.

MirkerLurker: Mhm, wynajęłam cię, żeby Emmy nie musiała tego ogarniać, bo zajmuje się już całą resztą witryny.

Zraz_Apokalipsy: ha ha, jakie śmieszne.

MirkerLurker: Ale serio, świetna robota. Nikt tak ładnie nie wywija banomłotem jak ty.

Max przysłała mi kolejne emoji. Panienska tańcząca salsę. Malowanie paznokci. Błyskawica. Max bez przerwy wierci Emmy dziurę w brzuchu, żeby dodała emoji także do zestawu możliwości graficznych czatu na forach *Morza Potwornego*, ale ona regularnie mu odmawia – tylko dlatego, że ją to

bawi.

Emmy mówi właśnie na czacie widzom *Kanikuły* coś, co wyzwala całą lawinę reakcji, tak szybką, że nie jestem w stanie przewinąć okna w górę i sprawdzić, jak brzmiał jej komentarz.

Max i Emmy to co prawda nie jedyne osoby, które pomagają mi w prowadzeniu forów, ale tych dwoje jest najlepszych. I tylko oni znają mnie nie jako LadyKonstelację, a jako Elizę. Zanim Max został moim osobistym bramkarzem od forów MP, a nawet zanim jeszcze udostępnił w portalu Megamózgi tamten link do *Morza Potwornego*, który przyciągnął fanów, był do przesady pedantycznym analizatorem fabuł na forach *Dzieci Hypnosa*. Zaś Emmy, zanim stworzyła stronę MorzePotworne.com, fora MP i sklep, w którym sprzedaję swoje produkty, na forach *Dzieci Hypnosa* była duszą towarzystwa; ta wówczas jedenastolatka miała w sobie tyle fanowskiej energii, że można by nią zasilać jakieś małe miasteczko.

Gdyby nie to, że ta dwójka odnalazła moje fanartowe produkcje, nic z tych rzeczy by się nie wydarzyło. Każde z nich z osobna odgrzebało mój zapomniany już wątek z rysunkami na forach *Dzieci Hypnosa* i to w nim wykroiliśmy sobie trochę przestrzeni tylko dla naszej trójki.

Więc jednak mam przyjaciół. Może i mieszkają o setki mil ode mnie i faktycznie mogę z nimi rozmawiać tylko za pośrednictwem ekranu, ale to nadal moi przyjaciele. Nie tylko *Morze Potworne* trzyma się dzięki nim. Ja trzymam się dzięki nim.

Max i Emmy to powód, dla którego to wszystko istnieje.

-
1. lurker (ang.) – ktoś, kto się czai lub czyha; w slangu internetowym: bierny uczestnik społeczności internetowej, ktoś, kto na forach społecznościowych tylko przygląda się konwersacjom innych, nie włączając się w nie aktywnie (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)



Po drugich narodzinach Amity poczuła, że Strażnik osiadł w jej umyśle, że obserwują ją jego oczy. Zamieszkałszy w niej, nie miał, rzecz jasna, oczu innych niż jej własne, a jednak tak to odczuwała. Był bryłą węgla żarzącą się u podstawy jej czaszki. Czasami przywierał do jej ramion, choć kiedy zerknęła na swoje odbicie, nic tam nie dostrzegła. Nie wiedziała teraz, czy wówczas były to halucynacje wywołane poodrodzeniowym szokiem, czy też po prostu przyzwyczała się do tego wrażenia. W każdym razie nie czuła już Strażnika. On zaś nie odezwał się do niej ani razu od owego pierwszego dnia, kiedy to zawarł z nią układ.

Jego moc za jej ciało.



W ciągu kilku kolejnych dni kończę jeszcze dwie plansze. Mogłabym pracować szybciej – potrafię zrobić planszę dziennie, jeśli się postaram – ale wtedy jakość zacznie się pogarszać, a na tym etapie bardzo bym tego nie chciała. Komiks powstaje już od tak dawna, że powinien odtąd tylko się poprawiać, a nie tracić na jakości. Plansze szkicuję w szkole, wykonując przy tym tyle podstawowej pracy nad konturami, ile tylko mogę, jeszcze zanim rysunki trafią do komputera. Robię to podczas lekcji, kiedy nikt nie patrzy, albo w przerwie obiadowej, siedząc sama na wietrznym dziedzińcu przed stołówką. Wkrótce będzie za zimno, żeby przesiadywać na dworze i będę musiała znaleźć sobie jakiś stolik w środku, co pewnie okaże się megazabawne, bo codziennie po wejściu na stołówkę widzę, że wszystkie są zajęte.

W piątek, czyli dzień meczu, wszyscy chodzą ubrani charakterystycznie dla Westcliff, w futbolowych bluzach ze złotymi akcentami, z twarzami pomalowanymi złotą farbą albo ze złotymi wstążkami w kucykach. W głównym holu wisi już pięć różnych transparentów, które zachęcają naszą drużynę futbolu amerykańskiego: DO BOJU – WALCZCIE –

ZWYCIĘŻAJCIE. Kiedy idę na czwartą tego dnia lekcję, transparent numer trzy odrywa się od ściany, akurat gdy pod nim przechodzę. Świat ogarnia ciemność. Uderzam dłońmi w płachtę, żeby ze mnie spadła, i w holu za moimi plecami wybuchają chichoty. Transparent opada na podłogę.

Oparci o szafki nieopodal stoją Travis Stone i Deshawn Johnson – jedyni dwaj uczniowie w tej szkole, których boję się, nawet kiedy mają dobry humor – i patrzą, jak się szamoczę. Travis Stone w opadających dzinsach i z krótko przystrzyżonymi włosami przypomina sępa; Deshawn Johnson zwykle albo wygląda na takiego, który jest zbyt cool, żeby trzymać z Travisem, albo w ogóle nie jest cool. Dziesięć lat temu byli to dwaj uroczy chłopcy z podstawówki, którzy bawili się ze mną w berka na podwórku i którzy pomogli mi z tym transparentem, zamiast się tylko gapić.

– Fajne włosy – odzywa się Travis.

Przesuwam dłonią po głowie i odkrywam, że zostały mi na niej nieludzkie ilości brokatu. Robię minę, od której Travis i Deshawn zaczynają na nowo zwijać się ze śmiechu.

W łazience wszelkie próby usunięcia brokatu spełzają na niczym. Udaje mi się tylko wypełnić całą umywalkę złotym łupieżem i zasłużyć sobie na dziwne spojrzenia kilku dziewczyn, jakbym zrobiła to swoim włosom celowo. Wszelkie nadzieje na szczęście i świetlaną przyszłość idą się gonić.

Po skończonych zajęciach wychodzę przed budynek szkoły, gdzie witają mnie posępne niebo, ostry wiatr i kolejki samochodów próbujących wyjechać z parkingu. Za kilka godzin wszyscy wrócą tu na mecz futbolu i zasiądą z przyjaciółmi, zbici w ciasne grupki, na trybunach stadionu za szkołą, żeby wykrzykiwać zagrzewające do boju hasła w chłodnym wieczornym powietrzu. Wokół boiska do futbolu odbędzie się parada ruchomych platform klasowych. Nastąpi chwila ciszy i krótka ceremonia poświęcona pamięci członków orkiestry, którzy ostatniego lata wypadli z zakrętu Wellhouse.

Będą sportowe bluzy, imprezowanie i hulanki do późnej nocy.

Poprawiam plecak na ramionach, trzymając oburącz szkicownik. Za dużo tu tych samochodów. Założę się, że w college'u nie ma takich problemów z parkowaniem, jak tutaj. Założę się, że w college'u wszystko jest super.

Obracam się i widzę, że Wallace znowu siedzi na tej samej ławce. Siedział na niej codziennie przez cały tydzień. Wczoraj odkryłam, że na nazwisko ma Warland¹, co wydaje się szczególnie trafne w przypadku kogoś o jego posturze. Jakby miał zdolność siania zniszczeń wszędzie, gdzie się ruszy.

Dziś jednak Wallace Warland nie jest sam. Po jednej stronie ma Trvisa Stone'a, a po drugiej Deshawna Johnsona, dwie wieczne zmary mojej egzystencji. Wpaść na byłych przyjaciół raz dziennie to już i tak dużo – dwa razy dziennie oznacza, że szuka się kłopotów. Deshawn stoi przy ławce z założonymi rękami, a Travis siedzi obok Wallace'a, jakby od dawna byli kumplami. Wallace trzyma się sztywno, zakrywając dłońmi papiery, na których zawsze coś pisze, ze wzrokiem utkwionym w chodniku gdzieś na lewo od butów Deshawna.

Wallace nie sprawiał na mnie wrażenia kogoś, kto będzie chciał zaprzyjaźnić się z osobami pokroju Trvisa Stone'a, w każdym razie nie Licealnej Mendy Trvisa Stone'a. Z ciekawości nogi same prowadzą mnie krok po kroku odrobinę bliżej pod pozorem tego, że zastanawiam się, czy nie iść już do samochodu. Wyciągam komórkę i wgapiam się w czarny wyświetlacz.

– ...musiał napisać to na maszynie. Nikt nie pisze ręcznie aż tak czytelnie. Mówiłeś, że co to jest?

Travis próbuje wyciągnąć jedną z kartek. Wallace przyciska ją dłonią.

– Jak to nazwałś? Fan... fan...

– Fanfiki – mówi Deshawn.

Niemożliwe, do stu tysięcy diabłów. Niemożliwe, żeby Wallace Warland

pisał fanfiki. Fanfiki czego? Co też Wallace Warland może lubić tak bardzo, że pisze o tym fan fiction? Czy istnieją fanfiki o zawodowych drużynach sportów zespołowych?

– Pokaż no. – Travis znów próbuje wyciągnąć kartkę, więc Wallace tym silniej ją przytrzymuje.

– To chyba coś o tej internetowej historii – mówi Deshawn, przyglądając się kartce. – Tej o morzu.

Wszystkie włoski na karku stają mi dęba. Tętno gwałtownie mi podskakuje. Nie wierzę, żeby mówili o *Morzu Potwornym*.

Wallace Warland nie może pisać fanfików o *Morzu Potwornym*.

– Dajcie mu spokój. – Zanim zdążę się powstrzymać, okręcam się na pięcie i ruszam w ich stronę. Głos dobywa mi się z mrocznych rezerw odwagi ukrytych gdzieś głęboko, gdzie zazwyczaj są przechowywane z myślą o wypowiedzi w miejscu publicznym albo o samodzielnej wizycie u dentysty. Twarz marszczy mi się dziwnie, nogi dygoczą. Moje serce wali, jakbym właśnie przebiegła cztery stadiony.

Travis i Deshawn równocześnie oglądają się na mnie z uśmiechem – choć nie, Deshawn właściwie się nie uśmiecha, a krzywe miny Tralisa zawsze wyglądają szyderczo. Rany, a przecież pamiętam, jak sympatyczni potrafili być kiedyś. Wallace wpatruje się we mnie z wyrazem twarzy, którego nie umiem odczytać. Czy zdaje sobie sprawę, jakie to wszystko bezsensowne? Może przynajmniej dzięki mnie zyska kilka sekund, żeby zwiać. Jedyne, czego nie potrafię, to stać beczynnienie, kiedy z jakiegoś fana – nawet jeśli nie fana *Morza Potwornego*, to na pewno fana czegoś – ktoś nabija się z powodu jego upodobań. LadyKonstelacja nie pozwoliłaby na to, a w tej akurat chwili ja też nie zamierzam na to pozwalać.

Travis udaje zaskoczonego.

– O Boże, ponurak Murky jednak mówi.

Chodzimy razem do szkoły od drugiej klasy podstawówki. Dobrze wie, że nie mam problemów z mówieniem – nawet jeśli niektórym kolegom i koleżankom z klasy wydaje się, że naprawdę jestem niemową.

– Dajcie mu spokój, Travis. – Głos już mi słabnie. Awaryjny zapas odwagi wyczerpany.

– Co go tak bronisz, Murky? Czy ktoś się tu w kimś buja?

Moja twarz momentalnie staje w płomieniach. Dociskam brzeg szkicownika do ud. Wiem, że to najbardziej podręczna zagrywka Trávisa, którą posługuje się albo żeby zamknąć dziewczynie usta, albo tak ją wytrącić z równowagi, by nie umiała znaleźć racjonalnego argumentu. Zaczął stosować ten trik w gimnazjum, kiedy zrobiła się ze mnie cudaczka zbyt odjechana, by ktokolwiek ze mną trzymał. Jeśli przez to przebrnę, może uda mi się zbić go z tropu.

– Nie. Stul dziób – szczebioczę. – Ja tylko... daj mu pisać, co mu się żywnie podoba. Cokolwiek to jest, to nie twoja sprawa.

– Nie moja sprawa? Ja nie próbuję się z niego nabijać, Murky, ja tylko chcę to przeczytać! O co ci chodzi?

– Przecież widać: wcale nie chce, żebyś to czytał!

Przez cały czas, kiedy to mówię, Wallace gapi się na mnie, i teraz rumieniec dociera mi już do uszu. Co rozprasza mnie na tyle, że Deshawn bez trudu wyciąga mi z rąk szkicownik.

– Ej!

Rzucam się za nim, ale wycofuje się, otwierając szkicownik, żeby poprzeglądać rysunki. Część kartek wsunięta jest luzem – trzepoczą na wietrze, ale nie wyślizgują się spomiędzy pozostałych.

– Wow, wyglądają naprawdę nieźle – mówi Deshawn. – Trav, ona chyba też lubi to coś o morzu.

Zatrząskuje szkicownik i rzuca nim jak krążkiem frisbee nad moją głową,

poza zasięgiem moich palców, w stronę Trávisa, który tymczasem wstał z ławki. Travis chwytá szkicownik w locie, przy czym kilka luźnych kartek jednak odlatuje z wiatrem, i otwiera go.

– Aha, to dlatego go broniłaś. Ojej, oboje lubicie to samo!

– Oddawaj!

Nikt nie ma prawa zaglądać do tego szkicownika. Co prawda ten akurat noszę do szkoły, więc jest bezpieczniejszy niż inne, ale i tak są w nim rzeczy z *Morza Potwornego* – na przykład niedokończone plansze komiksu – które mogą zdradzić moją tożsamość. Do tego zwyczajnie nie podoba mi się myśl, że Travis Stone będzie wodził lepkiem wzrokiem po czymś, co narysowałam. Nie pozwalałam mu oglądać moich rysunków, kiedy się przyjaźniliśmy, i nie zamierzam robić tego teraz. Rzucam się na niego, żeby odzyskać szkicownik, ale ciska nim z powrotem do Deshawna.

Ani mi się śni bawić z nimi w głupiego Jasia. Nie w ostatniej klasie liceum. Ani mi się śni. Ale Deshawn stoi przede mną ze szkicownikiem w ręce, kartkując go, i nie ruszy się, dopóki ja się nie ruszę. Wzrok przesłaniają mi łzy. No, super. Do tego jeszcze płaczę. Jasne, pogarszajmy dalej tę sytuację. Zaciskam pięści i ruszam w stronę Deshawna. Gdy tylko podchodzę za blisko, śmieje się i znowu odrzuca szkicownik do Trávisa.

Obracam się jeszcze raz, gotowa wrzeszczeć z irytacji, i widzę, że między mną i Travisem wyrósł Wallace i ma w ręce szkicownik. Musiał przechwycić go w locie. Nie sądziłam, że umie poruszać się tak szybko. Mina Trávisa wyraża zarówno osłupienie, jak i pewnego rodzaju podziw. Wallace odwraca się ku niemu i gromi go wzrokiem. Travis jest mniej więcej mojego wzrostu, dlatego kiedy obaj stoją, Wallace jest od niego o pół głowy wyższy, za to od groma szerszy. Travis wygląda jak młode drzewko, przy którym wyrósł dąb.

Wallace daje krok w jego kierunku, cały spięty, więc Travis wycofuje się, unosząc dłonie.

– Joł. Dobra. Wyluzuj, koleś. Kurde.

Spogląda na Deshawna, ruchem głowy wskazuje mu parking i obaj odchodzą wielkimi krokami. Po drodze Travis podnosi z ziemi jeden z moich rysunków i, gapiąc mi się prosto w oczy, składa go i wsuwa sobie do kieszeni.

Wallace tymczasem przemierza już chodnik, zbierając pozostałe luźne kartki. Ja sama rzucam się po tych kilka, które upadły bliżej mnie – z Amity wystrzeliwującą w niebo mocą swych kryształów, Damienem w obłoku mgły i otoczeniu stada kruczydeł – i ocieram oczy.

Wallace wraca wolnym krokiem, podkładając sobie mój szkicownik pod jedną z własnych luźnych kartek, na której skrobie coś długopisem. Wciska ją do środka szkicownika razem ze wszystkimi pozbieranymi rysunkami i wyciąga całość w moją stronę. Zamiast spojrzeć na mnie tak, jakby sądził, że powinnam być niewidzialna, w ogóle na mnie nie patrzy, tylko czeka, błędząc oczami w lewo, w prawo, w dół. Kiedy odbieram od niego szkicownik, ten prawie wypada mi z rąk i łapię go, przyciskając do nogi.

Wallace stoi, jak stał. Powinnam coś powiedzieć? Chce, żebym coś powiedziała? Chłopak drapie się w potylicę, opuszcza dłoń na kark i bierze głęboki oddech.

Wyciągam z kieszeni komórkę, ale o tej porze Emmy i Max raczej nie są dostępni. Emmy jest na zajęciach, a Max w pracy. Moje palce zastygają nad klawiszami, nie mając którego nacisnąć. Wallace nadal stoi tam, gdzie stał, ale teraz też ma w ręce komórkę, którą zdążył wyjąć.

Ma w ręce komórkę. A więc nie zwraca na mnie uwagi.

Odwracam się i odmaszerowuję, zanim zdąży ponownie podnieść wzrok. Jestem prawie pewna, że patrzy za mną, ale to nieważne, bo jestem już w pół drogi na drugą stronę parkingu i nie obchodzi mnie, czy uzna mnie za cudaka – już nigdy w życiu nie zamierzam się odezwać w jego obecności. Kiedy

docieram do samochodu, daję nurka do środka i zatrzymuję za sobą drzwi. Na parkingu jest nadal zbyt tłoczno, żeby wyjechać. Poza tym, zanim włączę silnik i ruszę, chyba lepiej będzie zdjąć plecak.

Rzucam go na fotel pasażera, zapinam pasy i opieram się czołem o kierownicę. Wdech. Wydech. Kręci mi się w głowie. Niedobrze. Żar z mojej twarzy emanuje na cały samochód i czuję, jak obrzydliwymi falami spływają ze mnie pot i wstyd. Że też Travis i Deshawn musieli akurat dzisiaj zadrzeć z Wallace'em! Że też Wallace nie mógł poradzić sobie z nimi sam! Że też musi, prawdopodobnie, pisywać fanfiki do *Morza Potwornego*!

Podnoszę głowę i spoglądam na szkicownik. Wallace coś niewątpliwie pisał, nawet jeśli nie to, co podejrzewałam. Sięgam po szkicownik, otwieram go jednym ruchem i łapię za kartkę papieru wetkniętą do środka przez chłopaka.

Zwykła kartka papieru ze szkolnego zeszytu w linie. Na niej zaś, wykaligrafowane zadziwiająco precyzyjnie i schludnie, biorąc pod uwagę, jak szybko były pisane, słowa:

Dzięki.

Te rysunki są naprawdę dobre.

1. Warland – w jęz. angielskim dosłownie „kraj wojny” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

GDYBYŚ MUSIAŁA
WYBRAĆ, TO CO
BYŚ WOLAŁA.

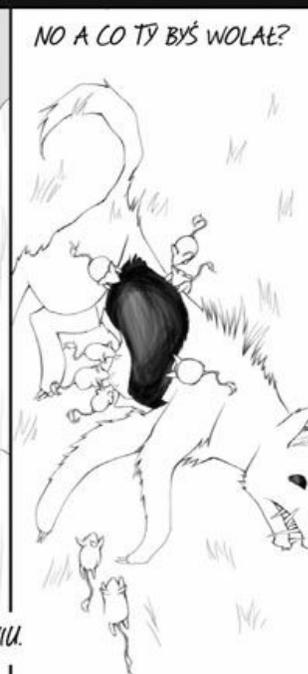


UMRZEĆ ZA ROK
CZY ŻYĆ WIECZNIE?

ANI TÓ, ANI TÓ. ROK TÓ
ZA KRÓTKO, A WIECZNIE
- ZA DŁUGO.



NO A CO TY BYŚ WOLAŁ?



WŁAŚNIE O TÓ CHODZI W TYM PYTANIU.
NIE MA BYĆ ŁATWE.

ŻYĆ WIECZNIE.

CHCĘ OGLĄDAĆ UMIERANIE GWIAZD.



emmiterliter: Czekaj

emmiterliter: Chwila moment

emmiterliter: Czyli wzielas go w obrone?

MirkerLurker: Aha.

emmiterliter: ... Nie bardzo widze w czym tu jakis problem E

emmiterliter: Zrobili ci krzywde??

MirkerLurker: No, nie... nie bardzo. Tylko zabrali mi szkicownik i troche się nim poprzeczucali.

MirkerLurker: No dobra, ja wiem, że to nie brzmi tak strasznie...

MirkerLurker: Ale ty nie wiesz, jak ten koleś na mnie patrzy. To jeden z tych, których wzrok mówi: "Po co ty w ogóle stajesz mi przed oczami, jesteś brzydsza niż rozwolnienie, jakie miewam po za dużej ilości papryki".

15:19 (Do konwersacji dołącza Zraz_Apokalipsy)

Zraz_Apokalipsy: chyba przyszedlem nie w pore. pojde sobie.

emmiterliter: E przezywa kryzys

Zraz_Apokalipsy: a co jest powodem?

MirkerLurker: A, taki jeden nowy głupek w szkole, co może jest, a może nie jest twórcą fanfików do Morza Potwornego, ale który na bank uważa mnie za zło wcielone.

emmiterliter: Dlaczego by miał tak o tobie myslec?? Przeciez wzielas go w obrone

MirkerLurker: A bo ja wiem? Może dlatego, że przeze mnie poczuł się mniej męsko. Czy coś w tym stylu. Max, potrzebuję porady od kogoś, kto z powodu dziewczyny poczuł się mniej męsko.

Zraz_Apokalipsy: czemu z gory zakladasz, ze ja sie tak kiedykolwiek poczulem?

MirkerLurker: Bo jesteś w tym gronie jedyną osobą płci męskiej.

Zraz_Apokalipsy: jesli chcesz wiedziec, czy niektorzy faceci czuja sie mniej mesko, kiedy przed nekajacym ich koleciem broni ich dziewczyna, to niestety musze przyznac, ze owszem, to sie zdarza.

Zraz_Apokalipsy: ALE NIE MNIE.

Zraz_Apokalipsy: NIECH BEDZIE WIADOMO WSZEM WOBEC ZE MAX CHOPRA NIGDY W ZYCIU NIE POCZUL SIE MNIEJ MESKO.

Zraz_Apokalipsy: ale serio, czy ten koles cos ci powiedzial? czemu sie tym tak podlamujesz?

MirkerLurker: On nie powiedział NIC. W tym cały problem!

MirkerLurker: Tylko stał jak słup i nawet na mnie nie spojrział.

emmiterliter: A ty coś powiedziałaś

MirkerLurker: ... Nie.

emmiterliter: No widzisz

emmiterliter: E

emmiterliter: W tym może leżeć sedno problemu

Zraz_Apokalipsy: lekcji umiejętności społecznych udziela ci właśnie ucząca się w collegeu dwunastolatka. jakie to uczucie

emmiterliter: Nie jestem dwunastolatka mam 14 lat

emmiterliter: Palancie

Zraz_Apokalipsy: chwila moment, zostawił w twoim szkicowniku liscik? co w nim było?

MirkerLurker: Że dzięki i że rysunki są dobre.

emmiterliter: O MOJ BOŻE

emmiterliter: TO DLATEGO NIC NIE MOWIL

MirkerLurker: W sensie?

emmiterliter: BYŁ ZA BARDZO SPIETY

emmiterliter: OJEEJ, E, PODOBASZ MU SIĘ

MirkerLurker: Szczerze wątpię.

MirkerLurker: Serio mówię, naprawdę SZCZERZE wątpię.

MirkerLurker: On nie jest z tych koleśków, którzy zwykle się mną interesują.

Zraz_Apokalipsy: a jacy to koleśki zwykle się toba interesują?

MirkerLurker: Tacy, których sobie wymyślam.

Zraz_Apokalipsy: woooooooooooooooooooooooooooo

Zraz_Apokalipsy: woo

Zraz_Apokalipsy:

woo

Zraz_Apokalipsy: czy mam już teraz załatwić ci do domu dostawę stada kotów, czy wolisz, żebym z tym odczekał jeszcze kilka lat?

MirkerLurker: Chłee chłee.

MirkerLurker: W poniedziałek będę musiała usiąść koło tego koleśki na kwadransie

organizacyjnym. Co ja mu mam powiedzieć?

emmiterliter: A do tej pory co do niego mówiłaś

MirkerLurker: Nic. Wydawało mi się, że już to dość jasno wyraziłam.

emmiterliter: No to rob tak dalej

emmiterliter: Jak sam zechce ci cos powiedziec, to powie

MirkerLurker: Jakim cudem dwunastolatka wie o chłopakach więcej ode mnie?

emmiterliter: MAM 14 LAT



Kiedy w poniedziałek wchodzę do klasy na kwadrans organizacyjny – pod transparentami głoszącymi triumfalnie, że ŻBIKI MISTRZAMI! – Wallace siedzi już za swoim pulpitem, tuż obok mojego. Ale na swoim miejscu jest też już profesor Grier, która łapie mnie przy samych drzwiach. Dzisiaj ma w uszach kolczyki w kształcie koniczyny i jest ubrana w zieloną koszulową bluzkę do czarnych biznesowych spodni.

– Jak dziś twoje samopoczucie, Elizo? – pyta z uśmiechem.

Jakim cudem jest w stanie uśmiechać się o siódmej rano? Czekam, aż powie coś jeszcze, ale ona stoi bez ruchu, wpatrując się we mnie, jakby autentycznie chciała usłyszeć odpowiedź na zadane mi pytanie.

– Ee... dobrze? – odpowiadam. Grier marszczy czoło i nachyla się bliżej. Podnoszę głos: – Dobrze.

– Świetnie! Chciałam tylko upewnić się, że wszystko w porządku.

Chciała się upewnić? Dlaczego? Dowiedziała się o tej piątkowej historii z Travisem i Deshawmem? Chyba Wallace by jej o tym nie powiedział? Wychowawczynie znów nie ciągnie tematu, więc wzruszam ramionami i mijam ją ostrożnie. Nie dość, że muszę radzić sobie z Wallace'em, to teraz

jeszcze z nauczycielami martwiącymi się o nękanymi uczniów?
Niedoczekanie.

Wsuwam się na swoje krzesło najciszej, jak umiem, ale Wallace i tak podnosi wzrok znad ekranu komórki. Po chwili ponownie opuszcza głowę, drapie się w kark, odwraca oczy. Trzymając plecak na kolanach, wpatruję się w potylicę siedzącej przede mną rudej Shelby Lewis. Po kilku sekundach nerwowego napięcia wyciągam telefon i zaczynam przeglądać swoją długą sesję czatu z Emmy i Maxem z ostatniej nocy. Napisałabym do nich teraz, ale Emmy jeszcze śpi, a Max jest w pracy. I tak nie odpowiedzą mi od razu, a kiedy to w końcu zrobią, będę już w innej sytuacji.

Przechodzę na fora MP. W normalnych okolicznościach nie czytam postów z forów na komórce, ale, no cóż, tonący brzytwy i tak dalej. Widzę online kilka wyróżniających się postaci, w tym zaklinacza_deszczu i Ogien_na_zimno, którzy przerzucają się komentarzami w jednym z wątków z działu tematów ogólnych. W trakcie kolejnych odświeżeń strony widzę, że przyłącza się coraz więcej użytkowników. Wiadomo, zaklinacz_deszczu działa jak magnes na resztę fanów.

Po kilku minutach czuję, jak włoski na karku stają mi dęba. Nie przestaję gapić się w ekran komórki, udając, że nie widzę, jak profesor Grier wpatruje się we mnie ze swojego miejsca przy wejściu.

Rozlega się dzwonek. Profesor Grier zamyka drzwi sali i rusza do biurka po listę obecności. Posłuszna szkolnemu regulaminowi, pakuję telefon do kieszeni i robię minę, jakbym uważała na wszystko, co się dzieje, a nie zastanawiała się nad tym, kiedy znowu będę mogła wyciągnąć komórkę.

Wtem widzę na swoim pulpicie kartkę, której nie było, kiedy przy nim usiadłam.

Na kartce zaś następujące słowa, wykaligrafowane pismem tak starannym i precyzyjnym, że liścik wygląda, jakby właśnie wyszedł z drukarki:

Lubisz „Morze Potworne”?

Litery są jeszcze ładniejsze i mniej pośpieszne niż poprzednio. Nie znam nikogo, kto kaligrafowałby całe wyrazy pismem jak spod igły, tak bardzo przypominającym druk. Zerkam na Wallace'a, ale on garbi się nad własnym pulpitem, odwracając głowę nieco w bok i masując sobie dla niepoznaki koniuszek prawego ucha. Włosy sterczą mu nad karkiem w miejscu, w którym wcześniej się drapał.

No, bosko. Czyli faktycznie podoba mu się *Morze Potworne*. Sama nie wiem, czy powinno mi to schlebiać, czy mnie przerażać. Już na podstawie samej liczby uczęszczających do mojej szkoły osób zakładałam od zawsze, że przynajmniej jedna z nich będzie fanem lub fanką mojego komiksu, ale zakładałam też, że nigdy nie stanę przed koniecznością rozmowy z tym kimś. Nigdy, przenigdy. Póki żyję. Dlaczego teraz? Potrzebowałam przeżyć jeszcze tylko siedem miesięcy bez czegoś podobnego. *Dlaczego teraz, podły świecie?*

Wallace odwraca się w moją stronę i spogląda wymownie na mój, kurde, pulpit. Boże, czeka na moją odpowiedź. Super. No, ale czy tak naprawdę czemukolwiek to zawadzi? On przecież nie wie, kim jestem. Wie tylko, że rysuję obrazki z *Morza Potwornego*. To fan art. To nie musi być nic więcej. A ta kartka... ta kartka to okienko czatu. Podczas pisania nie muszę patrzeć Wallace'owi w twarz. Wystarczy przelać kilka słów na papier i mu go oddać.

Wyciągam długopis. Zawieszam go nad liścikiem. *Lubisz „Morze Potworne”?*

Owszem. *Morze Potworne* to moja najulubieńsza rzecz pod słońcem. Lubię je bardziej niż wszelkich znanych mi ludzi. Lubię je bardziej niż siebie samą. Bardziej niż jedzenie i sen, i gorący prysznic. Lubię je bardziej niż samotność. Jest dla mnie wszystkim.

Piszę: *Tak*.

A potem odrzucam liścik na jego pulpit.

Nawet jeśli profesor Grier widzi to ze swojego miejsca z przodu klasy, nie odzywa się. Wallace wyrównuje kartkę na pulpicie, gapi się w samotne słowo mojej odpowiedzi, po czym sięga z wolna po długopis i zaczyna starannie kaligrafować. Robi to tak powoli. Mam wrażenie, że wolniej, niż zachodzą ruchy tektoniczne. Nie patrzę na niego, kiedy pisze, aż w końcu czuję na dłoni delikatne szturchnięcie papierem.

Którą postać lubisz najbardziej?

Najbardziej? Wszystkie postaci lubię najbardziej. Znam je od tak dawna, że nawet te, których kiedyś nie cierpiałam, teraz należą do moich ulubionych. Są dla mnie bardziej rzeczywiste niż większość ludzi, których znam z realu. Kocham je wszystkie. Ale pewnie jest tak, że niektóre kocham bardziej niż inne. A LadyKonstelacja wprost uwielbia pytać fanów o to, które postaci lubią najbardziej.

Odpisuję: *Izariana Silasa.*

Kiedy znowu dostaję kartkę, widzę, że napisał na niej: *Izzy jest niezły. Ja najbardziej lubię Dallasa. Ma najlepsze moce ze wszystkich Aniołów. Ulubione miejsce?*

Moim ulubionym miejscem jest cały Orkus. Gdybym mogła przenieść się tam, zamiast żyć na Ziemi, zrobiłabym to w okamgnieniu. Skonstruowałabym sterowiec i żeglowała nim ponad pełnymi potworów oceanami, zwiedzając wszystkie miejsca, które widziałam dotąd tylko w wyobraźni. Mroczną i ustronną wyspę Nokturn, gdzie dorastała Amity; rozległy i bajecznie piękny Megakontynent, na którym osiedlili się pierwsi Ziemianie; mechaniczne miasto Riszt, gdzie Amity i Damien uczą się przyjaźni i gdzie dociera do nich, że kiedy współpracują ze sobą, ich moc wzrasta.

Piszę: *Riszt.* W Riszcie nikt nie lęka się potworów. W Riszcie potwory są tylko wspomnieniem minionej epoki, a tym, którzy je pokonali, oddaje się

boską cześć.

Tym razem Wallace odpisuje szybciej. *Moje też. Z powodu reaktorów termojądrowych, mechanicznego pałacu i muzyki. A także tego olbrzymiego feniksa z porożem, którego wyrzeźbili z jedzenia na urodziny Rory'ego. Ja też chcę olbrzymią jadalną rzeźbę feniksa.*

Tym razem pytań brak. Siedzę z kartką na pulpicie przez dobre kilka minut, wpatrując się w tył głowy Shelby Lewis i motylki w stylu lat dziewięćdziesiątych powpinane w jej włosy. Czubek długopisu przyciskam do kartki tak długo, aż obok schludnego Wallace'owego „pałacu” wyrasta wielka niebieska kropka.

W końcu kreślę: *Pisałeś fanfik do MP?*

Ale kiedy przerzucam kartkę z powrotem na jego pulpit, rozlega się dzwonek na pierwszą lekcję. Łapię za plecak i wybiegam, wahając się w drzwiach tylko przez ułamek sekundy. Jeszcze nie ma pierwszej lekcji, a już przestał mi działać dezodorant. Jeszcze nie ma pierwszej lekcji, a ten nowy okazał się fanem *Morza Potwornego*. Pierwszym, jakiego kiedykolwiek poznałam w realu.

Wypadam na korytarz, zanim Wallace zdąży mnie dogonić.

* * *

Między pierwszą i drugą lekcją piszę do Emmy i Maxa, choć wiem, że przeczytają to dopiero później.

MirkerLurker: Najświeższy raport o Nowym - faktycznie lubi Morze Potworne, a teraz wie, że ja też je lubię. Brak pewności, co z tym zrobić. Uprasza się o radę.

Do końca czwartej lekcji temperatura ciała wraca mi do normy. Całe szczęście. W samą porę, żebym znalazła sobie miejsce na dziedzińcu szkoły, by zjeść obiad. Trawa jest podwiednięta i zbrązowiała. Zeschłe liście, niesione silnymi podmuchami wiatru, szeleszczą na betonie. Kiedy siadam

jak zwykle przy piknikowym stole w kącie dziedzińca, ławka mrozi mi tyłek przez dzinsy. Tegoroczny październik wydaje się za zimny jak na stan Indiana, ale może to tylko ja odbieram teraz zmiany temperatur boleśniej niż kiedyś. Nie spędzam już zbyt wiele czasu na świeżym powietrzu.

Z chęcią jednak zmarznę, jeśli oznacza to, że będę tutaj sama. Sprawdzam komórkę; dostałam tylko jedną odpowiedź od Emmy – *ON SIE W TOBIE BUJA E* – którą pewnie zdążyła wysłać między jednym wykładem a drugim. Przewracam oczami, a potem wyciągam z plecaka słuchawki i szkicownik. Słuchawki wtykam w telefon i włączam muzykę – oczywiście Pendulum, jedyną kapelę pasującą do scen akcji *Morza Potwornego* – a szkicownik otwieram na czystej karcie. Wreszcie trochę czasu na rysowanie, podczas którego nikt mi nie przeszkadza. Pakuję sobie w usta kilka frytek i zaczynam szkicować zarys pomysłu na kolejną planszę.

W zeszłym tygodniu nie udało mi się narysować całego rozdziału, ale choć zrobiłam tylko cztery plansze, były to zarąbiste cztery plansze. Miałam okazję wprowadzić do akcji olbrzymie mechy o zwierzęcych głowach, którymi mieszkańcy pustyni, Hajganowie, posługują się podczas Bitwy Piasków. Uwielbiam mechy, choć rysuje się je całe wieki, ale gdybym przedstawiała je mniej szczegółowo, miałabym wrażenie, że rozczarowuję artystów tego gatunku anime. Bitwa będzie się toczyć jeszcze przez co najmniej dwa, góra cztery rozdziały, a to oznacza dużo kadrów z wielkimi robotami bojowymi.



Mam ochotę tarzać się w rysunkach szczegółowo wykończonych mechów.

Macam ręką w stronę tacy z obiadem, żeby wziąć sobie kolejną garść frytek, ale zamiast tego dotykam krawędzi zawieszanej w powietrzu kartki.

Odruchowo zatrząskuję szkicownik i zrywam z uszu słuchawki. Przedemną stoi Wallace, trzymając w wyciągniętej ręce wciąż tę samą kartkę papieru. Serce galopuje mi w piersi, a mięśnie szyi rwą mnie od tego, jak raptownie poderwałam głowę, by spojrzeć na chłopaka. On sam zastygł w bezruchu z szeroko otwartymi oczami, jakbym go na czymś przyłapała. Odrobinę wycofuje kartkę, a potem znów wyciąga ją w moją stronę. W drugiej ręce trzyma tacę z obiadem.

Jedynie, co słychać, to odgłos liści stepujących po ziemi i dobiegające z moich słuchawek dźwięki *Propane Nightmares*.

Biorę tę kartkę. Widać na niej ostatnie zdanie, który napisałam wcześniej: *Pisałeś fanfik do MP?* – a pod nim jego odpowiedź: *Tak*. Zaś w następnym wierszu, napisane już nie długopisem, a ołówkiem: *Mogę tu usiąść?*

Znowu się pocę. Szlag. W dodatku właśnie się zorientowałam, że kartka, którą wydarłam mu z dłoni, cała się trzęsie, bo mnie trzęsą się ręce. Chłopak chyba nie sądzi, że jesteśmy kumplami, tylko dlatego, że kazałam Travisowi i Deshawnowi dać mu spokój? Bo absolutnie nie jesteśmy kumplami. Czy on wyobraża sobie, że jest mi coś winien?

Używając mojego ołówka do szkicowania, piszę: *Umiesz mówić?*

Odbiera ode mnie kartkę, czyta, po czym kładzie ją na pustej połowie swojej tacy i sam coś pisze. Oddaje mi papier.

Tak. Czasami. To bardzo dziwnie?

Dziwnie? Owszem. Źle? Zależy.

Możesz usiąść.

Przesuwam szkicownik, plecak i telefon, żeby mógł położyć swoją tacę naprzeciw mnie. Naprawdę przypomina posturą gracza w futbol amerykański

– siadając przy piknikowym stoliku, musi schować nogi głęboko pod ławeczkę i zgarbić się tak, że łokciami niemal dotyka blatu – a do tego jada też niczym futbolista. Dwa hamburgery, dwie porcje frytek, dwa kartony mleka i lodowy rożek. Nos ma skrzywiony, jakby ktoś mu go złamał, a policzki czerwone z zimna.

Kiedy spotyka się ze mną wzrokiem, uśmiecha się nieznacznie. Tylko troszeczkę. Przytrzymując kartkę wielką dłonią, w drugiej zaciska ołówek i starannie, litera po literze, wypisuje nową kwestię. Porusza przy tym wargami, jakby w trakcie zapisywania słów je wypowiadał.

Dzięki. Wiem, że prof. Grier już nas sobie przedstawiła, ale na imię mi Wallace. Pisuję fan fiction o „Morzu Potwornym”. Trochę trudno zawierać nowe znajomości, kiedy zmienia się szkołę w połowie ostatniej klasy.

Pewnie trudno także wtedy, kiedy się nie mówi, odpisuję. Jestem Eliza.

Jedną ręką je, a drugą pisze.

Cześć, Elizo. Tak, także z powodu niemówienia.

Nad jakiego typu fan fiction pracowałaś?

Po przeczytaniu tych słów spogląda na mnie, po czym opuszcza wzrok i przykłada ołówek do kartki. *W tej chwili pracuję nad transkrypcją tego komiksu, przekształceniem go w prozę. W książki.*

Książki? Co prawda myślałam już o tym sama – i zajęłabym się tym, gdybym miała choć szczyptę umiejętności pisania długich form – ale komiksu nie da się idealnie oddać w formie powieściowej. Jedyne, na co się do tej pory zdobyłam, to skompilowanie wszystkich komiksowych plansz w powieści graficzne dostępne dla kupujących w internetowym sklepie *Morza Potwornego*.

To ciężka sprawa, piszę. Trochę tego komiksu jest.

Znowu uśmiecha się prawie niedostrzegalnie. Tym razem pisze przez dobre trzy minuty.

Główna fabuła mogłaby pewnie zamknąć się w trylogii, i to jeśli pominę historie z przeszłości. Te dawniejsze opowieści – wszystko o Sojuszu Orkusjańskim, piratach Damiena, Aniołach i mieszkańcach Risztu – to wszystko mogłoby zapełnić jeszcze ze dwa, trzy tomy prequeli.

Biorę głęboki oddech. *I ty chcesz to wszystko spisywać? Coś, czego nawet sam nie wymyśliłeś?*

Wzrusza ramionami. *Naprawdę przepadam za „Morzem Potwornym”. A to chyba niezłe wyzwanie.*

Przygryzam wargę, żeby powstrzymać falę kipiących we mnie emocji. Chłopak nawet nie wie, że wyraża mi uznanie. To nienormalne. I pewnie nie w porządku, prawda? Chyba powinnam mu powiedzieć, kim jestem. Ale co, jeśli to wszystko popsuje? Nie chcę, żeby wiedział, kim jestem, bo nie jestem tym kimś bez przerwy. Teraz na przykład nie jestem LadyKonstelacją. Nie mogę nią być.

Kiedy nie odpowiadam natychmiast, Wallace ostrożnie, samymi opuszkami palców, dotyka kartki i przyciąga ją do siebie. Dopisuje coś jeszcze i podsuwa mi ją z powrotem.

Właściwie to potrzebuję nowego beta readera – chciałabyś przeczytać, co napisałem? Widziałem już niektóre z twoich rysunków i wydaje mi się, że sporo wiesz o tym świecie.

Moja ręka waha się chwilę przed odpowiedzią.

Nie mam za dużo doświadczeń z czytaniem fanfików. Nie wiem, czybym ci się na coś przydała.

To prawda; próbuję trzymać się z dala od fanfików, bo nie chcę, żeby treść któregoś z nich podświadomie wpłynęła na wymyślaną przeze mnie fabułę i żeby potem fani oskarżali mnie o plagiatowanie ich pomysłów. Chętnie przekonałabym się, jak wygląda transkrypcja komiksu prozą, ale tak naprawdę nie wiem, jak dobrze Wallace pisze, a nie chcę też przeczytać jego

tekstu, uznać, że jest straszny, i potem udawać, że jest inaczej, by nie zranić jego uczuć. Z drugiej strony Wallace nie wygląda na chłopaka, którego uczucia łatwo byłoby zranić – a przynajmniej sprawia wrażenie, że w razie czego dobrze by się z tym krył.

Czyta, co napisałam, po czym unosi palec i odkładając drugiego hamburgera, sięga do swojego plecaka. Wyciąga arkusz papieru pokryty pismem z obu stron. Potem dopisuje coś do naszej rozmowy i podsuwa mi obie kartki.

Przeczytaj pierwszą stronę. Jak ci się nie spodoba, nie musisz czytać reszty.

Nie jestem pewna, czy rozumie, że przeczytanie czegokolwiek utrudni mi odmowę co do przeczytania reszty, ale i tak biorę od niego tę drugą kartkę i rozprostowuję ją przed sobą na stoliku. Podmuchy wiatru podszczypują ją po rogach. U góry przez całą szerokość strony widnieje wykaligrafowany tytuł *Morze Potworne: transkrypcja komiksu LadyKonstelacji*.

Poniżej zaś tym jego pismem precyzyjnym jak z drukarki:

Amity urodziła się dwa razy.

Oto moja historia. Oto moja historia prozą: coś, czego sama nigdy nie umiałabym stworzyć.

Nie muszę kończyć tej strony. Już wiem, że chcę przeczytać resztę.

Wallace pisze: *Jest aż tak źle?*

– Nie! – Mój głos to wstrząs dla nas obojga, rozrywa nagłym dźwiękiem panującą na dziedzińcu ciszę. Wallace, który akurat rozpakowuje lodowy rożek, zastyga w pół ruchu. Chwytam kartkę i piszę na niej: *Nie, to naprawdę dobre! Ile do tej pory przerobiłeś?*

Tylko jeden rozdział, odpisuje.

Na pewno chcesz dać mi to do przeczytania?

Już wpisałem tekst do komputera, więc to nie jest mój jedyny egzemplarz.

Możesz też zaznaczać na nim poprawki, jeśli zechcesz.

Nie do końca o to chodziło w moim pytaniu, ale nieważne. Wallace wyławia z plecaka plik kartek i wręcza mi go. Są obustronnie zapisane tym jego charakterystycznym pismem, a w prawym górnym rogu – ozdobione dodatkowo małymi, schludnymi numerami. Wsuwam je za okładkę swojego szkicownika, bo nie znam bezpieczniejszego miejsca.

Mogę oddać ci je jutro, piszę. Może być?

Czyta to i potakuje skinieniem głowy, znowu się uśmiechając.

Tylko troszeczkę.



To, jak wyglądam, nigdy nie wydawało mi się specjalnie ważne. Nie w sensie ubrania, jakie noszę, czy kiepskich decyzji, jakie podejmuję w kwestii uczesania, ale w sensie mojego ciała. Nie jestem ani za wysoka, ani za niska. Nie mam pechowo niestandardowych rysów twarzy ani nie szaleje mi na niej żaden trądzik. Nie jestem gruba – mama mówi, że mój wskaźnik BMI jest pewnie poniżej normy, cokolwiek to znaczy. Ludzie nie pokazują też sobie palcami, jak wyglądam, ale nigdy nie byłam tego bardziej świadoma niż teraz, kiedy jest przy mnie Wallace.

Po skończonej przerwie obiadowej wracamy oboje na stołówkę. Ma nogi dłuższe niż ja, ale porusza się tak powoli, że idziemy tym samym tempem. To dziwny rodzaj powolności; wielu wolno chodzących powłóczy nogami, jakby nie wiedzieli, dokąd zmierzają, albo nie chcieli tam dotrzeć. Wallace idzie wolno w ten sam sposób, w jaki poruszają się olbrzymie mechy: ma do przeniesienia tyle masy naraz, że wprawienie jej w ruch musi potrwać. On jednak wie dokładnie, gdzie chce się znaleźć.

Kiedy idziemy, jestem wyjątkowo świadoma istnienia moich rąk i nóg, ustawienia moich stóp, kiedy dotykają podłogi, oraz każdego włosa na

całym moim ciele. Żałuję, że w moim wyglądzie nie ma niczego dziwnego, na czym mogłabym się skupić, zakładając, że on też się na tym skupia. A tu nic, jestem tylko ja.

Nic nie mówimy. Wallace poskładał kartkę z naszą rozmową i włożył ją razem ze swoim ołówkiem do kieszeni dżinsów. Kiedy idziemy wyrzucić śmieci z naszych tac, niektórzy z siedzących jeszcze przy stolikach odprowadzają nas wzrokiem. Domyślam się, że spojrzenia kierowane są raczej pod adresem Wallace'a niż moim, choć może jako nowy w szkole zdążył się już wszystkim opatrzyć. Kiedy odwraca się do mnie tyłem, po raz pierwszy spostrzegam słowa wykaligrafowane schludnie markerem u dołu jego plecaka:

W TYM MORZU SĄ POTWORY.

To jeden z ulubionych przez wszystkich fragmentów dialogu z *Morza Potwornego*. Dallas Rainer. Faktycznie, Wallace mówił mi, że Dallas to jego ulubiona postać, ale to nieodmiennie fascynujące, które cytaty albo kadry z komiksu fani przysyłają mi na fotkach, pokazując, że umieścili je na ścianie albo wkomponowali w odzież, a czasem nawet dali sobie wytatuować na skórze. Zwykle ludzie tak robią, bo uważają, że coś po prostu fajnie brzmi, ale czasami to w gruncie rzeczy coś znaczy.

Nie jest mi dane pożegnać się z Wallace'em. Wychodzimy ze stołówki razem z całą masą innych uczniów, którzy na korytarzu rozdzielają nas, a wtedy chłopak znika.

* * *

Widzę się z nim ponownie później, kiedy czeka na ławce przed szkołą. Tralisa ani Deshawna ani widu, ani słychu. Waham się chwilę przy drzwiach, a potem podkradam do Wallace'a. Ma słuchawki w uszach i coś pisze. Wiecznie coś pisze.

Stukam go w ramię. Tym razem to on podskakuje i wyrywa słuchawki z uszu. Z całej siły zaciskam pięści na paskach plecaka i przykładam do brzucha, żeby przestały drżeć.

– Potrzebujesz... potrzebujesz podwózki?

Kręci głową i pisze coś szybko u góry kartki. *Siostra po mnie przyjedzie.*

– Aha. Okej.

Pewnie, że nie potrzebuje ode mnie pomocy, co za głupie pytanie. Przecież wysiadywał tu codziennie przez cały ostatni tydzień i jakoś docierał do domu cały i zdrowy.

– No, to... na razie.

Nie czekam, żeby sprawdzić, czy cokolwiek odpowie. Pędzę do mojego nissana i barykaduję się w środku. Dopiero wtedy wreszcie się uśmiecham.

Nigdy wcześniej nie spotkałam fana z krwi i kości, w realu. Przyszło mi to do głowy dopiero teraz, a to dziwne uczucie. Wszyscy ci ludzie, którzy uwielbiają *Morze Potworne* – to tylko liczby na ekranie. Komentarze, odsłony, polubienia. Im wyższe się stają, tym mniej przypominają żywych ludzi. Łatwo zapomnieć, że za każdą z nich stoi jakiś człowiek, taki jak Wallace. Taki jak ja. Znalezienie kogoś, kto lubi – uwielbia – *Morze Potworne* na tyle, by samodzielnie stworzyć jakiś rodzaj sztuki na jego temat i jeszcze wręczyć mi swoje dzieło osobiście, zamiast przysłać je na numer skrytki pocztowej albo w e-mailu, to coś na maksa surrealistycznego.

Co prawda on nie wie, że ja to ja. Nie wie, że wręczył swój fanfikowy utwór LadyKonstelacji. To na pewno nie w porządku. Takie mam wrażenie. No, ale przecież nie planuję wykorzystać tej sytuacji, żeby go zranić. Poza tym co innego niby miałam zrobić? Może gdyby wiedział, kim jestem, wcisnąłby mi swój tekst na siłę i zmusił mnie do czytania. Nigdy nie spotykałam się z fanami w realu – skąd mam wiedzieć, na co będą gotowi, jeśli mnie poznają?

Wiem, że gdybym ja sama kiedykolwiek spotkała się z Olivią Kane, autorką *Dzieci Hypnosa*, pewnie wybuchłabym płaczem i padła jej do stóp. Wątpię, żeby Wallace akurat tak się zachował, ale wolę nie ryzykować.

O ileż łatwiejsze byłyby moje kontakty z Wallace'em, gdyby wiedział, kim jestem. Panowałabym nad każdą naszą rozmową. Nad każdym spotkaniem. Nad każdą zachodzącą między nami czynnością i każdym zamienianym słowem. LadyKonstelacja to bogini, która w swoim świecie rządzi nurtami i prądami morskimi. Eliza to mała rybka niesiona przez te prądy, niezdolna nawet do stwierdzenia, dokąd ją prowadzą.

LadyKonstelacja będzie musiała poczekać. Na razie – przynajmniej gdy chodzi o Wallace'a – musi mi wystarczyć Eliza Mirk.



W domu czekają na mnie dwie rzeczy.

Pierwsza to „paczka z darami” od Emmy, śliczne pudełeczko oklejone serduszkami i obsypane brokatem.

Druga to Davy. Kiedy przestępuję próg, wielkie białe psisko wrywa z za rogu przedpokoju i zderza się ze mną, podcinając mi nogi, tak że tracę równowagę. Zwykle nie podskakuje z radości, tylko staje w miejscu i macha ogonem, czekając, aż je pogłaskam. Co oczywiście robię, bo któż by się oparł sugestii pogłaskania pupila, który w ten sposób wystawia się na pieszczoty?

Przewracam się na niego: Davy amortyzuje mój upadek, przy czym dyszy, gubi sierść i jest ogólnie kochany.

– A kto tu właśnie wrócił z psiej akademii? – Mama wychodzi z za rogu, wydymając wargi i robiąc miny, jakby zwracała się nie do Davy’ego, a do niemowlaka. – Fajniutko było na obozie z kolegami, prawda, Davy-Dave?

– Nie musisz mówić do niego jak do dziecka – mamrocę Davy’emu w futro.

– Co mówiłaś? – pyta mama.

Prostuję się.

– Nic takiego.

– Cały tydzień spędził, biegając w stadzie, a teraz wrócił w samą porę na Halloween. Prawda, piesku? Aha, Elizo, przyszła do ciebie paczka. Położyłam ci ją na blacie w kuchni.

Mówi to takim tonem, jakby w paczce była co najmniej bomba. Na blacie w kuchni kładzie różne rzeczy tylko wtedy, kiedy nie jest pewna, czy chce je zatrzymać, czy wynieść do stojących w garażu pojemników na śmieci.

– To od Emmy, mamó – odpowiadam.

Marszczy brwi.

– Od Emmy. A co to?

– Sama jeszcze nie wiem.

Puszczam Davy’ego; wchodzi za mną do kuchni, a w ślad za nim mama. Łapię nożyczki i rozcinam pakunek.

W środku jest liścik od Emmy i rozmaite prezenciki, jakich można się spodziewać od czternastoletniej studentki college’u: ołówki o twardości H, które zapewne dostała z dużym rabatem w uczelnianej księgarni albo wycygała od jakiegoś studenta malarstwa; przedstawiający mężczyznę kolaż ze zdjęć części ciała powycinanych z czasopism albo wydrukowanych z internetu, mimo wszystko jakimś cudem zgodny z anatomią; no i, rzecz jasna, kilka paczek błyskawicznych zupek ramen. Mama kwituje zdjęcie faceta i zupki dziwną miną. Ignoruję to i otwieram list. Jest napisany ręcznie; Emmy zamiast kropek nad i lubi stawiać maleńkie serduszka. To sarkazm, jak tłumaczy.

E!!!

A niech Ci się tylko ta paczka z darami spróbuje nie spodobać! Wspominałaś, że potrzebujesz twardych ołówków, więc mam nadzieję, że jeszcze ich sobie sama nie kupiłaś. Zupki są do jedzenia, bo wiem, że zdarza

Ci się zapominać o tej czynności. Ale oczywiście obie wiemy, że najfajniejszy z całej tej paczki jest Pan Ciachowski. Owszem, ma własne nazwisko. Zebrałam wszystko, co mi przez te lata opowiedziałaś o facecie idealnym, i stworzyłam go dla Ciebie. Zachwyć się moim arcydziełem. Nasyć oczy widokiem mego fantastycznego stworzenia.

À propos oczu... gdyby mu oczy odpadły, to dlatego, że zabrakło mi kleju. Studiuję inżynierię lądową, a nie rzemiosło ludowe.

Tysiące uścisków!

Emmy

Oglądam raz jeszcze Pana Ciachowskiego. Wydatna szczęka, przykuwające wzrok oczy, mięśnie bez śladu tłuszczu – serio, każdy by go uznał za atrakcyjnego. Nigdy nie byłam szczególnie wybredna w kwestii męskiego wyglądu, więc myślę, że Emmy zaszyła w tym wszystkim jakiś kawał. Śmieję się tak czy siak.

– O co chodzi? – pyta mama. Wyczuwam w jej głosie niechęć.

– A, nic – mówię, podnosząc z blatu pudełko wraz z zawartością. – Prywatny dowcip.

– A Emmy... Emmy to dziewczyna, tak? – Mama znów za mną idzie, kiedy wychodzę z kuchni i ruszam po schodach na górę.

– Tak, Emmy to dziewczyna. Słyszałaś kiedyś, żeby ktoś miał na imię Emmy i nie był dziewczyną?

– No, nie wiem, z tymi znajomymi z internetu różnie bywa, pomyślałam, że spytam...

Zaciskam szczęki, żeby się nie odezwać. Już nie uważam, że chce mnie obrazić – pewnie nigdy nie chciała – ale zawsze, kiedy wdajemy się w rozmowę, jedna z nas robi się zbyt wkurzona, żeby ją dokończyć. Wbiegam na górę z Davym depczącym mi po piętach i skręcam w stronę mojego pokoju.

– I nie bardzo mi się podoba, że ktoś zna nasz adres – ciągnie mama.

– To przyjaciółka. Nie daję adresu komuś, z kim się nie przyjaźnię.

Wchodzę do pokoju. Davy wpada za mną, a wtedy zamykam za nami drzwi i przekręcam w zamku klucz. Kroki mamy zatrzymują się po drugiej stronie. Słyszę jej zachnięcie z powodu zamkniętego zamka.

– Powinnaś później wyjść z Davym na spacer! – woła.

– Sully i Church wychodzą z nim na spacer! – odkrzykuję. – Uwielbiają to.

– Jaką masz pracę domową do zrobienia?

– Nie wiem. Z matmy. Z fizyki.

– Nie zapomnij odrobić. Znowu dzwoniła do nas twoja wychowawczyni, martwi się, że za słabo się starasz...

– Przecież nie planuję dostać się do Ivy League. Do college'u i tak mnie przyjmą, więc czy to ważne?

Milczy, ale wiem, co chciałyby odpowiedzieć. Po pierwsze, że powinnam być bardziej ambitna i nie zadowalać się żadną szkołą inną niż najlepsze – tyle że w tej chwili nie zależy mi na nauce, a na rysowaniu. Po drugie, że nawet do szkół nienależących do Ivy League może być mi trudno się dostać albo mogę stracić stypendium czy coś w tym stylu. Ale dostać się do college'u nie może być zbyt ciężko, skoro ciągle trafiają tam najdziwniejsi ludzie. I tak nie mam już co liczyć na żadne stypendium, a opłacić sobie college planuję pieniędzmi, które zarabiam na rzeczach związanych z *Morzem Potwornym*. Kiedy Emmy założyła witrynę *MorzePotworne.com*, otworzyła w niej stronę internetową sklepu, w którym mogliśmy sprzedawać oficjalne produkty: torby, notesy, zeszyty, segregatory, ołówki, T-shirty, przypinki, portfele, futerały do telefonów, wszystko, na czym tylko dało się umieścić wzory i logotypy z MP. W ten sposób zarobiłam pieniądze na mój komputer, najnowszą wersję Photoshopa i, co najważniejsze, na tablet graficzny.

Moi rodzice nie zdają sobie sprawy, jak bardzo się to rozrosło. Wiedzą oczywiście, że kupiłam sprzęt, ale tylko tyle, bo kiedy wszystko się zaczęło, pomogli mi założyć konto bankowe, dali mi numer telefonu do swojego znajomego księgowego i powiedzieli, że jeśli chcę zarabiać trochę na swoim hobby, to będę się musiała sama nauczyć, jak się o swoje zarobki troszczyć, i że będzie to dla mnie pouczające.

Na serio komiks zaczął przynosić mi zyski dopiero w pierwszej połowie tego roku, więc kiedy tylko zorientowałam się, co się dzieje, zebrałam się na odwagę – te nędzne resztki odwagi ukryte głęboko w rezerwie – i pomaszerowałam do banku, żeby założyć sobie własne konto, takie, którego rodzice nie będą mogli kontrolować przez internet. Czasami przelewałam trochę pieniędzy także na ten pierwszy rachunek, żeby mama, sprawdzając go, widziała, że przychody mi nie wyschły, ale ani ona, ani tata nie znają faktycznej kwoty moich wpływów. Nie wiedzą, że mogę z niej nie tylko zapłacić za college, ale i się utrzymać.

Nie chcę, żeby wiedzieli. Nie chcę, żeby zajmowali się moim życiem internetowym równie intensywnie, jak starają się zajmować tym pozainternetowym.

Mama odchodzi spod drzwi, gniewnie tupiąc. Jeszcze się nasłucham na ten temat od taty, kiedy wróci... skądś tam, gdziekolwiek dzisiaj jest. Pewnie na jakimś spotkaniu dotyczącym najnowocześniejszego sprzętu sportowego. Powie mi, że powinnam odrabiać lekcje, bo pomoże mi to uzyskać gruntowne wykształcenie, nieważne, jak wpłynie to na moje możliwości dostania się do college'u; powie mi też, że powinnam chodzić na spacer z Davym, bo to dobrze robi na kondycję. „To dobrze robi na kondycję” należy do najstraszniejszych zdań w historii ludzkości, w jednym rzędzie z „Pobudka!” i „Nie mamy już jajek”.

Rzucam plecak na podłogę, kładę na stoliku paczkę od Emmy – wyjąwszy

z niej Pana Ciachowskiego, którego przytwierdzam na ścianie pinezką między dwoma plakatami *Morza Potwornego* – i padam na łóżko ze szkicownikiem w ręce. Książki ustawione w biblioteczkę u szczytu mebla osuwają się na siebie nawzajem. To rozmaite wydania czterech opublikowanych tomów z serii *Dzieci Hypnosa*, serii na zawsze już niekompletnej. Davy wdrapuje się na łóżko i zalega obok mnie.

Przez dłuższą chwilę leżę na boku, wtulając twarz w biały kołnierz futrzaka. Świat zawęża się do cichego szumu włączonego grzejnika i zapachu psiej sierści. Nikt mnie nie obserwuje ani nie ocenia, ani nawet o mnie nie myśli. Nikogo innego tu nie ma. Davy wzdycha i opiera łeb na mojej ręce.

Jakąś minutę później siadam i sięgam po swój szkicownik. Najpierw wypadają z niego przybrudzone na chodniku rysunki, potem kartki Wallace'a. Naprawdę dał mi swoje prace do recenzowania. Do pomazania. A dopiero co, wcześniej tego dnia, po raz pierwszy udało się nam porozmawiać. Niewielu znam pisarzy, ale coś mi mówi, że to się nie zdarza za często. Może Wallace po prostu tak się ucieszył, że znalazł innego fana *Morza Potwornego*, z którym jest w stanie porozmawiać. Podsuwam plik kartek Davy'emu; obwąchuje je, trąca nosem, a potem układa łeb na przednich łapach i gapi się na mnie wielkimi, ciemnymi oczami.

– Dobrze? – pytam go. – Uznam to za potwierdzenie.

Pobieżnie przeglądam kartki. Są w dotyku przyjemnie pomarszczone i nie przywierają do siebie płasko, bo lekko zwichrowały je pociągnięcia Wallace'owego długopisu. Przebiegam po słowach samymi opuszkami palców, bez czytania. Ależ są czyste i precyzyjne... Choć taki pożytek z tej jego powolności. Z tego typu zdolnościami manualnymi mógłby być artystą.

Staram się opanować podniecenie.

Amity urodziła się dwa razy.

Czytam szybko, przerzucając kartkę za kartką, jakby to był mój zawód.

Poniekąd to jest mój zawód. Nieważne. Historia rozwija się powoli, ale potoczyście, obejmując także te fragmenty narracji, które w komiksie udało mi się rozbudować dopiero w późniejszych rozdziałach. Nie spodziewałam się, że Wallace trafnie opíše wrażenia – uczucia Amity wobec Farena, atmosferę ich ojczystej wyspy, rozmach całej opowieści – tymczasem udało mu się.

Wszystko to zostało przedstawione w komiksie, w nielicznych panelach poświęconych atmosferze miejsca akcji czy wrażeniom, jakie powinno ono budzić, ale w słowach Wallace'a to wszystko ożywa. Może tylko dlatego, że sama wiem, jak wygląda miejsce akcji. To więcej niż dobre. To jak wcinąć tort, o którym się nawet nie wiedziało.

Stworzyłam *Morze Potworne*, bo to opowieść, której pragnęłam. Pragnęłam takiej historii, ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć, więc stworzyłam ją sama. A teraz ktoś inny stworzył ją dla mnie na nowo w innym medium – w medium, w którym nie byłabym zdolna zrobić tego własnoręcznie – i pozwala mi jej doświadczyć. W końcu widzę tę historię, o którą mi chodziło, i chociaż wiem, jak się rozgrywa, i doskonale wiem, jak wszystko w niej wygląda, staje się czymś nowym.

To mnie przerasta; nie zasłużyłam na to. To idealna opowieść.

Ciarki przebiegają mi po całych plecach. Zanim zdążyłam zorientować się, że płaczę, kilka łez kapie mi na papier. Klnę, odsuwam od siebie kartki i podciągam bluzę od dresu, żeby szybko otrzeć nią oczy. Davy przynosi łeb na moje udo.

– Nic mi nie jest – mówię, ale głos mi drży. Przykładam rękaw do kartek jak bibułę, żeby osuszyć ślady łez. Jutro Wallace pewnie i tak je odkryje.

Siedzę w swojej sypialni i śmieję się przez łzy. Cudownie.

Wallace czyta mi w myślach. Jakimś cudem odgadł różne rzeczy, które myślałam podczas rysowania komiksu, i przelał je na papier. Nie rozumiem,

jak tego dokonał, nie wiem, jak doszło do tego ciągu zdarzeń. Ale Wallace Warland włada magią. Prawdziwą, realną magią. Magią słów.

Nie chodzi nawet o to, że czyta w moich myślach. Raczej o to, jak dobrze zna materiał źródłowy. Wallace wie, że konstelacja wyrysowana przez Farena na suficie nad łóżkiem jego i Amity nazywa się Gyurhei. Zna mitologię Orkusa – a przynajmniej zna ją nieźle. Mogłabym dopisać na kartce jedną poprawkę, ale trochę mi szkoda psuć w ten sposób tekst wyrażony tak starannym pismem. Skoro nie mogę znaleźć żadnego innego błędu, jutro po prostu mu to powiem. Żadnej z tych spraw – nazwy, mitologii – nie wyłuszczałam w komiksie. Była to jedna z tych rzeczy, które musiałam wyjaśniać, kiedy ktoś pytał o nie na forach.

Jest coś jeszcze. Przewracam ostatnią kartkę.

To cytat z *Fausta* Marlowe'a.

*Wyrazu „potępienie” przecież się nie lękam,
Bo kłam zadaję piekłu, wierząc w Elizeum.*

Wallace pamięta. Tylko raz, nawet nie wiem, czy było to gdzieś na forach, czy podczas czatu, powiedziałam, że *Morze Potworne* stanowi skrzyżowanie gier wideo z cyklu *Final Fantasy* z legendą o Fauście. Większość fanów nie wiedziała nawet, kim jest Faust, wyraz ten kojarzył im się tylko z nazwiskiem Damiena. A było to naprawdę dawno temu. Na samym początku istnienia witryny i forów. Ten post jest już od dawna zagrzebany gdzieś w internetowym niebycie.

A Wallace pamięta.



S pędzam dziesięć minut na starannym szkicowaniu wokół Wallace’owego cytatu z *Fausta* stylizowanej planety Orkus i jej trzech księżyców. Potem dodaję po jednej stronie wijącego się zmierzchozmora, który podnosi się z głębin oceanu, a po drugiej stronie kruczydło z rozpostartymi skrzydłami. Chyba nie będzie mieć mi tego za złe.

Łapię prezenty, które od dłuższego czasu planowałam wysłać do przyjaciół – po egzemplarzu najnowszej kompilacji powieści graficznych *Morze Potworne* oraz opakowanie żelków Twizzlers dla Maxa i gumy Starburst dla Emmy – i robię paczki. Max mieszka w Kanadzie; Emmy studiuje w Kalifornii. Opłata pocztowa za przesyłkę do Maxa zwykle zwala mnie z nóg, ale mniejsza z tym, mogę wpisać ją w koszty prowadzonej działalności.

Potem zabieram się za dokończenie bieżącej planszy *Morza Potwornego* i rozpoczęcie kolejnej. Wiem, że na monitorze widzę te same kolory, których zawsze używam, ale dziś wydają mi się jakieś bardziej wyraziste. Kontury są ciemniejsze, mocniejsze. Wyrazy twarzy postaci rozrysowałam już szczegółowo, ale one też wyglądają lepiej.

Tego popołudnia na forach aż kipi. Zaklinacz_deszczu opublikował kolejny rozdział swojego najnowszego fanfika do *Morza Potwornego*, zatytułowanego *Kasztanowy błękit*. Wiem to tylko stąd, że dziewięćdziesiąt procent ludzi na forach ogląda właśnie wątek z jego fanfikami, choć po nim samym nigdzie ani śladu. Wydaje mi się, że n igdy nie czeka, żeby sprawdzić, co inni mówią o jego twórczości. Takich lubię... bo jakbym skądś to znała.

Ignoruję wątek. Jedynym fan fiction, jakie kiedykolwiek planuję czytać, jest to, które da mi Wallace. W świadomości, że jego praca jest tak dobra, a dotąd tylko ja ją widziałam, tkwi pewna czystość, której nigdy nie uda mi się poczuć w czymś opublikowanym online. To coś tylko dla mnie. Przynajmniej na razie.

Przerywam pracę i jeszcze dwukrotnie czytam rozdział, który napisał Wallace. Potem sprawdzam esemesy na komórce.

Emmy i Max pospieszyli z poradami. Delikatnie mówiąc.

14:00 (Do konwersacji dołącza emmiterliter)

emmiterliter: Chwila moment

emmiterliter: To co sie stalo z Nowym

14:30

emmiterliter: Nie no ale serio

15:01

emmiterliter: E!!

15:33

emmiterliter: E slowo daje

15:59 (Do konwersacji dołącza Zraz_Apokalipsy)

Zraz_Apokalipsy: e znowu zajmuje sie tym nowym?

emmiterliter: No tak mysle

emmiterliter: Nic nie odpowiada

emmiterliter: A esemesuje do niej tylko co POL GODZINY

emmiterliter: EEEEEEEEE

Zraz_Apokalipsy: cos mi sie zdaje ze wrzeszczenie na nia wcale nie sprawi, ze szybciej popatrzy na komorke.

Zraz_Apokalipsy: dlaczego esemesowalas do niej o wpol do trzeciej? U ciebie to nie jest aby wpol do dwunastej? Myslamem, ze masz wykłady z architektury.

emmiterliter: Rzucilam je

emmiterliter: Architektura to glupota

Zraz_Apokalipsy: ale przeciez studiujesz inzynierie ladowa...

emmiterliter: O co ci chodzi

Zraz_Apokalipsy: niewazne.

Zraz_Apokalipsy: ELIZA. CO JEST GRANE Z TYM NOWYM.

16:12

emmiterliter: To ja moze pojde umrzec i zgnic w swoim akademiku

16:40

emmiterliter: uchhhh

Zraz_Apokalipsy: *idzie przygotowac pogrzeb*

16:46 (Do konwersacji dołącza MirkerLurker)

MirkerLurker: Rany, wyluzujcie.

MirkerLurker: Nie da się ukryć, że powinnam była zajrzeć tu wcześniej.

emmiterliter: -_-

MirkerLurker: Przyszła paczka od ciebie! Strasznie mi się podoba Pan Ciachowski.

emmiterliter: CO Z NOWYM

emmiterliter: GADAJ

MirkerLurker: A gdyby tak wszystko poszło strasznie i gdybym nie chciała o tym mówić? Gdyby się na przykład okazało, że to seryjny morderca?

emmiterliter: Na litosc boska przynajmniej powiedz mi jak on wyglada

MirkerLurker: Max pewnie nie chce wysluchiwać takich rzeczy.

Zraz_Apokalipsy: wlasciwie to emmy tak wysrubowala napiecie, ze teraz ja tez w zasadzie chcialbym wiedziec.

MirkerLurker: No dobra! Dobra.

MirkerLurker: Ciemne włosy, ciemne oczy. Wyższy ode mnie. Postury futbolisty.

Zraz_Apokalipsy: futbolista piszacy fanfiki? przypomnijcie mi, na jakim swiecie zyjemy.

emmiterliter: Na pewno jest mnostwo futbolistow, ktorzy poza gra w futbol od czasu do czasu racza sie tez fanfikami

emmiterliter: Mow dalej E

MirkerLurker: Dzisiaj odnalazł mnie na szkolnym dziedzińcu podczas przerwy obiadowej i wyszedł na dwór, żeby zjeść razem ze mną. Tyle że trochę to pokręcone - odzywa się chyba tylko czasami, więc przez całą rozmowę do siebie pisaliśmy.

MirkerLurker: Pokazał mi, nad czym teraz pracuje.

Waham się. Mogłabym powiedzieć im dokładnie, o co chodzi, ale Wallace nie dał mi swojego tekstu po to, żebym wszystkim o nim paplała. Zwłaszcza nie Emmy i Maxowi – przepadam za nimi, ale jeśli dowiedzą się, że ktoś próbuje przerobić *Morze Potworne* na prozę i że moim zdaniem idzie mu naprawdę nieźle, też będą chcieli to przeczytać.

Nie chcę, żeby to czytali. Nie tylko dlatego, że stałoby się to bez wiedzy czy zgody Wallace'a, ale przede wszystkim dlatego, że zniszczyłoby tę banieczkę radości, w której się znalazłam. Teraz jest to sekret między mną i Wallace'em – i to mi się podoba. Podoba mi się, że tylko ja jedna wiem.

emmiterliter: Nad czym

MirkerLurker: Nad jakimś fanikiem. Ale jeszcze go nie czytałam.

Zraz_Apokalipsy: pisuje na forach? jakiego ma nicka?

MirkerLurker: Nie wiem. Do tego akurat nie doszliśmy.

Sama nawet się nie orientuję, czy Wallace bywa na forach, chociaż pewnie trudno o nich nie wiedzieć, kiedy jest się fanem *Morza Potwornego*. Ale może Wallace w ogóle nie publikuje tego, co pisze, w internecie.

Davy skomli. Zerkam na budzik; to pora psiego obiadu. Davy staje przy drzwiach; wypuszczam go, żeby pobiegł do kuchni, gdzie mama już sypie mu karmę. Gdy zbiega na dół, na górę włązą z tupotem Church i Sully, więc zatraskują drzwi, zanim zdążą wbić mi się do pokoju.

emmiterliter: I tylko o tym rozmawialiscie?? O fanfikach??

emmiterliter: Nuuuda

MirkerLurker: Oglądasz za dużo Kanikuły.

MirkerLurker: Coś mi mówi, że wcale nie trzeba tuż po tym, jak się kogoś pozna, wchodzić z nim w jakąś supergłębką relację.

Zraz_Apokalipsy: chcesz powiedziec, że my nie weszliśmy w supergłęboka relacje tuż po tym, jak się poznaliśmy?

Zraz_Apokalipsy: oburz.

MirkerLurker: >.>

MirkerLurker: Jak by ci to powiedzieć, Max, eeee...

Zraz_Apokalipsy: nie. na to już za późno. drogie panie, jestem w szczęśliwym i zaangażowanym uczuciowo związku i żadna z was mnie z niego nie wyciągnie.

MirkerLurker: A właśnie, co u Heather?

Zraz_Apokalipsy: no wiecie, zatrudnili ją w tej agencji modelek...

emmiterliter: -_-

Zraz_Apokalipsy: uczy szostoklasistów.

Zraz_Apokalipsy: ale mogłaby być modelką, gdyby tylko zechciała!

Dzięki Bogu. Zmiana tematu.

MirkerLurker: A nie jest aby tak, że chodzą ze sobą już z pięć lat? Planujesz się z nią ożenić?

Zraz_Apokalipsy: bo ja wiem.

Zraz_Apokalipsy: jak się zgodzi.

emmiterliter: TO JA POPROS!!

emmiterliter: Na co czekasz???

Zraz_Apokalipsy: hm

MirkerLurker: Daj mu spokój, Emmy. Jeśli jeszcze nie chce jej prosić, to nie musi.

emmiterliter: Buu

Zraz_Apokalipsy: dziękuje, elizo.

Zraz_Apokalipsy: a teraz, wracając do tego dzentelmena, z którym spędziła całe popołudnie...

MirkerLurker: Tylko zjedliśmy razem obiad!

Zraz_Apokalipsy: to juz mowilas. ale ja zamierzam dociec prawdy.

emmiterliter: Jak mu na imie??

MirkerLurker: Wallace.

Zraz_Apokalipsy: ...

emmiterliter: ...

Zraz_Apokalipsy: ...

emmiterliter: ...

Zraz_Apokalipsy: ...

emmiterliter: ...

MirkerLurker: Coś jest nie tak z imieniem Wallace?

Zraz_Apokalipsy: jest, ee...

emmiterliter: Jest cholernie smieszne

MirkerLurker: Wallace to wcale nie jest śmieszne imię!

Zraz_Apokalipsy: przychodzi mi na mysl postaci z kreskówek.

emmiterliter: W akademiku mieszkaja hardkorowi palacze trawy o imieniu Wallace

MirkerLurker: Skąd znasz imiona hardkorowych palaczy trawy z akademika?

emmiterliter: Bo sa przyjacielscy

MirkerLurker: Choć zaczynam się martwić twoją znajomością z palaczami trawy, nie bardzo wiem, co twoim zdaniem mam zrobić w kwestii imienia Wallace'a.

Zraz_Apokalipsy: ale nie kaze do siebie mowic Wally czy jakos tak, co?

MirkerLurker: Powiedział, że Wallace. Więc tak go będę nazywać.

emmiterliter: A zobaczysz sie z nim znowu

MirkerLurker: No nie wiem. Pewnie tak. Muszę mu oddać to, co mi dał.

emmiterliter: Dawaj znac co i jak chcemy trzymac reke na pulsie

MirkerLurker: Na pulsie czego?

Zraz_Apokalipsy: popieram, co mowi em.

MirkerLurker: Rękę na pulsie czego?

emmiterliter: Musze siadac do pracy domowej

emmiterliter: Ale kiedy sie jutro zgadamy, to zeby mi tu byly jakies DOBRE NOWINY

MirkerLurker: DOBRE NOWINY O CZYM?!

>



W moim mózgu siedzi potworek, który steruje zwątpieniem.

Samo zwątpienie jest durne i ślepe, pozbawione własnych odczuć czy u czuć, i tylko wciąż pręży się do skoku na długim łańcuchu. Ale jego pan, potworek, to szczywany lis. Bez przerwy mnie obserwuje, a gdy uzna, że jestem absolutnie pewna siebie, spuszcza zwątpienie z łańcucha i szczuje mnie nim. I nawet kiedy wiem, że to się zdarzy, nie mogę na to nic poradzić.

Na przykład:

Wiem, że kiedy wejdę do klasy na kwadrans organizacyjny i oddam Wallace'owi jego rozdział, pewnie podziękuję – na piśmie, rzecz jasna – i może uśmiechnie się nieznacznie, i może na tym wszystko się skończy.

Tymczasem czuję, stojąc przed drzwiami pracowni, że kiedy wejdę i oddam Wallace'owi jego rękopis, prześliźnie się po mnie obojętnym wzrokiem, bo zdążył się zorientować, że nie powinien był marnować na mnie czasu. Nie powinien był prosić mnie o czytanie jego pracy, bo nawet się nie znamy. Wczoraj ja miałam fuksa, a on – zły pomysł. Teraz już to wie. Na pewno wie. Bo Elizę Mirk wszyscy mają za nic. Tak powinien brzmieć codziennie tytuł na pierwszej stronie „Westcliff Star”. ELIZA MIRK:

WSZYSCY MAJĄ JĄ ZA NIC.

Ocieram sobie czoło rękawem bluzy od dresu. Jasny gwint, brwi mi się pocą, a nie mogę powiedzieć o tym nawet Emmy ani Maxowi. Kilka osób wchodzi do klasy przede mną i wślizguję się za nimi jak cień.

Wallace'a jeszcze nie ma. Kładę kartki na jego krzesło i zwijam się w kłębek nad szkicownikiem. Poprawiam kontury jakiegoś starego rysunku, aż robią się za grube i za ciemne. Minutę później ociężałym krokiem wchodzi Wallace i zanim usiądzie, podnosi swoje kartki. Przerzuca je i wpatruje się w rysunek, który dodałam na końcu wokół cytatu z *Fausta*. Szkicownik wyslizguje mi się z rąk i łapię go w ostatniej chwili, ściskając nogi.

Wallace wyciąga z zeszytu nową kartkę. Pisze coś na niej, po czym przesuwa ją na mój pulpit.

Ten rysunek jest naprawdę czaderski. Ale żadnych uwag?

Zamykam szkicownik i przestaję udawać obojętność. Litery wychodzą mi bardzo roztrzęsione:

Tylko jedna, ale nie chciałam bazgrać po twoim ładnym piśmie. Gyurhei wynurza się z morza, żeby połknąć słońce, co tysiąc lat, nie co sto.

Po przeczytaniu tego Wallace zakrywa twarz dłonią i kręci głową. Nie powinnam była go poprawiać. Po co go poprawiałam?

Oddaje mi kartkę z odpowiedzią:

Wow. Masz absolutną rację.

Poniżej zaś:

Beta readerzy, z których zwykle korzystam, nie wyłapaliby tego.

Bo to nie oni stworzyli ten świat.

Waham się dłuższą chwilę, po czym piszę: *To naprawdę, naprawdę dobre.* Po czym szybko popycham kartkę w jego stronę, żeby konwulsyjnym skurczem palców nie porwać jej ma strzępy.

Dzięki! Nic ci nie jest? Trochę jesteś blada.

To nic – zawsze tak wyglądam.

Jak podtopiony szczur w zbyt luźnym dresie.

Profesor Grier wstaje z miejsca i zaczyna sprawdzać obecność.

No dobra. Zjemy razem obiad?

Na dziedzińcu będzie za zimno. Wiatr.

Walnę kogoś na stołówce, żeby ustąpił nam miejsca. Niezły jestem w te klocki.

Kiedy widzi, że przeczytałam, demonstracyjnie opiera się łokciem o pulpit i udaje, że pręży mięśnie. Biceps napina mu się pod rękawem koszuli. Potem jego łokieć ześlizguje się z pulpitu i Wallace łapie równowagę, strzelając oczami na boki. Wyrywa mi się parsknięcie.

Profesor Grier robi znaczącą pauzę, patrząc w naszą stronę – w uszach kołyszą się jej kolczyki w kształcie cebulek – ale nic nie mówi. Nigdy nie karci uczniów za tego typu sprawy. Zaciskam wargi i czekam, aż nauczycielka wróci do czytania listy. Potem piszę:

Czegoś takiego niczym nie przebiję. Sorry.

Wallace uśmiecha się i odpisuje: *Geniuszu nie przebijesz.*

* * *

Podczas przerwy na obiad Wallace faktycznie trzyma dla nas stolik, ale nie dlatego, że kogoś walnął, tylko dlatego, że przyszedł przed innymi.

Stolik znajduje się u wylotu bufetowej kolejki, więc wychodzę z niej z jedzeniem wprost na Wallace'a, który siedzi uśmiechnięty, jakby pękając z dumy w związku ze swoim dokonaniem. Na obiad ma to samo co poprzedniego dnia: dwa hamburgery, dwie porcje frytek, dwa kartony mleka. Jeden lodowy rożek. Na stoliku przed nim leży plik papierów z przypiętym na wierzchu liścikiem:

Tylko jeśli zechcesz.

Strona na samej górze zaczyna się słowami *Rozdział drugi*.

– Serio?

Znów za późno się orientuję, że powiedziałam to na głos. Wallace’owi chyba to jednak nie przeszkadza – chwyta kolejną kartkę, żeby coś na niej napisać.

Nowa beta readerka?

Nie mam pod ręką długopisu.

– Aha. Tak. Zdecydowanie tak. – Tym razem wiem na pewno, że mówię za cicho.

Kiedy nie odpowiada na głos, wydaje mi się, że ja też nie powinnam, jakbym psuła nastrój. Wyławiam z plecaka ołówek i sięgam po kartkę Wallace’a. Oddaje mi ją ochoczo.

Sorry, że ciągle zapominam o pisaniu. A powinnam pamiętać, skoro tyle czasu spędzam online.

Nie ma sprawy. Nie musisz pisać, jeśli wolisz mówić.

Sama nie wiem, czy wolę.

Uśmiecha się nieznacznie.

Czyli bywasz online. Na forach MP?

Tak. Czasami.

Twój nick?

Podaję mu jedyny, który mogę, bo to jedyny inny niż LadyKonstelacja, jakiego używam.

MirkerLurker.

Niech zgadnę – nie postujesz za dużo.

Staram się nie. A ty?

Czytujesz fanfiki o MP?

Czasami.

Kojarzysz zaklinacza_deszczu?

Każdy kojarzy zaklinacza_deszczu.

Siemanko.

Kurde, w życiu. Podnoszę oczy, ale Wallace zdążył już opuścić wzrok i polewa sobie frytki keczupem, jakby nie powiedział nic ważnego. To absolutnie, kurde, niemożliwe, żeby ten siedzący przede mną chłopak był tym zaklinaczem_deszczu. Szychą wśród twórców fanfików *Morza Potwornego*, najpopularniejszą osobą na forach zaraz po LadyKonstelacji, pasterzem miliona fanów. To nie jest koleś, który w zeszłym tygodniu puszczał do mnie uśmieszek z mrugnięciem.

Piszę:

KURWA, NIE WIERZĘ

– i podtykam mu kartkę pod sam nos.

Ostrożnie odbiera ją ode mnie.

Na dowód napiszę do ciebie później na czacie.

Prawie ci jednak wierzę, bo nikt by nie śmiał podszywać się pod ZAKLINACZA_DESZCZU. To dlatego tak bardzo lubisz Dallasa?!

Raczej odwrotnie, zostałem zaklinaczem_deszczu, bo lubię Dallasa.

Rozglądam się po stołówce. Potrzebuję chyba teraz jakichś świadków. Ktoś jeszcze po prostu musi być naocznym świadkiem tego monumentalnego objawienia, bo takie rzeczy nie dzieją się na co dzień. Nie zdarza się, żeby zaklinacz_deszczu wchodził sobie do mojego liceum i rzucał mi na stolik prozatorską wersję *Morza Potwornego*.

A jednak tak właśnie zrobił. I nikt wokół nas nie zdaje sobie sprawy, co się właśnie stało. Nikt przy sąsiednich stolikach nie wie, kim jesteśmy ani co właśnie przeżywamy.

W tym momencie jest tylko nas dwoje.

Tu i teraz.

Wallace jeszcze raz bierze kartkę i dopisuje: *Co planujesz w piątek na*

Halloween?

Pewnie leżeć martwa w grobie, bo zaklinacz_deszczu chodzi ze mną do szkoły, a ja nie wiedziałam o tym aż do teraz.

Zaciska wargi, powstrzymując uśmiech.

Serio pytam.

Naprawdę próbuje tak nagle zmienić temat? Dobra, nieważne.

Pewnie zaszyję się w swoim pokoju i będę oglądać specjalny halloweenowy odcinek „Kanikuły”.

No, widzę, że naprawdę planujesz zaszaleć.

A co, jakie ty masz plany?

Jest taka księgarnia, w której spotykamy się ze znajomymi i która co roku organizuje halloween. Chcemy się wszyscy przebrać za postaci z MP.

Widziałam online setki zdjęć z cosplayerami nawiązującymi do Morza Potwornego – ludzie wymyślają naprawdę niezłe kostiumy, przyznaję. Ale nigdy nie widziałem ich na żywo.

Niech no zgadnę. Wybierasz się jako Dallas.

Cóż za przenikliwość. W każdym razie myślałem sobie, że gdybyś nie miała nic innego do roboty, może zechciałabyś tam pójść. To księgarnia, więc impreza raczej nie będzie szalona, przyjdą same książkowe mole i nerdowe towarzystwo. Więc jeśli nie zechcesz, to wporzo.

Chce, żebym poszła z nim na imprezę. Nie byłam na żadnej, odkąd Kenny Smith z sąsiedztwa zaprosił mnie na urodziny; mieliśmy oboje po osiem lat, a wtedy skończyło się tym, że wepchnęli mnie do basenu i śmiali się, póki nie wróciłam do domu.

Mogę się zastanowić?

No pewnie.

Nie pójdę. Lubię wmawiać sobie, że może pójdę – lubię wmawiać sobie, że zrobię mnóstwo różnych rzeczy – ale i ja, i mój mózg, i wszyscy inni

dobrze wiemy, że koniec końców stchórzę i zabarykaduję się w swoim pokoju z talerzem pizzaroladek i Netflixem.

Głupio mi teraz, że napisałam na kartce co innego. Że się zastanowię.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

14:54 – 28 paź 16

zaklinacz_deszczu: Hej, to ja, Wallace. Przyznaj, że znowu położyłem cię na łopatki. Robisz genialną minę, kiedy ktoś kładzie cię na łopatki.

MirkerLurker: Ej, to zabrzmiało niemal nieprzyzwoicie.

zaklinacz_deszczu: Przesadziłem?

MirkerLurker: Eeeeeeeeeeee

zaklinacz_deszczu: Przesadziłem. Odnotowano.

MORZE POTWORNE – FORA

PROFIL UŻYTKOWNIKA

zaklinacz_deszczu *

Moderator działu fan fiction



: Nie powiem

: NIE

: MP. Pisanie. Ogniska. Swetry. Spanie do późna. Psy.

Obserwujących: 1 350 199 | Obserwuje: 54 | Postów: 9112 [Oryginalnych prac: 144]

AKTUALNOŚCI

Zobacz wcześniejsze aktualności

20 paź 2016

Następny rozdział fanfiku "Kasztanowy błękit" pewnie się trochę opóźni. Właśnie zacząłem naukę w nowej szkole. Wiadomo, sama radość.

21 paź 2016

@Dzudzubugi, dzięki za mój nowy awatar! #DallasRainerNaWieki

23 paź 2016

Gdyby prace domowe z matmy miały postać ludzką, odsiadywałbym teraz dożywocie.
#Matmobójstwo

24 paź 2016

Wszystko wskazuje na to, że do mojej nowej szkoły chodzą też inni fani MP. JEZU, DZIĘKI ZA ZBAWIENIE.

26 paź 2016

Dziś życie jest ponad moje siły. Zero czasu na pisanie. Głupia matma. #Matmobójstwo

27 paź 2016

W nowej szkole na sto procent inny fan MP. Plusy: super; koniec z samotnością; ładna dziewczyna. Minusy: ładna dziewczyna. #Fuuuuuuuuck

28 paź 2016

Ejjjj wiecie co, nie mówmy już więcej o ładnej dziewczynie, dobra? Bo pewnie tu zagląda.



Wallace uważa, że jestem ładna.

Wallace uważa, że jestem ładna?

Czy napisał to tam, gdzie napisał, bo wiedział, że później to zobaczę? Próbuje zwabić mnie w jakąś pułapkę? Nie wygląda na kogoś tak przebiegłego, ale co ja tam wiem... nie jestem nastoletnim chłopakiem.

Wallace uważa, że jestem ładna.

To dziwne.

Chodzę ubrana w o dwa rozmiary za dużą bluzę od dresu i džinsy tak znoszone, że nie widać w nich kształtu moich nóg. Włosy mam chyba w porządku, o ile akurat nie są powalane brokatem. Nie chodzi o to, że uważam się za brzydką, po prostu nie zwracam uwagi na swój wygląd. Nie zamieszkuję świata zewnętrznego. Gdyby się tylko dało, wolałabym w ogóle nie mieć wyglądu. Byłabym swobodnie dryfującą świadomością, która ponadto jakimś cudem potrafi rysować. Nie obchodzi mnie, jak wyglądam. Nie chcę, żeby mnie to obchodziło.

Dziwne, że Wallace zwraca na to uwagę. Nikt nie zwraca aż takiej uwagi na to, jak wyglądam. Nie jestem jedną z tych dziewczyn, które zauważa się

z powodu wyglądu.

Naprawdę mam ochotę wspomnieć o tym Emmy i Maxowi i zasięgnąć ich opinii, ale nie mogę, bo nie chcę, żeby wiedzieli, że Wallace to zaklinacz_deszczu. Mówiąc im o tym, chyba nadużyłabym jego zaufania, tak samo jak gdybym opowiedziała im o transkrypcji komiksu. Mogłabym udać, że Wallace powiedział mi to prosto w oczy, ale wiem na bank, że Emmy przynajmniej raz w tygodniu przegląda aktualności u Aniołów, więc na sto procent zobaczy to samo zdanie na stronie zaklinacza_deszczu. A nie trzeba być cudownym dzieckiem z talentem do inżynierii, żeby dodać dwa do dwóch.

Ale przecież Wallace dał mi do przeczytania kolejny rozdział *Morza Potwornego*, więc chyba się nie wygłupia. Włożył w swoją pracę wiele czasu i wysiłku. Na *Morzu Potwornym* mu zależy – nie posłużyłby się nim, żeby wyrządzić komuś krzywdę. Prawda?



Wśród w szkole Wallace i ja zachowujemy się, jakby nie stało się nic dziwnego. A przez „zachowujemy się” mam na myśli, że podajemy sobie liściki na kwadransie organizacyjnym i siadamy razem przy obiedzie. Staram się nie rozpląwać za bardzo nad drugim rozdziałem jego transkrypcji *Morza Potwornego*. Kiedy po skończonych zajęciach mijam go siedzącego na ławce przed szkołą, podnosi wzrok i macha do mnie na pożegnanie, a ja nie czuję już, że muszę natychmiast pognać do samochodu i się w nim zatrzęsnać.

W czwartek jest tak samo, ale tego dnia, kiedy wracam do domu i sprawdzam w wiadomościach, czy Emmy i Max nie odezwali się po odebraniu przesyłek, odkrywam nowy wątek od Wallace’a.

14:47

zaklinacz_deszczu: No to jak z tą halloweenową imprezką? :D

zaklinacz_deszczu: Jeśli nie masz kostiumu, założę się, że mogłabyś przypiąć sobie do bluzy jakiś znaczek z napisem "lurker". Moi kumple na pewno uznaliby to za mistrzostwo świata.

zaklinacz_deszczu: BTW, wszyscy są wielkimi fanami MP. Nie wiem, czy wspominałem.

zaklinacz_deszczu: Poza tym będę miał samochód, więc nie martw się o to, jak się tam

dostaniemy.

No cóż. Chyba naprawdę chce, żebym z nim poszła. To mu si być dobry znak. Myślałam, że to ktoś tak samo cichy i pokręcony jak ja, ale wcale nie. No, może nie jest jeszcze duszą życia towarzyskiego w Westcliff, ale to, co pisze, jest o wiele śmielsze niż moje zachowanie kiedykolwiek przy kimkolwiek. Gdybym ja gdzieś kogoś zaprosiła – niezbyt prawdopodobne – a on powiedział mi, że się zastanowi, zabarykadowałabym się w swojej sypialni i nigdy w życiu więcej do niego nie odezwała.

Oto czego dowiedziałam się o imprezie do tej pory:

- Wallace chce, żebym poszła
- Będą tam znajomi Wallace'a
- Będzie cosplay na temat *Morza Potwornego*
- Ominie mnie specjalny halloweenowy odcinek *Kanikuły*
- Imprezka odbędzie się w księgarni, czyli niespecjalnie imprezowym miejscu

Nie brzmi to wszystko jakoś superstraszenie. A jeśli nie będzie mi się tam podobać, na pewno uda mi się pod jakimś pretekstem wymknąć. Ale będzie mi brak komentowania na żywo *Kanikuły*.

Moment. Wstaję od komputera, wystawiam głowę za drzwi sypialni i spoglądam znad balustrady w dół schodów.

– Ej!

– Co tam, Jajeczko? – Tata wychodzi z kuchni w wiatrówce i szortach do biegania, zadzierając głowę.

– Czy w tegoroczne Halloween muszę robić z Churchem i Sullym obchód okolicy?

Tata marszczy brwi.

– Church i Sully będą w tym roku obchodzić Halloween? Nie są już aby na to za duzi?

Pyta szczerze, bo naprawdę nie pamięta. Wie, że są w tej samej klasie i że mają poniżej czternastu lat, bo uprawiają każdy sport jako zawodnicy drużyn

z U-14 w nazwie, ale wszystko, co wykracza poza tę wiedzę, stanowi nieistotne szczegóły. Sully ma czternaście lat, a Church trzynaście; chociaż urodzili się w odstępie dokładnie jedenastu miesięcy, większość ludzi i tak bierze ich za bliźniaków.

– Trochę są na to za duzi, no tak – mówię.

– Aha. No, to zapytaj mamę.

– A jest w domu?

– Nie, poszła z Davym na szybkie dziesięć ka ze swoimi podopiecznymi od maratonów.

– Co takiego? Davy nie przebiegnie dziesięciu kilometrów!

Tata podrywa dłonie w obronnym geście.

– Biegają wolno, a i tak zawsze opiekują się nim ci najwolniejsi. Nic mu nie będzie.

Mama prowadzi kursy dla osób, które chcą poprawić kondycję w ramach przygotowań do maratonu, co już z założenia oznacza, że wszyscy zapisujący się do niej na zajęcia mają bzika. Jakoś nie uspokaja mnie więc, że tacy ludzie ciągną za sobą moje stare psisko.

Za plecami taty otwierają się drzwi wejściowe i do domu wpadają Church i Sully, przepychając się nawzajem przez próg. Niemal zderzają się z tatą, który schodzi im z drogi w ostatnim momencie.

– Czołem, chłopaki – mówi miło i rusza za nimi do kuchni. Dalsze słowa rozmowy niosą się ku mnie przez schody. – Co dziś było w szkole?

– Macy Garrison zabrała Churchowi kalkulator i nie chciała oddać, póki nie przyrzeknie, że kupi jej bombonierkę na walentynki – mówi Sully.

Słychać walnięcie drzwiami lodówki o kuchenny blat, a potem grzechotanie półek, z których zdejmowane jest jedzenie.

– I tak tego nie zrobię – protestuje dużo cichszym głosem Church.

– Planowaliście w tym roku chodzić po sąsiadach w Halloween? – pyta

tata. Schodzę cichcem o kilka stopni, żeby lepiej słyszeć.

– Nie – odpowiada Sully. – Halloween jest dla dzieci.

– Myślałem, że tak... – mówi Church, zawieszając głos.

– Eliza chciała wiedzieć, czy będzie musiała znowu was pilnować.

– Eliza niczego nie lubi z nami robić – zauważa Sully.

Nieprawda – nie chodzi o to, że niczego nie lubię z nimi robić, tylko o to, że większość rzeczy, które robią, wprawia mnie albo w zakłopotanie, albo w złość. Na przykład rzucanie piłką albo poruszanie się w tempie szybszym niż zwawy spacer.

Sully drze się:

– ELIZA, NIE MUSISZ ZABIERAĆ NAS NA ZBIERANIE CUKSÓW W HALLOWEEN!

Wycofuję się chyłkiem na górę, łapiąc ostatnie słowa mamroczącego Churcha:

– Jezu, moje bębenki.

No to klops. Teraz nie mam nawet wymówki, że muszę w Halloween wyjść z Sullym i Churchem na zbieranie słodyczy. Mogłabym niby skłamać i powiedzieć, że muszę... Wallace nie zorientowałby się chyba, że ściemniam, prawda? Nie wie, gdzie mieszkam ani ile lat mają moi bracia, ani nawet czy przejmujemy się Halloween (a tak się składa, że wcale).

Ale nie chcę go okłamywać. Już i tak nie mówię mu o LadyKonstelacji, choć to jest raczej przemilczanie prawdy.

Zwykle nie mam problemu z wykręcaniem się z różnych rzeczy kłamstwem. Co prawda zazwyczaj jedyni ludzie, którym muszę ściemniać, to moi rodzice i bracia, nigdy też nie muszę mówić więcej, niż że źle się czuję albo mam za dużo roboty. Moi bliscy są pod tym względem bezproblemowi. A w liceum nie miałam nigdy znajomych, którzy prosiliby mnie o cokolwiek. Przynajmniej do tej pory.

Wracam do komputera, siadam i przez chwilę skrobię palcem krawędź tabletu graficznego. Na jego ekranie nadal widzę wyświetloną planszę *Morza Potwornego* – Amity opędza się od wrogich hord pomarańczowymi kryształami Strażnika. Ona nie okłamywałaby nikogo, żeby się z czegoś wykręcić. Gdyby nie chciała się w coś angażować, powiedziała by to komuś prosto w oczy. A gdyby nawet nie była pewna, czy czegoś chce, i tak spróbowałaby to zrobić, żeby się przekonać. Może jest cicha i trochę stroni od ludzi, ale nie boi się robić różnych rzeczy ani podróżować w różne miejsca.

Na ogół nie korzystam z porad stworzonych przez siebie fikcyjnych postaci, ale w życiu każdej dziewczyny przychodzi moment, kiedy staje przed wyborem: samotny wieczór w dresach przy ulubionym serialu telewizyjnym albo impreza z ludźmi z krwi i kości.

Wiem, co powinnam wybrać. Niech będzie, że to poczucie winy, odpowiedź na głosy moich rodziców stale już rozbrzmiewające mi z tyłu głowy: *Jakie masz plany na ten weekend, Elizo? Wychodzisz gdzieś z kimś? Z jakimiś znajomymi ze szkoły? Żadnych gorących baletów?* Gorące balety. Tylko moi rodzice powiedzieliby „gorące balety”, a nie są przecież nawet tacy starzy. Wolno mi odrzucać ich pomysły dotyczące sportów i aktywności ruchowej, ale na razie nie udało mi się wymyślić dobrego sposobu na odpieranie pytań o moich nieobecnych znajomych i nieistniejące życie towarzyskie. Niestety, rodzice nie uznają za życie towarzyskie niczego, co dzieje się tylko na ekranie monitora. Gdybym powiedziała im, że spędzę Halloween na czacie z grupką ludzi z forów *Morza Potwornego*, zapytaliby, czy znam którąś z tych osób w realu, a potem przez cały wieczór kręciliby się pod drzwiami mojego pokoju, usiłując zapuścić żurawia do środka.

Pójście na imprezę sprawiłoby przynajmniej, że by się odczepili.

Wyświetlam wiadomość od Wallace’a na ekranie monitora i opędzam się

od zwątpienia poobgryzanym licznymi kłami taboretom poskramiacza lwów.

14:47

zaklinacz_deszczu: No to jak z tą halloweenową imprezką? :D

zaklinacz_deszczu: Jeśli nie masz kostiumu, założę się, że mogłabyś przypiąć sobie do bluzy jakiś znaczek z napisem "lurker". Moi kumple na pewno uznaliby to za mistrzostwo świata.

zaklinacz_deszczu: BTW, wszyscy są wielkimi fanami MP. Nie wiem, czy wspominałem.

zaklinacz_deszczu: Poza tym będę miał samochód, więc nie martw się o to, jak się tam dostaniemy.

15:11

MirkerLurker: Dobra, spoko. :)



Znaczek z napisem „lurker” nie będzie mi potrzebny.

W zeszłym roku jedna z fanek *Morza Potwornego* przysłała na jakiś konwent w cosplayu postaci z komiksu, Kite Waters, a potem wrzuciła zdjęcia na nasze fora. Kiedy przyznałam – oczywiście jako LadyKonstelacja – że to najlepszy cosplay Kite Waters, jaki w życiu widziałam, przysłała kostium na mój adres. No, właściwie to na adres Emmy i dopiero ona przesłała kostium do mnie. To mundur wojskowy Sojuszu Orkusjańskiego, biały, z zielonymi lampasami i złotymi guzikami, pozbawiony jakichkolwiek dystynkcji oznaczających stopień, bo Kite go nie posiada. Do kompletu mam nawet buty i czarną szablę Kite (wykonaną z jakiejś pianki, materiału na opakowania czy czegoś takiego).

Najlepsze jest to, że kostium leży na mnie zupełnie inaczej niż na tamtej fance, więc Wallace w życiu go nie rozpozna. Strój jest za obszerny. Zapinam pas na ostatnią dziurkę i wciąż jest za luźny. Obciążam bluzę munduru i czuję, jak materiał opina mi się na żebrach. Chyba się nada – zwłaszcza jak na kostium, którego nie uszyto na miarę.

Stoję przed lustrem i czuję się odrobinę absurdalnie w przebraniu jednej

z moich własnych postaci, choć nie wygląda ono wcale źle. Przypomina normalny strój i czuję się w nim jak w normalnym ubraniu. Fanka, która go uszyła i nosiła jako pierwsza (w zasadzie powinnam mówić o niej „geniuszka”, bo to jakaś mistrzyni igły), tak samo jak Kite pochodziła z wysp – bodajże z Filipin – więc może dzięki temu strój wyglądał na niej jak trzeba, jakby naprawdę była Kite, podczas gdy na mnie wygląda po prostu jak przebranie.

– JEST TWÓJ CHŁOPAK! – drze się Sully z dołu przez całą długość schodów.

W chwilę później słyszę też głos taty:

– Elizo, podjechał twój znajomy.

Kiedy powiedziałam rodzicom, dokąd się wybieram, rozpromienili się oboje, jakby właśnie się dowiedzieli, że w tym roku przyspieszono termin minimaratonu. Ostrzegłam ich, że nie wolno im zadawać żadnych pytań i jakimś cudem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, udało im się od tego powstrzymać. Powiedziałam im, że idę na imprezę z kolegą ze szkoły. Bardzo się postarałam, by nie powiedzieć, że „z chłopakiem ze szkoły”, ale Sully właśnie zwrócił uwagę na tę kwestię.

Łapię czarną szablę, dwie nowe jak spod prasy dwudziestodolarówki, które wyciągnęłam wcześniej z bankomatu, a także komórkę, po czym wyślizguję się z pokoju. Mama i tata stoją przy drzwiach wyjściowych, wyglądając na zewnątrz i rozmawiając cicho. Schodzę ostrożnie po schodach.

– Za kogo się przebrałaś?

W drzwiach do pokoju dziennego stoi Church, chrupiąc batonik musli; w swoich szortach i T-shircie do koszykówki wygląda aż nazbyt patykowato. W chwilę później za jego plecami wyrasta Sully, który ma na sobie dokładnie to samo, tyle że jest jeszcze odrobinę wyższy.

– To coś z twojego komiksu? – pyta Sully.

Mama i tata zdążyli już obrócić się w moją stronę. Super, niech cała rodzina Mirków zagra razem w „Ponabijajmy się z Elizy”. Pozbawiona przewagi, jaką dawał mi element zaskoczenia, schodzę po schodach, tupiąc głośno, wymijam oboje rodziców i jednym szarpnięciem otwieram drzwi.

– Wrócę później – burczę. – Komórkę wzięłam.

Zamykam drzwi za sobą i szybkim krokiem schodzę po podjeździe. Na jego końcu w zgniłozielonym taurusie czeka Wallace, ale jest ciemno i nie widzę, w jakim jest kostiumie. Moje serce wycina hołubce w rytmie staccato, a w brzuchu coś pulsuje mi jak spienione fale wielkich pływów oceanicznych Orkusa. Wsuwam się na przednie siedzenie.

– Cześć – mówię, zapinając pasy.

– Cześć – słyszę w odpowiedzi.

Zamieram w pół ruchu. Choć Wallace ma głowę zwróconą w moją stronę, to strzela oczami w bok: w tablicę rozdzielczą, w przednią szybę. Jego głos jest o wiele cichszy, niż się spodziewałam. Wyobrażałam sobie, że będzie mówił wyjątkowo głośno, może dla zrekompensowania całego czasu, przez który milczy, ale nie. Głos ma cichy i głęboki, jak gruby koc z polaru w środku zimy.

– Mówisz tylko czasem? – upewniam się.

Potakuje skinięciem głowy.

– Kiedy jestem sam w aucie, jest okej. Szkoła to... już za wiele. Rozmawiam z przyjaciółmi, no i czasem z nieznanymi. To nadal nie dziwnie?

– Nadal nie dziwnie.

Spogląda mi prosto w oczy i uśmiecha się tym nieznacznym uśmiechem.

– Kite Waters w twoim wykonaniu wygląda super – mówi.

Czuję, że temperatura ciała podnosi mi się o parę stopni. Na szczęście pamiętałam o dezodorancie.

– Dzięki – odpowiadam, po czym lustruję go wzrokiem od stóp do głów. – Myślałam, że przebierasz się za Dallasa.

– Bo tak jest – mówi. – Peruka i szalik są w bagażniku. Jako strój kierowcy byłyby trochę niebezpieczne.

– No tak. Racja.

– Gotowa?

– Bardziej nie będę.

* * *

– No to skąd się tu przeniosłeś?

Skrećamy za róg i wjeżdżamy na długą drogę łączącą moją okolicę z resztą Westcliff. Robi się coraz ciemniej, więc Wallace włącza reflektory.

– Z Illinois – odpowiada. Mówi pewnie, choć niewiele głośniej od szeptu.

– Dlaczego?

– Moi bliscy dostali nową pracę. – Waha się przez chwilę. – I mamie bardziej się tu podoba. Mam tu też trochę nowych kumpli, więc nie jest tak źle.

– Czyli co kto lubi...

– Tobie się tu nie podoba?

Wzruszam ramionami.

– Może tak, może nie. Nigdy nie byłam nigdzie indziej, więc nie wiem, czy gdzie indziej podobałoby mi się bardziej, ale Westcliff mnie męczy. To liceum mnie męczy. I małomiasteczkowe bzdury. To, że wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Czytujesz „Westcliff Star”?

– Aha.

– O tego typu sprawach mówię. Te wszystkie ich newsy... zauważyłeś, ile razy w ciągu ostatnich tygodni wrzucali artykuły o zakręcie Wellhouse? O niczym innym nie piszą o tej porze roku. Dzieje się tak niewiele, że muszą

się koncentrować na zabójczej drodze. To trochę... chore.

– Chore?

– Tak strasznie skupiają się na jednym czy dwóch tematach. Powinni zostawić ludzi w spokoju.

Wallace spogląda na mnie. Uśmiecha się.

– Masz coś do ukrycia?

– Nie – odparowuję. – Tylko mówię, że wolałabym mieszkać gdzieś, gdzie nikt nie ogląda się za tobą na ulicy, nieważne kim jesteś.

– To rozumiem.

Wspinamy się na wzgórze, przejeżdżamy przez kępę drzew i wjeżdżamy na most Wellhouse. Na jego drugim końcu w długich światłach samochodu Wallace'a i zamierającym świetle słońca wyrasta zakręt: ostry załom drogi, za którym kończy się grunt.

Wciąż są tu kwiaty i inne dekoracje znane mi ze zdjęcia w „Westcliff Star”, niektóre stare, zwiędłe i wyblakłe, inne świeże. Jest też powyginana i pogruchotana mikra metalowa barierka, która wraca tu za każdym razem po tym, kiedy ktoś przejedzie przez nią i wypadnie z drogi. Na stromym zboczu schodzącym do rzeki można podobno, zdaniem niektórych, znaleźć wbite w ziemię fragmenty samochodowych wraków.

Ciekawe, czy tych, którzy wypadają z zakrętu, śmierć wita szybko, czy też upadek na dno przepaści dłuży im się jak wieki.

Na zakręcie Wallace zwalnia tak, że niemal się zatrzymuje. Większość ludzi w tym miejscu zwalnia, ale nigdy aż do tego stopnia. I nigdy z taką niewzruszoną stanowczością. Kątem oka dostrzegam fragment urwiska. Nawet zejście po tej stromiźnie wydawałoby się fatalnym pomysłem. Pewnie choć małe poślizgnięcie skończyłoby się boleśnie.

Twarz Wallace'a blednie, kiedy wchodzimy w zakręt, ale kiedy wyjeżdżamy na prostą, pod najbliższą żółtą latarnią wygląda już normalnie.

Jakby zupełnie nic się nie stało.

– Założę się, że nie macie takich miejsc w Illinois – rzucam.

* * *

Księgarnia, a właściwie antykwariat, w którym lubią przesiadywać Wallace i jego znajomi, nazywa się „U Murphy’ego”. Znam go ze słyszenia, ale nigdy w nim nie byłam; po *Dzieciach Hypnosa* nie czytałam za dużo, a później zaczęłam kupować wszystkie książki przez internet. Wallace dowcipkuje, że tak naprawdę nazwa antykwariatu brzmi: „Prawo Murphy’ego”. Bardzo liczę na to, że tak nie jest, bo dziś wieczorem mnóstwo rzeczy może pójść źle, więc byłoby świetnie, gdyby się jednak udały.

Antykwariat to mały sklepik w budynku z cegieł, wepchnięty jak w kanapkę między dwa inne małe sklepiki, z wielkim napisem KSIĄŻKI U MURPHY’EGO w wysokich oknach; w środku pali się światło i poruszają się jakieś sylwetki. Małe parking przed nim jest już zapełniony, kiedy tam docieramy, więc Wallace wciska auto na miejsce postojowe przy ulicy.

Zanim wejdziemy do środka, otwiera bagażnik i wyciąga potrzebne rzeczy, przyświecając sobie komórką, bo bagażnikowa lampka w jego aucie nie działa. Wyciąga coś, co wygląda jak pęk wodorostów, oraz długi szalik w niebiesko-białe pasy. Szalik owija dwukrotnie wokół szyi, pozostawiając jeden koniec zwisający na piersi, a drugi na plecach. Pęk wodorostów zaś nakłada na głowę i potrząsa nią lekko, żeby pasemka opadły mu na twarz we właściwych miejscach.

– No i jak?

Rozpościera ręce. Pod szalikiem ma złachaną koszulę zapinaną na guziki i spodnie pomalowane farbą do tkanin w granatowo-zielone prążki. Formalnie rzecz biorąc, nie jest dość wysoki ani szczupły, żeby uchodzić za Dallasa, ale i tak kostium wygląda na nim cholernie dobrze.

– Wow.

Wallace robi na mój użytek obrót, a wtedy widzę, że szalik nawet porusza się jak trzeba, gdy jego końce z szelestem śmigają na wysokości kostek chłopaka.

– Skąd go masz?

– Siostra zrobiła go dla mnie na szydełku.

– Aż trochę szkoda, że musisz mieć na sobie buty.

– No tak, ze względów bezpieczeństwa musiałem zrezygnować z metaforycznej deklaracji Dallasa: „bose nogi równa się pacyfizm”.

– Wyglądasz super.

– Wyglądamy super.

Przed wejściem do Murphy’ego przytraczam sobie do pasa szablę.

Coś mi się zdaje, że gdybym miała wybrać, na jaką pójść imprezę, to właśnie na taką. Ściany są od góry do dołu zastawione regałami książkowymi, a różne części antykwariatu oddzielają od siebie małe biblioteczki. Obok lady przy kasie przygotowano stolik z drobnym poczęstunkiem. Z głośników płyną okolicznościowe tony kawałka *Monster Mash*. Środek sali zajmuje w większości gromada uczniów z Hogwartu ubranych w czarne szaty i szaliki w barwach uczelnianych domów. Przy ścianie na tyłach sklepu relaksuje się kilka wróżek, jakiś wampir i czarownica. Wokół kasy zrobione z dyni dekoracje układa i poprawia dziewczyna przebrana za rolkę sushi.

– Alebym teraz zjadła sushi – mówię.

Wallace wyciąga komórkę. Po chwili dostaję esemesa.

O rany, ja też. Musimy skoczyć na sushi zaraz potem.

Urwać się z imprezy, żeby pójść na sushi? Jeszcze jak.

Wallace prowadzi mnie w jakiś ciemny kącik, w którym zgromadziła się chyba druga co do wielkości grupka ludzi. Prawie się potykam. Wszyscy są

przebrani w cosplayowe kostiumy postaci z *Morza Potwornego*. Niektórzy mają na sobie peruki białe jak włosy Amity albo Damienowy naszyjnik ze srebrnych sztućców. Inni – wyrysowane na twarzach i ramionach białe linie, nokturniańskie tatuaże gwiazdozbiorów. Wśród przebrań dominują wysokie kołnierzyki i czerwono-złoto-czarne barwy risztian.

Kiedy nas spostrzegają, wita nas kilka okrzyków „Dallas!” i „Kite!”. Wallace – z uśmiechem, choć uszy mu się rumienia – sięga za siebie, żeby pociągnąć mnie przez tłum. Pozwalam mu wziąć się za rękę. Ma dłoń bardziej szorstką, niż spodziewałam się po pisarzu, ale ciepłą. Trzymamy się jedno drugiego dość ostrożnie, a kiedy docieramy do stolika stanowiącego centrum aktywności grupy, Wallace pozwala mi wysunąć dłoń z uścisku.

Przy stoliku siedzą młoda kobieta z brzdącem na kolanach i chłopak w naszym wieku; oboje uśmiechają się do ekranu laptopa. Za przebranie służą kobiecie szalona kasztanowa peruka i warstwowy ubiór pustynny kolejnej z Aniołów, Imi, zaś siedząca na jej kolanach dziewczynka jest wystrojona w maleńki kostium sugerujący, że jest córką Imi. Chłopak jest ubrany w koszulę Under Armour z wysokim kołnierzykiem – mającym udawać precyzyjnie dostrajające się do temperatury termatrolowe stroje risztian – oraz w replikę kurtki risztiańskich aeronautów. Przestrzeń między kobietą i chłopakiem zastawiona jest przysmakami ze stolika z poczęstunkiem.

Oboje równocześnie podnoszą wzrok i wołają:

– Wallace!

Chłopak obraca w naszą stronę laptop, na którego ekranie widać w oknach wideocztatu dwie dziewczyny.

Wallace znowu wystukuje coś na komórce. Na mojej wyskakuje kolejny esemes, tym razem grupowy, skierowany do mnie i czterech nieznanym mi dotąd numerów.

Czołem wszystkim, pisze Wallace. Przyprowadziłem znajomą. Odsuwa się o krok w bok, żebym się za nim nie chowała. To jest Eliza. Elizo, to mój kumpel Cole i jego kuzynka Megan. Wskazuje gestem chłopaka i młodą kobietę. Oraz Leece i Czandra. Dziewczyny z ekranu komputera. Wszyscy witają mnie teraz, każde po swojemu, co daje mi dość czasu, żeby przełknąć rosnącą w gardle gulę i im odpowiedzieć.

– Wallace mówił, że odwiedzasz fora – zagaja Cole. Cieszę się, że przebrał się za risztianina; ma inteligentny wygląd i przenikliwe spojrzenie charakterystyczne dla wielu z nich.

– Ee... Mhm. Tyle że rzadko się na nich odzywam. – Tylko z okazji *Kanikuły*, której odcinek przechodzi mi właśnie koło nosa. Na stronie LadyKonstelacji zostawiłam wiadomość, że jestem chora i nie będę mogła oglądać serialu, więc może nikt się za bardzo nie zmartwi. – A wy?

Moja komórka brzęczy.

A, prawda. Zapomniałem ci powiedzieć. To pozostałe Anioły. Sorry - błędnie uznałem za oczywiste, że w realu też się kumplujemy.

Patrzę na nich wszystkich. To są Anioły z moich forów? Następni po mnie na podium popularności? I to wszyscy naraz?

Kręci mi się w głowie. Jedną ręką przytrzymuję komórkę, a drugą szukam z boku czegoś, czego sama mogłabym się przytrzymać, ale trafiam tylko na powietrze.

Wallace pisze dalej. *Cole to Ogień na Zimno, Megan to Wulkan, Leece to Dzwonek Wietrzny, a Czandra - Mrokopstryczek.*

Kojarzę te nicki dopiero wtedy, kiedy przypominam sobie ich formatowanie. Widuję je bez przerwy w różnych działach naszych forów:

Ogien_na_zimno, kumpel zaklinacza_deszczu, który pojawia się w czatach na żywo.

wULkan, adminka forów RPG.

\ * d z w o n e k \ _ w i e t r z n y \ * najczęściej ze wszystkich rozplywa się z zachwytu nad moimi personalizowanymi produktami *Morza Potwornego*.

No a mrokoPstryczek rysuje chyba najlepsze fan arty, jakie w życiu widziałam.

Z Wallace'em jako zaklinaczem_deszczu tworzą piątkę Aniołów, klan opiekunów planety Orkus. W fabule komiksu Anioły utrzymują planetę w stanie równowagi. Interweniują, kiedy coś tej równowadze zagraża – na przykład niemoralne poczynania Sojuszu. Tutejsze Anioły utrzymują równowagę na moich forach jako ich moderatorzy.

Czuję się, jakbym wparowała na naradę Power Rangers. Czekają na to, co powiem.

– Ee... – Tylko tyle wydobywa mi się z ust.

– Kite Waters w twojej wersji wygląda świetnie – mówi Cole. – Chociaż jest trochę za niska.

– Cole! – karci go Megan. Podrzuca na kolanie siedzącą na nim dziewczynkę, a mała chichocze. – Wyglądasz świetnie, Elizo, nawet go nie słuchaj. Siadajcie oboje. Zjedzcie coś!

Ni to zaproszenie, ni żądanie. Wsuwam się na miejsce w boksie przy stoliku obok Wallace'a. Szabla klinuje mi się między nogami siedzenia.

– Obróćcie mnie do Wallace'a! – krzyczy jedna z dziewczyn z komputera, Czandra.

Cole obraca laptop, aż na ekranie pojawiają się Wallace i ja. Osuwam się głębiej na siedzenie, czerwieniejąc.

– Wallace – ciągnie Czandra – co to za bzdury, że przez jakiś czas nie wrzucisz na forum nowych rozdziałów *Kasztanowego błękitu*? Izzy i Ana to jedyne kanoniczne shipowanie, jakie mi się podoba, nie możesz mnie tak zawieść.

Sorry. Wallace wzrusza ramionami. *Niedługo. Mam już zarys reszty tej historii, muszę tylko znaleźć czas na jej napisanie. Szkoła mnie ostatnio dobija. A jeszcze ta transkrypcja...*

– Taa, jasne, transkrypcja, której nikomu nie chcesz pokazać.

Pokażę wam, jak będę mieć więcej zrobione!

– Nie przejmuj się, Wally – odzywa się druga dziewczyna, Leece. Leece z Czandrą siedzą w dwóch bardzo różnych pomieszczeniach: w pokoju Czandry ściany są ciemnobrązowe i gołe, zaś u Leece jasne i pokryte plakatami *Morza Potwornego*. Na poduszce za jej plecami spoczywa ogromny pluszowy pełziec morski. – Jeśli masz natchnienie do pracy nad transkrypcją, to właśnie nią się zajmij. Czan i tak sama nie wie, co dla niej dobre, gdy idzie o związki między ludźmi.

– Wypraszam sobie! – odwarkuje Czandra. – Gdzie byłaś, jak Izzy’ego i Anę zmuszono do małżeństwa? Gdzie byłaś, kiedy nabierali do siebie nawzajem zaufania przy pracy nad obsługą silników sterowców? A wszystkie te sytuacje, kiedy ratowali sobie nawzajem życie w walce z Sojuszem? Nawet nie zdawali sobie sprawy, czy jest między nimi jakieś romantyczne uczucie, po prostu z czasem zbliżyli się do siebie. A to jest piękne, idealne i nikt mi tego nie odbierze!

– Halo? Przepraszam – dobiega z głośników. Przy kasie stoi z mikrofonem w ręce dziewczyna przebrana za rolę sushi. – Już prawie czas na konkurs kostiumów. Jeśli ktoś jeszcze chce się zgłosić, proszę podejść, wypełnić formularz rejestracji i wrzucić tutaj. – Unosi w drugiej ręce słój w kształcie krzywo uśmiechniętej czaszki.

– A, no tak. – Cole odpycha się od blatu stolika i wstaje z miejsca. – Ktoś jeszcze się zgłasza? Wallace, Eliza, wy nie musicie. I tak zrobię to za was.

Zanim zdążę zaprotestować, Cole znika.

Wallace trąca mnie w ramię. *Zawsze taki jest, esemesuje tylko do mnie.*

Nie musimy się zgłaszać, jeśli nie chcesz.

Zaciskając palce na krawędzi siedzenia i wbijając wzrok w blat stolika, oddycham głęboko, by zmniejszyć wrażenie, że coś miażdży mi płuca. Stanąć przed wszystkimi tymi ludźmi w kostiumie, którego nawet sama nie zrobiłam, i czekać na co? Że będą mnie okłaskiwać? Chyba wyglebiłabym się na twarz.

– Elizo?

Podnoszę wzrok. Wallace, Megan, Leece i Czandra wpatrują się we mnie całą czwórką.

– Ee, że co? Słucham?

– Och, kotku, nie przejmuj się tak! – uspokaja mnie Megan. – Pytałam tylko, od jak dawna jesteś fanką *Morza Potwornego*.

– Ze trzy lata? – odpowiadam.

– Rany, to podobało ci się jeszcze przed Megamózgami – zauważa Leece. Podobało mi się przed wszystkimi.

– Kite to twoja ulubiona postać? – upewnia się Czandra.

– Ee... nie. Najbardziej lubię Izzy'ego.

– Ja też! – Czandra podskakuje na siedząco przed kamerką, piszcząc tak, że w głośniczkach laptopa aż trzeszczy. – Nikt nie docenia geniuszu Izariana Silasa! Ten debil Cole przebrał się za Rory'ego, jakby to on był najlepszym z Silasów, tymczasem jeśli Rory Silas do czegokolwiek się nadaje, to tylko dlatego, że ma Izzy'ego za ojca!

Po drugiej stronie ekranu Leece wydaje stłumiony okrzyk udawanej zgrozy.

– Odwołaj to, ty szmato!

Czandra rechocze. Megan ze spóźnionym refleksem zakrywa uszy dziewczynce siedzącej jej na kolanach, choć ta i tak nie zwraca na nic uwagi. Wallace uśmiecha się tylko, kręcąc głową.



Cole wraca dumnym krokiem i z wypiętą piersią, niosąc trzy kubki ponczu dla siebie, dla mnie i dla Wallace'a. Megan ma przed sobą bidon z zakrętką niekapką, który jej dziewczynka przewraca mniej więcej co dziesięć sekund. Przyciągam kubek z ponczem bliżej siebie i garbię się na siedzeniu, podczas gdy wokół mnie pięcioro kumpli ucina sobie rozmowę. Tak czuję się lepiej: niewidoczna, niesłyszana, ukryta w cieniu zwalistego Wallace'a. Część pozostałych fanów *Morza Potwornego* wyniosła się już od naszego stolika gdzie indziej, więc kiedy potrzebuję zaczerpnąć oddechu, obracam twarz ku pustemu miejscu obok.

Przekonałam się już całe lata temu, że nie ma w tym nic złego. W wyszukiwaniu dla siebie odrobiny przestrzeni, w przystawaniu i wyobrażaniu sobie, że jestem sama. Ludzie są czasem trudni do zniesienia. Przyjaciele, znajomi, wrogowie, nieznajomi. Nieważne kto; wszyscy robią tłok. Nawet jeśli stoją na drugim końcu sali, i tak się tłoczą. Przez chwilę trwam w milczeniu, powtarzając sobie:

Jestem tutaj. Nic mi nie będzie.

A potem pozwalam sobie wrócić do przysłuchiwania się rozmowie,

pomalutku wślizguję się w nią z powrotem.

Niesamowite, ile można się dowiedzieć, kiedy tylko trzyma się gębę na kłódkę. Już po półgodzinie wiem, że Cole uczy się w drugiej klasie liceum, jest wschodzącą gwiazdą bejsbolu i kryje się z miłością do *Morza Potwornego*, żeby nie dać ludziom pretekstu do pytań kwestionujących jego sprawność na boisku; Leece jest prawdopodobnie największą na tej ziemi kolekcjonerką produktów promujących *Morze Potworne*, a przy tym światowej klasy gimnastyczką z Kolorado, której komiks służy jako najlepsza terapia i relaks; Czandra mieszka po drugiej stronie globu, w Indiach, i choć jej rodzice nie do końca pochwalają tematykę jej rysunków – na których większości rozmaite postaci z *Morza Potwornego* obejmują się w tej czy innej pozie – ona widzi w swoim rysowaniu sposób na życie; zaś Megan, zamieszkała kilka miasteczek stąd, samotna matka obecnej tu dziewczynki o imieniu Hazel, pracuje za dnia jako sekretarka, a nocą w kręgielni „Niebieski Tor”.

Najpierw fanką Morza Potwornego została Megan, opowiada mi Wallace, a potem wciągnęła w to Cole'a i w ten sposób się z nim poznałem. Później znaleźliśmy Leece i Czandrę, wzięliśmy na siebie role Aniołów, a reszta to już historia.

Co jakiś czas podpytują mnie o coś. To przyjazne pytania. Ile mam lat? Jak poznałam Wallace'a? Co lubię robić najbardziej poza czytaniem *Morza Potwornego*? Staram się odpowiadać jak najlepiej, ze względu na Wallace'a, ale nie tylko – trochę także dla samej siebie.

To nie są moi wrogowie. Nie będą się ze mnie nabijać z powodu tego, co lubię albo jak spędzam wolny czas. Może to nie moi przyjaciele, ale to i tak swoi ludzie, a choć nie kryją się za ekranem, to jeszcze nie znaczy, że nie warto z nimi porozmawiać.

Mimo wszystko jednak tęsknię za ciszą mojego pokoju, Davym

i komputerem. Co się w tej chwili dzieje w *Kanikule*? Czy ludziom na czacie nie brak LadyKonstelacji?

Gdy dziewczyna przebrana za sushi wywołuje kolejnych konkursowiczów do prezentacji kostiumów, Cole'owi udaje się wyciągnąć Wallace'a zza stolika, żeby powstał przez chwilę niezręcznie w centrum zainteresowania, ale kiedy słyszę swoje nazwisko, odmawiam.

– To tylko parę sekund – mówi Cole, próbując ponagłającymi gestami wygonić mnie z boksu. – No chodź. Tylko moment.

– Ja nie... nie bardzo chcę.

Wallace, wracając na swoje miejsce, łagodnie usuwa Cole'a z drogi, po czym łapie za komórkę.

Nie zmuszaj jej, jeśli nie chce.

Cole wzdycha tak teatralnie, że nie mogę potraktować tego serio, a potem obraca się do Rolki Sushi powiedzieć jej, że jednak nie biorę udziału w konkursie. Na środek wychodzi jeszcze kilka osób z innych grup rozproszonych po całym antykwariacie. Komisja nastolatków, która zajmuje stanowisko za jedną z niższych biblioteczek jak za biurkiem jury, zbiera się ostatecznie na naradę, by w końcu ogłosić zwycięzcą konkursu jednego z uczniów Hogwartu.

– Och, no weźcie! – krzyczy Cole. – Zawsze wygrywają potterowcy! Mają fory, mogli przygotowywać swoje kostiumy przez dwanaście lat!

– Ja już odsiedziałam swoje – mówi Megan do Hazel, unosząc ramiona dziewczynki. – Całe dwanaście lat! W Azkabanie!

Cole i Wallace pochłaniają większość jedzenia ze stolika, co oznacza, że chyba jednak nie pójdziemy na sushi. Jest wpół do dziesiątej; Leece i Czandra zdążyły się już pożegnać i wylogować, Cole – spakować laptopa, a Hazel zasnąć jak kamień na ręku Megan.

– Na nas już chyba pora – mówi Megan. – Fajnie było się z wami

wszystkimi zobaczyć. Musimy znowu się wkrótce spotkać. Można by zaplanować konwent fanów *Morza Potwornego*.

Wallace obejmuje ją niezdarnie ramieniem na pożegnanie. Kiedy Megan wychodzi, otwierając przed sobą na oścież drzwi antykwariatu, do środka wpada zimny podmuch październikowego powietrza.

– Coś mi się zdaje, że też powinienem iść – odzywa się Cole, przeczesując ręką włosy i tym samym targając je jeszcze bardziej.

Myślałem, że szlaban masz dopiero po jedenastej? – esemesuje Wallace.

– Nie, mama cofnęła mi go na dziesiątą, kiedy dwa tygodnie temu się nie zastosowałem. No i po co ta mina? Po prostu nie zauważyłem, jak późno się zrobiło! Przecież wiesz, jak leci czas, kiedy jesteś u dziewczyny!

Wallace przewraca oczami.

– Słuchaj – mówi Cole, opierając się o stół i wbijając wzrok w twarz Wallace'a. – W tej nowej szkole na pewno jest lepiej niż w starej. Musi być lepiej. Prawda? Wszystko niby przycichło, ale i tak w tej nowej będzie ci lepiej.

Wallace wzrusza ramionami. Cole klepie go w bark. Po chwili zostają sama z Wallace'em w szybko pustoszejącym antykwariacie. Dlaczego w Westcliff ma mu być lepiej niż w poprzedniej szkole? Nie mam odwagi go spytać, a w każdym razie nie teraz. Teraz jedyne, o czym marzę, to się stąd wynieść.

Masz ochotę na to sushi?

– Nadal chcesz pójść na sushi? – dziwię się. – Dopiero co tyle zjadłeś.

Uśmiecha się. *Najwyraźniej podczas naszych obiadów nie uważałaś na moje porcje. Jak ktoś powie "jedz", to jem. A teraz zjadłbym jeszcze całkiem sporo. Czyli sushi?*

– O tak, jeszcze jak.

Wychodzimy przez stawiające opór drzwi i natychmiast zimne powietrze

wdziera się pod mój kostium. Biegniemy do auta Wallace'a; wskakuję na przednie siedzenie, a on wrzuca na tylne swoją perukę i szalik, podkręca ogrzewanie i rusza w kierunku znanej tylko sobie restauracji.

– Jakim cudem znasz okolicę o wiele lepiej niż ja? – dziwię się znowu. – Nie mieszkasz tu aż tak długo.

Wzrusza ramionami, nie przestając się uśmiechać. Kiedy dojeżdżamy do restauracji, neon nad wejściem głosi po prostu SUSHI.

– Tacy minimaliści czy nie umieli wymyślić żadnej nazwy?

– Nie... mam pojęcia – przyznaje Wallace. Przyjemnie jest znów słyszeć jego głos. – Serio, obie opcje są równie prawdopodobne.

Jest na tyle późno, że część klientów już wychodzi po skończonej kolacji, ale na tyle wcześnie, że nie ma jeszcze tłumu upalonych trawą halloweenowych przebierańców. Wnętrze tego tak ogólnie nazwanego lokalu wygląda właściwie bardzo schludnie i stylowo. Kelnerka sadza nas z Wallace'em w boksie, którego dość wysokie ścianki zasłaniają nas przed wzrokiem sąsiadów.

– O, w dodatku w piątki mają tu wszystko za pół ceny – zauważa Wallace, przeglądając z entuzjazmem kartę dań. – Co najczęściej w takich miejscach zamawiasz?

– Ee... – Nie cierpię zwierzania się innym z tego typu spraw. – Tylko California i Philadelphia rolls. – Doskonale zdaję sobie sprawę, co inni myślą na ten temat: „Czy ty w ogóle lubisz sushi?” „Bierzesz tylko te najnudniejsze. Nawet nie próbujesz tego, co naprawdę dobre”. „Rany, ale z ciebie nudziara. Po co ty w ogóle żyjesz?” „Wysiliłabyś się trochę na oryginalność”.

– O, super pomysł – komentuje Wallace, nadal wpatrzony w kartę. – Po co komplikować. Mógłbym teraz pożreć całą tacę Philly rollsów.

Składamy zamówienie, kiedy tylko kolejny kelner przynosi nam gorące ściereczki. Owijam jedną z nich wokół zimnych dłoni i z rozkoszą osuwam

się na siedzenie. Rodzice i bracia wciąż się dziwią, jakie mam zimne ręce, ale sama nie zauważam tego, póki coś mi ich nie ogrzeje.

– Podobała ci się imprezka? – pyta Wallace. – Fajnie, że dałaś radę się ze mną wybrać.

„Dałam radę”, czytają: „Ledwie udało mi się zapędzić zwątpienie kijem do kąta”, więc chyba trafił w dziesiątkę.

– Aha. Było... było fajnie.

Wallace, który dotąd wpatrywał się we własne dłonie, podnosi wzrok.

– Poważnie? Niespecjalnie się odzywałaś.

– Rzadko to robię.

– W szkole dużo mówisz.

Uśmiecham się.

– W szkole dużo piszę. A i tego nie robiłam, zanim się nie pojawiłeś.

Waha się przez chwilę.

– A dlaczego?

– Bo ja wiem. Po prostu nie lubię.

– Nie przepadasz za szkołą, co?

– Nie bardzo.

– Ja też nie. – Opuszcza wzrok z powrotem na blat stolika. – Już chyba wiem, co chcę robić w życiu, więc jest tak, jakbym w szkole tylko tracił czas. Jakby w niej zakładali, że sami nie wiemy, czego naprawdę chcemy, więc trzeba bez przerwy zmuszać nas do robienia wszystkiego naraz. Nie mogę się doczekać końca liceum.

– Prawda? – Siłą głosu zaskakuję nawet samą siebie. Wallace znowu podnosi oczy. – To znaczy... jasne, to człowieka wykańcza. Wciąż to powtarzam rodzicom. Chcę się skupić na sztuce, a pewnie i tak dostanę się do college'u, więc po co mi reszta tej ostatniej klasy?

– Głupota, no nie?

– Jeszcze jaka.

Odchyła się na oparcie krzesła.

– Dzięki Bogu. Już myślałem, że tylko ja dostaję bzika z powodu izolacji.

– Licealnej frustracji.

– Licealnej wariacji: jak w filmie *Lśnienie*, tylko z nastolatkami.

Parskam śmiechem. Wallace się uśmiecha. Kelner przynosi nam sushi i radość przepływa przeze mnie strumyczkami od czubka głowy aż po pięty. Poniekąd zdaję sobie sprawę: głupio jest aż tak się cieszyć, że ktoś to w końcu kuma. Moi rodzice w zasadzie kumają. Wiedzą, że nie lubię szkoły i że nie chce mi się już do niej chodzić. Większość moich nauczycieli na pewno też to wie. Wiedzą, że moje rysowanie znaczy dla mnie więcej niż każda praca domowa, każde wydarzenie sportowe czy potańcówka. Może nawet kumają, że bycie w internecie jest po prostu łatwiejsze, choć w to już trochę wątpię.

Ale Wallace to pierwszy poznany przeze mnie człowiek, który kuma to wszystko naraz, bez wyjątku.



Czasami, wyrwana z kolejnego snu o swoim odrodzeniu, przyglądając się przez długie minuty śpiącemu Farenowi, Amity wyobrażała sobie, co by się stało, gdyby nie przyjęła propozycji Strażnika.

Faren już by nie żył.

Ona sama być może też.

Strażnik nie miałby żywiciela, a Nokturnianie czekali by cierpliwie, aż go znajdzie.



Wallace kuma całą masę rzeczy.

Kuma, że podczas szkolnych obiadów pizzę z brzegiem wypełnionym serem należy zjadać od środka aż do rantu, by następnie, po ostrożnym oderwaniu i spożyciu ciasta z brzegu, utoczyć z serowego wnętrza kulkę i zjeść ją na deser jako ukoronowanie posiłku. Kuma, że dresowe bluzy i spodnie są nieskończenie lepsze od wszelkich innych rodzajów odzieży. Kuma, że łatwiej jest rozmawiać, kiedy między człowiekiem i jego rozmówcą jest jakiś ekran albo przynajmniej kartka papieru.

Pierwsza połowa listopada mija, zanim zdążę się zorientować. Codziennie budzę się i doświadczam niezwykłego uczucia: chce mi się iść do szkoły. Teraz każdego poranka przystaję na dłużej przy mojej szkolnej szafce nie dlatego, że mam trudności z wprawieniem nóg w ruch i rozpoczęciem dnia, tylko dlatego, że czeka tam na mnie Wallace, a ja wolę stać z nim na korytarzu niż siedzieć w klasie. Czasem to ja podchodzę do jego szafki i wtedy to tam na chwilę przystajemy. Nie rozmawiamy, bo wkoło jest za dużo ludzi, a Wallace nie lubi pisać na płaszczyznach pionowych.

Podczas zajęć rzucam się w wir szkicowania plansz *Morza Potwornego*;

produkuje je zarówno przed przerwą obiadową, jak i po niej, ukrywając na dnie plecaka, żeby Wallace ich nie odkrył. Nie żebym myślała, że będzie szperał w moich rzeczach. Bo tak nie myślę. Ale szkicownik może wypaść mi z rąk i się otworzyć, albo może się zjawić zabłąkany Travis Stone, przejąć szkice i rozdać wszystkim, żeby zobaczyła je cała szkoła. Na przerwie obiadowej siedzimy z Wallace'em razem – na dziedzińcu, jeśli jest dość ciepło, ale zwykle przy jednym ze stolików na stołówce – i wtedy serwuje mi świeżo skończone rozdziały transkrypcji *Morza Potwornego*. Ja pochłaniam je jak żarłoczna bestia, a on się nieznacznie uśmiecha. Wallace to wszystko kuma.

Wallace kuma, co się czuje, kiedy się coś tworzy.

– Zdarza ci się, że przychodzi ci do głowy pomysł na jakąś historię albo postać, albo nawet jedną linijkę dialogu czy coś w tym stylu, i nagle masz wrażenie, że na całym świecie zrobiło się jaśniej? Tak jakby wszystko się otwierało i zaczynało mieć sens?

Mówiąc to, Wallace wbija wzrok w stertę leżących przed nim kartek – najnowszy rozdział prozatorskiej wersji *Morza Potwornego*. Siedzimy za kortami tenisowymi mieszczącymi się na tyłach budynku gimnazjum. Po pustych boiskach w zimnych podmuchach wiatru tańczą opadłe liście. Powiedziałam mamie, że po szkole poczekam na Sully'ego i Churcha, bo chciałam mieć pretekst do pobycia z Wallace'em. Siedzimy na końcach ławki, zwróceniemi twarzami do siebie.

– Może dlatego właśnie nazywa się to olśnieniem. Bo otwiera nam głowę i wpuszcza do niej światło.

Wallace spogląda na mnie z uśmiechem.

– Aha. Właśnie tak.

Na policzkach robią mu się dołeczki. Jezus Maria, dołeczki. Mam ochotę wetknąć w nie palce. Wygląda bardzo przytulaśnie w swoim swetrze, kurtce

i zrobionej na drutach czapce ze zwisającymi po bokach frędzelkami i pomponikiem na czubku. Zimno co prawda mi nie jest, ale mogłoby mi być cieplej.

– Czy pisujesz czasem coś własnego? – pytam. – Poza fanfikami?

– Czasem tak – odpowiada – ale to chyba nie dorównuje fanfikom. Z fan fiction jest łatwiej. Fan fiction to tylko zabawa cudzymi postaciami, tematami, miejscami akcji. Przy pisaniu nie martwię się, czy dobrze mi idzie, bo ono samo sprawia dużo frajdy. Ale kiedy próbuję tworzyć coś własnego, to tylko... bez przerwy się przejmuję. Nic nigdy nie wydaje mi się wystarczająco dobre. – Zaczyna skubać leżące przed nim kartki. – A ty rysujesz cokolwiek poza fan artem do MP?

– Czasami – odpowiadam i znów wymieniamy między sobą nieznaczące uśmiechy. – Ale w tej chwili interesuje mnie właściwie tylko *Morze Potworne*.

– Mogę obejrzeć któreś z twoich rysunków? To znaczy, tych do *Morza Potwornego*. Ten jeden raz wtedy rzuciłem na nie okiem, ale nie miałem okazji naprawdę się im przyjrzeć.

Czytam jego fan fiction; nie pokazać mu przynajmniej niektórych rysunków byłoby chyba nie fair. Na wierzchu szkicownika, który spoczywa bezpiecznie na moich kolanach, przyciśnięty dłońmi, pełno jest luźnych kartek ze szkicami postaci i miejsc z *Morza Potwornego*. To tylko koncepcje, ale Wallace uzna je pewnie za wprawki albo interpretacje. Wyciągam kilka, upewniam się, że nie ma wśród nich szkiców ostatecznych plansz komiksu, i podaję mu je.

Wallace nie spieszy się. Jak zawsze, ogląda wszystko powoli, metodycznie. Lustruje rysunki, zatrzymując się nad niektórymi miejscami; wsuwa palec między kartki, by je rozdzielić, po czym unosi tę wierzchnią i umieszcza ją ostrożnie na spodzie pliku, a po wyrównaniu wszystkich

stronic przygląda się kolejnej.

- Zastanawiam się, czy nie wrzucić transkrypcji komiksu na fora – mówi.
- Żeby się przekonać, co myślą inni.
- Będą zachwyceni.

Jeśli to zrobi, transkrypcja nie będzie już przeznaczona tylko dla mnie, ale może to dobrze. Może przestanę się czuć tak winna z powodu zatajania przez Wallace'em, kim jestem.

Podnosi wzrok.

- Powinnaś opublikować to online. Nigdy wcześniej nie widziałem u nikogo rysunków, które byłyby bliższe stylowi LadyKonstelacji niż twoje. Są niesamowite. – Przechodzi do następnej kartki. – O rany. To naprawdę mi się podoba.

Kłękam, żeby zajrzeć za krawędź papieru. To Kite Waters, naszkicowana przeze mnie na lekcji któregoś dnia, kiedy nie mogłam przestać myśleć o Halloween. Kite jest ubrana w podarty, okrwawiony w boju mundur Sojuszu, a w dłoni trzyma uniesioną wyzywająco szablę.



– Jak chcesz, możesz to sobie zatrzymać – mówię.

– Jesteś pewna?

– I tak nic z tym nie zrobię.

– Wrzucić to do netu.

Zaciskam pięści i kryję je w rękawach.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

– Dlaczego nie?

– Nie chcę. Sama myśl o tym mnie peszy.

– Niepotrzebnie. Te rysunki są fantastyczne. Wszyscy się nimi zachwycają.

Kręcę głową. Oczywiście nie może tego wiedzieć, ale przecież nie peszy mnie myśl o tym, że ludzie zmieszają moje rysunki z błotem, tylko że ktoś skojarzy coś, co zamieszczę jako MirkerLurker, z LadyKonstelacją. Poza tym, czy ja wiem... te rysunki są dla mnie samej. To koncepcje, nie całkiem ukształtowane pomysły. Nie są skończone i gotowe do wyruszenia w szeroki świat, a ja nie chcę, żeby ktokolwiek je oglądał. Czasami wydaje mi się, że jedynym powodem, dla którego *Morze Potworne* od początku radzi sobie tak dobrze, jest mój obsesyjny perfekcjonizm. Co do fabuły, linii, kolorów, postaci. Moi fani zasługują na najwyższą jakość, na jaką mnie stać. Wiem, że to nie wyczerpuje wszystkich powodów, ale musi to być ich lwia część.

– Dobrze. – Oddaje mi rysunki, zatrzymując sobie szkic Kite Waters. Znów się do niego uśmiecha. – Dziękuję ci. Masz coś przeciwko, żebym pokazał ten szkic Cole'owi, Megan i pozostałym? Nie puszczą go dalej, jeśli ich poproszę, żeby tego nie robili. Ale jest po prostu tak czadowy, że muszę pokazać go komuś, kto to doceni.

– Jasne, jeśli chcesz. – Jeżeli Wallace mówi, że nie puszczą tego dalej, to mu wierzę. Poza tym to sympatyczni ludzie. Nawet ja potrafię się w tym zorientować.

Pod szkołę zaczynają podjeżdżać gimbusy i ustawiać się, by porozwozić

uczniów po skończonych zajęciach.

– Chyba powinnam wrócić do samochodu, żeby bracia nie musieli mnie szukać.

– Pójdę z tobą.

Ruszamy w kierunku mojego auta, zaparkowanego na samym końcu kortów.

– Czy zwykle nie przyjeżdża po ciebie siostra?

– No tak. Siostra przyrodnia – odpowiada Wallace. – Ale mam też młodszą siostrę, która chodzi tutaj do szkoły, i moja siostra przyrodnia przyjeżdża także po nią. Więc Bren powiedziała, że będzie odbierać mnie razem z Lucy.

– Bren i Lucy?

– Aha. A twoi?

– Sully i Church.

– To od jakich imion?

– Sullivan i Churchill. Jak Ed Sullivan i Winston Churchill. Nigdy nie pytałam rodziców dlaczego tak i nigdy nie zamierzam. Po prostu cieszę się, że mnie dali jakieś normalne imię.

– Hm.

– Co?

– Nigdy nie zapytałam rodziców, dlaczego dali mi na imię Wallace.

– To może zapytaj ich, jak wrócisz do domu?

Opuszcza wzrok, dłubie palcem w uchu.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Mówi coraz ciszej:

– Obojga moich rodziców, ee... nie ma.

Nie ma? To znaczy, że nie żyją? Czy tylko że są nieobecni? Dezorientacja w temacie „nie ma” powoduje, że coś dziwnie ścisza mnie w dołku: wcale

nie wiem o tym chłopaku tyle, ile mi się zdawało.

– Aha. – Czuję, jak żar rozlewa mi się po twarzy. – Ojej, przepraszam.

Kręci głową.

– Nie ma sprawy. Rodzinę mam trochę dziwną. Ojczym z macochą, jedna siostra przyrodnia, druga przyrodnia inaczej. Ale wszyscy są naprawdę fajni. Choć chyba nie powinienem już nazywać Vee moją macochą; technicznie rzecz biorąc, była moją opiekunką prawną. Ale mam teraz osiemnaście lat, jestem pełnoletni, więc może to nieważne...

Nigdy nie poznałam w realu nikogo, kto miałby przybranych rodziców. Dociera to do mnie z kilkusekundowym opóźnieniem, a zaraz potem zalewa mnie kolejna gorąca fala wstydu. Bez przerwy narzekam na swoją rodzinę – w myślach, w kontaktach z Maxem i Emmy, a kilka razy zdarzyło mi się to nawet przy Wallasie w krótkich wiadomościach na forum albo szybkich, rzuconych mimochodem uwagach podczas naszych szkolnych rozmów na kartkach. Zakładałam, że u niego w rodzinie jest tak samo. Nie przyszło mi do głowy, że chociaż wszyscy moi krewni wkurzają mnie jak cholera, to są to moi krewni, z krwi i kości, i wciąż działamy jako jedna całość.

Co nie znaczy, że jego rodzina działa inaczej. Może Wallace kocha swoich bliskich tak samo jak ja moich. Może nawet bardziej, bo nigdy na nich nie narzeka.

Boże, ja naprawdę nic nie wiem.

Dochodzimy do mojego samochodu. Drzwi szkoły otwierają się na oścież i wypadają przez nie trzynasto- i czternastolatki, pędząc do swoich gimbusów. Wallace czeka ze mną przy moim aucie w na wpół niezręcznej ciszy, aż wreszcie widzimy szarżujące w naszą stronę brązowe czupryny moich braci.

– Do jutra – mówi Wallace.

– Do jutra – odpowiadam.

Rusza w kierunku budynku szkoły, gdzie pewnie czeka na niego młodsza siostra. Sully i Church dobiegają do mnie zgarbieni pod ciężarem plecaków, ze sportowymi strojami i butami w dłoniach. Opowiadają coś o jakiejś bójce, która wybuchła tego dnia na stołówce, po czym, nie zwracając na mnie uwagi, wskakują do samochodu i zapinają pasy. Czekam pełną minutę, by sprawdzić, czy zauważą, że auto nie rusza, i dopiero potem siadam za kierownicą.

– Co tak długo? – pyta Sully.

Wzruszam ramionami i włączam silnik.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

21:36 – 17 lis 16

MirkerLurker: Dlaczego twoją ulubioną postacią z Morza Potwornego jest Dallas?

zaklinacz_deszczu: Bo nigdy się nie poddaje, mimo wszystkich tych nieszczęść, które go spotkały.

MirkerLurker: Nie uważasz, że jest psychicznym kaleką? Większość ludzi bierze go za kogoś takiego.

zaklinacz_deszczu: Moim zdaniem jest dziwny, ale każdy by był po tylu latach tortur i życia na wygnaniu. Stara się najlepiej jak umie. Choć ludzie dosłownie na niego polują, i tak próbuje pomóc Amity i Damienowi zrozumieć, czym są Strażnik i Strach na Wróble, skąd się oni wzięli i po co istnieją. Staje się najlepszym przyjacielem Amity, mimo że wszyscy uznają go za niezdolnego do przyjaźni. Choć jest zapewne postacią o największej mocy ze wszystkich bohaterów komiksu, to nigdy nie wykorzystałby jej dla zemsty czy dla własnej korzyści.

zaklinacz_deszczu: I do tego jest zabawny. Formalnie jest starszy od większości postaci, a mimo to, gdy tylko dociera do Risztu, zaczyna rozmontowywać metalowe drzewa jak mały dzieciak, który dorwał się do nowej zabawki.

MirkerLurker: O, mnie też się to w nim podoba.

zaklinacz_deszczu: Ty najbardziej lubisz Izzy'ego, tak?

MirkerLurker: Tak, przeważnie.

zaklinacz_deszczu: Przeważnie?

MirkerLurker: Podobają mi się wszystkie postaci, ale zwykle najbardziej podoba mi się Izzy.

zaklinacz_deszczu: Dlaczego?

MirkerLurker: Bo zawsze był z niego taki strachajło. A może... dlatego że jego ewolucja jako postaci polegała nie na tym, że przestał być strachajłem, tylko że nauczył się działać mimo lęku. Bo musiał. Musiał pokonać lęk przed małżeństwem z Aną, lęk przed byciem władcą, lęk przed wychowywaniem dzieci, lęk przed Sojuszem, lęk przed bezsilnością. Nigdy nie przestaje się bać, ale nie pozwala, żeby powstrzymało go to przed zrobieniem czegoś, co musi zrobić.

zaklinacz_deszczu: Bardzo ładnie, bardzo ładnie. Widzę jednak, że zapomniałaś wspomnieć o pewnym mniej ważnym powodzie, dla którego Izzy ci się podoba.

MirkerLurker: Ha ha, to oczywiście te jego okulary! Co za ironia, że król miasta

zaawansowanych technologii nie chce wstawić sobie implantów optycznych, bo przeraża go pomysł o wsadzaniu czegośkolwiek w oczy.

zaklinacz_deszczu: Dziwne, nie miałem pojęcia, że tak ci się podobają płochliwi faceci.

MirkerLurker: Naprawdę strasznie mnie kręci, kiedy facet regularnie zamiera ze strachu.

zaklinacz_deszczu: Oo. Szkoda.

MirkerLurker: Dlaczego?

zaklinacz_deszczu: Że między nami nic nigdy nie zaiskrzy. Jestem za odważny.



Izzy, Dallas i Davy



Jeśli istnieje coś, co moi rodzice uwielbiają bardziej niż sport, to są to więzi rodzinne. Granie w gry planszowe, wspólne filmowe noce i wakacje. Cała reszta roku to tylko trening przed sezonem ligowym, którego szczyt przypada w święta: ćwiczenia codziennie, rozgrywki dwa razy w tygodniu.

Moi rodzice tak przepadają za umacnianiem więzi rodzinnych, że Święto Dziękczynienia jest jak finały mistrzostw świata. Ile razy uda się tacie skłonić Elizę, Churcha i Sully'ego do pomocy przy gotowaniu? Jak wspaniałe będą nasze rozmowy przy świątecznym obiedzie? Jak łatwo uda się namówić dzieci do pozmywania naczyń? W ile gier planszowych uda nam się zagrać? Na jak długo damy radę oderwać Elizę od komputera i komórki?

Zwykle spędzamy Święto Dziękczynienia z cicią Carol i resztą naszej dalszej rodziny. Zajeżdżamy pod dom cici; wujek Frank mówi o Sullym i Churchu „urwipolcie!” i mierzwi im czupryny, mimo że już w zeszłym roku zrównali się z nim wzrostem; mama z tatą lokują się w centrum dowodzenia przyjęciem, pomagając w przygotowaniach stołu i jedzenia, przemykając po całym domu, żeby ze wszystkimi ciotkami, wujami i kuzynami zamienić

przynajmniej po kilka słów; a ja siedzę w kącie z komórką w ręce, drżąc na samą myśl o tym, kiedy jakiś krewny podejdzie do mnie i zagai: „Co ostatnio porabiasz?”. Będzie to znaczyło, że chce wiedzieć, jak mi idzie w szkole, czy zdecydowałam się na próbę powrotu do ohydneho świata sportu, a także co robię w kwestii college’u. Mam na to gotowe odpowiedzi: „Dobrze”. „Nie, żadnego sportu”. „Wysłałam zgłoszenia na kilka różnych uczelni. Teraz tak jakby rozważam możliwości”. Krewni częstują mnie jakimiś komunałami o tym, że na pewno coś sobie znajdę, jak to w college’u jest świetnie, że będę chciała studiować wiecznie i że na świecie jest mnóstwo firm szukających dziewcząt tak inteligentnych jak ja, by przyszły do nich zarabiać krocie. O *Morzu Potwornym* wiedzą jedynie moi najbliżsi, choć myślą, że to tylko takie hobby. Większość mojej dalszej rodziny nawet nie wie, że lubię rysować.

Ciekawe, jak mnie postrzegają. Pewnie jestem dla nich tą bezbarwną dziewczyną, która przez cały dzień gapi się w pusty wyświetlacz komórki. Co roku, zanim skończy się wieczór, mam ochotę wrzeszczeć. Rzucić krzesłem, wywrócić stół, zerwać żyrandol z sufitu w salonie cioci Carol. Wpaść w szal.

Pod pewnymi względami osiągnęłam więcej niż ktokolwiek z nich, a nie mogę im o tym powiedzieć. Z jednej strony nie chcę, żeby wiedzieli, bo to oznaczałoby katastrofę, a z drugiej strony chcę, by wiedzieli, bo może wtedy przestaliby traktować mnie jak jakiegoś głupkowatego nastoletniego darmozjada, który zaraz odmaszeruje gdzieś odsiedzieć wyrok dożywocia. Może wtedy zostawiliby mnie w cholerę samą w kącie pokoju z moim indykiem, tłuczonymi ziemniakami i komórką.

W tym roku jednak ciocia Carol zachorowała na grypę, więc reszta rodziny – bez nas – jedzie na Florydę, chyba tylko dlatego, że jest to coś, co się robi z okazji Święta Dziękczynienia. Nie będę musiała wykręcać się od pytań

krewnych, co stanowi cud, na którym jedyną skazą jest to, że rodzice postanowili w zamian uczynić tegoroczne Święto Dziękczynienia najbardziej Mirkowym w historii rodu Mirków.

Jesteśmy tylko w piątkę. Sully i Church pomagają mamie rozwałkować ciasto na świąteczną tartę w zamian za jego resztki, a ja kryję się na końcu kuchennego stołu, czekając na jakiś straszny obowiązek, który pewnie wymyśli za chwilę tata. Komórkę trzymam pod blatem, żeby nie rzuciła się w oczy, choć wiem, że jeśli ktokolwiek na mnie popatrzy, zorientuje się, że czatuję ze znajomymi.

emmiterliter: Ech szkoda że ja nie mam takiego Święta Dziękczynienia jak ty

emmiterliter: Tkwie jak kolek w szkole i kończę projekty na zaliczenie

emmiterliter: Nie mogę pojechać do domu aż do ferii zimowych :(

MirkerLurker: Zamienimy się?

Zraz_Apokalipsy: wszystkie święta i tak są przereklamowane.

MirkerLurker: Nawet Gwiazdka? Prezenty?

Zraz_Apokalipsy: a. nie obchodzę bożego narodzenia. b. jestem prawie pewny, że większość rodziców i tak nie daje za dużo prezentów synowi, który skończył dwadzieścia dwie wiosny. c. tak, że wszystkich świąt bożego narodzenia jest przereklamowane najbardziej.

MirkerLurker: ?? Myślałam, że Heather obchodzi Boże Narodzenie? Może w tym roku za dużo czasu zajmuje jej praca modelki na wybiegu dla nauczycielek szóstej klasy?

Zraz_Apokalipsy: ech.

MirkerLurker: Coś się stało?

Zraz_Apokalipsy: e, nic. heather pojechała na święta do domu.

Max zachowuje się dziwnie, co jest... dziwne. Czekam na dalsze wyjaśnienia, ale nic już nie pisze. Coś musiało się wydarzyć między nim i Heather, ale jeśli nam o tym nie powie, to nie powie nikomu. Pewnie byłoby miło, gdyby siedział przede mną – wtedy przynajmniej mogłabym wyczytać coś z jego wyrazu twarzy albo mowy ciała. Max i Emmy zaproponowali kiedyś, żebyśmy rozmawiali na czacie wideo, ale zgłosiłam weto. Czuję

się z tym jakoś niefajnie. Bałam się, że pokazując sobie nawzajem twarze, zniszczymy to, co nas łączy. Teraz jednak mam wrażenie, że wideo mogłoby się przydać.

Przychodzi esemes od Wallace'a.

I to autentyczny esemes, a nie tekst pisany w aplikacji z naszych forów. Dałam mu swój numer jakiś czas temu, jeszcze przed Halloween, ale nie żeby miał do mnie dzwonić czy coś takiego. Napisałam go na skraju naszej konwersacyjnej kartki na kwadransie organizacyjnym i podsunęłam mu, bo czasem widzę coś fajnego i myślę sobie: *Wallace by się z tego śmiał, powinnam wysłać mu fotkę*, tyle że forumowa apka do wiadomości fatalnie obsługuje zdjęcia i wysyłanie ich w ememesach jest dużo prostsze.

No więc teraz esemesuje do mnie, załączając fotkę. Zwykła tarta z batatami. Pod zdjęciem tekst: *Naprawdę lubię tartę z batatami*.

Odpisuję mu: *No, ja też*.

Dostaję po chwili fotkę jego kwaśnej miny z tekstem: *Nie nie, nie rozumiemy się*.

Potem kolejne selfie – zbliżenie, na którym widać już tylko jego oczy. *NAPRAWDĘ lubię tartę z batatami*.

Zalewa mnie seria zdjęć w kilkusekundowych odstępach. Na pierwszym jest trójkątny kawałek tarty w dłoni Wallace'a. Na kolejnym Wallace unoszący ten kawałek do ust – ciasto jest na tyle delikatne, że zaczyna kruszyć mu się w palcach. Na następnej fotce Wallace pakuje sobie cały kawałek do paszczy, a na ostatniej ma już policzki wypchane jak chomik, a oczy wywrócone, jakby chodziło o najsmaczniejszą rzecz, jaką w życiu jadł.

Zaciskam wargi, próbując powstrzymać parsknięcie, ale rodzice są tak wyczuleni na najmniejsze nawet oznaki wesołości z mojej strony, że oboje podnoszą na mnie wzrok.

– Co cię tak bawi, Jajeczko? – chce wiedzieć tata.

– Nic takiego – odpowiadam. Nic nie gasi dowcipu bardziej niż próba wyjaśniania go innym, zwłaszcza rodzicom.

Rany, odpisuję Wallace'owi. Naprawdę lubisz tartę z batatami.

Przysyła jeszcze jedno selfie; tym razem obejmuje na nim formę z resztą tarty, gapiąc się w nią czule. *Wiosną bierzemy ślub.*

Wyrywa mi się śmiech. Mam nadzieję, że Wallace lepiej bawi się w to święto niż ja. Przynajmniej tak to wygląda. Robię sobie fotkę z dzióbkiem i wysyłam mu z tekstem: *Ojej, jaka dobrana z was para.*

– Przestań robić sobie selfie – odzywa się Sully z drugiej strony stołu.

– Nie robiłam żadnych selfie – odwarkuję.

– Dlaczego robisz sobie selfie? – pyta Church.

– Nie robiłam żadnych selfie!

– Jajeczko, a może byś tak odłożyła telefon i pomogła mi zrobić sos żurawinowy? – włącza się tata, radosny jak skowronek.

Zduszam w sobie irytację, która natychmiast zaczęła we mnie kipieć, zostawiam komórkę na stole i wstaję, żeby pomóc.

* * *

Obiad zaczyna się, jak zawsze, od dowcipasa mamy o tym, że cały następny dzień spędzimy na spalaniu kalorii, które dziś pochłaniamy. Dla nich wszystkich to tylko nowe wyzwanie: zobaczymy, ile uda się teraz zjeść, żeby jutro tym więcej czasu poświęcić na fajne ćwiczenia. Co do mnie, momentalnie nabieram ochoty na głodówkę.

Potem rodzice przechodzą do indagowania mnie, Sully'ego i Churcha o najnowsze wieści ze szkoły i o to, z jak świetnymi wynikami uda nam się skończyć semestr.

– Church chce przed Bożym Narodzeniem zaprosić Macy Garrison na

randkę – oznajmia Sully.

Na twarzy siedzącego obok niego Churcha wykwitają pąsowe plamy.

– Wcale że nie!

– Nie da się ukryć, obaj sporo ostatnio mówicie o tej Macy Garrison – zauważa tata. – To kiedy ją poznamy?

– Nie poznacie!

Sully uśmiecha się z trudem, bo usta ma wypchane ziemniaczanym purée.

Po przełknięciu dodaje:

– A Eliza codziennie wysiaduje za gimnazjum ze swoim chłopakiem. Jego też jeszcze nie poznaliście.

– To nie jest mój chłopak! – protestuję ostro, czując żar na policzkach.

Sully przenosi wzrok ze mnie na Churcha i parska śmiechem.

– Codziennie? – powtarza mama, obrzucając spojrzeniem najpierw mnie, potem tatę. – To dlatego sama się zgłosiłaś do odbierania Sully’ego i Churcha ze szkoły, Elizo?

– Ja... nie! Uznałam tylko, że nie będzie im się podobać jeżdżenie gimbusem. Wallace i tak odbiera z gimnazjum swoją siostrę, więc... to nie jest mój chłopak!

Tata unosi rękę.

– Hola, hola, Jajeczko. Razem z mamą uważamy, że powinniśmy poznać Wallace’a, zanim te sprawy zajdą dalej.

Płonę w najgłębszym kręgu piekieł rodzinnego upokorzenia.

– Nic nie zajdzie dalej. Nie ma niczego, co mogłoby zajść dalej. Czy możemy już o tym nie mówić?

Teraz także mama unosi obie dłonie.

– Kochanie, tacie chodzi tylko o to, że, no wiesz, pierwszy raz tak naprawdę chodzisz z chłopcem, więc powinniśmy chyba pomyśleć o jakiejś wizycie u lekarza...

– PRZESTAŃ.

Sully oburącz zasłania sobie usta, powstrzymując wybuch śmiechu. Church klapnął czołem na stół obok talerza i widać, jak czerwienieją mu uszy i kark. Osuwam się na oparcie krzesła. Czuję, że drętwieją mi ręce i nogi. Wpycham sobie w usta kawałek fasolki szparagowej, przeżuwam, połykam – fasolka o mało mi nie wraca – a potem wstaję.

– Mogę odejść od stołu?

Nie czekając na odpowiedź, wymaszerowuję z pokoju.

* * *

Nigdy nie byłam szczęśliwsza, że mogę spędzić godzinę pogrążona w *Morzu Potwornym*. Jestem na Megakontynencie, szkicuję chmury na bladoniebieskim niebie i jatkę na polu bitwy, nad którym krążą padlinożercy. Wilkieni, raptory, myszy kiri kiri, które wyskakują spod ziemi, by wielkimi kłami odrywać na pobojuwisku kawałki gnijącego ciała trupów i ciągnąć je do swoich głęboko ukrytych gniazd jako pokarm dla młodych. Fani często pytają, skąd biorą mi się pomysły na orkusjańskie potwory. Odpowiadam im, że nie wiem, ale kiedy jest się wkurzonym, zdecydowanie łatwiej je wymyślać.



Przerywam dopiero wtedy, kiedy słyszę, jak Church i Sully biegną z tupotem po schodach do swojego pokoju. Widocznie jeszcze nie pora na gry planszowe. Sprawdzam komórkę.

Czeka na mnie kolejne zdjęcie od Wallace'a. Widać na nim pustą formę z okruchami po tarcie – leży na podłodze, a przy niej wielgachny nóż. Obok klęczy Wallace, na swetrze też ma okruchy, a na twarzy wyraz przerażenia.

NIEEEE

CO JA ZROBIŁEM

UKOCHANA MOJA

CO Z NASZYM ŚLUBEM

WSZYSTKIE PLANY OBRÓCONE WNIWECZ

Esemesuję do niego w odpowiedzi: *O nie!! Tylko nie batatowa panna młoda!*

Dostaję kolejną fotkę: Wallace wyciągnięty jak długi na podłodze obok formy po tarcie zasłania oczy ramieniem.

Na swą obronę mam tylko jedno: za bardzo ją kochałem.

Wallace zdecydowanie bawi się w to Święto Dziękczynienia lepiej niż ja. Ciekawe, czy jego rodzina pyta go, czy ma dziewczynę i o ile dalej mogą zajść sprawy. Ciekawe, czy potwierdza. Ciekawe, jak daleko sam chciałby zajść.

Mogłabym go zapytać.

Ale raczej tego nie zrobię.



Strażnik potrzebował żywiciela.

Mówili o tym Amity wszyscy bez wyjątku pielgrzymi, którzy odwiedzali ją z prośbą o błogosławieństwo. Strażnik potrzebował żywiciela, bo jego odpowiednik już go miał, a to wytrącało cały świat z równowagi.

– Jego odpowiednik?

Staruszka, która przyszła zobaczyć się z Amity – pierwsza z licznego grona mających się zjawić pielgrzymów – powoli przytaknęła skinieniem głowy. Z punktu widzenia Nokturnian, opierających się procesom starzenia, głębokie bruzdy na twarzy kobiety świadczyły o wielu dekadach, może nawet stuleciach życia. Na prawym policzku miała wytatuowany gwiazdozbiór, konstelację, od której pochodziło jej imię. Jak wszystkie tatuaże imienne, ten był biały i niemal niewidoczny na skórze.

– Na drugim brzegu morza nazywają go Strachem na Wróble. Jego żywiciel odszedł z naszej wyspy wiele lat temu. Porzucił swoje obowiązki opiekuna. Jeśli kiedykolwiek tu wróci, musisz przywołać go do porządku.

– Istnieje... istnieje inny żywiciel?

– Nazywa się Faust – odpowiedziała kobieta – i pożera dusze.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

emmiterliter: I co indyk był dobry??

emmiterliter: Ja dostałam zamiast indyka coś zupowatego bo tylko to serwowali w osrodku dla studentów

Zraz_Apokalipsy: trzeba było zapytać mnie w październiku. bo tak się składa, że właśnie wtedy obchodzimy święto dziękczynienia w Kanadzie. był spieczony na wior, dzięki bardzo.

emmiterliter: Dobra panie kwasny

emmiterliter: Zobaczmy co ma do powiedzenia mniej cierpka z naszej trójki

MirkerLurker: Echhhh, mogło być gorzej. Nie własna matka, a któraś z ciotek mogła zasugerować mi wizytę u ginekologa i kontrolę pochwy.

Zraz_Apokalipsy: hm.

emmiterliter: Podpisuje się pod tym hm

emmiterliter: Co właściwie sprowokowało te sugestie??

MirkerLurker: Echhhhhhhhhhhhhhh.

MirkerLurker: Pamiętajcie Wallace'a? Moi rodzice myślą, że my coś razem tentego.

Zraz_Apokalipsy: myślałem że macie to już za sobą.

MirkerLurker: Nie, nie mamy.

emmiterliter: Fuj

emmiterliter: Nie a propos ciebie i Wallace'a tentego

emmiterliter: Tylko a propos twojej mamy wyjeżdżającej z hasłem

emmiterliter: KONTROLA POCHWY

MirkerLurker: Zapisała mnie do ginekologa na przyszłą środę. Niech mnie ktoś zastrzeli.

Zraz_Apokalipsy: nie możemy, musisz dokończyć morze potworne.

Zraz_Apokalipsy: poza tym powinnas chyba zostać wśród żywych, żeby nadal komentować kanikule. po Halloween przeglądałem fora w poszukiwaniu trolli i wiele osób martwiło się, że cie nie ma.

Zraz_Apokalipsy: po drugie poza tym, chyba musisz zacząć hodować tego kaktusa na dłoni.

MirkerLurker: A, no tak. Widziałam te komentarze.

emmiterliter: Ale serio było nam ciebie brak

emmiterliter: Czujesz się już lepiej??

MirkerLurker: Tak szczerze, to nie byłam chora... Poszłam z Wallace'em na halloweenową imprezkę.

Zraz_Apokalipsy: chwila moment. chcesz mi powiedziec... ze samotnica eliza mirk... poszła na IMPREZE... i to z CHLOPCEM?

Zraz_Apokalipsy: i jeszcze mam uwierzyc ze nic we dwoje nie robicie?

MirkerLurker: Kiedy nic nie robimy! Poszłam na tę imprezkę, bo pomyślałam, że wtedy może rodzice się ode mnie odczepią.

MirkerLurker: W dodatku była tam masa naprawdę czaderskiego cosplaya do Morza Potwornego.

Zraz_Apokalipsy: czy jeszcze o czymś powinniśmy wiedzieć? ukrywasz w domu zbiegłych przestępców? w twojej piwnicy spotyka się sekta wyznawców cthulhu? potajemnie ubostwiasz grecki jogurt?

emmiterliter: Daj jej spokój Max

emmiterliter: E jeśli chcesz chodzić na imprezy to CHODZ NA IMPREZY

emmiterliter: Chodź na nie za te z nas które są ze wszystkich stron otoczone imprezami ale nie mogą na nie chodzić z uwagi na niestety zbyt młody wiek

emmiterliter: ...

emmiterliter: Poza tym powinnaś absolutnie zacząć chodzić z Wallace'em bo mnie ze wszystkich stron otaczają ciachowaci starsi chłopcy a NIE MOGĘ CHODZIĆ Z ZADNYM Z NICH

MirkerLurker: No, nie jestem pewna.

Zraz_Apokalipsy: czego nie jesteś pewna? że jest ciachowaty czy że chcesz z nim chodzić? możesz podesłać nam jakieś zdjęcie, to ci powiemy.

emmiterliter: Co racja to racja ja bym ci zdecydowanie powiedziała

MirkerLurker: Ha ha nie trzeba mi mówić, czy jest ciachowaty, czy nie. Wiem, że jest ciachowaty.

emmiterliter: Więc z czym masz problem

MirkerLurker: A bo ja wiem?

Zraz_Apokalipsy: słuchaj, e. pozwól, że coś ci powiem.

emmiterliter: Jasne

emmiterliter: Rada od koleśki który ciągle nazywa swoją dziewczynę modelką

Zraz_Apokalipsy: jeśli ci się podoba, możesz mu to równie dobrze powiedzieć.

Zraz_Apokalipsy: jeśli ty mu się nie podobasz, będziesz mogła przestać się tym

zamartwiac.

Zraz_Apokalipsy: ale jeśli mu się podoba, to biznes zacznie się kręcić.

Zraz_Apokalipsy: tak czy siak zaoszczędzisz mnóstwo czasu i oszczędzisz sobie mnóstwo bólu.



Co prawda Max i ja nie zawsze i nie we wszystkim się zgadzamy, ale nigdy nie mieliśmy bardziej rozbieżnych punktów widzenia niż w tej konkretnej sprawie. Nie sądziłam, że to możliwe, ale przyznanie się Wallace'owi twarzą w twarz – a nawet przyznanie się jego nickowi na ekranie komputera czy komórki – że mi się podoba, wydaje się równie złym pomysłem jak wyznanie mu, że jestem LadyKonstelacją. Każda z tych informacji może go spłoszyć.

W poniedziałek ma dla mnie gotowy kolejny rozdział. Zaczął zamieszczać swój tekst w necie – ku wspaniałej reakcji fandomu – ale nadal to ja mam przywilej pierwszego spojrzenia na każdy rozdział, kiedy tylko kończy go pisać. Amity szykuje się do opuszczenia wyspy Nokturn po raz pierwszy w życiu, aby na rozkaz Sojuszu wytropić Damiana Fausta; nie chce zostawić Farena samego, bo wie, że będąc gdzie indziej, nie będzie mogła go obronić. To scena, którą wszyscy fani doskonale znają, baza dla całej komiksowej serii.

Wallace opisuje ją w punkt.

Spokój brzasku, kiedy Amity wodzi palcem po konstelacjach i ich

nazwach wytatuowanych na plecach Farena. Pogrążone w melancholii śniadanie, gdy oboje pomijają milczeniem fakt, że Amity za chwilę wyrusza na misję, która może z dużym prawdopodobieństwem skończyć się dla niej śmiercią. I wreszcie, tuż przed jej odejściem, podarunek Farena: odkrycie, że rodzice Amity nazwali swoją córkę imieniem jednej z konstelacji, choć chłopak nie wie, jak brzmiała nazwa tego gwiazdozbioru. Jeśli Amity uda się odgadnąć, jak się on nazywa i do jakiej kultury przynależy, może dowie się, skąd sama się wzięła i gdzie jest jej miejsce.

Odnalazł ją w konstelacji.

W komiksie Amity często powtarza sobie to zdanie: „Odnalazł mnie w konstelacji”. Fani zmienili je nieco, przerobili na hasło „Odnalazłeś/Odnalazłaś mnie w konstelacji” i zaczęli umieszczać na plakatach, T-shirtach, futerałach do telefonów, bransoletkach, tatuować sobie na skórze. Jedna para włączyła je nawet do swojej przysięgi małżeńskiej. Choć nie dlatego wybrałam sobie nicka LadyKonstelacja, większość fanów właśnie tak sądzi.

Kiedy napisałam tę frazę, kiedy narysowałam wypowiedającą ją Amity, nie do końca rozumiałam, co ona znaczy. Wiedziałam, co w moim pojęciu miała znaczyć. Rozumiałam dosłowny sens wyrazów. Ale nie rozumiałam kryjącej się w nich prawdy.

Chyba nadal jej nie rozumiem. Ale teraz przynajmniej to wiem.



Okazuje się, że trudno jest utrzymać wysoką liczbę rysowanych plansz, kiedy spędza się cały czas po szkole na esemesowaniu z chłopcem, który się nam podoba.

Codziennie o piątej po południu zmuszam się, żeby wyłączyć komórkę, odłączyć komputer od internetu i porysować. Muszę produkować co najmniej jedną planszę na tydzień, a między Świętem Dziękczynienia i feriami zimowymi średnio rysuję dwie. Chodzi o jakość. Mogłabym wypuszczać komiks całymi rozdziałami, gdybym nie dbała o jego poziom, ale jakość jest najważniejsza. To dzięki niej ta historia wygląda z zewnątrz tak, jak ja czuję ją od wewnątrz. Ma rozmach, jest barwna i piękna. Postaci kipią życiem. Kiedy jakaś plansza nie wygląda tak dobrze, jak powinna, robak wstydu przenika mnie aż do szpiku kości, bo to oznacza, że zawiodłam moją historię.

W weekendy robię sobie przerwy. Po pierwsze, żeby się nie wypalić, a po drugie, żeby móc porysować dla Wallace'a. Nadal nie wrzuciłam niczego na fora, jak mnie zachęcał – jak zachęcali mnie także Cole, Megan, Leece i Czandra, kiedy pokazał im tamten szkic z Kite Waters. Ale lubię rysować dla Wallace'a, bo on lubi to potem oglądać. Rysuję mu Dallasa: igrającego

z morskim pełźcem, wpatrującego się w bioluminescencyjne baseny pływowe w jego grocie, idącego brzegiem morza w blasku gwiazd. Staram się, żeby te rysunki nie wyglądały za bardzo jak prawdziwe plansze komiksu, ale mimo to za każdym razem, kiedy wręczam jeden z nich Wallace'owi, rozpromienia się i mówi, jak bardzo przypomina mu to prace LadyKonstelacji.

Wiem, że powinnam przestać. Wiem, że nie powinnam dostarczać mu coraz to nowych dowodów.

Chyba trochę bym chciała, żeby wiedział.

Nie opowiadam mu, co powiedzieli moi bliscy w Święto Dziękczynienia, ani że mama zabrała mnie na wizytę do ginekologa. Na myśl o antykoncepcji tracę oddech i zaczynam pocić się jak świnia. Spociłam się też w gabinecie u lekarki, a nawet ona, usłyszawszy, że zdarza mi się to codziennie, uznała, że coś jest nie tak i że antykoncepcja hormonalna może to wyreguluje.

Antykoncepcja nic nie reguluje. Antykoncepcja przyprawia mnie o mdłości. To dziwne uczucie, lubić kogoś tak bardzo, a jednak wpadać w panikę na myśl, że znajdzie się w mojej strefie prywatności, że będzie mnie dotykał. Nie chodzi o to, że nie podoba mi się, kiedy się dotykamy: trącamy się łokciami albo stuka mnie palcem w ramię, albo zdejmuję mu z koszuli jakiś kłaczek. Przeciwnie, podoba mi się to aż za bardzo. Moje ciało odczuwa podniecenie, choć nie wyrażam na to zgody, a to niedobrze. To coś poza moją kontrolą. Nie podoba mi się, gdy coś jest poza moją kontrolą, ale podoba mi się Wallace.

Sama więc nie wiem, czy to szczęście, czy pech, że czas spędzony z Wallace'em ogranicza się do wspólnego kwadransa organizacyjnego, przerwy obiadowej i półgodziny na ławce za budynkiem gimnazjum w każdy dzień roboczy. Chodzimy też razem na lekcje angielskiego, ale wtedy Wallace siedzi na drugim końcu klasy. W sobotnie popołudnia wsiadamy do

jego samochodu i jedziemy do antykwariatu „U Murphy’ego”, gdzie spotykamy się z Cole’em. Megan przyjeżdża, jeśli nie musi akurat pracować i jeśli Hazel jest grzeczna. Cole przynosi ze sobą laptop i wywołuje Czandrę i Leece na wideoczacie, ale tylko jeśli Leece ma akurat przerwę od gimnastyki, a Czandra nie śpi, bo u niej jest zawsze dziesięć godzin później.

– Zauważacie czasem, że to trochę dziwne: co tydzień przychodzimy do księgarni, ale nie kupujemy żadnych książek? – pyta Cole, znów zawieszając się nad swoją niedokończoną pracą domową z geometrii. W tym tempie skończy ją chyba w lipcu.

– Mów za siebie – odpowiada mu Wallace.

Odzywa się na głos tylko dlatego, że w antykwariacie jest pusto, nie licząc nas i jednej pracowniczki układającej książki na drugim końcu sklepu. Wallace osuwa się na miejsce obok mnie, przyblokując mnie w boksie; balansuje tomem opartym grzbietem o blat stolika, powoli sunąc wzrokiem po kolejnych słowach. Czyta tak wolno, że sprawia wrażenie, jakby dzięki temu był w stanie wchłonąć wszystkie informacje, całą treść. Jeśli mnie podoba się jakiś tytuł, pochłaniam go bez odrywania się, a potem wiele rzeczy zapominam. Nie przeszkadza mi to, bo czytam te same książki po wielokroć. Ale Wallace’owi przeczytanie jednej zajmuje tygodnie – no, może dni, jeśli naprawdę mu się podoba – i zapamiętuje wszystko na jej temat, a potem już do niej nie wraca. A jeśli już, to – jak mi powiedział – po bardzo długim czasie.

– Czytaliście kiedyś cykl *Dzieci Hypnosa*? – pytam.

Cole, Wallace i Czandra całą trójką podnoszą na mnie wzrok. Nie mówię przy nich dużo – wolę słuchać – choć i tak ich lubię. Podoba mi się, że nie oczekują ode mnie włączania się w rozmowę. Nie przeszkadza im, że tego nie robię.

– Słyszałem o nim – mówi Wallace – ale nie czytałem.

– Czy to nie jego fandom rozleciał się w drzazgi po tym, jak autorka zwariowała? – pyta Czandra.

– Nie zwariowała – poprawia ją Cole. – Uciekła w góry i zabarykadowała się w jakiejś grocie.

– Czy określenie „zwariowała” tego nie obejmuje? – dziwi się Czandra. – Przepędza ludzi z okolicy strzelbą i drze się przy tym wniebogłosy. Słyszałam, że nawet zastawia na nich sidła.

– Nie zwariowała – odzywam się. – Po prostu... nie dała rady dokończyć.

Prawda jest taka, że nikt nie wie, z jakiego powodu Olivia Kane przerwała pisanie. Nie żyje w górach ani nie przepędza ludzi ze swojej posesji, grożąc im strzelbą. O ile mi wiadomo, po prostu stała się odludkiem. Któregoś dnia zaszła się gdzieś na wsi w Karolinie Północnej i już stamtąd nie wróciła. Reporterom nie udało się wydębić od niej nawet jednego powodu jej zniknięcia. Za to mnóstwo ludzi dowiedziało się o tym, co stało się z jej fandomem. Rozbił się w drobny mak przez dyskusje, kłótnie i spekulacje na temat finału, który nigdy nie powstał.

– To moje ulubione książki – mówię. – Powinniście je przeczytać.

– Książki napisane przez pustelnicę z gór? – Cole ochoczo podrywa się z miejsca. – Sprawdźmy, może je tu mają. Hej, Abigail!

Podbiega truchtem do dziewczyny układającej książki – to ta, która w Halloween była przebrana za sushi – i zaczyna z nią rozmawiać. Na jego słowa Abigail kiwa głową i prowadzi go w jeden z kącików księgarni. Cole wraca stamtąd ze wszystkimi czterema książkami z serii *Dzieci Hypnosa* – to oryginalne wydania w twardych okładkach, trochę wytartych po poprzednim właścicielu.

– Patrzcie tylko – mówi Cole. – Mieli na tyłach sklepu dwie pełne półki.

Wallace bierze do ręki pierwszy z brzegu tom i czyta, co napisano na skrzydełku obwoluty.

– Łowcy sennych koszmarów, tak? – zauważa.

Zamyka książkę i przygląda się jej okładce. Widać na niej ozdobną ilustrację: młot bojowy z wyrytym na nim symbolem Hypnosa, zamkniętym okiem.

Biorę do ręki drugi tom. Na okładce tego widnieje dwuręczny miecz.

– Tak! Założenie jest takie, że sny i koszmary, kiedy są dość silne, mogą się zmaterializować, więc potrzebni są odpowiedni ludzie, łowcy snów, żeby odsyłać je z powrotem do świata marzeń. Mamy świat alternatywny, Ziemię, na której cały system polowania na koszmary jest osadzony w społeczeństwie; jest rząd państwa Hypnos, a łowcy snów to tacy jakby agenci specjalni, silniejsi i szybsi od reszty ludzi, tylko żyją krócej i rzadko kiedy śpią. Chodzą też z taką czaderską bronią, jak widzicie na okładkach; konstruuje ją z materii snów, a ona odpowiada ich indywidualnym osobowościom. Aha, a mój ulubiony bohater – no dobra, mam wielu ulubionych, ale ten najulubieńszy – nigdy nie zasypia, bo światem jego snów jest pracownia Frankensteina, a jego koszmary to olbrzymie jadowite potwory.

Wallace otwiera pierwszy tom serii, zabierając się do czytania. Cole i Czandra wpatrują się we mnie.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś powiedziała tyle słów naraz – zauważa Czandra.

Garbię się odrobinę na swoim miejscu, szarpiąc za przód bluzy od dresu, żeby złapać trochę powietrza. O *Dzieciach Hypnosa* rozmawiałam dotąd tylko z innymi fanami i tylko w necie. Nigdy z nikim w realu. Nie miałam pojęcia, że tak się to ze mnie wyleje.

– Idę je kupić – ogłasza Wallace i z portfelem w garści zanoszą stertę książek do kasy.

Kiedy jest zajęty płaceniem, Cole pyta Czandrę, nad czym teraz pracuje,

a ona pokazuje nam rysunek z *Morza Potwornego*, na którym Damien i Rory z zapalem się obściskują. Cole marszczy brwi.

– Co się tak uparłaś rysować mojego ulubionego bohatera w gejowskich kontekstach? – narzeka.

Czandra wywraca oczami i zaczyna wyliczać wszystkie sytuacje w komiksie, które zawierały bardzo kanoniczne podteksty legitymizujące fanowskie teorie o homoseksualnej relacji między Damienem i Rorym.

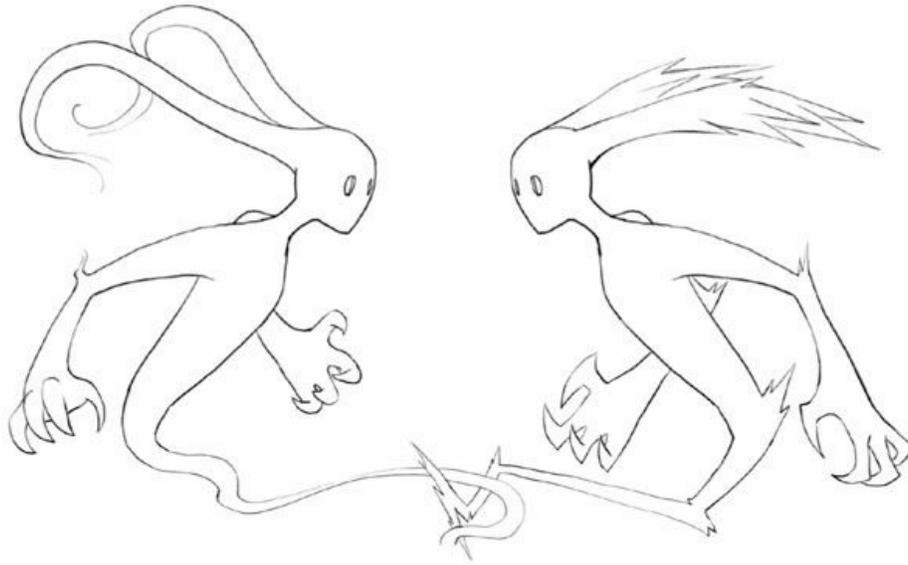
– Wiadomo już, że Damien to biseks, próbowałam shipować go z Amity, ale ten statek poszedł na dno w sierpniu, kiedy to LadyKonstelacja oświadczyła, że nic z tego nie będzie, poza tym Damien bez przerwy rzuca Rory’emu znaczące spojrzenia. A gdyby nawet to nie były uzasadnione przesłanki – dodaje – to przez bycie gejami nie stają się nagle innymi ludźmi. To nadal te same postaci. Przestań jęczeć.

Uwielbiam, kiedy angażują się w takie dyskusje. Kanon kontra fanon, jak ich zdaniem powinna potoczyć się fabuła, jak powinna się skończyć, które postaci są najlepsze, w których miejscach najbardziej chcieliby zamieszkać. To jak czytanie komentarzy bez udziału trolli – natychmiastowe opinie od tych czytelników, którzy naprawdę lubią mój komiks i są aktywnymi członkami fandomu.

Wallace wraca z książkami i znów odcina mnie w boksie od reszty świata. Opieram się plecami o ścianę i cofam nieco, podciągając stopy na siedzenie. Palcami nóg muskam udo Wallace’a. Zaczynam cofać stopy, kiedy chłopak opuszcza dłoń i opiera ją na moich butach w okolicy sznurówek. Ciepło jego ciała momentalnie promieniuje mi na kostkę, całą nogę, rozpuszcza mi coś w żołądku. Wallace nawet nie patrzy przy tym na moją nogę, tak jak nie oglądał się na mnie, kiedy w Halloween chwycił mnie za rękę. Kiedy w chwilę później uwalnia moją stopę, jest tak, jakby dotknięcie jej nie było z jego strony niczym szczególnym. Zdażył już wrócić do czytania pierwszego

tomu *Dzieci Hypnosa*. Cole i Czandra nawet nie widzą, że cokolwiek się stało. Nikt nie widzi, że cokolwiek się stało. Sam Wallace zachowuje się, jakby tego nie dostrzegł.

To tylko ja. Ten ucisk, który czuję w piersi, to tylko ja.



Za jej plecami stanął Sato. Jak zawsze wyciągnął dłoń i jak zawsze Amity nie podała mu swojej. Nokturnianie nie podawali rąk; samo spojrzenie komuś w oczy uchodziło wśród nich za wystarczająco stosowne powitanie. Sato oczywiście to wiedział, więc z uśmiechem opuścił rękę.

– Czy gdzie indziej jest ktoś taki jak ja? – zapytała Amity.

Sato usiadł naprzeciw niej, prostując plecy i składając dłonie na kolanach. Miał na sobie biało-zielony mundur Sojuszu z dystynkcjami pułkownika – małymi złotymi szablami – wpiętymi w epolety.

– Szczerze powiedziawszy, dziwię się, że pytasz dopiero teraz.

– Czy opowieści mówią prawdę? Że on grasuje gdzieś, mordując ludzi i zniewalając ich mocą Stracha na Wróble, i tylko ja jestem w stanie go powstrzymać? Sato przez chwilę zastanawiał się, po czym rzekł:

– O ile nam wiadomo, na Orkusie nie ma innych istot podobnych do Stracha na Wróble i Strażnika. Ty i Faust jesteście jedyni w swoim rodzaju. Sama doświadczyłaś, jak wielkie są zdolności Strażnika do samouzdrawiania. Są one bezwiedne jak oddychanie, a w ciągu całych lat obserwowania Fausta nie wykryliśmy nic, co by je ograniczało. Na podstawie zebranych relacji, pochodzących od innych Nokturnian i jednego z naszych informatorów, wysnuliśmy teorię – i jest to najlepsza teoria, jaką mamy – że tylko żywiele obu istot są zdolni do zadania sobie nawzajem śmiertelnych ran.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

22:11 – 9 gru 16

zaklinacz_deszczu: Nie sądziłem, że to są książki o depresji.

MirkerLurker: ??

zaklinacz_deszczu: Dzieci Hypnosa. Właśnie zacząłem drugi tom.

MirkerLurker: O depresji? Chyba minęło więcej czasu, niż myślałam, odkąd czytałam je ostatnio.

zaklinacz_deszczu: Cała fabuła to tak naprawdę historia walki Emery z depresją. Z depresją walczą wszyscy łowcy snów - żyją krótko, nie śpią i cały czas tylko zabijają koszmary innych ludzi, bo obowiązkowość i zaangażowanie w pracę to wszystko, co mają. Twoja ulubiona postać to Klaus, prawda? Nikt nie ma większej depresji od niego.

MirkerLurker: Och. No fakt, rany, nigdy tego nie zauważyłam. To źle? Przepraszam, nie chciałam polecać ci serii książek o depresji.

zaklinacz_deszczu: Tak naprawdę bardzo mi się podobają. Wszystkie inne książki o depresji, jakie czytałam, dzieją się współcześnie, a na końcu główny bohater decyduje, czy ma popełnić samobójstwo. A te mi się podobają. Z nimi jest jak z Morzem Potwornym. Opowiadają o tym poczuciu, że jesteś nie na swoim miejscu i walczysz z siłami, których nie umiesz powstrzymać, i że na świecie są potwory, ale te najgorsze przeważnie żyją w nas samych. Podobają mi się takie historie, bo nie są zbyt oczywiste. Jest w nich więcej do lubienia niż tylko to, czego chcą człowieka nauczyć. Rozumiesz?

zaklinacz_deszczu: Przepraszam. Nie chciałem popadać aż w taką powagę.

MirkerLurker: Daj spokój, to nic takiego! Po prostu rozważasz fabuły dużo wnikliwiej niż ja.

zaklinacz_deszczu: A sama dlaczego je czytasz?

MirkerLurker: Pewnie z powodu postaci. Co do Morza Potwornego, też zawsze myślałam, że wszyscy czytają je z powodu postaci.

zaklinacz_deszczu: Masz na myśli shipowanie?

MirkerLurker: Nie, nie shipowanie - to też jest zabawne, i sama bez przerwy to robię, ale... chodzi mi o postaci same w sobie. Wszystkie te trudności, jakie muszą przezwyciężać, a kiedy któreś z nich naprawdę lubimy, także to, w jakim stopniu wpływają na nasze własne życie. Kiedy postaci są dobre, sprawiają, że zaczyna człowiekowi zależeć na wszystkim innym. Dlatego je rysuję. To pewnie głupio zabrzmie, ale są dla mnie jak żywi ludzie. A to pewnie zabrzmie jeszcze głupiej, ale czasami lubię je bardziej niż żywych ludzi. Z postaciami mogę się identyfikować. Z żywymi ludźmi jest trudniej.

zaklinacz_deszczu: Bo nie da się ich scharakteryzować przez ewolucję postaci.

MirkerLurker: No właśnie, o to chodzi.

zaklinacz_deszczu: Lubię postaci, ale lubię też znaczenie danej historii. Podoba mi się, jak wszystko się ze sobą łączy. Postaci ze znaczeniem.

MirkerLurker: No, to pewnie jesteś wielkim fanem dobrych zakończeń. Kiedy wszystko ładnie się wyjaśnia i finalizuje.

zaklinacz_deszczu: Ha ha, dobrych zakończeń, pewnie. Mam nadzieję, że Dzieci Hypnosa mają dobre zakończenie.

MirkerLurker: Hm.



Wallace kończy czytać cykl *Dzieci Hypnosa* drugiego dnia ferii zimowych. Orientuję się, kiedy dostaję od niego esemesa:

MUSZĘ ZARAZ Z TOBĄ POGADAĆ JESTEŚ ZAJĘTA

Leżę na łóżku wtulona w Davy'ego jak w ogromną poduszkę, oglądając powtórkowe odcinki *Kanikuły*. Więc odpowiadam mu, że nie, nic nie robię, ale rano, na dworze jest za zimno, żeby wyjść, a w pokoju mam ciepłutko. Wallace pisze, że spoko, przyjedzie do mnie.

Co znaczy, że odwiedzi mnie w domu.

Odwiedzi mnie w domu za moment.

Wypadam z łóżka, co sprawia, że mocno przestraszony Davy też z niego spada. Potem rzucam się odłączyć od komputera swój tablet graficzny. Jest za drogi jak na zwykłą licealistkę, a przy tym zbyt zaawansowany technicznie jak na kogoś, kto tylko rysuje fan arty i nawet nie wrzuca ich do netu. Niestety jest też za duży, żeby dać się upchnąć w szufladzie, a pod łóżkiem mam strefę działań wojennych zabawek z dzieciństwa. Odkładam go ostrożnie w rogu szafy i zakrywam starymi bluzami od dresu.

Potem lustruję wzrokiem pulpit komputera i upewniam się, że nigdzie na

wierzchu nie ma żadnych otwartych plansz *Morza Potwornego*. Na forach wylogowuję się z konta LadyKonstelacji i loguję się na nowo jako MirkerLurker. Zrywam z monitora wszystkie kolorowe notatki na temat plansz, które mam zamiar zrobić, i wątków, które planuję wpleść do fabuły, po czym dorzucam je do tabletu w szafie. Davy włączy z powrotem na łóżko i patrzy na mnie pytająco, jakby chciał wiedzieć, kiedy w rękę znów poprzytulać go jak wypchanego pluszaka.

Otwieram na oścież drzwi pokoju i pędzę na dół.

– Mamo.

– Co, kotku? – pyta mama. Jest w pokoju dziennym, ćwicząc tak zwany plank, czyli deskę, i równocześnie przeglądając katalog z próbkami dywanów. Określa takie połączenia czynności jako „aerobik wnętrzarski” i jest w nim mistrzynią. Kiedyś przemeblowała całą kuchnię, równocześnie podciągając się na drążku wmontowanym w ościeżnicy wejścia przedpokoju.

– Nie robimy dzisiaj nic specjalnego, prawda?

– Sully i Church mają później trening. Będziesz mogła ich zawieźć czy coś się zmieniło?

Tak jakbym miała jakiś wybór.

– Ja... no... a o której?

– O czwartej. A co? – Wreszcie podnosi wzrok. – Coś jeszcze się dzisiaj dzieje?

– Ee... Czy Wallace może do nas zajrzeć?

Mama w sekundę podrywa się i staje w drzwiach. W oczach ma radosne podniecenie, choć może to tylko skutek aktywności fizycznej.

– Oczywiście. Zostanie na drugie śniadanie? Mogę zrobić drugie śniadanie. Posiedzicie u ciebie w pokoju?

– Ja... sama nie wiem.

– Już tu jedzie? Zostajesz w tym ubraniu?

Opuszczam wzrok. Mam na sobie za duży o jakieś pięć numerów T-shirt jednej ze szkolnych drużyn bejsbolowych trenowanych przez tatę, złachane dresy Harlem Globetrotters podwinięte pod kolanami oraz moje najgrubsze i najcieplejsze skarpety. Wyglądają, jakby były zrobione z futra Wookieeego.

– I chyba dobrze byłoby wziąć prysznic, nie uważasz? – dodaje mama. – Włosy masz trochę przetłuszczone.

Wolałabym, żeby mi tego nie wypominała, ale niestety ma rację. Pędzę na górę, zamykam się w łazience i wskakuję pod prysznic. Nie wiem, gdzie Wallace mieszka, ale zwykle przyjazd zajmuje mu piętnaście minut. Dziesięć z nich już zużyłam, prysznic zabiera mi pięć, a kiedy zawijam włosy w ręcznik i zakładam nieco lepiej dopasowane dresy i T-shirt, rozlega się dzwonek do drzwi.

– Elizo! Jest już Wallace!

Wbijam się z powrotem w skarpety z Wookieeego, a kiedy docieram do szczytu schodów, mama właśnie wpuszcza Wallace'a do domu frontowymi drzwiami.

– Cześć – mówi do niego swoim zwykłym głosem, podając mu rękę. – Jak miło cię w końcu poznać! Jestem mamą Elizy.

Wallace odpowiada jej, ale tak cicho, że nie słyszę, co mówi. Zaskakuje mnie, że w ogóle się do niej odezwał. Mamie chyba to wystarcza, bo odwraca się do mnie i uśmiecha, unosząc brwi.

– Bawcie się dobrze! Zrobię coś na drugie śniadanie.

Znika w kuchni. Wallace spogląda na mnie z dołu. Jest w dżinsach, swetrze i grubej kurtce z brązowego sztruksu. Pod pachą trzyma wszystkie cztery tomy *Dzieci Hypnosa*.

Wskazuję kciukiem przez ramię, w tył.

– Jak chcesz, zapraszam do mnie.

Wallace rusza po schodach. Przypominam sobie, że na włosach nadal mam

ręcznik, więc zdzieram go jednym ruchem i ciskam z powrotem do łazienki. Równie dobrze mogę zacząć promować styl podtopionego szczura, bo lepiej już dzisiaj wyglądać nie będę. Przynajmniej pachnę ładnie.

Wallace staje przy mnie, unosi w górę czwarty tom *Dzieci Hypnosa* – ten z toporem bojowym na okładce – i mówi cicho:

– To chyba jakiś żart.

– No – konstatuje. – Trochę się martwiłam, że tak będzie. Dobra, wchodź...

Wprowadzam go do pokoju. Davy siada na łóżku i zaczyna łomotać ogonem w ścianę.

– Masz psa? – Wallace zapomina o książkach i staje przy Davym, żeby ten go obwąchał. W ułamek sekundy później obaj już tulą się do siebie na łóżku, przy czym Davy ze wszystkich sił próbuje wspiąć się Wallace’owi na kolana.

Rozglądam się szybko po pokoju, upewniając się, że o niczym nie zapomniałam. Wszędzie wokół leży masa rzeczy związanych z *Morzem Potwornym*, ale wszystko to mogła kupić fanka komiksu. Ściszam telewizor, jednak nie wyłączam go zupełnie – bez wsparcia ze strony *Kanikuły* nie poradzę sobie z obecnością Wallace’a w mojej sypialni.

– To Davy. Jak zacznie ci przeszkadzać, zepchnij go na podłogę.

– Davy? – Wallace pozwala psisku lizać się po twarzy. – Tak samo jak Davy, potwór morski Dallasa?

Szlag.

– Ha, tak, właśnie tak samo. Pozwolili mi wymyślić dla niego imię. – Kłamstwo. To tsunamnika nazwałam Davym na cześć psa, a nie odwrotnie. Pies Davy jest wielki, biały i wesoły. Tsunamnik Davy mógłby bez trudu zrównać z ziemią większość miast, kiedy zrzuca sierść, ludzie biorą jej kłaki za góry lodowe, ma długą szyję i małą główkę z dwojgiem koralikowych oczu i wiecznie bezmyślnym uśmiechem. Davy potwór

narodził się, kiedy byłam bardzo mała, a Davy pies wydawał mi się olbrzymem.

Wallace rozgląda się po pokoju, przypatrując się wystrojowi.

– A to co?

Wskazuje Pana Ciachowskiego, który zdążył już zwiedzić wszystkie ściany mojej sypialni, by ostatecznie wylądować nad monitorem. Nie ma już jednego papierowego oka, które mu odpadło i zaginęło z kretesem w kratce podłogowej wentylacji.

– Zrobiła to dla mnie jedna znajoma z netu. To taki jakby dowcip.

– Dobra, już nie pytam.

– A więc... *Dzieci Hypnosa*. Domyślam się, że właśnie skończyłaś czytać.

Wallace obrzuca mnie spojrzeniem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Nie licząc tego w lustrze po każdym, kurde, doczytaniu do końca *Dzieci Hypnosa*. Na moim łóżku siedzi chłopak o posturze futbolisty, na kolana próbuje mu się wcisnąć wielki, wesoły pies, tymczasem gość kipi złością z powodu jakiegoś cyklu powieściowego.

– Jakim cudem nie ma piątego tomu? – pyta. – Jak to może kończyć się w takim momencie? I jak to możliwe, że nikt nie wie, dlaczego naprawdę autorka przestała pisać?

Sadowię się na krześle przy biurku.

– Witaj w klubie bóleści znanym jako fandom *Dzieci Hypnosa*.

– No, ale co się z nimi wszystkimi stanie? Z Emery? Z Wesem? Czy Klaus i Marcia kiedykolwiek do siebie wrócą? Czy Trevor van der Gelt zatraci się w swoim sobowtórze? Czy Ridley wróci? Czy kiedykolwiek odnajdą Hypnosa?

Wzruszam ramionami.

– A autorka? – Wallace otwiera jedną z książek na tylnym skrzydełku okładki, ze zdjęciem Olivii Kane. – Ona też nie wie? Co prawda nigdy nie

napisała, co dalej, ale czy nie mogła powiedzieć fanom, co się miało zdarzyć? Coś chyba musiała powiedzieć.

– Możesz mi wierzyć, uwielbiam te książki, odkąd skończyłam dwanaście lat. Szukałam wszędzie. Olivia Kane to faktycznie stuprocentowy odludek, z nikim się nie kontaktuje. Nie pojawiła się w żadnym medium publicznym od czterech lat.

– Ale...

– Sam słyszałeś, co mówili Cole i Czandra. Prawie każdy uważa, że zwariowała. Może i tak, bo skąd niby mamy wiedzieć, że nie. Z powodu stresu z ludźmi dzieją się różne dziwne rzeczy.

Wallace opiera się plecami o ścianę, zrezygnowany.

– Nigdy w moim życiu fana nie trafiło mi się większe rozczarowanie. Nie możemy, no nie wiem... napisać do niej listu czy coś?

– Naprawdę się tym przejąłeś, co?

Wallace przesuwa dłońmi po sierści Davy'ego. Między brwiami tworzy mu się głęboka zmarszczka.

– Sam nie wiem, po prostu... jak ona może to tak zostawić? W piątym tomie tyle rzeczy miało się wyjaśnić. Czy wszyscy zginą? Czy Hypnos zbudzi się i zresetuje cały świat? Emery próbowała uporać się ze swoim poczuciem winy i z depresją; co się z nią stanie?

Przyciągam kolana do piersi i obserwuję go. Głaszcze Davy'ego, który radośnie przewraca się na grzbiet. Wallace rzuca okiem na stertę książek, po czym skupia wzrok gdzieś w okolicy moich stóp.

– Jest na ten temat mnóstwo fanfików – mówię. – A przynajmniej było, zanim fani rozpierzchli się po świecie. Ludzie napisali własne wersje ostatniego tomu. Niektóre są całkiem niezłe.

Kręci głową.

– To nie wystarczy. Czemu przestała pisać?

– Tego nie wie nikt. Moim zdaniem nie wytrzymała presji.

– No, to chyba nie mogę się za bardzo wściekać.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Jak można się wściekać, że coś się nie stało, gdyby miało to kogoś skrzywdzić? Jeśli musiała przestać dla własnego zdrowia psychicznego, to dobrze, że to zrobiła. Nikt nie powinien wypruwać sobie żył z powodu własnej twórczości. Nieważne, ilu ma fanów.

W tym momencie dopada mnie bardzo intensywne pragnienie, by go uściskać. Może nawet pocałować. Choć co do całowania, jeszcze się waham.

– Wątpię, by wiele osób zgodziło się z tobą w tej kwestii.

– Niestety – zauważa. Potem patrzy w stronę półek u szczytu łóżka, pełnych różnych wydań *Dzieci Hypnosa*, i uśmiecha się. – Podoba mi się u ciebie – dodaje. – Twój dom jest większy i jest w nim ciszej niż w moim.

– Kiedy Church i Sully są w domu, przestaje być cicho, możesz mi wierzyć. À propos, musisz wrócić do siebie na konkretną godzinę? Bo o czwartej muszę zawieźć ich na trening, więc może chcesz się przyłączyć i ze mną posiedzieć.

– No pewnie.

Teraz już oboje się uśmiechamy.

Mama woła nas na drugie śniadanie. Spodziewam się, że będę musiała ściągać Davy’ego z kolan Wallace’a, tymczasem chłopak podnosi wielkie psisko i odstawia je na podłogę. Davy nie przestaje przy tym ani na chwilę merdać ogonem. Patrzę na to w osłupieniu.

– No co? – dziwi się Wallace.

– Nie uprawiasz futbolu amerykańskiego? Bo chyba powinienes.

– Lubię oglądać futbol. Czy to się liczy?

– Właśnie podniosłeś sześćdziesięciokilowego pirenejczyka, jakby był ze

styropianu.

Wallace rozkłada szeroko ręce.

– Chcesz spróbować?

– Ee... Może innym razem.

Ważę pewnie o dobre dziesięć kilo mniej niż Davy, ale nie pozwalam się nikomu podnosić, odkąd chłopaki w szkole zaczęli się ze mnie nabijać na wuefie, udając, że nie mogą oderwać mi nóg od ziemi. To było w pierwszej licealnej, kiedy byłam jeszcze Elizą Upiornym Chudzielcem, a nie Elizą Upiornym Straszylłem Nie Dotykać Bo Grozi Wścieklizną.

Ale w sumie miło, że Wallace zapytał.

* * *

Mama robi nam kanapki z masłem orzechowym i dżemem, do tego pokrojone jabłko, czyli drugie śniadanie w rodzaju tych, które daje się do szkoły pierwszacom. Umieram ze zgrozy, ale Wallace zaczyna jeść i komentuje, że to „najlepsze, kurczę pieczone, kanapki z masłem orzechowym i dżemem”, jakie jadł w życiu, więc mama rozpromienia się z radości, jakby stanęła na podium. W tym momencie dochodzę do wniosku, że Wallace albo jest najmniej wybrednym konsumentem na świecie, albo chodzi przez cały czas taki głodny, że wszystko zawsze smakuje mu fantastycznie.

Kiedy wracamy do mojego pokoju, Wallace rozsiada się w tym samym miejscu co wcześniej. Między nim i szczytem łóżka jest mnóstwo przestrzeni. A przecież zdarzało nam się już siadać równie blisko. Siedzimy tak bez przerwy „U Murphy’ego”, a także na ławce na tyłach gimnazjum. Co prawda wokół tamtego boksu i ławki jest otwarta przestrzeń, a tu wcale, zwłaszcza teraz, kiedy drzwi są zamknięte, ale to bez znaczenia, no nie? Ze wszystkich sił starając się opanować rozkołatane serce, ostrożnie lokuję się obok

Wallace'a. Nie odzywa się słowem, ale obserwuje mnie, póki się nie usadowię.

– Powtórki *Kanikuły*, co? – komentuje.

– Aha. Co ty na to?

– Tej soap opery dla nastolatków nie przebije żadna inna.

– Świetna odpowiedź.

Tak oto przystępujemy do oglądania starych odcinków *Kanikuły*. Najlepsze w tym serialu jest to, że wymaga od widza niewiele energii. Nie trzeba nawet myśleć, wystarczy tylko patrzeć, jak różne postaci podejmują fatalne decyzje w samym środku lata. Dziwi mnie trochę, że *Kanikuła* podoba się Wallace'owi, wzięwszy pod uwagę, jak bardzo docenia głębsze znaczenia w czytanych i pisanych przez siebie fabułach, ale może wszystkim nam potrzeba od czasu do czasu czegoś nieco odmóżdżającego.

Koncentruję całą siłę woli na tym, by się wyluzować: wyciągam przed siebie nogi, próbując nie mieć miny, jakbym się bała, że lada chwila Wallace zacznie mnie dusić. Włosy w końcu zaczynają mi schnąć – żeby się tylko nie nastroszyły! – a na razie w rozmowie nie padła żadna wzmianka ani o moich dresach, ani o skarpetach z Wookieego. W sumie więc idzie nam chyba całkiem nieźle.

W pewnej chwili Wallace wstaje, żeby rozprostować nogi, i kiedy znowu siada, znajduje się na tyle blisko, że czuję ciepło bijące od jego ciała. Siedzimy sobie ramię w ramię. Kiedy mruga, widzę, jak jego rzęsy muskają policzek. Włosy chłopaka z dala zawsze sprawiają wrażenie czarnych, ale z tak bliska widać, że są naprawdę ciemnokasztanowe. Ostatnio zaczął je zapuszczać. Nachodzi mnie superdziwna chęć, by obwieść palcem jego kształtne ucho.

Po czwartym z rzędu odcinku Wallace pyta:

– Masz może kartkę? Chciałbym coś napisać.

Podrywam się o wiele za szybko.

– Pewnie. Tylko jedną? A masz...? Nie, no jasne, potrzebujesz czegoś do pisania. Sorry. Trzymaj. – Wyciągam z szuflady w biurku i podaję mu kartkę oraz jeden z miliona moich ołówków, a on zaczyna pisać, używając jako twardej podkładki pierwszego tomu *Dzieci Hypnosa*. Kiedy nabieram pewności, że pisze coś do mnie, żebym to zaraz przeczytała, dodaję: – Myślałam, że robisz tak tylko w obecności innych osób.

Kaligrafuje litery starannie, kreska po kresce. Marszczy brwi, kręci głową.

– Czasami... trudno coś powiedzieć. Niektóre rzeczy. – Jego głos jest teraz ledwie słyszalnym szeptem.

Znów siadam obok niego, ale wielką dłonią zasłania pisane wyrazy. Gdy kończy, nie dotyka kartki i wbija w nią wzrok.

Dopiero potem wręcza mi ją, odwracając oczy.

Mogę cię pocałować?

„Hm” to takie cudownie złożone słowo. „Hm” znaczy: „Chciałabym coś powiedzieć, ale nie jestem pewna, co”, a także: „Zupełnie mnie zaskoczyłeś”, jak również: „Czy ja śnię? Niech mnie ktoś walnie z liścia”.

Mówię więc:

– Hm.

Cały kark Wallace’a jest już pąsowy, ale po moim „hm” ciemnieje o jeszcze kilka odcieni – jasny gwint, denerwował się już samym pytaniem, a ja tylko pogorszyłam sprawę. I po co było to „hm”, skoro powinnam była powiedzieć „TAK PROSZĘ NATYCHMIAST”? Tyle że teraz nie ma szans, żebym powiedziała „TAK PROSZĘ NATYCHMIAST”, bo mam wrażenie, że całe moje ciało jest jedną wielką tykającą bombą zegarową i jeśli Wallace choćby muśnie moją dłoń, wyskoczę ze skóry i z wrzaskiem wybiegnę z domu.

Za bardzo mi się to spodoba. I będzie poza moją kontrolą. Nic z tego.

Mówię:

– Dasz ołówek?

Podaje mi go, wciąż nie podnosząc wzroku.

Tak, ale nie teraz.

Wiem, że to brzmi dziwnie. Sorry. Wydaje mi się, że to nie wyjdzie, jeśli będę wiedziała z góry. Na bank coś mi odbije i walnę cię w twarz albo zacznę wrzeszczeć, albo coś w tym stylu.

Pewnie lepiej by było, gdybyś mnie zaskoczył. Daję ci pozwolenie na pocałunek z zaskoczenia. Niniejszym przekazuję oficjalne zaproszenie do pocałunków zniecka.

Nie podoba mi się pisanie słowa „pocałunek”. Skóra mi od tego cierpnie.

Sorry. To pokręcone. Ja jestem pokręcona. Sorry.

Mam nadzieję, że teraz nie pożałujesz, że zapytałeś.

Wręczam mu papier i ołówek. Czyta wszystko do końca, a potem pisze:

Nie żałuję. Zniecka też potrafię.

I tyle. I tyle?

Cholera.

Teraz będzie próbował pocałunku zniecka. W którymś momencie. Dzisiaj, tylko później? Jutro? Za tydzień? A jeśli nigdy tego nie zrobi, a ja resztę czasu, który będziemy spędzać razem, stracę na zastanawianie się, czy to nastąpi? Co ja narobiłam? To był fatalny pomysł.

Chyba się porzygam.

– Zaraz wracam – oznajmiam, po czym biegnę do łazienki i zwijam się w kłębek na podłodze. Tylko na jakieś pięć minut.

Potem powracam do mojego pokoju i siadam przy Wallasie. Kiedy wsuwam się na swoje miejsce, nakrywa moją dłoń ręką, a ja jakoś nie wyskakuję ze skóry. Na chwilę jakby tracę kontrolę, ale poddaję się temu jak samochód w poślizgu i wszystko się uspokaja. Odwracam dłoń ku niemu.

Wallace rozluźnia palce, żebym mogła pomiędzy nie wsunąć swoje. I tak siedzimy sobie ramię przy ramieniu, z dłońmi spoczywającymi na łóżku między nami.

 Nie jest źle.



Za piętnaście czwarta trzymam już dłoń Wallace'a śmiało na kolanach, myśląc o tym, że zdecydowanie trzeba było pozwolić mu się pocałować. Problem stanowi zawsze pierwsza przeszkoda – odezwanie się, złapanie za rękę czy coś w tym stylu – a gdy tylko się do czegoś przyzwyczajam, gdy tylko orientuję się, że wszystko jest w porządku, chcę więcej. Zgodnie z logiką powinnam rozumieć, że będę musiała w którymś momencie po wyjściu z pokoju puścić rękę Wallace'a, jeśli nie po to, by móc poprowadzić samochód, to przynajmniej po to, aby ukryć się z tym przed mamą. Ale logika akurat gdzieś poszła, a mnie jest wszystko jedno.

Przyciskając sobie dłoń Wallace'a do brzucha, drugą rękę kładę mu na nadgarstku i przytrzymuję go w ten sposób. Teraz siedzimy już zupełnie oparci o siebie nawzajem. Trącam go w stopę moją skarpetą z Wookieego. Odpowiada mi podobnym trąceniem. To już coś. Robimy razem coś. Nie muszę się zastanawiać, czy to w porządku, bo to absolutnie w porządku. Wallace nie ma nic przeciw temu. Biorę wdech i opieram głowę na jego ramieniu. Trąca policzkiem moje włosy. Chichoczę. Trąca mocniej.

Nigdy w życiu nie czułam się bardziej świadoma swego ciała. Tego, jak

się porusza. Tego, ile zajmuje przestrzeni. To ani nic dobrego, ani złego, po prostu coś innego: konieczność wyjścia poza świat umysłu i eksploracji dziwnego, tajemniczego świata fizyczności. Palce Wallace'a drgają w moich palcach, na moim brzuchu, co wywołuje u mnie kolejną falę mimowolnych chichotków. Całe szczęście, że mocno trzymam go za rękę; sama nie wiem ani nie umiem sobie nawet wyobrazić, jak mogłoby zareagować moje ciało, gdyby dotknął mnie gdziekolwiek indziej.

– Och, kurteczka – mówię, kiedy w końcu znów rzucam okiem na budzik.
– Już prawie czwarta. Chłopaki muszą być na miejscu przed wpół do piątej.

Odpycham się od łóżka i próbuję wstać, oczekując, że Wallace ruszy się razem ze mną albo przynajmniej puści moją rękę. Nic z tego. Jego uścisk szarpie mną wstecz. Siedzi przygarbiony, oparty o ścianę, uśmiecha się tym swoim nieznacznym uśmieszkiem i nie chce mnie puścić.

– No chodź. – Śmieję się, próbując go podnieść. – Musimy iść.

Pozwala mi użyć jako przeciwwagi całej masy mojego ciała. Kończy się tym, że prawie siadam na podłodze, a on nadal ani drgnie. Napina mięśnie ręki, po czym podrywa mnie z ziemi i z powrotem ląduję na łóżku. Ze śmiechem.

– No, ale serio!

– Dobrze już, dobrze. – Puszczam mnie.

– Muszę się jeszcze przebrać.

– Poczekam w przedpokoju.

Tak też robi. Przebieram się w swoje najlepiej dopasowane dżinsy i koszulkę wyjątkowo bez żadnego logo. Na nią jednak, rzecz jasna, zakładam bluzę od dresu. Sully i Church czekają już przy drzwiach wyjściowych ze sportowymi torbami w rękach. Wallace zdążył zejść nieśpiesznie po schodach i teraz ucina sobie z nimi pogawędkę. Kiedy ruszam na dół, Sully podnosi ręce i gromi mnie wzrokiem.

– No szybciej, Jajeczko na Miętko! Nie będziemy czekać do wieczora!

– Stul dziób.

Sully i Church pakują swoje patykowate ciała na tylne siedzenie samochodu, żeby Wallace mógł usiąść na przednim.

– Tylko bez żadnych figli-migli tam z przodu – rzuca Sully.

– Właśnie – dodaje Church. – Jak zobaczę, że czyjaś ręka wychyla się za bardzo za fotel, dostanie po palcach.

– Po palcach? – dziwi się Sully. – Jak ja zobaczę, że czyjaś ręka wychyla się za bardzo za fotel, to ją odrąbię i spalę.

– Zamknijcie się obaj.

Liczę z całego serca, że włosy zasłaniają mi rumieńce na policzkach. Nie zamierzam wdawać się z braćmi w kłótnię na temat ich głupich, niewyparzonych gąb, kiedy jest przy tym Wallace. Ustawiam radio na jedną z tych beznadziejnych stacji grających alternatywnego rocka, za którymi obaj tak przepadają, i wkrótce zapominają o naszym istnieniu.

* * *

Podczas dwu godzin treningu Sally’ego i Churcha spacerujemy z Wallace’em wokół centrum sportu. Jest na tyle pusto, że chłopak nie ma problemu z rozmawianiem, choć mówi ciszej niż wcześniej. Nie trzymamy się za ręce, ale Wallace co chwila kostkami palców stuka w moją dłoń, jakby próbował przesłać mi jakąś wiadomość alfabetem Morse’a.

– Moja siostra też tu przychodzi – odzywa się. – Na tenisa.

– Ta młodsza czy ta starsza?

– O, ta młodsza, zdecydowanie. Jedyne ćwiczenia fizyczne, jakie toleruje Bren, to zabawy z psami na kursach posłuszeństwa. Za to Lucy uwielbia tenisa. I koszykówkę. I większość sportów.

– Masz chyba fajną rodzinę.

– Lubię ich. Chcieliby cię poznać.

– Czy to jakiś etap? Poznajemy nawzajem swoich bliskich?

Wzrusza ramionami.

– Tylko jeśli zechcesz.

– Czy ja wiem. Chyba tak byłoby sprawiedliwie. Ty byłeś już narażony na kontakt z moimi.

– Nie lubisz swojej rodziny?

Tym razem ja wzruszam ramionami.

– To pokręcone. No bo przecież wiem, że mnie kochają, i wiem też, że nie mam na co się skarżyć, ale zawsze starają się namówić mnie do robienia rzeczy, na które nie mam ochoty. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżamy, mama z tatą próbują mnie przekonać, żebym zgłosiła się na kolejne zajęcia sportowe albo do szkolnej drużyny. Jeśli mam w ręce komórkę i rozmawiam z tobą albo znajomymi z netu, uważają, że ich ignoruję albo jestem niegrzeczna czy coś. A przecież nie, jestem w środku rozmowy. Gdybyś zobaczył, że dwoje ludzi rozmawia ze sobą twarzą w twarz, nie przerywałbyś im chyba, mówiąc, że zachowują się niegrzecznie, prawda?

– Nie, no skąd.

– No właśnie. Zdaję sobie sprawę, że to wygadywane przez nastolatków komunały, że rodzice tego nie czają, ale tak jest, oni tego nie czają. To nie ich wina, że urodzili się dwie i pół dekady przede mną, ale czy zabiłoby ich, gdyby zapytali mnie, co robię na komórce, zamiast z góry zakładać, że to coś bez sensu?

– Może się boją, że jak zapytają, co robisz, to na nich naskoczysz – sugeruje Wallace.

Już otwieram usta, żeby zaprzeczyć, gdy uświadamiam sobie, że właściwie to zdarzało mi się tak zareagować na ich pytanie.

– Twój też cię tak nagabują? – pytam.

– Czasami. Już nie tak często jak kiedyś. Teraz... to już przeszłość, są między nami inne kwestie. – Zanim zdążę zapytać jakie, sam pyta: – Dlaczego brat powiedział do ciebie „Jajeczko na Miętko”?

– Bo na śniadania jadam jajka na twardo. Tato mówi do mnie „Jajeczko”, a Sully i Church po prostu dokładają do tego, co tam kulinarnego wpadnie im do głowy w danym dniu.

– Sympatycznie.

– Chyba obaj mnie nie znoszą.

Musiało to zabrzmieć poważnie, bo Wallace wygląda, jakby się autentycznie przejął.

– Dlaczego?

Szuram nogami po ziemi ze wzrokiem utkwionym w wytarte najki po mamie.

– Czy ja wiem. Dlatego, że nie staram się spędzać z nimi więcej czasu ani nie angażuję się w ich ulubione zajęcia. Według taty są naprawdę dobrzy w nogę, ale skąd mam to wiedzieć? Kiedy przychodzimy na ich mecze, nigdy nie zwracam uwagi, jak grają.

– No to spędzaj z nimi więcej czasu.

– Ale nie lubię zajmować się tym, co oni, bo oni bez przerwy tylko grają w piłkę. Albo w gry wideo. A ja nie lubię sportu. Poza tym i tak nabijają się ze mnie, że specjalnie gram kiepsko, żeby robić im na złość, więc jaki to ma sens?

– Przecież to oczywiste, że będą się z ciebie nabijać. To gimnazjaliści wychowani w zmuszającym do rywalizacji, wypełnionym testosteronem otoczeniu. Na tym to polega, motywują się psychicznie.

– A ty skąd to wiesz?

– Oglądam programy sportowe dla młodzieży w telewizji. No i kiedy byłem młodszy, grałem w mikrusach, w małej lidze futbolowej.

– Czyli jednak uprawiałeś futbol!

Śmieje się.

– No, kiedy było mnie o jakieś trzy czwarte mniej. Ustawiali mnie na pozycji running backa.

– Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Że naprawdę szybko biegałem.

– Ty? I „szybko”?

– Wiem, wiem. Jedna z wielkich zagadek wszechświata. – Kostkami palców znów stuka mnie w grzbiet dłoni. Przełamuje tym wreszcie mój opór, chwytam i przytrzymuję jego palce. Uśmiecha się i dodaje: – Nie sądzę, żeby bracia cię nie znosili. Chyba po prostu lubicie różne rzeczy. Nie ma w tym nic złego, tak już jest i tyle. Oni zajmują się sportem. Ty sztuką.

Ja zajmuję się *Morzem Potwornym*. Tym się właśnie zajmuję, a wszystko, czego chcę od Sully’ego i Churcha, to żeby nie mówili o tym kolegom ze szkoły. Nie musimy się kumplować. Wystarczy, że będą trzymać gębę na kłódkę. Aż do tej pory nic nikomu nie powiedzieli, czyli chyba choć trochę dociera do nich, jakie to ważne. Więc może Wallace ma rację. Może nie jest tak, że mnie nie znoszą.

– No to gdzie jest twój dom? – pytam, kołysząc swoją i jego ręką. – Zanim się zgodzę poznać twoją rodzinę, muszę cię najpierw jak należy przeświecić Mapami Google.

Znowu się śmieje.



Czas drogi do domu, który zazwyczaj mijał Amity w skupieniu, tym razem wypełniały jej rozgorączkowane i niedające się opanować myśli. Poczucie winy. Skoro jest jedyną istotą mogącą powstrzymać Fausta, czy nie oznacza to, że musi to zrobić? Nawet gdyby miała przez to narazić się na niebezpieczeństwo? Łatwo traktować Fausta teoretycznie, kiedy napęła przerażeniem tylko odległe miejsca, ale co się stanie, pomyślała Amity, jeśli przybędzie na wyspę Nokturn?

Co się stanie, jeśli zamiast kogoś obcego zaatakuje Farena?

MORZE POTWORNE – FORA

PROFIL UŻYTKOWNIKA

zaklinacz_deszczu *

Moderator działu fan fiction



: Nie powiem

: NIE

: MP. Pisanie. Ogniska. Swetry. Spanie do późna. Psy. DZIECI
HYPNOSA JA PIERNICZĘ

Obserwujących: 1 402 834 | Obserwuje: 51 | Postów: 9512 [Oryginalnych prac: 152]

AKTUALNOŚCI

Zobacz wcześniejsze aktualności

24 lis 2016

ŚWIĘTO TARTY Z BATATAMI.

28 lis 2016

Zacząłem lekturę dzieła ludzkiego geniuszu znanego jako Dzieci Hypnosa. Czemu nikt mi nigdy nie powiedział, jaka to fantastyczna seria? Obarczam was wszystkich odpowiedzialnością.

2 gru 2016

Cieszę się, że wszystkim tak się podoba transkrypcja! Następne rozdziały w przygotowaniu. Tymczasem spróbuję wrzucić do netu trochę Kasztanowego błękitu, ale

nic nie mogę obiecać. Poza tym PRZESTAŃCIE PYTAĆ O ŁADNĄ DZIEWCZYNE Z
SZKOŁY. Kurczę.

13 gru 2016

Na dłuższą chwilę się zamykam. Idą testy na koniec semestru, czas się pouczyć. Ale będę
wpadał na fora. #Matmobójstwo

19 gru 2016

W nagrodę za przeżycie testów – czwarty tom DzH. I nie, nieważne, że autorka
ześwirowała. Oby tylko to się dobrze kończyło.

19 gru 2016

Tak, o DzH powiedziała mi Ładna Dziewczyna ze Szkoły. WAM NIE DZIĘKUJĘ,
WYPCHAJCIE SIĘ.

21 gru 2016

Jestem kompletnym wrakiem ludzkim i jest mi z tym już całkiem dobrze.



Zgadzam się poznać rodzinę Wallace'a w piątek przed Bożym Narodzeniem. Na kolacji.

Piorę swoją porządną parę dżinsów, żeby po założeniu były dopasowane jak najciaśniej, a potem rozpychały się w miarę upływu wieczoru, i podbieram mamie jedną z jej bluzek z koronką. Nawet nie próbuję udawać, że przejmuję się, co ludzie w szkole myślą o moich ubraniach, ale skoro Wallace stara się wyglądać porządnie, kiedy przychodzi do mnie, to ja będę wyglądać porządnie u niego.

Przed moim wyjściem mama wręcza mi garść ulotek swojego kursu gimnastyki („Jeśli ktoś z jego bliskich szuka dla siebie nowego planu ćwiczeń, chętnie ich zaproszę. Daj im znać! Albo, jeśli pracują w jakimś miejscu z tablicą ogłoszeń, poproś, niech je wywieszają!”), zaś tata przypomina mi z uśmiechem, że cokolwiek zjem u Wallace'a, wyczerpuje to mój „dzień dziecka”, czyli urlop od diety w tym tygodniu. Moi rodzice mają zwyczaj zakładać, że wszyscy poza naszym domem jadają strasznie niezdrowo. Jakoś zapominają przy tym, że chodzę do państwowego liceum, w którym przez pięć dni w tygodniu obżeram się frytkami.

Sully i Church – na szczęście – próbują właśnie podbić sobie nawzajem oczy przy jakiejś grze wideo w pokoju dziennym, więc nie zauważają, że wychodzę.

Wallace mieszka po drugiej stronie miasteczka w parterowym domu w stylu ranczo z podświetlanym Świętym Mikołajem przed podjazdem, który składa się bardziej z błota niż żwiru. Stoją na nim jeden za drugim dwa samochody, oba co najmniej dziesięcioletnie; ten z tyłu to auto Wallace’a, a w każdym razie to, którym wszędzie jeździ i którym jego siostra odbiera go ze szkoły. Parkuję za nim. Przez firankę w okienku drzwi wejściowych prześwieca ciepłe światło.

Wyciągam komórkę.

MirkerLurker: No więc jestem.

MirkerLurker: Pod jego domem.

MirkerLurker: Zaraz wchodzę.

MirkerLurker: Chyba się porzygam.

Emmy i Max nie reagują. Emmy pojechała na święta do domu, a Max nie pracuje, więc trwamy wszyscy w okresie pewnego zawieszenia, kiedy spędzają online najmniej czasu w roku. W zasadzie nie rozmawiałam z nimi już kilka dni – dobrze, że przynajmniej pamiętałam o wysłaniu im „paczek z darami”. Może przeczytają moje wiadomości, kiedy będę w środku.

Opieram czoło na kierownicy, udając na użytek potencjalnych obserwatorów z wnętrza domu, że robię coś ważnego, liczę do dwudziestu, po czym zmuszam się, żeby wysiąść z auta – ulotki od mamy zostają na przednim siedzeniu – i podchodzę dziarsko do drzwi domu.

Wallace otwiera je po pierwszym stuknięciu. Ma na sobie spodnie od dresu i jeden ze swoich swetrów.

– To naprawdę nie fair – stwierdzam.

Uśmiecha się.

– Wiedziałem, że tak powiesz.

Wnętrze domu wygląda jak wyjęte z lat siedemdziesiątych. Wyłożone boazerią ściany, żółty dywan. Ale jest tu ciepło i przytulnie jak nie wiem co, a z kuchni po prawej dociera do nas zapach smażonego tłuszczu. Ściana po lewej oddziela przedsionek od pokoju dziennego z włączonym telewizorem i korytarza w głębi, wiodącego zapewne do sypialni.

– A więc tak wygląda La Casa Warland, co? – zagajam.

– Raczej La Casa Keeler – odpowiada Wallace. Mówi teraz głośniej niż kiedykolwiek, niemal tak głośno jak Sully i Church, którzy wciąż jeszcze nie nauczyli się, co to znaczy, że w domu „nie są w lesie”. Odbiera ode mnie kurtkę i umieszcza na wieszaku przy wejściu.

Stoję niezręcznie przy drzwiach do pokoju dziennego, aż ktoś za moimi plecami mówi:

– O, to pewnie Eliza?

Podskakuję. Przez salon wielkimi krokami idzie ku mnie czarnoskóra kobieta w średnim wieku, wyciągając do mnie rękę. Jest nieduża, przysadzista, a na twarzy ma uśmiech, na którego widok załamałby się sam szatan. Przyciąga mnie do siebie w uścisku. Spoglądam na Wallace’a.

– Elizo, to moja mama, Vee.

– E tam, złotko, tak naprawdę jestem jego macochą. Żebyś się niepotrzebnie nie dziwiła. – Vee wypuszcza mnie z objęć, ale bierze za rękę i ciągnie do kuchni.

W pokoju dziennym za nami miga niewyraźna ruchoma plama, a po chwili za Wallace’em pojawia się dziewczynka w wieku Sully’ego i Churcha, o karnacji kilka odcieni jaśniejszej od Vee i z chyba milionem cieniutkich warkoczyków zebranych w gruby koński ogon, który sięga jej poniżej ramion.

– Na imię mi Lucy – mówi dziewczynka. – Jesteś niższa, niż myślałam.

Vee sadza mnie przy małym prostokątnym kuchennym stole. Obok mnie siada Wallace, a naprzeciwko – Lucy. Nogi ma tak długie, że musi je gwałtownie cofnąć, kiedy przypadkowo dotyka nimi moich stóp. Stół nakryty jest na sześć osób. Po drugiej stronie pomieszczenia w rondlu na kuchence skwierczy coś, co brzmi i pachnie jak bekon.

– Mam nadzieję, że lubisz śniadanie na kolację, Elizo – mówi Vee – bo dziś jest piątek wieczorem, a wiesz, co znaczy piątek wieczorem?

Co prawda nie wiem, ale Lucy krzyczy:

– Jajka na bekonie! – dokładając do tego kilka ochów i achów.

– No tak, w tym domu zupełnie nie idzie się zdrzemnąć. – Do kuchni wkracza jeszcze jedna kobieta, ujmując się pod boki. Ma może dwadzieścia parę lat, a na głowie grubą opaskę, która przytrzymuje wspaniałą grzywę włosów, nie pozwalając im opaść na jej kościstą twarz. Mam wrażenie, że kiedy jej wzrok na mnie spocznie, spalę się żywcem, ale po chwili jej oczy łagodnieją. Wskazuje ręką na Wallace’a. – Jesteś dziewczyną Wally’ego?

Wallace czerwienieje. Rzuca mi spojrzenie z ukosa, ale nie protestuje.

Nie protestuje.

– Ee... – odpowiadam. – Jestem Eliza.

Kobieta podaje mi rękę. Jej uścisk ma siłę zgniotu tytanki.

– Ja jestem Bren. Coś mi się zdaje, że już cię gdzieś widziałam... Masz może psa?

– Aha. Davy’ego. To pirenejski pies górski.

Kiwa ze zrozumieniem głową.

– Pracuję dla hotelu dla psów „Szczęśliwi Przyjaciele”. Co jakiś czas Davy do nas zagląda.

– Był tam w październiku przez cały tydzień, na obozie z gonitwami w stadzie!

– No właśnie! – Bren obchodzi stół i siada obok Lucy, która natychmiast

próbuję wsadzić jej palec w ucho. Bren odtrąca jej dłoń niemal z roztargnieniem. – Przepadam za tymi psiakami. Wally też. Co dzień wieczorem dorabia sobie czyszczeniem boksów i zabawą z psami. – Urywa z zachnięciem. – Wiecie co, kiedy ja poprowadzę ten hotel, psy będą dostawać jedzenie i rano, i wieczorem, bo raz dziennie to za mało. Zwłaszcza kiedy tyle się bawią i biegają. Szkoda, że sami nie możemy mieć psa w domu, ale Luce ma alergię na sierść. – Pociąga Lucy za miniwarkoczyki.

– Jak ci usmażyć jajka, Elizo? – pyta Vee.

– Ee... wszystko jedno. Mogą być sadzone.

– Proszę bardzo, sadzone. – Vee kończy z bekonem i zaczyna wbijać do rondla jaja.

Bren i Lucy – choć głównie Bren – zadają zestaw rutynowych pytań na mój temat. Skąd jestem, ile mam lat, jak poznaliśmy się z Wallace'em. Przy tym ostatnim pytaniu Wallace wcina się z odpowiedzią, mówiąc bardzo głośno, zupełnie jak nie on:

– Miała przy sobie te rysunki do *Morza Potwornego*. Opowiadałem wam o nich, pamiętacie?

Na całe szczęście nie wspomina o Travisie Stonie ani Deshawnie Johnsonie. Nie chcę tłumaczyć jego siostrom, jaką poniosłam porażkę, kiedy próbowałam pomóc Wallace'owi, a mam wrażenie, że on też nie bardzo ma ochotę relacjonować im, jak po prostu siedział i wszystko cierpliwie znosił, póki się nie pojawiłam. Choć pewnie same dobrze wiedzą, jakim jest ugodowym człowiekiem.

– No tak, jasne. – Bren macha w powietrzu dłonią. – Czyli ty też się tym pasjonujesz, co? Tym *Morzem Potwornym*?

Wzruszam ramionami.

– Mhm.

– Też pisujesz fan fiction?

– Och... nie.

– Rysuje fan art – wtrąca się Wallace. – Bez przerwy próbuję ją namówić, żeby wrzucała rysunki do netu.

– A czemu nie chcesz? – pyta Lucy.

Znowu wzruszam ramionami.

– Chyba jakoś nigdy nie czułam, żeby to był ten właściwy moment.

Wallace wodzi palcem po zewnętrznym brzegu swojego talerza, uśmiechając się nieznacznie.

– Są naprawdę świetne – mówi znowu cichym głosem. – Powinnaś opublikować online przynajmniej niektóre. Jeden czy dwa.

Za każdym razem, kiedy mówi o nich w ten sposób, cicho i z opuszczonym wzrokiem, mam ochotę to zrobić. Mam ochotę od razu sięgnąć do komputera i zamieścić kilka rysunków na forach, po to tylko, żeby zobaczyć, jak zareaguje Wallace. Wiem, że chce, bym dołączyła do całej ich reszty. Jako współautorka. Wiem, że chciałby pokazać innym mój talent, bo tak mi powiedział któregoś dnia na ławce za gimnazjum, i zawsze, kiedy to sobie przypominam, ściska mnie w środku, a serce podjeżdża mi do gardła i chcę wycałować go po całej tej jego ślicznej twarzy z dołeczkami w policzkach.

Za każdym razem, kiedy mówi o tym w ten sposób, mój opór trochę słabnie.

Przecież nikt nie da rady poznać po kilku rysunkach, że LadyKonstelacja to ja.

– Myślałam... myślałam o tym ostatnio – odzywam się w końcu, co sprawia, że Wallace podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

– Poważnie?

– Aha. Może później.

– Poważnie?

Parskam śmiechem.

– Tak. Co z tobą? Nic ci nie jest?

Prostuje się na krześle jak stukilogramowa, pełna energii sprężyna. Zanim jednak zdążę cokolwiek dodać, drzwi wejściowe znowu się otwierają.

– Tim przyszedł! – krzyczy Lucy.

Od wejścia słyhać śmiech, a w chwilę później do kuchni wchodzi wysoki łyśy mężczyzna.

– Śniadanie na kolację, jak ja to lubię! – Tim prześlizguje się koło kuchenki, żeby złożyć całusa na czubku głowy Vee, po czym obchodzi stół i cmoka w głowę także Lucy i Bren. W końcu zajmuje miejsce u szczytu stołu, po prawej ręce Wallace’a, i uśmiecha się do mnie sympatycznie. – A ty jesteś Eliza. – Podaje mi rękę nad stołem; ma taki sam tytaniczny uścisk, jak Bren. – Bardzo nam miło gościć cię u nas, Elizo.

– Dziękuję. – Mówi tak głośno i z taką pewnością siebie, że kurczę się na krześle przez cały czas, kiedy skupia na mnie wzrok.

– Lucy, kotku – woła Vee – chodź, pomóż mi z jedzeniem.

Lucy wstaje, żeby przynieść na stół bekon, kiełbaski i tosty. Vee podaje jajka sadzone – wszystkie ładnie ścięte tylko od spodu – i zaczyna zsuwać je nam na talerze. Burczy mi w brzuchu. Wallace trąca mnie łokciem, ale nie umiem rozpoznać, czy naumyślnie, czy tylko dlatego, że przez swoje szerokie bary wdziera się w przestrzeń zarezerwowaną dla moich ramion.

– A więc, Keelerowie i Warlandowie – odzywa się Tim po tym, jak Vee usiadła już na drugim końcu stołu – cośmy dzisiaj osiągnęli?

Vee opowiada o starej przyjaciółce ze szkoły średniej, na którą wpadła w spożywczy, kiedy szukała składników do jakiegoś nowego, niewypróbowanego jeszcze przepisu. Lucy raczy nas informacjami o dokonanych przez siebie badaniach rynku rakiet tenisowych, a następnie przez pięć minut próbuje namówić Tima, żeby pozwolił jej kupić maszynę do

naciągania rakiet, choć on się nie zgadza. Bren narzeka na młode małżeństwo, które porzuciło w jej hotelu dla psów niechcianego szczeniaczka otrzymanego jako wczesny prezent gwiazdkowy. Kiedy jedno z nich mówi, reszta wcina. Potem Tim bierze na cel mnie.

– Elizo, a ty coś opowiesz?

– Ach. Hm. – Co ja dzisiaj robiłam? Leżałam w łóżku i oglądałam Netflix. Otworzyłam wczorajsze wydanie „Westcliff Star” i chyba z tuzin razy przeczytałam ostatni z cyklu reportaży o ludziach, którzy zginęli na zakręcie Wellhouse. Potem ustawiłam w harmonogramie forów opublikowanie nieco później wieczorem planszy *Morza Potwornego* – jedynej, jaką udało mi się w tym tygodniu skończyć z uwagi na uszczerbki dokonane w mojej wydajności przez Wallace’a. Następnie przez kilka godzin się pociłam. Później wzięłam prysznic. A teraz jestem tutaj.

– Może ja coś powiem? – wtrąca Wallace. – Już skończyłem jeść.

Faktycznie wciągnął jedzenie jak odkurzacz. Tim obraca się w jego stronę.

– Pomogłem Bren z tym retrieverem, który stracił zaufanie do ludzi. Dał mi się dzisiaj wykąpać – oznajmia Wallace. Potem kąciki warg wyginają mu się w górę. – Aha, i jeszcze... sprzedałem dwa nowe opowiadania na zamówienie.

– Dwa nowe? – szczebiocze Vee. – Wally, to świetnie!

– Mnie nic nie mówiłeś! – skarży się Bren.

Lucy ciska w Wallace’a serwetką.

– Dasz mi przeczytać?

Tim się uśmiecha.

– To wspaniale, Wallace. To twoje opowiadania fan fiction?

– Aha. Ale nie *Morze Potworne*, tylko coś innego.

– Próbowalesz sprzedać któreś ze swoich autorskich?

Wallace drapie się w kark.

– To nie do końca na tym polega. Ludzie zamawiają pewne opowiadania, bo znają już występujące w nich postaci i wiedzą, czego chcą.

– Hm. – Tim wraca do jedzenia jajek. – Więc to właśnie planujesz studiować w przyszłym roku? Pisanie fanfików?

Z twarzy Wallace’a znika cała radość.

– Nie, na żadnych kursach kreatywnego pisania nie omawia się fanfików.

– Więc będziesz pisał coś własnego.

– Aha.

– A co ci to da, jeśli nie będziesz mógł zarobić tym na życie?

– Timothy – rzuca ostrzegawczym tonem Vee – nie przy gościach.

Kurczę się i wtapiam w bok Wallace’a, ale Tim bez problemu odnajduje mnie swoim laserowym wzrokiem.

– Elizo – mówi – ty też planujesz iść w przyszłym roku do college’u, prawda? Co chcesz studiować?

Oczywistą odpowiedzią wydawałyby się „techniki rysunku”, choć nie zdecydowałam się jeszcze na nic konkretnego, bo nigdzie nie dają zaliczeń z rysowania *Morza Potwornego*. Ale nie wydaje mi się, żeby ten kierunek pozwolił mi zdobyć jakieś punkty u Tima.

– Grafikę – odpowiadam. – Użytkową, pod kątem marketingu. I tak dalej.
– *Brawo, nie ma to jak idealnie zakończyć, Mirk.*

– Grafikę użytkową – powtarza Tim. – Widzisz, Wallace, nawet w tym jest jakaś inklinacja do biznesu. Graficy potrafią nieźle zarabiać. Nie mówię, żebyś nie zajmował się pisaniem, po prostu postaw na taki jego rodzaj, na jakim da się oprzeć jakąś drogę kariery. Pisanie kreatywne nigdzie cię nie doprowadzi.

Wallace zaciska szczęki i wbija wzrok w talerz. Lucy wpycha sobie w usta kawałek bekonu, a Bren ukrywa twarz w dłoni, powoli kręcąc głową.

– Pisanie fan fiction to tylko zabawa. Nie zamierzamy razem z matką

opłacać ci studiów, które zapewnią ci co najwyżej rozwój hobby. Chcemy, żebyś zajmował się w życiu czymś znaczącym.

Tim mówi dalej. Wallace zaciska spoczywającą przy udzie pięść. Muskam ją palcami, a wtedy łapie moją dłoń. Ścisną ją mocno, jakby odczuwał ból. Odpowiadam mu uściskiem.

– Wiem, że nie lubisz słuchać, jak to powtarzam – ciągnie Tim – ale tak poukładany jest ten świat.

Gdy wraca do jedzenia, przy stole zapada cisza. Po dłuższej chwili Wallace pyta:

– Możemy odejść od stołu?

Tim wygląda, jakby chciał odmówić, ale ma pełne usta. Vee rzuca mu jadowne spojrzenie z drugiego końca stołu i odpowiada:

– Tak, kotku, możecie z Elizą odejść od stołu. Zostawcie talerze, ja je zbiorę.

Wallace wstaje i wyciąga mnie za sobą z kuchni.



Na końcu korytarza są schody wiodące do sutereny. Suterena ma ściany z cegieł, dywan na podłodze i panuje w niej chłód większy niż w reszcie domu. U dołu schodów Wallace przełącza pstryczek, który zapala jarzące się miękkim, nastrojowym światłem kinkiety. Pomieszczenie przedziela w połowie ściana z szerokim przejściem. Po tej stronie znajduje się zniszczona przez mole kanapa i wielki telewizor starego typu. Wallace prowadzi mnie przez przejście w ścianie na drugą stronę pokoju. Tę ciemniejszą. Na podłodze leży pokryty zmiętymi prześcieradłami materac i stoi podłączona do przedłużacza lampa, wokół nich zaś widać sterty książek i papierów, wśród nich cykl *Dzieci Hypnosa* i rozdziały transkrypcji *Morza Potwornego*. Dużo miejsca zajmuje bilardowy stół. Na lewo od lampy stoi stary fotel z odchylanym oparciem. Za nim wisi wielki plakat z Dallasem Rainerem, który stoi na plaży i wpatruje się w ocean, a w cieniu rzucanym przez niego na piasek widać naszkicowane słowa **W TYM MORZU SĄ POTWORY**. Obok plakatu do ściany przypięta jest stara koszulka futbolisty z nazwiskiem **WARLAND** i numerem 73.

Ze ściany w przejściu Wallace wyciąga ciężkie przesuwne drzwi z drewna

i dosuwa je do drugiej części framugi. Odcina w ten sposób resztki dźwięków dochodzących z góry, a nawet z drugiej połowy sutereny. Potem opiera się na drzwiach czołem i zamyka oczy.

– Strasznie cię przepraszam – mówi. – Nie sądziłem, że to zrobi.

Przestępuję z nogi na nogę. W suterenie jest zimno, a moja kurtka została na górze.

– A zwykle to robi?

– Czasami. To... to naprawdę fajny gość i dobry człowiek, ale nie cierpię, kiedy zaczyna mówić, że coś jest bez sensu. – Odsuwa się od drzwi i zaczyna chodzić po pomieszczeniu. – Przepraszam. Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Nie sądziłem, że będzie się tak zachowywał, kiedy tu przyjdiesz.

– Wporzo. Rozumiem. – Cieszę się tylko, że znowu mogę oddychać.

Wallace trzyma ręce po bokach, ale zaciska pięści w kułak. Nigdy nie widziałam go w złości. Nie w takiej. Wygląda, jakby miał ochotę coś połamać. Może stół do bilardu.

– Jaki jest sens żyć, jeśli nie robi się tego, co nas uszczęśliwia? Po co komuś praca zawodowa, która pozwala dużo zarabiać, jeśli wykonując ją, co dzień czuje się do siebie odrazę? Nie mam rodziny na utrzymaniu, nie mam rachunków do opłacania, w każdym razie jeszcze nie. Pewnie, będę musiał spłacać kredyt studencki, ale i tak mamy ledwie dość pieniędzy, żebym poszedł na dwuletnie studia zawodowe, więc spłacę je z pierwszej pracy, którą po nich dostanę, nieważne jakiej. Nie muszę być lekarzem ani prawnikiem, ani pracować w żadnym ważnym zawodzie, w jakim chciałby mnie widzieć Tim. Chcę tylko pisać.

Patrzę, jak chodzi w kółko, i czuję, że sama wrastam w podłogę, jakbym zapuszczała korzenie, a w żyły wpełza mi z wolna niepewność. Nigdy nie widziałam Wallace'a w takim stanie. Nie wiem, co z nim zrobić, więc stoję

tylko w miejscu i wpatruję się w niego, aż w końcu podnosi na mnie wzrok i jeszcze raz mówi:

– Naprawdę cię przepraszam.

– Może potrzebujesz sobie w coś wrzasnąć? – pytam.

Zastanawia się przez chwilę.

– Byłoby miło.

Podnoszę z materaca poduszkę i rzucam nią w niego. Przyciska ją do twarzy i wydaje z siebie stłumiony wrzask. To chyba najdonośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek wydobył się z jego gardła w mojej obecności, ale dzięki poduszce nie brzmi głośniejsz niż ton, którym zwykle mówi.

Wallace ciska poduszkę na materac, a potem rzuca się za nią. Leżąc na wznak, budzi dużo mniejszy postrach. Siadam na brzegu pościeli i obracam się ku niemu.

– Przykro mi, że musi się tak zachowywać – mówię.

Wallace zasłania oczy dłońmi. Jakże łatwo byłoby teraz pochylić się nad nim i go pocałować. Ale mam wrażenie, że to niewłaściwy moment. Może ten właściwy nigdy nie nadejdzie. Nigdy nie nadejdzie, bo jestem Elizą Mirk, mistrzynią unikania życia i wszystkich jego skutków. Jak mogę chcieć czegoś tak bardzo, a zarazem pozwalać, by paraliżował mnie strach za każdym razem, kiedy choćby pomyślę o tym, by po to sięgnąć?

– Spędziłem już dwanaście lat w szkole na robieniu tego, co zdaniem innych trzeba robić – mówi Wallace. – A wiem, co się dzieje, kiedy kogoś zmusza się do czegoś, czego nienawidzi. Czy prośba o danie mi kilku lat na coś, czym chciałbym się zajmować, to za dużo? Czy twoi rodzice też cię do czegoś zmuszają? Naprawdę będziesz studiować grafikę użytkową?

– Ach, nie. Powiedziałam tak tylko po to, żeby Tim nie wyrzucił mnie z waszego domu.

Wallace parska lekko.

– Sama jeszcze nie wiem, co chciałabym studiować. Po prostu nie chcę być... tutaj. Rodzice lubią przypominać mi, że dopóki nie skończę liceum, nie dowiem się, czy zostanę przyjęta do college'u, i myślą pewnie, że jak już tam wyjadę, zostanę jakąś pustelnicą z akademika, który nigdy nie wychodzi ze swojego pokoju i cały dzień tylko gapi się w monitor. Ale nie, nie mówią mi, co mam robić – a w każdym razie nie przez cały czas – więc to chyba lepiej.

Co prawda nie próbują już mnie urabiać tylko dlatego, że szalałam przeciwko temu tak długo, aż wyczerpałam ich siły. Wciąż jeszcze wspominają o tym czasem – mama strofuje mnie nieco, że mogłabym radzić sobie lepiej w szkole, a tata wspomina coś o stypendiach, ale to już nie jest to, co dawniej. Choć rodzice nie wiedzą, ile pieniędzy zarabiam, ja to wiem, więc mam przynajmniej płynące z tego poczucie bezpieczeństwa. Wallace ma tylko swoje pisanie fan fiction, a to mu z pewnością nie pomaga.

– Przykro mi – powtarzam.

Wallace opuszcza ręce, zagapia się w sufit i wzrusza ramionami. Potem spogląda na mnie.

– Zimno ci?

Obejmuję się mocno w ramionach, kuląc się, żeby nie tracić ciepła.

– Ee...

– Trzymaj. – Siada na posłaniu i po chwili wyciąga spod prześcieradeł gruby, robiony na drutach koc. – Warstwa izolacyjna. Mam nadzieję, że nie śmierdzi.

Owija mnie nim. Koc jest jeszcze ciepły. Pewnie od ciepła jego ciała, biorąc pod uwagę, że kiedy śpi, dotyka tego koca co noc, kurcząc blade.

– Pachnie jak mydło Irish Spring i szampon dla chłopców z przyprawami korzennymi – zauważam.

– To dobrze czy źle?

– Jest świetny.

Nigdy jeszcze nie byłam równie blisko czegoś, co pachnie jak mydło Irish Spring i szampon dla chłopców z przyprawami korzennymi, chyba że liczy się wszystko, do czego zbliża się mój tata, a ja nie. Co do moich braci, nie jestem do końca pewna, czy się myją. Zawijam się w koc, ale pozostaję odwrócona tyłem do Wallace’a.

– Nie poprawiłeś Bren, kiedy powiedziała, że jestem twoją dziewczyną.

Czuję, jak za moimi plecami Wallace zmienia pozycję.

– A. No tak. Wiesz, pomyślałem sobie, że wywołałoby to dalsze pytania... a ona jest trochę uparta... więc nie chciałem, żeby sytuacja zrobiła się niezręczna...

– Aha.

– Mhm.

Ktoś na górze spuszcza w toalecie wodę, która z impetem przepływa rurami przez suterene. Zatapiam twarz w kocu Wallace’a. Za moimi plecami chłopak znów zmienia pozycję.

– Chyba że chcesz nią być – odzywa się.

Oglądam się przez ramię.

– Co?

Siedzi oparty o ścianę, obejmując kolana rękami. Oczy ma szeroko otwarte. Kiedy na niego spoglądam, opuszcza wzrok na swoje stopy. Głos mu cichnie, a słowa wyrywają mu się krótkimi seriami:

– Nie wiedziałem, czy... czy chcesz być moją dziewczyną... więc nie chciałem wdawać się w dyskusję przy jedzeniu.

– A chcesz, żebym była? – udaje mi się wyjąkać.

Podnosi wzrok.

– No, tak.

Piłka po twojej stronie, Mirk.

– Tak – powtarzam.

– Tak? – Marszczy brwi.

Grrr. Nie to słowo.

– Znaczy, zgoda.

Pojawia się ten nieznaczny uśmiech.

– Serio?

– Tak.

Z nieznacznego uśmiechu robi się uśmiech szeroki. Wallace opuszcza głowę i przeczesuje obiema dłońmi swoje włosy. Wyrzucam ręce w górę i chowam się cała pod jego kocem. Za dużo, za wiele, poza kontrolą. W chwilę później przyciska się klatką piersiową do moich pleców, otacza mnie rękami, a także nogami wysuniętymi po moich bokach. Czuję ciężar jego głowy opuszczonej na moje ramię.

Mija dłuższa chwila ciszy. Świat się nie rozpada. Opuszczam koc i przekręcam się w jego ramionach – pozwala mi na to i po chwili siedzimy do siebie twarzą w twarz.

Nie chcę być dziewczyną, którą paraliżują nowi znajomi albo świat zewnętrzny, albo perspektywa choćby śladowej intymności. Nie chcę bez przerwy tkwić w pokoju sama. Nie chcę bez przerwy czuć się w pokoju sama, nawet wtedy, kiedy wkoło jest pełno innych ludzi.

Podnoszę i otwieram poły koca, żeby Wallace mógł wejść pod niego, i kiedy znowu mnie obejmuje, kładę mu ręce na ramionach i zamykam nas oboje w ciepło. Wallace wzdycha z zadowoleniem.

Zaczynam dotkliwie zdawać sobie sprawę ze swoich kończyn, z tego, jak szybko oddycham, z każdego drgnienia moich warg i palców. Pomaga mi to przestać myśleć o wszystkim, co robię nie tak. To już nie jest za wiele. Nie tracę nad niczym kontroli.

Jestem tu i teraz. On też.



Przed wyjściem żegnam się z Keelerami – i z Lucy, technicznie rzecz biorąc Warlandówną. Siedzą całą grupką na kanapie w pokoju dziennym, Lucy wtulona w ramię Tima, obok niej Bren; Vee ma okulary do czytania zsunięte na czubek nosa i mruży oczy, szukając w telewizji kanału, który wszyscy będą mogli pooglądać. Wallace odprowadza mnie do samochodu. Spodziewam się, że może teraz wyskoczy z pocałunkiem niespodzianką, ale nie robi tego.

– Cieszę się, że przyjechałaś – mówi, ściskając moją dłoń. Potem przyciąga mnie bliżej siebie i zamyka w uścisku.

– Cieszę się, że mnie zaprosiłeś – mówię, otaczając go ramionami. Mięśnie jego klatki piersiowej napinają się i kurczą w rytm jego oddechów. Nosem muskam go w szyję i czuję, jak ciało chłopaka przebiega drżenie. – Chyba powinnam jechać – dodaję.

– Okej.

Wsiadam do auta. Kiedy wyprowadzam je z podjazdu, Wallace stoi oparty o tylny zderzak własnego samochodu z rękami w kieszeniach, puszczając w powietrze obłoczek oddechowej mgiełki, i patrzy, jak odjeżdżam.

* * *

Gdy docieram do domu, próbuję ominąć szerokim łukiem salon, w którym mama i tata siedzą sobie opatuleni, oglądając swój absolutny numer jeden, najulubieńszy ze wszystkich filmów świata, *Cud w Lake Placid*. Oglądają go w każdy spędzany we dwoje wieczór, w każde urodziny, święto i rocznicę ślubu. Gdyby nie to, że miał premierę w sześć lat po tym, jak się urodziłam, podejrzewałabym, że oglądali go też przy moim poczęciu. Mimo wszystko jednak oddanie dla tej perły w koronie kina sportowego w żaden sposób nie przytępia ich zmysłu rodzicielskiego. W momencie, w którym prześlizguję się przed ich drzwiami, mama ogląda się błyskawicznie.

– Jak było?

– Dobrze – odburkuję. – Świetnie. Idę na górę.

– Może tu przyjdiesz i nam opowiesz? Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o jego rodzinie. I mogłabyś pooglądać z nami *Cud w Lake Placid*!

– Nie, dzięki. – Ruszam schodami w górę.

– Och, Elizo, proszę cię, nie siadaj znowu przy tym komputerze! Zostałabyś i porozmawiała z nami.

– Mam pracę do zrobienia.

Biegnę na piętro i do swojego pokoju, zanim któremuś z nich uda się nakłuć moją bańkę radości i spuścić z niej powietrze. Nie chcę po raz tysięczny oglądać *Cudu w Lake Placid* – uwaga, spoiler: pokonaliśmy Rosjan – i nie chcę rozmawiać z nimi o Wallasie. Wystarczająco denne jest to, że mama zmusiła mnie do wizyty u ginekologa; kto wie, co robi, jeśli się dowie, że teraz już oficjalnie z Wallace’em chodzę.

Barykaduję się w sypialni, ignorując głośną muzykę dobiegającą z pokoju Churcha i Sully’ego, i sprawdzam komórkę. Ani Emmy, ani Max nie odpowiedzieli jeszcze na moje wiadomości, ale nie szkodzi. Jest piątek wieczorem – zobaczą je rano. Wyciągam szkiecownik i przeglądam swoje

rysunki do *Morza Potwornego*. Trzy z nich skanuję do komputera. Na jednym jest zmierzchozmór wyrywający się z ciemnego oceanu, z rozbryzgami wody na spiczastych kolcach grzbietowych; na drugim Damien wpatrujący się w niebo, z odbiciem gwiazd w oczach; na trzecim Amity na tle słońca, balansująca na szczycie ostro zakończonej kryształowej kolumny. Loguję się na forach kontem MirkerLurker, znajduję podforum poświęcone fan artowi i otwieram nowy wątek.

Publikuję w nim wszystkie trzy rysunki. Zamykam przeglądarkę, zanim ktokolwiek zdąży zareagować, i rzucam się na łóżko, nie zdejmując nawet ubrania.



Następnego dnia rano budzę się i widzę dwadzieścia dwie wiadomości od Emmy i Maxa. Od każdego z nich oddzielnie. A żadna nie dotyczy moich nerwowych esemesów z ostatniego wieczoru, sprzed wejścia na kolację do domu Wallace'a.

emmiterliter: Nic ci nie jest??

emmiterliter: Nie opublikowalas ani jednej planszy

emmiterliter: E???

emmiterliter: Tylko zapomnialas czy...??

Zraz_Apokalipsy: ej, no wiec teges, ja rozumiem, ze dobrze sie bawisz z puculowatym panem mcdoleczkiem, ale ludzie sie troche denerwuja.

Zraz_Apokalipsy: zero nowych plansz.

Zraz_Apokalipsy: nic ci nie jest?

I tak dalej. Zrzucam z siebie pościel i niemal spadam z łóżka, śpiesząc się do komputera. Przy wpisywaniu haseł myślę się trzykrotnie – dwa razy przy hasle do systemu i raz przy tym do forów.

Na LadyKonstelację czeka trzydzieści nowych prywatnych wiadomości od adminów forów z pytaniami, gdzie są nowe plansze. Na samych forach zaś

najwyższy post w prawie każdym podforum jest od kogoś, kto pyta, czy w witrynie jest jakiś błąd techniczny, czy coś się stało LadyKonstelacji, czy też po prostu plansze się spóźniają.

Przechodzę do samej witryny, w której publikuję plansze. Ostatni post to nadal plansza z ubiegłego tygodnia.

Ale przecież wpisałam post z publikacją do harmonogramu... Wiem, że tak. Sprawdzam jego ustawienia – oczywiście jest... w folderze kopii roboczych. Nieopublikowany. Klikam przycisk „Publikuj” z taką siłą, że mysz wyskakuje mi spod palców i uderza w ścianę.

W ciągu trzech lat nigdy nie spóźniłam się z publikacją. Rzetelność – tym reklamuję się swoim fanom i to ochoczo kupują.

Zaczynam nowy post na forum.

LadyKonstelacja:

Hej wszystkim - przepraszam za brak postu wczoraj wieczorem. Coś poszło nie tak i nie wyszedł zgodnie z harmonogramem. Już jest online!

Zasypuje mnie grad odpowiedzi.

Brawo ty!

Tylko jedna plansza?

Hura!! Wreszcie!!

Co się może popsuć w harmonogramie publikacji?

Uff, dobrze, że żyjesz.

Najwyższa pora, kurna. Rany, tyle roboty z publikacją jednej planszy, co?

Zamykam przeglądarkę i odwracam się od komputera na moim obrotowym krześle biurowym, kuląc się na nim i łapiąc oburącz za głowę. Nic się nie stało. To tylko kilka godzin. O ile będę odtąd publikować plansze na czas, wszystko będzie w porządku.

Nie zaglądać do komentarzy. Nigdy nie zaglądać do komentarzy.

* * *

– Dobrze się czujesz, Jajeczko?

– Taa, tato, nic mi nie jest.

– Przez całe rano nie wychodzisz z pokoju. Zaczynaliśmy się już z mamą martwić.

– Po prostu spałam.

– Przyjechał Wallace. Podobno umówiliście się, że wpadniecie do „U Murphy’ego”.

– Aa. Hm.

– Masz może swoją kobiecą przypadłość? Mam mu powiedzieć, że jesteś niedysponowana?

– Ja... rany, skąd! Za chwilę zejdę. Jezu.

* * *

Wallace w salonie gra z moimi braćmi na konsoli. Siedzi wciśnięty między nich, milczący i skupiony na ekranie telewizora, a Sully i Church wrzeszczą do siebie nad jego głową. Potem coś się zdarza i obaj wydają z siebie jęk, a Wallace się uśmiecha.

– Długo już tu jesteś? – pytam.

Podnosi wzrok i dopiero spostrzega, że stoję w drzwiach. Wypuszcza kontroler z rąk.

– Parę minut – odpowiada, idąc w moją stronę.

– Jeszcze jedna rundka! – Sully szerokimi wymachami rąk wskazuje telewizor, a potem Wallace’a, jakby mógł w ten sposób ściągnąć go z powrotem.

– Musimy jechać – protestuję.

Sully rzuca mi ponure spojrzenie. Wypycham Wallace’a z domu i idziemy do jego auta.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Aha. Zestresowana.

– Czym?

Wzruszam ramionami.

– Tym i owym.

Wsiadamy do samochodu, milkniemy. Marszcząc brwi, Wallace wycofuje się z podjazdu i rusza w kierunku antykwariatu Murphy’ego. Po przejechaniu mostu Wellhouse zwalnia prawie do zera, żeby minąć feralny zakręt. Jedzie wolno i równo, jak zawsze. Aż za wolno. Aż za równo. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by aż tak się bał wypaść z drogi. Zerkam w dół urwiska, jak zawsze, i zaglądam przepaści w oczy.

Jak tam spokojnie. Nawet jeśli śmierć nie przychodzi od razu, założę się, że i tak prawie warto tam spaść z powodu tej ciszy i spokoju.

Kiedy przyjeżdżamy do „U Murphy’ego”, Cole i Megan są już na miejscu i w dodatku też rozmawiają o zaginionych planszach. Właściwie o jednej planszy, bo była tylko jedna, która pojawiła się dziś rano, ale najwyraźniej ludzie nazywają ją „zaginionymi planszami”, bo to taka masakryczna wtopa.

– To pierwszy taki wypadek od początku istnienia komiksu – mówi Cole, przewijając fora, żeby znaleźć więcej postów na ten temat. – Wszyscy mówią

tylko o tym. To sensacja. Zobaczcie, ktoś nawet napisał fanfika na ten temat! O tym, że bohaterowie na kilka godzin, między spodziewanym a rzeczywistym czasem publikacji, wpadli w czasoprzestrzenną dziurę, z której nie mogli się wydostać. Beczka śmiechu.

Pokazuje to nam na ekranie. Fanfika, fora, całą resztę. Staram się patrzeć w inną stronę. Wallace przygląda się przez chwilę i wzrusza ramionami.

– No dobra, może to śmieszne, ale to też chyba trochę przesada, tyle hałasu o jeden dzień spóźnienia w publikacji plansz.

– Planszy – poprawia go Megan, podając równocześnie małej Hazel nową książkę z obrazkami do oglądania. – Tylko jednej. Przynajmniej coś się na niej działo, ale te pojedyncze plansze trochę trudno ignorować. Nic nie posuwa się naprzód. Uwielbiam ten komiks tak samo jak wszyscy, ale pracuję przez piętnaście godzin na dobę i jeszcze zajmuję się tym potworem – tu łapie Hazel za czubek głowy – więc kiedy ledwo żywa kończę tydzień, o niczym innym nie marzę, tylko żeby usiąść sobie przy herbacie i kilku stronach *Morza Potwornego*. Najlepiej przy całym rozdziale.

Jasne, Megan, pozwól, że wytrzasnę teraz z rękawa kilkadziesiąt stron specjalnie dla ciebie. Bo przecież LadyKonstelacja nie ma nic innego do roboty, skądże znowu. Może nie czytam komentarzy, ale i tak wiem, że mnóstwo fanów ma takie podejście. Nie dziwię im się. Sama miałam przez jakiś czas takie nastawienie przy *Dzieciach Hypnosa*. Byłam zła na Olivię Kane tak samo jak cała reszta.

Nie dziwię się takim fanom, ale sytuacja nie staje się przez to wcale mniej wyczerpująca.

Zaczynają rozmawiać we trójkę – w końcu łapiąc też na laptopie Cole'a Leece i Czandrę, co jeszcze raz wznawia dyskusję o zaginionych planszach – a ja opieram się czołem o blat stolika, udając, że drzemię. Zostawiają mnie w spokoju.

Kilka razy Wallace muska palcami moje kolano. Pozwalam mu na to. Ale nie reaguję.

Wyciągam komórkę, żeby napisać coś do Emmy i Maxa, ale okazuje się, że brak mi motywacji. Chowam telefon.

Kiedy Leece i Czandra muszą się pożegnać, Megan proponuje zmianę otoczenia. Ma dla nas za darmo wejściówkę na trzy partie kręgli w „Niebieskim Torze”, z racji tego, że ma tam drugi etat. Cole rzuca się na propozycję z ochotą, ale Wallace, zanim się zgodzi, pyta mnie, czy chcę pójść.

Otwieram usta, żeby odmówić, ale się powstrzymuję. Muszę spróbować. Muszę, bo widzę, że znowu robię to samo – zamykam się na wszystko, bo jestem zmęczona i sfrustrowana, bo świat w realu jest trudny i wolałabym raczej pomieszkać w tym, który sobie wymyślę. Ale nie mogę. Jestem tu, gdzie jestem, i muszę się wysilić.

Pół godziny później stoję na końcu kręgielnianego toru i próbuję ustawić się w linii rzutu. Wallace jest przy stoisku z przekąskami. Megan siedzi przy stoliku za mną i podrzuca na kolanie Hazel. Cole stoi obok mnie z założonymi na piersi rękami i wyrazem twarzy o wiele za intensywnym jak na kręgielnię.

– Kręgle są jak każdy inny sport – odzywa się; mam wrażenie, że po prostu głośno myśli. – Kiedy patrzy się na zawodowców i na to, jak im łatwo idzie, można pomyśleć, że nie ma w tym nic trudnego. Ale to tylko pozory. Człowiek za dużo kombinuje i nagle ani się nie obejrzy, a tu kula wpada w rynnę z takim impetem, że przeskakuje trzy tory dalej i wyrzucają cię z obiektu za niebezpieczny rzut.

Zaciskam usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Nie jestem jakąś mistrzynią kręgli, ale nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek rzuciła na tyle mocno, żeby kula przeskoczyła trzy tory dalej.

Cole ze stoickim spokojem wbija wzrok w nasz tor.

– No widzisz, a się zdarza.

– Tobie się kiedyś zdarzyło?

– Nieważne.

Rzucam. Moja kula najpierw zmierza prosto do prawej rynny, ale w połowie toru nagle zakręca do środka i trafia w kręgiel główny. Przewracają się wszystkie oprócz dwóch po lewej w ostatnim rzędzie.

– Udało się! – Wyciągając szyję, patrzę, jak na ekranie nad naszym torem przy moim imieniu wyskakuje mała ósemka.

– No, nie bądź w takim szoku – mówi Cole.

– Nigdy nie udało mi się zbić tylu naraz! W każdym razie nie prawdziwym rzutem.

Przestałam chodzić na kręgle z rodziną, kiedy tylko Sully i Church podrośli na tyle, żeby zacząć nabijać się ze mnie i moich babcinych kulań. Może teraz będę mogła naprawdę się z nimi zmierzyć.

Rzucam drugi raz. Kula ociera się o jeden z kręgli, ale tym razem żaden się nie przewraca.

– Uważaj teraz. – Cole chwyta kulę i mija mnie w drodze na rozbieg. – Pora roznieść amatorów w drobiazgi.

Wracam do stolika, przy którym siedzą Megan i Hazel. Wallace wraca od stoiska z przekąskami, niosąc trzy porcje nachosów, dwa hot dogi, precla i dwie wielkie oranżady. Wręcza mi jedną oranżadę, kładzie jedną porcję nachosów między mną i Megan, jeden z hot dogów przed pustym miejscem Cole'a, a całą resztę przed sobą. Potem zaciera ręce, patrząc na swoją ucztę, jakby nie wiedział, od czego tu zacząć.

– Lepiej wróć do uprawiania futbolu, i to szybko – zauważa Megan – albo obudzisz się któregoś dnia i stwierdzisz, że ważysz trzysta kilo.

Wallace uśmiecha się do niej, nie przestając przeżuwać precla.

Jesteśmy na kręgielni od pół godziny, a ja już nawet nie pamiętam, dlaczego w początkowym odruchu nie chciałam się tu wybrać. Odkąd wyszliśmy od Murphy'ego, nikt nie napomknął słowem o zaginionych planszach, a ja czuję się lekko, jakby całe ciało wypełniały mi mydlane bańki.

Jest mi dużo lepiej, niż gdybym siedziała w domu i się zamartwiała.



JEŚLI TYLKO TY MOŻESZ
ŚMIERTELNIE ZRANIĆ JEGO...
TO TYLKO ON MOŻE
ŚMIERTELNIE ZRANIĆ
CIEBIE.

TAK.



JEŚLI JEST TAKI STRASZNY, JAK MÓWIA,
BĘDZIE SIĘ ZNAĆ NA SZTUCE WALKI.

SOJUSZ PLANUJE
MNIE WYSZKOLIĆ.
MAM KOGOŚ, KTO
DOBRZE ZNA
JEGO STYL.

TO JAKIŚ POTWÓR.

POTWORY DA SIĘ ZABIĆ.



TO NIE JEST
BAJKA!
A TY NIE JESTEŚ
BOHATERKĄ!
NIE NA TYM
POLEGA
PRAWDZIWIE
ŻYCIE!

KRA

KRA

KRA

KRA



Elizo, musisz skończyć z tym siedzeniem przed komputerem. Popsujesz sobie oczy.

Mama wetknęła właśnie głowę aż po ramiona do mojego pokoju. Powinnam była zamknąć drzwi na klucz, zanim zaczęłam rysować. Prostuję plecy i odwracam wzrok od monitora. Dolne partie kręgosłupa wrzeszczą mi z bólu. Oczy mi łzawią.

– Nic mi nie jest. – Muszę skończyć jeszcze cztery plansze *Morza Potwornego*, zanim ten rozdział będzie gotowy. Wszystko sobie zaplanowałam; jeśli uda mi się rysować przynajmniej cztery plansze tygodniowo, dam radę skończyć całość przed ukończeniem szkoły. Dzięki temu ja nie odejdę od zmysłów przez cały ten ostatni beznadziejny semestr liceum, a fani będą szczęśliwsi po tej wtopie z „zaginionymi planszami”. Od trzech dni nie robię nic innego, tylko rysuję. – Możesz zamknąć drzwi?

– Nie. Musisz wstać od komputera, i to już. – Oświadcza to głosem oficjalnie matczynym. Tym, od którego momentalnie dostaję zgagi.

– Pracuję – odpowiadam, nie patrząc jej w oczy.

– Nawet najbardziej pracowici ludzie robią sobie czasem przerwę.

– Nie mogę. Muszę to skończyć.

– Elizo.

– Mamo, czym ja się tu twoim zdaniem zajmuję? – Odwracam się z krzesłem w jej stronę. – Czy to ci wygląda na wesołą przejażdżkę po parku? Wyglądam, jakbym się dobrze bawiła? Bo nie bawię się dobrze. Muszę to skończyć. Ludzie na to czekają. Ludzie, którzy kupują moje produkty. To właśnie oni zapłacą za moje studia.

– Elizo Mary Mirk!

– A co mam twoim zdaniem porobić, jak już wstanę od komputera? Pójść pouprawiać jakiś sport z Sullym i Churchem, mimo że nie cierpią, kiedy z nimi gram, bo mam zero koordynacji ruchowej? Pooglądać telewizję, choć ona odmówdza sto razy bardziej niż to, czym się zajmuję w tej chwili? Pograć z tobą i z tatą w planszówki? Dobrze wiesz, czym to się kończy!

Zawsze kończy się tym, że się złoścę. A jeśli jestem zła już na początku, tak jak teraz, to nie wróży dobrze reszcie zabawy.

Mama nigdy nie daje za wygraną w obliczu wyzwania, więc ani myśli się poddać.

– Chcę, żebyś wyszła z domu! Porozmawiała ze znajomymi! Poszła gdzieś i coś zrobiła! Wpadła w jakieś kłopoty, na litość boską!

– Moi znajomi są tutaj! – Unoszę w dłoni komórkę, choć Max i Emmy milczą od kilku dni. – Rozmawiam z nimi bez przerwy, a ty mi zawsze każesz przestać!

– A Wallace? Co on teraz robi?

– Teraz jest w pracy! A później, wyobraź sobie, będzie siedział przy swoim komputerze i coś pisał. Pewnie swoją wersję prozatorską tego, co robię, na którą czeka mnóstwo ludzi, tych samych, którzy czekają na to, co robię. I będę z nim rozmawiać na komputerze. Nie rozumiem, co w tym tak trudno pojąć.

– Elizo, jakoś trudno mi uwierzyć w to, co mówisz. – Mama kręci głową, wsparta pod boki. Nadal ma na sobie spodnie do ćwiczeń i kurtkę z przebieżki po okolicy. – O co w tym wszystkim chodzi? Nic ci nie jest? Czy coś się dzieje w szkole?

– Nie.

– Więc o co chodzi?

Odwracam się do niej tyłem, zrywając rękawiczkę z prawej dłoni, żeby obetrzeć pot z czoła.

– To sprawy związane z *Morzem Potwornym*. Nie musisz się o nic martwić.

Mama milknie. Zakładam z powrotem rękawiczkę i zaczynam pracę nad kolejnym panelem. Włoski na karku stają mi dęba.

– Wiesz, że razem z tatą jesteśmy z ciebie bardzo dumni z tego powodu – mówi mama. – Zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę tego nie rozumiemy, ale jesteśmy z ciebie dumni. I cieszymy się, że tak bardzo lubisz się tym zajmować. Zawracamy ci głowę tylko dlatego, że się o ciebie martwimy.

– W porządku – odpowiadam.

– Może przynajmniej zejdziesz i rozpakujesz swoje prezenty?

Obracam się znów w jej stronę.

– Prezenty?

– Tak, Elizo. Mamy Boże Narodzenie.

Gapię się na nią, pewna, że ze mnie żartuje, a potem spoglądam przez ramię na monitor i widzę, że nie, faktycznie jest dwudziesty piąty grudnia. Na ten widok prawie spadam z krzesła.

– Boże Narodzenie? – Mój własny głos dźwięczy mi w uszach jak meczenie konającej kozy. Myślałam, że Gwiazdka będzie za dwa dni. Albo była dwa dni temu. Czy coś.

Mama kiwa głową.

– Pozwoliliśmy już twoim braciom otworzyć prezenty, bo nie byliśmy pewni, kiedy zejdiesz. Albo czy w ogóle.

– Aha.

– A więc zejdiesz?

– Ja... tak, za chwilę zejdę. Przepraszam.

– Nie szkodzi. W lodówce są też dla ciebie jajka na twardo, jak będziesz mieć ochotę.

Wycofuje się.

Wbijam wzrok w zegar na monitorze mojego komputera.

25.12.

Teraz dopiero rzeczywiście sprawdzam wiadomości w komórce i widzę, że Emmy i Max tak naprawdę odzywali się do mnie. Oboje życzyli mi wesołych świąt i pytali, co słychać, i rozmawiali ze sobą o tym, jak mijają im ferie i urlop. Wysłałam im kilka krótkich zdań, a potem odkładałam komórkę i schodzę szybko na dół. Mama z tatą czekają na mnie w salonie, gdzie stoi też choinka. Tata trzyma kamerę wideo.

– Przepraszam – mówię jeszcze raz.

– Nie szkodzi, Jajeczko – odpowiada tata. – Może otwórz prezenty i zobacz, co dostałaś od Mikołaja, a potem zawołamy na dół twoich braciszków i zagramy w jakąś grę planszową.

Sprawdzam, co dostałam od Mikołaja. Wiem, że to od niego, bo na wszystkich etykietkach widnieje napis „MIKOŁAJ” wypisany fantazyjnym pismem przez mamę. Większość prezentów to nowe ubrania. Takie, które dla odmiany na mnie pasują.

– W zeszłym miesiącu skarżyłaś się, że nie masz czego nosić – mówi mama – więc pomyślałam, że kupię ci parę rzeczy. Więcej możemy kupić ci na wiosnę i w ten sposób będziesz mieć nowe ubrania do noszenia w college’u. I nie przejmuj się, mam wszystkie paragony, więc jeśli coś ci się

nie spodoba, będzie można zwrócić.

– Dziękuję – mówię na tyle cicho, żeby nie usłyszeli, jak łamię mi się głos.

Po raz pierwszy autentycznie się cieszę, że dostałam na gwiazdkę ciuchy. O nic rodziców nie prosiłam, bo wszystko, czego mi potrzeba, mogę sobie kupić sama – oprócz ubrań. Ich kupowanie zupełnie mi nie wychodzi. Razem z mamą wkładamy ciuchy z powrotem w opakowania i zabieram je do siebie na górę. W moim pokoju łąpię jedyny gwiazdkowy prezent dla całej rodziny, na jaki wpadłam: zestaw „Monopoly”. Każda jego partia trwa tyle czasu, że umacnianiu więzi rodzinnych nie będzie końca.

Tata wyciąga Churcha i Sully’ego z ich pokoju i zmusza ich do gry. Na początku narzekają, ale przestają, kiedy dociera do nich, że mogą doprowadzać się nawzajem do bankructwa. Wygrywa mama, która jako jedyna w całej rodzinie ma zmysł oszczędzania. Gra zajmuje nam chyba ze cztery godziny. Jemy obiad. Na koniec tata serwuje ciasteczka, wszyscy siadamy razem i oglądamy *Cud w Lake Placid*.

Nawet nie wiedziałam, że jest już Gwiazdka.



Faren obrócił książkę w dłoniach. *Baśnie z Ziemi*. Pierwsza książka, jaką Amity uwolniła ze sklepowej półki, ta, z której uczyła się czytać. Faren pozwolił książce otworzyć się na najmocniejszym rozłamaniu kartek i tam oto, dokładnie pośrodku prawej strony, zobaczyła swoje imię.

Amity i morski potwór.

– Czasami myślę sobie – powiedziała, wodząc palcem po literach – że Ziemianie oszukali wszystkich co do tej książki. Wcale nie wierzę, żeby te historie pochodziły z Ziemi.

Na końcu swojej historii baśniowa Amity zabijała płazca morskiego, wyprowadzając go w pole i miażdżąc wielkim głazem.

Drugie narodziny Amity na plaży, już całe lata temu, skończyły się poniekąd tak samo, tylko nie był to płaziec morski, a zmiernochwór, pięciokrotnie większy i pięciokrotnie bardziej krwiożerczy. Rzucił się na Farena, nie na nią, bo to Faren znajdował się bliżej krawędzi urwiska; a kiedy stała, zdjęta zgrozą, patrząc, jak potwór pożera chłopaka, odnalazł ją Strażnik i zaproponował jej układ.

Zgodziła się wówczas i z pomocą Strażnika zmasakrowała potwora. Potem zaś z jego długiego przelyku wycięła nieprzytomnego Farena.

Teraz, gdy siedzieli, przyglądając się otwartym baśniom, Faren pocałował ją i powiedział:

– Jeśli czujesz, że jest to coś, co powinnaś zrobić, to zrób to. Wiem, że jesteś dość silna. Jeśli ktokolwiek może go powstrzymać, to właśnie ty.

Po czym zostawił ją samą z lekturą – i z przekonaniem, że nie chodzi wcale o żadną powinność.

Nie czuła, że powinna to zrobić.

Musiała to zrobić.



P przed pójściem spać tego wieczoru dostaję e-mail od Wallace'a. Nie e-emes czy wiadomość z forum. Autentyczny e-mail. Nigdy nie forwarduje mi mejli od innych. Nie włącza się w e-mailowe łańcuszki. Jeśli chce mi coś powiedzieć, to albo przysyła mi to na żywo, w czasie rzeczywistym, albo mówi osobiście, twarzą w twarz.

Ale widzę w polu nadawcy jego nazwisko i klikam e-mail bez wahania.

25.12.16, 23:21

Do: Eliza Mirk <mirkerlurker@gmail.com>

Od: Wallace Warland <wallacewarland@gmail.com>

Temat: Odnalazłaś mnie w konstelacji

Wiem, to dziwne z mojej strony, że do ciebie mejluję. Wiem, że oboje siedzimy przy swoich komputerach, z tym że ty to właśnie czytasz, a ja pogrążam się w bagienku zażenowania i martwię się, że nie mogę kasować mejli tuż po ich wysłaniu. Nie mógłbym dać ci tego osobiście, bo wtedy mogłabyś przeczytać to przy mnie. Nie mógłbym napisać tego ręcznie, bo skończyłbym, kiedy oboje bylibyśmy już po pięćdziesiątce, a nie o to mi chodzi.

Normalnie, kiedy coś piszę, to wiem, jak powinienem zacząć. A co do tego mejla, to nie wiem, jak to zrobić. Jest mnóstwo rzeczy, które chcę ci opowiedzieć, ale nie chcę cię wystraszyć. Nie umiem ująć w słowa, jak bardzo nie chcę cię wystraszyć i jak bardzo się boję, że jednak to zrobię.

Zacznijmy zatem od tego: nigdy nie mieszkałem w stanie Illinois. Od zawsze mieszkam tutaj, w Westcliff. Chodziłem do szkoły po drugiej stronie miasta, z Cole'em. Przepraszam, że okłamałem cię na ten temat. Nie chodzi o to, że nie chciałem powiedzieć ci prawdy; po prostu bałem się, że jeśli ci powiem, skąd jestem, sama domyślisz się reszty tego, co chcę ci teraz powiedzieć, a nie byłem pewny, czy chcę, żebyś to wszystko wiedziała.

Powiedziałaś jakiś czas temu, że wyglądam, jakbym uprawiał futbol amerykański. Odpowiedziałem, że grałem, kiedy byłem mały. To było tylko pół prawdy; faktycznie grałem, kiedy byłem mały, ale przestałem dopiero w połowie drugiej klasy liceum. W dodatku byłem w tym całkiem niezły. Przyjęli mnie do reprezentacji szkoły. Mam gdzieś jeszcze ten list. Kumple z drużyny wołali na mnie Wallace Wariat, bo na boisku naprawdę robiłem rozpiardol.

Nie, przepraszam, to też nieprawda. Wołali na mnie Wallace Wariat, bo to była aliteracja, nawiązująca do mojego nazwiska i napędzająca stracha przeciwnikom bardziej niż samo "Wallace". A poza tym na boisku NAPRAWDĘ ROBIŁEM ROZPIERDOL.

Przepraszam. Pisanie nie idzie mi dzisiaj najlepiej.

Uwielbiałem grać w futbol. Uwielbiałem atakowanie ludzi, współpracę w drużynie i kontakty z przyjaciółmi. Uwielbiałem wygrywać. Cieszyłem się, że tata jest ze mnie bardzo dumny. Nie Tim, tylko mój prawdziwy tata, ten biologiczny. Uwielbiał futbol. To był zwalsty facet, lubił grillowanie, fajerwerki na Święto Niepodległości, lubił wrzucać swoje dzieciaki do basenu. Śmiał się tak, że było go słychać na kilometr. Właściwie taki Amerykanin pełną gębą. Nie był religijny, ale codziennie przy śniadaniu czytywał "Westcliff Star" tak obowiązkowo, jakby miał pójść do piekła, jeśli kiedyś nie przeczyta.

Parę słów o przeszłości mojego taty: nigdy nie ukończył studiów. Jego rodzice nie mieli pieniędzy. Dostał pracę w korporacji, w jednym z wielu boksów, z którego próbował przez telefon opychać ludziom różne rzeczy. Praca po godzinach, słaba płaca. Był już wtedy żonaty z moją mamą - nie z Vee - a ona była ze mną w ciąży. Nie wiem, czy się pobrali, bo była w ciąży, czy też zaszła w ciążę po tym, jak się pobrali. To pewnie bez znaczenia. Tata nie lubił opowiadać o tamtym okresie, więc nie wiem o nim za dużo. Mama odeszła od niego, zanim skończyłem rok. Nie pamiętam jej, więc nigdy nie było mi z tego powodu przykro, ale tacie czasami tak.

Jakiś rok czy dwa później poznał Vee i urodziła im się Lucy, i wszystko szło dobrze. To z powodu taty Lucy tak bardzo lubi sport. Zawsze chciał, żebyśmy sami sobie stawiali wyzwania. Jeśli coś wydawało nam się zbyt trudne, był to tym lepszy powód, żeby próbować to zrobić. Lucy z tego powodu przeskoczyła w szkole o rok do wyższej klasy. Tata stawiał też wyzwania samemu sobie - kiedy wracał do domu z pracy, był głośniejszy i barwniejszy, pełen energii. Chciał pomagać nam w szkolnych projektach albo treningach. Zawsze rzucał się w sam środek spraw.

Były też ciemne strony. Nie pozwalał nam ich zobaczyć, ale kilka razy wchodziłem do kuchni późną nocą i znajdowałem go zgarbionego nad stołem z twarzą ukrytą w dłoniach. W środku dnia, kiedy myślał, że jest sam w domu, gapił się na zewnątrz przez szybę

frontowych drzwi, jakby ulica była jakąś nieosiągalną ziemią obiecaną. Kiedy urządzaliśmy na dworze grilla, robił dodatkowe jedzenie dla wszystkich, ale sam nic nie jadł. A gdy byłem przy nim tylko ja, wygłaszał tyrady, narzekając na swoją pracę, i zabraniał mi kiedykolwiek zajmować się czymś, przez co będę nieszczęśliwy, nawet gdyby miało to znaczyć, że będę musiał obyć się bez jedzenia, ubrania czy dachu nad głową.

Dostrzegłaś to w swoich rodzicach? Ten moment, kiedy stają się ludźmi? Myślę, że tak. To dopada człowieka z zaskoczenia, prawda? Jednego dnia są rodzicami, a następnego mówią coś rasistowskiego, albo skaleczą się i skaleczenie nie chce się zagoić, albo popełniają prosty błąd podczas jazdy samochodem, maska z nich spada i stają się zwykłymi śmiertelnikami, jak cała reszta z nas. A kiedy ta maska spadnie, już nigdy nie da się założyć jej na nowo.

Jego uczyniła śmiertelnikiem ta ciemność. Widziałem ją w tacie na długo przed śmiercią i nie chciałem przyjąć jej do wiadomości. A powinienem był. Powinienem był powiedzieć Vee, jakiemuś lekarzowi, komukolwiek. Kiedy byłem w drugiej licealnej, podczas ferii zimowych wracaliśmy do domu ze świątecznego wyjazdu, spędzonego u rodziny Vee w Tennessee. Jechałem sam z tatą; Vee i Lucy miały wrócić do domu następnego dnia. Tata wygłaszał jedną ze swoich tyrad. Udało mu się dostać na święta urlop, ale naprawdę krótki, i kazał mi przysiąc, że nigdy nie podejmę się takiej pracy jak on. Nigdy nie widziałem go równie zdenerwowanego. Odpowiedziałem mu, że moim zdaniem byłoby sensowniej dostać jakąś pracę, za którą uczciwie płacą, przynajmniej na początku. Nie byłoby tak źle, o ile tylko nie poświęcałbym jej całego życia.

To tylko bardziej go rozżłościło. Teraz już wiem, że nie myślał wtedy logicznie. W tamtej chwili wrzeszczał tak, że nie dało się go zrozumieć, a kiedy zatrzymał auto i kazał mi wysiadać, uznałem, że żartuje. Był przełom grudnia i stycznia, na dworze mróz, a do domu jeszcze ładnych kilka kilometrów. Wyrzucił mnie z samochodu tuż przed mostem Wellhouse i pojechał dalej.

Na sekundę przed tym, nim nacisnął pedał gazu, ścisnęło mnie w żołądku. Naprawdę mocno. Jakby nagle zupełnie mi się skurczył. Czasami złe przeczucie, że coś się zdarzy, jest gorsze niż samo zdarzenie, bo wiadomo, że zaraz coś się stanie, ale nie można zrobić nic, żeby to powstrzymać. Jechał za szybko jak na zakręt Wellhouse, nawet gdyby droga nie była oblodzona.

W "Westcliff Star" lubią łączyć śmierć taty z innymi wypadkami, które się tam przydarzyły. Z autobusem z orkiestrą. Pijanymi nastolatkami. Kobietami z dziećmi. Uważają, że wypadł z drogi przez gołoledź, ale ja stałem tam i patrzyłem i wiem, że samochód pędził prosto jak strzała aż do chwili, w której zniknął na szczycie urwiska. Pobiegnęłam za nim przez most, pośliznąłem się na lodzie i upadłem, rozbiłem sobie twarz, złamałem nos. Wstałem z powrotem, biegłem dalej. Nie ma dobrej drogi zejścia po skarpie za zakrętem Wellhouse, a ja nie pamiętam, jakiej trasy próbowałem, wiem tylko, że zanim dotarłem na dół, złamałem nogę. To było jedno z tych złamań, których się w danej chwili nie czuje z powodu adrenaliny i szoku, i paniki. Samochód stał u podnóża urwiska na wszystkich kołach. Dopiero kiedy

przedostałem się na jego drugą stronę, zobaczyłem zmiążdżony przód i tatę zwisającego z dziury w przedniej szybie.

Zginał na miejscu, gdy tylko wóz uderzył w ziemię. Kiedy się wypada z zakrętu Wellhouse przy takiej prędkości, prawie zawsze tak się to kończy. Nie pamiętam, żebym dzwonił po karetkę, ale zapamiętałem krwawy ślad na wyświetlaczu komórki, kiedy odsuwałem ją od twarzy. Nie pamiętam, żebym próbował wyszarpnąć tatę do końca z przedniej szyby, ale zapamiętałem, że siedzę w śniegu przed wrakiem i wpatruję się w puste oczy taty, który leży już na zmiążdżonej w harmonijkę masce wozu. Nie pamiętam, żeby ratownicy medyczni dotarli na miejsce i żeby mnie pytali, czy byłem w samochodzie z tatą, ale musiałem potwierdzić, bo w takiej formie tę historię opisano.

Tak właśnie piszą o tym w "Star", prawda? Piszą "mężczyzna jadący z synem", kiedy wyliczają wszystkie osoby, które wypadły z tego zakrętu? Po tym wszystkim przeczytałem artykuł w "Star" tylko raz, dwa dni później, i nigdy więcej nie zajrzałem do tej gazety.

Mój tata nie wpadł w poślizg. Nie był pijany ani nie zasnął za kierownicą. Kiedy pytali mnie, jak to się stało, odpowiadałem, że nie pamiętam. Nadal tak odpowiadam. Nie powiedziałem nawet Vee, choć wydaje mi się, że się domyśliła. Tata nie chciał już tu być. Był zmęczony swoją pracą, tym, że nigdy nie ma dość pieniędzy, że drą się na niego obcy ludzie. Był nieszczęśliwy. Masakrycznie nieszczęśliwy.

Nie zaniemówiłem naumyślnie. Tak się po prostu stało. Rok temu nie byłem w stanie odezwać się do nikogo, w żadnej sprawie. Chciałbym móc stwierdzić, że próbowałem, tylko nie dawałem rady nic wykrztusić, ale nawet nie próbowałem. Już samo próbowanie mnie przerażało.

Nadal jednak mogłem pisać. Zostałem fanem "Morza Potwornego", jeszcze zanim wydarzył się zakręt Wellhouse, tylko nie mówiłem o tym nikomu, bo moi kumple by nie zrozumieli. Po zakręcie Wellhouse nie mogłem nic robić z powodu złamanej nogi, więc cały czas spędzałem na pisaniu fanfików. Uwielbiam grać w futbol, ale pisanie daje mi taką radość, jakiej sport dać nie potrafi. Już o tym rozmawialiśmy. O tym olśnieniu, które wpuszcza całe światło do środka.

Przeżyłem kolejne półtora roku w mojej poprzedniej szkole jako Ten Chłopak, Co Przeżył Zakręt Wellhouse i Na Zawsze Zaniemówił. Kiedy wygoiła mi się noga, nie wróciłem do grania w futbol, więc większość moich kumpli się ulotniła. Myślałem o powrocie na zakręt Wellhouse, o tym, że może powrót tam jakoś by mi pomógł, ale za każdym razem, kiedy tamtędy przejeżdżałem, nie potrafiłem zmusić się do zatrzymania samochodu. Więc nigdy tego nie zrobiłem.

Sprawy miały się ku lepszemu. Vee wyszła za Tima. Zacząłem pracować z Bren i jej psami. Spędzałem dużo czasu online i ćwiczyłem pisanie. Zmuszałem się do mówienia w domu, a także do rozmawiania z Cole'em, Megan i innymi, kiedy zaczęliśmy przesiadywać "U Murphy'ego", chociaż nadal nie potrafię mówić w otoczeniu większych grup ludzi. Zacząłem ostatni rok nauki w mojej starej szkole, ale do tego czasu wszyscy traktowali mnie już jak eksponat na lokalnej wystawie dziwolągów, więc Vee z Timem pozwolili mi przenieść

się do Westcliff, gdzie moje nazwisko mogli rozpoznać najwyżej niektórzy futboliści.

Jedynym innym fanem "Morza Potwornego", jakiego kiedykolwiek poznałem w szkole, był Cole, ale że należy do tych palantów, co to pokażą się z człowiekiem w miejscu publicznym tylko w idealnej sytuacji towarzyskiej, gadaliśmy ze sobą wyłącznie "U Murphy'ego". A potem poznałem ciebie. Miałaś cały szkicownik pełen fan artu do "Morza Potwornego", a w dodatku jeszcze stanęłaś w mojej obronie. Większość ludzi nigdy tego nie robi; no bo który stukilowy facet potrzebuje, żeby ktoś go bronił? Naprawdę z początku myślałem, że mnie nie cierpisz. Albo że przynajmniej bierzesz mnie za głupka. Większość ludzi bierze mnie za głupka, bo się nie odzywam i piszę powoli.

Ale odpisałaś mi coś w odpowiedzi. I uwielbiasz tworzyć różne rzeczy. I kumasz, o co mi chodzi, kiedy mówię, że nie chcę spędzić całego życia na zajmowaniu się czymś, czego będę nienawidził. Skoro wiadomo, co ma się w życiu robić, skoro wiadomo, co się kocha, czemu by nie robić właśnie tego? Znaleźć jakiś sposób, żeby to robić, sposób na zarabianie tym na życie. Mój tata nienawidził tego, co robił, i myślę, że przez to czuł też odrazę do samego siebie. Ja nie chcę czuć odrazy do samego siebie. Ani nie chcę, żebyś ty czuła odrazę do samej siebie.

Wiem, że żadne z nas dwojga nie jest mistrzem życia towarzyskiego. Piszę ci to wszystko w mejlu, bo jeśli spróbuję powiedzieć ci to w czasie rzeczywistym, nawet z jakimś ekranem między nami, zemdleję ze stresu. Już i tak prawie mdleję ze stresu, choć przecież jesteśmy w różnych miejscach i wiem, że nie muszę tego wysyłać, jeśli nie będę chciał. Powinienem skończyć, zanim stanie się coś złego.

Podoba mi się bycie razem. Podoba mi się poczucie, że wszystko ze mną w porządku. Podoba mi się, że mogę w nocy myśleć o czymś innym niż o zakręcie Wellhouse. Wiem, że powinienem skonsultować się z kimś w sprawie niemówienia, ale na razie nie przeszkadza mi to. Jest mi dobrze.

Mam nadzieję, że tobie też jest dobrze.

Wallace



W głowie mam pustkę i dzwoni mi w uszach, kiedy przewijam e-mail z powrotem do góry. Palce mam jak z gumy. Nikt nigdy nie powiedział mi nic równie ważnego. Jest tak, jakby Wallace zdjął z twarzy maskę swojej twarzy. Pod spodem jego twarz wygląda identycznie, ale dopiero teraz widzę, jak potrafi zmieniać się jej wyraz.

Ależ byłam marudnym, rozpuszczonym bachorem. Przez cały ten czas.

Dopiero wtedy zauważam temat tego e-maila.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

00:05 (Do konwersacji dołącza MirkerLurker)

MirkerLurker: Któreś z was się tu może kręci?

MirkerLurker: Mam pytanie.

MirkerLurker: Naprawdę nie wiem, co robić...

00:25 (Do konwersacji dołącza emmiterliter)

emmiterliter: Przepraszam

emmiterliter: Ostatnio chodze spac duzo za wczesnie

emmiterliter: O co chodzi no nie przeciez mam 14 lat

emmiterliter: Powinnam moc golnac sobie Monty D ¹ i nie zasypiac

emmiterliter: W kazdym razie

emmiterliter: O co biega

MirkerLurker: Pojęcia nie mam, co znaczy "golnąć sobie Monty D", ale mam ochotę posłuchać o twoich problemach dużo bardziej niż gadać o własnych.

emmiterliter: W collegegu mamy tak zwane projekty i jesli chce sie dostac dobra ocene to pracuje sie nad nimi do poznej nocy przez wiele tygodni

MirkerLurker: W liceum też to mamy.

emmiterliter: Haha tak ci sie tylko wydaje

emmiterliter: Przyjdz na budowe maszyny to bedziesz miec pojecie co to sa projekty

emmiterliter: Jesli naprawde chcesz o tym sluchac to moge opowiadac dalej

MirkerLurker: No nie, dzięki.

MirkerLurker: Moje problemy są z gatunku tych Wallace'owych.

emmiterliter: O nie

emmiterliter: Powazne problemy???

MirkerLurker: Nie. Raczej typu: "Zagrał kartą ,Odnalazłaś mnie w konstelacji', mówiąc mi różne ważne rzeczy i teraz nie wiem, co mu odpowiedzieć".

emmiterliter: O.O

emmiterliter: Wykorzystal ten greps o konstelacji??

emmiterliter: Wow musisz naprawde mu sie podobac

emmiterliter: No a co czy on ci sie nie podoba???

MirkerLurker: Podoba!

MirkerLurker: Ale co tu odpowiedzieć komuś, od kogo słyszy się coś takiego?

MirkerLurker: I to nawet nie w tym problem - chodzi o to, że powiedział to, ale powiedział też całą resztę. Rzeczy, których do tej pory nikomu nie mówił.

emmiterliter: Powiedz mu że go kochasz

MirkerLurker: Eechhh. To nie tego rodzaju rozmowa. To, co mi powiedział, było... delikatne.

emmiterliter: Ale ty go kochasz tak??

MirkerLurker: Czy ja wiem? Jak można kogoś kochać, jak on nawet nie wie, kim jestem? Bez przerwy go okłamuję, a on opowiedział mi o sobie różne rzeczy. Poważne rzeczy. Rzeczy, które naprawdę coś znaczą.

emmiterliter: Pewnie cie to speszyło

MirkerLurker: No właśnie nie, w zasadzie to nie. Nie w sposób, w jaki to przedstawił.

MirkerLurker: Gdzie jest Max, kiedy go potrzeba? On by mi wytłumaczył, co w takiej sytuacji chce usłyszeć facet.

emmiterliter: Max pewnie teraz rzadko się będzie pojawiał

MirkerLurker: Co? Dlaczego?

emmiterliter: Jego dziewczyna kilka dni temu z nim zerwała

emmiterliter: Powiedziała że za dużo czasu spędza w necie

emmiterliter: Więc teraz będzie się zastanawiał nad swoim życiem czy coś

MirkerLurker: Dlaczego mi nic nie powiedział?

emmiterliter: Powiedział

emmiterliter: W watku wiadomości kilka dni temu

MirkerLurker: Aha.

emmiterliter: Ale tak czy siak nie wydaje mi się że byś potrzebowała opinii faceta

emmiterliter: No bo wiesz

emmiterliter: Co byś sama chciała usłyszeć, gdybyś to ty opowiedziała komus wszystkie te rzeczy??

1. Chodzi o zawierający kofeinę napój bezalkoholowy Mountain Dew (przyp. tłum). [\[wróć\]](#)



Nie potrafię nawet potwierdzić, że dostałam tego e-maila, aż przychodzi czas powrotu do szkoły. Co miałabym odpowiedzieć? Co można odpowiedzieć na to wszystko w innym e-mailu, żeby nie zabrzmiało sztucznie?

Wallace wchodzi ociężałym krokiem do klasy na kwadrans organizacyjny i jak zwykle siada obok mnie. Jak zwykle wyciąga kartkę papieru i ołówek i starannie kaligrafuje wiadomość. Jak zwykle przesuwa ją na mój pulpit.

Kolczyki prof. Grier wyglądają wypisz wymaluj jak wibratory.

Na odgłos mojego śmiechu kilka osób ogląda się na nas, w tym także profesor Grier. Jej kolczyki – to chyba mają być bakłażany, ale faktycznie wyglądają jak wibratory – podskakują przy tym, przez co śmieję się jeszcze bardziej.

Mija dłuższa, gorąca chwila, zanim odzyskuję panowanie nad sobą na tyle, by móc mu odpisać.

Wolę myśleć, że dobrze o tym wie i nosi je specjalnie tylko po to, żeby pokazać wala dyrekcji szkoły.

Wallace parska śmiechem, ale zaraz milknie. Zapada ciężka, niezręczna

cisza, z rodzaju tych, podczas których wiadomo, że oboje wewnętrznie wrzeszczymy na cały głos, zastanawiając się, dlaczego to drugie nie czyta nam w myślach.

Myślę: *Jesteś chłopakiem, o którym czytywałam w „Westcliff Star”.*

A także: *Twój tata się zabił, a ja wciąż jeszcze próbuję to ogarnąć, więc nie wyobrażam sobie, co ty sam musisz czuć.*

I w końcu: *Naprawdę cieszę się, że mi to opowiedziałeś, ale mnie samej tak kiepsko idzie mówienie, że nie wiem, jak to wyrazić.*

Wallace siedzi cicho z wyrazem twarzy, który świadczy o tym, że musi wrzeszczeć w myślach jeszcze głośniejsze niż ja. Przez dobrą minutę zakrywa złożoną kartkę dłońmi, błędząc wzrokiem po klasie, aż w końcu pisze: *E-mail?*

Co ja na jego miejscu chciałabym usłyszeć od kogoś po tym wszystkim? Gdybym to ja straciła w ten sposób jedno z rodziców? Gdybym sama się bała do niego upodobnić? Gdybym to ja została odcięta od czegoś, co uwielbiałam robić, i od moich znajomych? Gdyby było mi dobrze i gdybym chciała się tym z kimś podzielić?

Piszę: *Nic ci nie jest?*

Odpisuje: *Chyba nie.*

Czuję się tak kompletnie bezradna w tym temacie, ale – do cholery! – nauczę się utrzymywać głowę na powierzchni wody, jeśli się tylko postaram. Rozumiem w tej jednej chwili, że Wallace tego właśnie ode mnie potrzebuje. Opowiedział mi prawdę o sobie, kiedy ja nie umiałam opowiedzieć mu własnej; przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić. Bez przerwy pisuję fragmenty takich dialogów. Rysuję postaci podczas ważnych, odmieniających ich życie rozmów. Może i nie umiem mówić tych rzeczy na głos, ale wiem, jak przelać je na papier.

Piszę: *To nic między nami nie zmienia.*

Odbiera ode mnie kartkę, czyta. Potem opiera się czołem o uniesioną rękę. Kartka zasłania mu twarz. Pociąga nosem – lekko, sucho, co może nic nie znaczyć. Nikt wokół nas nie zwraca na to uwagi. Kiedy opuszcza rękę, żeby znów coś napisać, wygląda normalnie, jeśli nie liczyć lekkiego zaczerwienienia pod oczami.

Zawiesza ołówek nad kartką. Bazgrze – naprawdę bazgrze, szybko i mocno – dwa słowa: *To dobrze*. Oddaje mi papier.

Czekam kilka minut, a potem piszę:

Ten mejl miał niczego sobie temat, nie powiem.

Nie mogę o tym nie wspomnieć, a im szybciej, tym lepiej. Wallace’owi czerwienieją uszy.

Super banał, co?

Może trochę.

Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Dziwnie jest zobaczyć, jak ktoś kieruje pod moim adresem drugą pod względem popularności linijkę z mojego własnego utworu, i to na serio. Jest jeszcze dziwniej wiedzieć, dlaczego ma krzywy nos i dlaczego nie odzywa się głośno w miejscach publicznych. Tylko że nie zdaje sobie sprawy, kim jestem. Więc nie próbuje przecież tym cytatem ani mi się podlizać, ani mnie wyśmiać.

Muszę mu powiedzieć, że jestem LadyKonstelacją. Wszystko jest teraz wytrącone z równowagi, nawet jeśli on tego nie czuje. Ale muszę to zrobić we właściwy sposób, we właściwym momencie.

Piszę więc:

To trochę dużo do przetrawienia naraz. Ale nie w złym znaczeniu.

Potakuje skinięciem głowy.

* * *

Pierwsza połowa tego semestru szybko zmienia się w ćwiczenie teoretyczne: jak oznajmić Wallace'owi, że to ja jestem autorką *Morza Potwornego*. Kompletnie nie umiem sobie wyobrazić, co zrobi ani jak to przyjmie.

Zwłaszcza po tym e-mailu. Czytuję go co najmniej raz dziennie.

Wiem, że powinnam po prostu spojrzeć mu w oczy i powiedzieć prawdę, ale kiedy próbuję, całe moje ciało protestuje tak gwałtownie, że czuję się chora. W klasie na kwadransie organizacyjnym, podczas obiadu, na ławkach za gimnazjum – co teraz zaczęło znaczyć „w moim aucie za gimnazjum”, bo styczeń w Indianie jest jak zimna przygrywka do lutego – u mnie w domu, u niego w domu, „U Murphy'ego”, wszędzie.

Kiedy na niego patrzę, nie widzę zakrętu Wellhouse, choć trochę spodziewałam się, że to nastąpi. Widzę tylko Wallace'a. Skoro mówi, że jest mu dobrze, wierzę mu. Za pierwszym razem, kiedy mijamy zakręt Wellhouse w drodze do „U Murphy'ego”, spoglądam na niego, a on kręci głową, uśmiechając się nieznacznie.

– Nie patrz na mnie – mówi.

Kiedy patrzę na zakręt Wellhouse, widzę tylko napawającą podziwem przepaść.

Staramy się nie rozpamiętywać za bardzo tamtego e-maila. Kiedy spędzamy wspólnie czas, odrabiamy razem pracę domową, starając się podciągnąć nawzajem w stopniach. Wallace przerabia historię, język angielski (jakżeby inaczej) i jakieś dziewięćdziesiąt procent przedmiotów fakultatywnych; ja zajmuję się matmą, biologią, fizyką i pozostałymi dziesięcioma procentami fakultatywnych, czyli plastyką. Wallace chodzi na plastykę tylko dlatego, że nie cierpi zajęć z kreatywnego pisania z powodu podpowiedzi; ja nie chodzę na plastykę, bo jej nauczycielka to strasznie wścibska zołza, która na bank wykryłaby w moim szkicowniku panele *Morza Potwornego*.

Dzięki temu, że w okolicy Gwiazdki i Nowego Roku nie spędzaliśmy ze sobą czasu w realu i miałam okazję podgonić z *Morzem Potwornym*, mam teraz pewną nadwyżkę gotowych plansz i dobry rozpęd, żeby utrzymać tempo produkcji. Zastępy czytelników rosną w siłę. Zamieszczam na forach kolejne kilka rysunków jako MirkerLurker i Wallace mówi mi, jak bardzo podobają się innym. Odmawiam zagłędania do komentarzy. Kompiluję kolejny tom powieści graficznej na użytek sklepu i aż mnie zatyka na wieść o tym, ile osób kupuje go w ciągu pierwszych trzech godzin od zamieszczenia informacji w witrynie. Może nie powinnam się dziwić ani liczbie odsłon komiksowych stron, ani rosnącej jak na drożdżach popularności rozdziałów transkrypcji Wallace'a – które prawie już dorównują odsłonom samego komiksu – ale i tak wciąż mnie to zaskakuje. Tak samo jak co dzień rano mój budzik.

Od czasu do czasu widuję na forach Maxa, kiedy banuje kogoś albo zamyka stare wątki, zalogowany jako Kuznie_Risztu, zaś Emmy wpada na czat podczas oglądania *Kanikuły*, ale wiadomości wymieniamy bardzo rzadko. Zazwyczaj wtedy, kiedy Emmy ma czas między wykładami, a Max pozwala sobie na zalogowanie do netu. Czasem mam wrażenie, że częściej widuję się z Cole'em, Megan, Leece i Czandrą, niż rozmawiam z Maxem i Emmy. Lubię kumpli Wallace'a, ale nadal odbieram ich jako jego kumple. Chcę, żeby wrócili do mnie moi kumple.

Gdy dopada nas luty – z rozkosznymi mrozami poniżej minus piętnastu stopni Celsjusza, gdy jest na tyle zimno, że samo oddychanie przez usta może przyprawić o lodowy ból głowy – mam wrażenie, że znam Wallace'a od pięciu lat, a nie od pięciu miesięcy. Żadne z nas nie wspomina już o jego e-mailu i mam nadzieję, że tak jest w porządku, ale czasami, kiedy próbuję odgadnąć, co myśli, czuję się, jakbym próbowała przeniknąć mur. Wyraz twarzy najczęściej ma neutralny; kiedy go zmienia, to szybko i zawsze na

bardzo krótko.

Powiedział mi, że nie musimy rozmawiać o jego e-mailu, o tym, co w nim powiedział, o jego tacie. Poniekąd porozmawialiśmy o tym, ale nie na głos. A teraz mam poczucie, że jednak powinniśmy. Oboje jesteśmy mistrzami konwersacji w internecie, formowania tekstu w ten sposób, żeby znaczył to, co chcemy i co naszym zdaniem znaczyć powinien. W internecie mogą kłamać, bo tam nikt nie słyszy mojego głosu. Ale przy nim, sam na sam, nie umiem mówić nieprawdy – nie jestem dość dobrą aktorką. Mam nadzieję, że on to wie.

– Tamten e-mail – mówię któregoś popołudnia, kiedy leżymy na materacu w suterenowej sypialni Wallace’a.

Wtulam się w krzywiznę jego ramienia. Moje włosy muskają go w policzek. Oboje mamy na sobie dresy. Wokół naszych nóg leżą porzucane podręczniki; Wallace w jednej dłoni trzyma moje ostatnie wypracowanie z angielskiego, a w drugiej czerwony długopis. Mam już pewność, że stara koszulka futbolisty wisząca na ścianie, ta z nazwiskiem WARLAND i numerem 73, należała kiedyś do jego ojca.

Nie mówię nic więcej, więc po chwili obraca głowę. Wypracowanie i długopis opadają, by spocząć przy mojej nodze.

– Tamten e-mail – powtarza.

– Nigdy tak naprawdę o nim nie rozmawialiśmy.

– Nie wiedziałem, czy chcesz. – Mówiąc to, ścisza głos. O błędach gramatycznych potrafi nawijać, ale o tym nie.

– Chciałam powiedzieć... że przykro mi z powodu twojego taty. I wszystkiego, co się stało. Ale cieszę się, że jest ci dobrze. I cieszę się też... naprawdę się cieszę... że zdecydowałeś się mi to wszystko opowiedzieć. Mnie też. W sensie, też jest mi dobrze.

Mocniej obejmuje mnie ramieniem.

– Myślałem, że może... przesadziłem.

– Nie przesadziłeś. To, co powiedziałam... napisałam... w klasie, to prawda. To znaczy, ja – stukam palcem w jego klatkę piersiową, nie zastanawiając się właściwie, czego dotykam – nadal tutaj jestem.

Najpierw znika wypracowanie, potem grube ramię, które służyło mi za poduszkę. Wallace pchnięciem przewraca mnie na plecy i zanurza twarz w zgięciu mojej szyi. Chichoczę, bo nie mogę nic na to poradzić. Dłońmi odnajduję jego ramiona. Robi to czasem: jeden wolny, staranny pocałunek wyciska na moim obojczyku, drugi na szyi. Ten na szyi mnie wykańcza. Momentalnie zmieniam się w kłębek nerwów. Nie może się dowiedzieć, jak ten drugi na mnie działa, bo jak się dowie, nigdy nie przestanie. Podnosi się na rękach, tak by znaleźć się ze mną oko w oko. Prawie dotykamy się nosami. Wzrok ma spuszczone. Zaciskam usta. Palcami przesuwam po moich bokach i tracę oddech, kompletnie tracę oddech.

– To dobrze – mówi.

Zarzucam mu ręce na szyję i pociągam go w dół, tak że całym ciężarem torsu opada na mnie, a czołem wciska się w poduszkę. Urywa mu się oddech. Zanim zdążę się powstrzymać, przesuwam ręką po jego włosach. Najpierw tych krótkich, ostrych jak szczecina na potylicy i z tyłu głowy. Potem tych dłuższych i bardziej gładkich na jej czubku. Obraca się ku mnie twarzą i obwodzę palcem kosmyk, który opadł mu na czoło.

W rurach nad naszymi głowami dudni spuszczana woda. Gdzieś w ciemności słychać tykanie budzika. Jedno z oczu Wallace'a mieni się bursztynowo w żółtym świetle jego nocnej lampki. Pragnienie wzbiera we mnie ostro i szybko i w jednej chwili zdaję sobie sprawę, że nie mogę już dłużej się hamować. Nie chcę być zamarznąłą dziewczyną, a nie mogę dłużej czekać, aż ktoś ogrzeje mnie i roztopi.

Wychyłam głowę naprzód. Wallace spotyka się ze mną w pół drogi. Przez

twarz przepływa mi fala gorąca, Wallace na pewno czuje je na moich wargach. Na pewno się orientuje, że nigdy wcześniej z nikim się nie całowałam. Odsuwam się, cofając brodę. Wallace ruchem głowy podąża za mną.

– Myślałem, że miałem cię zaskoczyć – przypomina mi.

– Ociągałeś się – odpowiadam.

Odwracam twarz do poduszki, tak że moje włosy zmieniają się w zasłonę. Odgarnia je na bok i całuje mnie w brew. Potem w policzek, w nos, a potem nachyla się nade mną i muska mnie nosem w ucho. Po plecach wędrują mi ciepłe dreszcze.

Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem inny człowiek może mieć taką moc. Robić coś takiego nawet nie słowami, a samym dotykiem. Samym spojrzeniem. Wystarczy, że na mnie spojrzy, a ja czuję się równocześnie jak ja i jak ktoś inny, jakbym była przy tym i jakby mnie nie było, jak wszystko i jak nic.

– O czym myślisz? – pytam.

Opiera się na boku, nadal częściowo leżąc na mnie, i mówi:

– Kojarzysz ten fragment *Morza Potwornego*, w którym Dallas prosi Amity, żeby ta choć raz pocałowała go, zanim odejdzie, bo boi się, że nie dożyje ich ponownego spotkania?

– Tak.

– I co mówi po tym pocałunku?

Oczywiście, że kojarzę. Sama to napisałam.

– „Tak jak to sobie wyobrażałem” – cytuję.

Kiwa głową. Wiem, że większość osób pomyślałaby, że to dziecinne albo głupie, wyjaśniać coś w ten sposób, posiłkując się scenami i cytatami, ale oboje jesteśmy biegli w języku *Morza Potwornego*. W ten właśnie sposób rozumiem Wallace’a najlepiej.

– Kiepska w tym jestem – mówię.
– Nic podobnego – zaprzecza.
– Nigdy wcześniej z nikim się nie całowałam – wyznaję, nadal czując na twarzy gorąco.

– Akurat uwierzę – mówi z tym swoim nieznacznym uśmieszkiem.
Próbuję go odepchnąć, z zerowym skutkiem.

– Cicho bądź. To ty pisujesz całymi dniami sprośne fanfiki.

– O, wypraszam sobie, nie piszę nic sprośnego. Jeśli postanawiam włączyć w moją opowieść scenę seksu, jest nie tylko gustowna, ale i z klasą. – Nachyla się bliżej, tak że nie mam dokąd uciec ani nawet nie mam jak odwrócić wzroku. – Poza tym nie trzeba przecież mieć doświadczeń, żeby pisać o sprośnościach. Albo choćby o całowaniu.

– Nie udawaj, że nie masz żadnego doświadczenia w całowaniu.

– Dobra, nie będę udawał.

Znowu próbuję go odepchnąć. Łapie mnie za przeguby rąk i przytrzymuje je sobie na piersi.

Jest już tak blisko, że nic nie muszę robić, tylko unieść brodę. Znowu spotyka się ze mną w pół drogi. Ten pocałunek jest głębszy, dłuższy niż poprzedni. Twarz mi płonie, ale pozostaję tam, gdzie jestem. Dość naukrywałam się już w swoim życiu. Całymi dniami ukrywam się przed kolegami i koleżankami z klasy. Ukrywam się przed rodzicami, braćmi, nawet przyjaciółmi.

Może i ukrywam przed Wallace'em LadyKonstelację pod postacią Elizy Mirk, ale to nie LadyKonstelację właśnie całuje.

Tylko Elizę. Tylko mnie.

Nie chcę dłużej ukrywać tej części siebie.



W dniu, w którym Amity spotkała się z nią po raz pierwszy, Kite stała na środku ringu do ćwiczeń z rękami założonymi na piersi. Jej skóra miała ciemniejszy odcień brązu niż skóra Amity.

– Skąd pani jest? – wykrztusiła Amity natychmiast po tym, gdy Kite lakonicznie się jej

przedstawiła. Starsza kobieta zadarła nos, przybierając z lekka królewską minę.

– Z Wysp Światła – odpowiedziała – i więcej wiedzieć nie musisz. Sato wspominał, że nie masz żadnego doświadczenia w formalnej walce.

– To prawda. Ale jestem szybka i równie szybko się uczę.

Im dłużej Kite lustrowała ją wzrokiem, tym bardziej w Amity narastało wrażenie, że się tamtej nie podoba. Nie było to dla niej niczym nowym. Co prawda przy pierwszym spotkaniu nie podobała się większości ludzi – zrażały ich do niej jej pomarańczowe oczy, białe włosy i świadomość, że żyje w niej Strażnik – ale nie poprawiało to wcale perspektywy spędzenia kilku miesięcy na szkoleniu pod kierunkiem Kite.

– Jesteś gotowa? – usłyszała.

Amity nie była pewna, czy pytanie dotyczy jej gotowości do ćwiczeń, czy do pogoni za Faustem.

Z drugiej strony tak czy inaczej mogła odpowiedzieć tylko w jeden sposób:

– Tak.



Kiedy w połowie marca dopadają mnie ferie wiosenne, rodzice uznają, że dość mojego siedzenia w sypialni, i nie spełniają mojej prośby o wyłączenie mnie z tegorocznego wyjazdu na rodzinny biwak. Sully i Church uważają to za prześmieszne: Eliza, ten leniwy odludek, będzie mieć okazję powędrować przez leśną głuszę z plecakiem pełnym zapasów, roztaczając wokół siebie woń repelentu na owady.

Nie chodzi o to, że nie lubię dzikiej przyrody. Po prostu nie widzę sensu w przebywaniu pod gołym niebem, kiedy jest tyle rzeczy, które mogłabym robić w domu.

Rodzice zabraniają mi też zabrać na tę wyprawę szkicownik i zakaz ten doprowadziłby mnie do kipiącej złości, jeśli nie apopleksji, gdybym tylko trochę mniej nad sobą panowała. Nigdy wcześniej nie odebrali mi szkicownika, ale nie wydaje mi się, by tata odczuł falę uderzeniową czystego zaskoczenia i gniewu, która buchnęła ze mnie, kiedy kazał mi się odwrócić i odnieść „to coś” z powrotem do pokoju.

Mama i tata nie wspominają jednak ani słowem o mojej komórce. Albo nie wierzą, że uda mi się złapać w lesie sygnał, albo się nie orientują, że ją

wzięłam. Trzymam ją schowaną w kieszeni.

Wypala mi tam dziurę przez całą drogę do hotelu dla psów „Szczęśliwi Przyjaciele”, gdzie podrzucamy Davy’ego, a potem w trakcie jazdy długą polną drogą między szerokimi połaciami lasu. Z tyłu naszego SUV-a grzechoczą kempingowe sprzęty. Po obu moich stronach Sully i Church śpiewają do wtóru muzyki pop dobiegającej mocnymi wibracjami z radia. Mama i tata uprzejmie ich ignorują. Sully wywrzaskuje wszystkie teksty piosenek poprawnie, choć trochę fałszując. Church za to śpiewa całkiem nieźle.

– Powinieneś zgłosić się do chóru – mówię, kiedy jedna z piosenek się kończy.

Cała szyja i twarz Churcha rozkwitają szkarłatem.

– E tam – odburkuje. – Chór to głupota.

Zamykam się. Po co ja się wysiłam.

– Oo, mały Churchy w chórze – śmieje się Sully. – Gdybyś śpiewał w chórze, mógłbyś spędzać z Macy Garrison całe dni.

– Myślałem, że przed Bożym Narodzeniem zaprosisz Macy Garrison na randkę? – Tata z błyskiem w oku przygląda się nam w lusterku wstecznym. – Coś z tego wyszło?

– Nigdy nie powiedziałem, że to zrobię – burczy Church. Potem rzuca mi złe spojrzenie. – Dzięki bardzo. A ty dlaczego nie zostałeś w domu ze swoim chłopakiem?

– Mama i tata jej nie pozwolili – wtrąca Sully, nie przestając się śmiać. – Myśleli, że zaprosi go do chaty na seksy.

Zamieniam się w wulkan.

– Och, Elizo, wcale nie dlatego cię zabraliśmy. – Mama na chwilę odrywa wzrok od drogi, żeby się na mnie obejrzeć. – Jeśli z Wallace’em zdecydujecie się na ten krok, będzie to w zupełności wasza decyzja... po to przecież

byliśmy na tej wizycie u lekarza.

– Mamo, cicho. – Mój głos zniża się do szeptu.

– To całkowicie zdrowe dla młodzieży w waszym wieku, żeby się, no wiesz, spotykać.

– Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiliście – dorzuca tata. – Nasz pierwszy raz, mój z waszą mamą, zdarzył się w przedostatniej klasie liceum...

– CICHO! – wrzeszczymy razem Sully, Church i ja, zatykając sobie uszy rękami. Mama i tata milkną skonsternowani.

Jedziemy w ciszy przez całe trzy minuty, zanim mama znowu szczebiocze:

– Tylko przypomnę, że w ten sposób zrobiliśmy całą waszą trójkę.

– Jezu – jęczy Sully.

* * *

Parkujemy na kempingu, ale do miejsca, w którym rozbijemy namioty, musimy jeszcze podejść ponad trzy kilometry w górę. Wiedziałam jeszcze przed przyjazdem tutaj, że to nie będzie byle jaki spacer. Moi rodzice i bracia obładują się sprzętem i ruszają sprężystym krokiem. Ja niosę własne rzeczy na dwa dni – ubrania, przekąski, sprej na owady i filtr przeciwsłoneczny; mam na sobie swoje stare luźne ciuchy i buty turystyczne od mamy, żeby nie skrećić kostki.

Prawie natychmiast po rozpoczęciu marszu ścieżką czuję, jak pot zaczyna mi ściekać między łopatkami. Pośród drzew praży z góry słońce. Choć jest chłodny marzec, mimo wszystko strasznie mi gorąco. Momentalnie zostaję z tyłu. Sapię, dyszę, ocieram spocone oczy. Już po paru krokach bolą mnie plecy. Moi rodzice dzielnie maszerują przed siebie, za nimi zaś Sully i Church, których donośne głosy wypłaszają ptaki z drzew. Nawet się na mnie nie oglądają, nie sprawdzają, gdzie jestem. Nie żeby miało to jakies

znaczenie; idziemy po ziemistym szlaku wyraźnie wydeptanym między drzewami, wiodącym do opuszczonego obozowiska w lesie. Przyjeżdżałam tu, kiedy byłam młodsza, ale w ostatnich latach z powodzeniem wykręcałam się od wyjazdu, udając chorobę. Spróbowałam tego jeszcze raz dziś rano, ale tata powiedział tylko, że świeże powietrze dobrze mi zrobi. Doskonale wiem, dokąd idą i jak tam dojść, więc przystaję i siadam na powalonej przy ścieżce kłodzie, wyciągając komórkę.

Nie mam tu zbyt dobrego zasięgu, ale jakiś jeszcze jest. Przechodzę do esemesów. Nie ma nic od Wallace'a, ale powiedziałam mu, że na dwa dni jadę w zapadłą dzicz, więc pewnie nic mi nie przyśle, dopóki nie będzie pewien, że mogę to przeczytać. Jest za to kilka nowych wiadomości od Maxa i Emmy. Otwieram okienko czatu.

Zraz_Apokalipsy: powiedz temu profesorowi, żeby się w dupę pocałował.

Zraz_Apokalipsy: tylko oczywiście powiedz to jakos grzeczniej. dwunastolatka nie powinna używać takich słów.

emmiterliter: MAM 14 LAT

emmiterliter: Na sto procent mogłabym to powiedzieć gdybym tylko chciała

emmiterliter: Ale nie powiem bo chce mieć dobrą ocenę z egzaminu

Zraz_Apokalipsy: będziesz mieć z nim zajęcia w przyszłym semestrze?

emmiterliter: Nie to moje ostatnie zajęcia z tym gościem

emmiterliter: Ale tylko on prowadzi te ćwiczenia więc jak ich nie zaliczę będę musiała znowu się z nim meczyc

Zraz_Apokalipsy: to jakas masakra. pojdź do władz wydziału i poskarż się, że jesteś przez niego dyskryminowana z powodu wieku.

16:31 (Do konwersacji dołącza MirkerLurker)

MirkerLurker: Co się dzieje?

Zraz_Apokalipsy: em ma beznadziejnego faceta od rachunku różniczkowego. ciągle się jej czepia i nasmiewa się z niej przed całą grupą tylko z powodu jej młodego wieku.

emmiterliter: Nie nasmiewa się ze mnie

emmiterliter: Mowi do mnie "dziecko" za każdym razem kiedy mu wykazuje że robi błędy

w równaniach

emmiterliter: Jakbym to ja te błędy zrobiła albo jakbym marudziła czy pieklila się o coś bez powodu

Uwielbiam to w Maksie i Emmy. Minęły całe tygodnie bez dłuższej rozmowy, ale włączają mnie do swojego grona, jakby nic się nie zmieniło.

MirkerLurker: To brzmi, jakby się z Ciebie naśmiewał.

MirkerLurker: A w zasadzie to brzmi, jakby był palantem. Nauczyciele zwracający się do studentów per "dziecko" to palanty, niezależnie od wieku jednych i drugich. Powinnaś to zgłosić szefowi wydziału.

emmiterliter: Aha

emmiterliter: No może

emmiterliter: Jak już mówiłam muszę tylko dokończyć ten semestr i zdać egzamin i potem już nigdy więcej na oczy go nie zobaczę

Zraz_Apokalipsy: poważnie, em. to nie jest w porządku. on nie powinien się tak zachowywać.

emmiterliter: Możemy już zmienić temat??

– Dostałaś zadyszki, Jajeczko?

Podskakuję i podnoszę wzrok. Tata wraca, truchtając w dół po ścieżce, uśmiechnięty – dopóki nie spostrzeżę komórki w moich rękach. Próbuje wetknąć ją z powrotem do kieszeni, ale jest już za późno.

– Mówiłam ci, że kiepsko się dzisiaj czuję – odpowiadam, gramoląc się na nogi i otrzepując spodnie.

– Umówiliśmy się chyba, że żadnych telefonów?

– Musieliście to ustalić tylko z Sullym i Churchem. Ja nic nie słyszałam.

– Jajeczko.

Mijając go, ruszam w górę szlaku.

– Rozmawiałam z przyjaciółmi.

– Ale to twój czas dla rodziny. Twój przyjaciele na pewno to rozumieją, kiedy wrócimy za parę dni.

Dogania mnie bez trudu, jakby cały czas szedł obok mnie, i wyciąga rękę. Mimo to nie oddaję komórki.

– To było coś ważnego.

– Nie wątpię. – Mówi to lekko, łagodzącym tonem. Cierpnie mi skóra. Wyciągniętą ręką chwyta mnie za ramię. – Elizo.

Okręcam się ku niemu. Nigdy nie mówi do mnie po imieniu.

– To tylko telefon! Tam wyżej pewnie i tak sygnał będzie do chrzanu! Czemu musicie wszystko mi zabierać?

– Chyba przeżyjesz dwa dni bez telefonu – oświadcza oficjalnym „głosem taty”. – Mama na pewno się ze mną zgodzi. A teraz dawaj.

Wyrywam komórkę z kieszeni, wpycham mu ją w dłoń, po czym ruszam szlakiem wyżej, śladem echa głosu moich braci. Tata zostaje za mną, pewnie żeby się upewnić, że znowu się nie zatrzymam.

Nie planuję już przystanków. Mam w sobie dość złości, żeby iść przez całe dni.

* * *

Mama, Church i Sully są już w miejscu obozowiska. Church i Sully biją się o nasz namiot. Mama zdążyła już rozbić drugi.

– Oj, myślałem, że padłaś na dobre – zauważa z udawanym żalem Sully. Patrzy na Churcha. – Chyba jednak będziemy spać we troje.

Ciskam plecakiem o ziemię.

– Stul dziób, Sully.

Tata rozmawia półgłosem z mamą, pokazując jej mój telefon. Widzę jej ściągnięte brwi. Mama wsuwa moją komórkę do kieszeni.

Skrobię się po twarzy. Włosy kleją mi się do policzków, a skóra swędzi. Ryzyko pokrzywki. Przed wyjazdem wzięłam lek antyalergiczny, poza tym mam w plecaku EpiPen, a w bagażu mamy jest drugi, ale jeśli zdarzy mi się

tu reakcja alergiczna i trzeba mnie będzie miגיem zawieźć do szpitala, potraktuję to jako z dawna wyczekiwane wybawienie.

Ale żaden atak alergii mi się nie trafi. Ostatni miałam w wieku dziesięciu lat.

Niestety.

* * *

Kiedy oba namioty stoją, słońce chowa się już za drzewami i tata zaczyna układać ognisko. Wrzucam rzeczy do mniejszego namiotu i wczółguję się w ślad za nimi.

– Wielkie dzięki za pomoc, Zgniłe Jajeczko – woła do mnie spod ogniska Sully, pokazując mi faka.

– Sullivanie! – Mama trzepie go w dłoń.

Sully poprzestaje na wywaleniu do mnie języka. Ignorując go, opuszczam płachtę wejścia do namiotu i rozwijam swój śpiwór pośrodku. Cienkie poliestrowe ścianki ani trochę nie tłumią odgłosów lasu, a nie planuję spać z brzegu, jeśli coś może zechcieć nas zaatakować. Co się zapewne nie stanie, ale i tak wolę nie kusić losu.

Kiedy wsuwam się do śpiwora, do namiotu zagłąda mama.

– Nie przyjdiesz jeść s'moresów?

– Nie – odpowiadam.

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie.

Waha się przez chwilę.

– Chodzi ci o twoją komórkę?

– Jestem zmęczona.

– Chcemy tylko, żebyś więcej czasu spędzała tutaj, w realnym świecie.

Tata nie chciał cię zdenerwować, my po prostu...

Urywa, bo odwracam się do niej tyłem i naciągam śpiwór niemal po sam czubek głowy. Słyszę, jak mama wzdycha.

– Wiemy, że wolałabyś być gdzie indziej. I może... może po prostu nie potrafimy tego zrozumieć. Tego wszystkiego. Przyjaciół w internecie, komiksu, nawet twojego rysowania. Staraliśmy się to pojąć. Chcielibyśmy to zrozumieć, żeby wiedzieć, dlaczego tyle dla ciebie znaczy. Przeraza nas, jak głęboko to wszystko przeżywasz i jak mało na ten temat wiemy. Ale nie możemy się doprosić u ciebie o żadne wyjaśnienia, więc błądzimy po omacku.

Następuje chwila ciszy, kiedy czeka, aż się do niej obróć. Nie robię tego. Wzdycha jeszcze raz i wstaje. Chrząst jej butów na ziemi i gałązkach oddala się z powrotem w kierunku ogniska.

We czwórkę rozmawiają i śmieją się jeszcze przez godzinę albo dwie. Burczy mi w brzuchu. Zjedli też kolację, nie tylko s'moresy. Mama w końcu wysyła wszystkich do śpiworów. Udaję, że śpię, kiedy Church i Sully pakują się do namiotu i rozciągają na podłodze po mojej lewej i prawej.

– Jakim cudem już śpi? – szepcze Sully. – W domu nie chodzi spać wcześniej niż o drugiej w nocy.

– Pewnie się zmęczyła – odpowiada mu szeptem Church.

– Niby czym, wejściem po zboczu?

Na to już Church nie reaguje. Obaj włączają do śpiworów i przez kolejne pół godziny szepczą coś o nadchodzącym początku sezonu piłkarskiego pod gołym niebem. Nawet się nie zorientowałam, że skończył się sezon futsalowy – mama z tatą po prostu mówili mi, kiedy mam zabrać ich na trening albo z niego przywieźć. Nie wiedziałam, że już po wszystkim. Był jakiś turniej? Trofea?

Po dłuższym milczeniu Sully pyta:

– I co, naprawdę zgłosiłaś się do tego wiosennego musicalu?

Przez chwilę Church nie odpowiada.

– Tak. A co?

– Tak się pytam. Czemu nic nie mówiłeś?

– Tylko byś się znowu śmiał, że to przez Macy Garrison.

– A... to nie o nią chodzi?

– Nie.

– Aha. Ale do chóru chyba się nie będziesz zgłaszał?

– Może.

– Czemu? – W ton głosu Sully’ego wkrada się cień szyderstwa.

– Bo to lubię – odburkuje Church. – Nie musimy bez przerwy robić tego samego. Zgłoś się do olimpiady z matmy czy coś. Lubisz matkę. Byłbyś w tym dobry.

– Olimpiada z matmy jest dla nerdów.

– Sull, muszę ci coś zdradzić.

– Nawet nie próbuj.

– Jesteś nerdem.

– Wcale nie. Eliza jest nerdem.

– Szczerze, Eliza jest raczej geekiem. Widziałem jej stopnie. W porównaniu z nami w szkole idzie jej tragicznie.

– Pewnie sam jesteś nerdem, jeśli widzisz różnicę.

– Trudno.

Sully się nie odzywa, ale czuję, jak po ciemku gotuje się ze złości. Nawet nie wiedziałam, że Church tak łatwo potrafi zaleźć bratu za skórę. Nie wiedziałam, że Sully lubi matematykę. Nie wiedziałam, że obydwaj tak dobrze się uczą. Nie miałam pojęcia, że Church już wie, że umie śpiewać... albo że interesują go musicale.

Jestem obok nich przez całe ich życie, ale aż do teraz byli dla mnie jak obcy.

Na krótką chwilę rozchyłam powieki. Leżę twarzą do Churcha; widzę, że odpowiada mi spojrzeniem. Znowu zamykam oczy. Udaję, że nic nie widziałam. Że nadal śpię.

Sully znów zaczyna gadać o piłce, próbuje wrócić do rozmowy, ale Church już nie reaguje. Wtedy Sully też się zamyka i z mruknięciem przewraca się na drugi bok. W namiocie zapada cisza. Szkoda, że nie mam przy sobie salaterki jajek na twardo. Moim palcom brakuje komórki, komputera, rysika, czegokolwiek. Tutaj jest tyle niczego, że nie umiem tego ogarnąć. Nic tylko ziemia, zapachy ogniska i s'moresów zrobionych z czerstwych grahamkowych krakersów. Nic tylko moi bracia, którzy raptem przestają przypominać bliźniaków.

Tej nocy nie śpi mi się dobrze.

* * *

Komórka i tak najprawdopodobniej padłaby mi przed końcem wycieczki. Ale uznanie tego faktu wcale nie pomaga mi brnąć przez to leśne zadupie. Pierwszego dnia wędrujemy po całkiem ładnych wzgórzach – z braku góry, bo stanowi Indiana nie udało się wypiętrzyć nawet jednej. Dostaję takiej zadyszki, że prawie zapada mi się płuco. Sully i Church nabijają się ze mnie. Rankiem drugiego dnia odwiedzamy kilka jaskiń i przynajmniej z tego mama z tatą pozwalają mi się wypisać – wiedzą, że nie ma szans, bym dobrowolnie wpakowała się w miejsce tak ciasne, ciemne i ograniczone. Nieważne, że nie schodzą eksplorować żadnych głębokich grot; widziałam wystarczająco dużo horrorów, żeby wiedzieć, jakie to potwory z miejskich legend potrafią czyhać w jaskiniach.

Siedzę przed wejściem do jednej z nich i patykami rysuję na ziemi Amity z Damienem. Oni nie mieli rodziców, którzy by im mówili, co mają robić albo dokąd iść. Właściwie to ktoś mnie kiedyś zapytał, dlaczego tak wiele

postaci z mojego komiksu nie ma rodziców. Amity została odłączona od swojej rodziny. Faren to sierota z wyspy Nokturn. Rodzice Damiena i Rory'ego stracili życie, kiedy obaj byli jeszcze nastolatkami. A przecież nie wszyscy ich rodzice byli strasznymi ludźmi – nie odgrywałam się podświadomie na własnych rodzicach. Po prostu ich nie było.

Sama nie wiem czemu. Może jednak płynęło to jakoś z podświadomości.

Oczywiście, że tak. Cała sztuka wypływa z podświadomości.

Wbijam patyk za mocno w ziemię i odłamuje mi się jego końcówka. Ciskam resztką na drugą stronę polany i znajduję sobie nowy.

Ciekawe, co też porabia cały mój fandom. Ciekawe, co porabiają Max i Emmy. Emmy pewnie męczy się z tym palantem, profesorem od rachunku różniczkowego, a Max niewątpliwie stara się udobruchać swoją dziewczynę. A może wcale nie? Może Emmy żuje sobie gumę Starburst i ogląda powtórki *Kanikuły*, a Max rozwiązał już swój problem z dziewczyną i zajął się czymś bardziej ekscytującym, na przykład przemodelowaniem ustawienia swojej kolekcji figurek Power Rangers. Dowiem się jutro, kiedy mama z tatą oddadzą mi tę pieprzoną komórkę.

Amity i Damien patrzą w tę samą stronę, atakując jakiegoś nieznanego wroga, więc naprzeciw nich rysuję długoszyjnego zmierzchozmora, który unosi się z otwartą paszczą i odsłoniętymi kłami. Początkowo skala jest nie ta, więc wycieram go butem i wstaję, żeby narysować morskiego potwora w całej okazałości.

Brak mi Wallace'a. Brak mi też Maxa, Emmy i reszty fandomu, ale Wallace'a byłoby mi brak nawet wtedy, gdybym miała przy sobie komórkę i mogła z nim porozmawiać. Brak mi siedzenia przy nim „U Murphy'ego”, kiedy swoją posturą blokuje mnie w rogu boksu. Brak mi widoku tego, jak macza swoje rolki z obu stron w sojowym sosie, kiedy idziemy na sushi. Brak mi widoku tego, jak gdy coś pisze, długopisem odgarnia sobie z czoła

włosy, bo urosły mu już od października tak, że musi to teraz robić.

Boże, nie minęły jeszcze nawet cztery dni, odkąd się ostatnio widzieliśmy. To jakiś absurd. Idę spać i o nim myślę; budzę się i o nim myślę. Chcę go narysować, chociaż jeszcze nie próbowałam. Kiedyś potrafiłam czuć coś takiego tylko na punkcie *Morza Potwornego*. Co prawda bynajmniej mi tego nie odebrał – nadal przepadam za moim komiksem. Nadal mam na jego punkcie obsesję. I to ma sens, no nie? Bo go stworzyłam. Kto nie ma obsesji na punkcie czegoś, co stworzył i kocha? Po-myśły to bezpłciowy sposób rozmnażania się u-myśłu. Nie trzeba dzielić ich z nikim innym.

Ale Wallace... Wallace'a dzielę z wieloma osobami. Wallace należy do mnie nie bardziej niż ja do niego, z tym, że ja go chcę. Chcę go obejmować, chcę być blisko niego, chcę wpełznąć do jego umysłu i żyć w nim, dopóki nie zrozumie, co nim powoduje. Chcę, żeby był szczęśliwy.

Ciekawe, co by pomyślał o tym rysunku, który kreślę patykami po ziemi. Pewnie by mu się spodobał, mimo że zapomniałam o rogach zmierzchozmora.

Dodaję zmierzchozmorowi rogi.

Moi bliscy wychodzą z jaskini. Church i Sully pędzą między drzewa, wrzeszcząc coś o jeziorze. Tata spieszy za nimi, wołając, że mają nie biegać po lesie. Mama wychodzi na końcu i rzuca okiem na mój rysunek, zanim zdążę zetrzeć go butem. Muszę mocno machnąć nogą, po dużym łuku. Durny gigantyczny zmierzchozmór.

– Ciągłe się na nas złościś za odebranie komórki? – pyta mama, cicho, jakby się bała, że odgryzę jej twarz.

Wzruszam ramionami. Nie wolno mi się jej stawiać, ale nie zamierzam kłamać po to, żeby się lepiej poczuła.

– Wiesz, że nie robimy ci tego za karę.

Zdążyłam już obrócić się w stronę lasu, żeby pójść za tatą.

– Elizo, próbuję z tobą porozmawiać.

Przystaję i odwracam się w jej stronę. Wspiera się pod boki.

– Nie patrz na mnie takim wzrokiem – mówi.

– Jakim? – pytam.

– Jakbym marnowała twój cenny czas. Wydałam cię na ten świat, możesz chyba przynajmniej posłuchać mnie przez dwie minuty.

– Proszę bardzo, słucham.

Ukrywa twarz w dłoniach. Wygładza niesforne kosmyki włosów. Na jej lewej skroni zostaje łukowata smuga brudu.

– Czasami... – Wzdycha. Westchnienie oznacza, że za chwilę zacznie coś, co w jej mniemaniu będzie długą i serdeczną rozmową, ale jeśli na koniec tej rozmowy nie będę się z nią zgadzać, to wyjdę na niewdzięczną córkę. –

Czasami – podejmuje wątek – nie wiemy, co z tobą zrobić. Twój bracia są bezproblemowi. Chcą uprawiać sport, grać w gry wideo i dużo jeść. Mówią nam o szkole i o swoich znajomych. Są tacy, jak twój tata i ja, kiedy byliśmy młodzi. Kiedy my byliśmy w liceum, nie mieliśmy internetu. Nie mieliśmy smartfonów. A nawet gdybyśmy je mieli, to nie sądzę, żebyśmy używali ich tak często jak ty. Och, przepraszam, zabrzmiało to fatalnie. Ale ty po prostu spędzasz tyle czasu w internecie, że nigdy nie wiemy, czy wszystko u ciebie w porządku, czy nie. Nie wiemy, co się z tobą dzieje. Jesteś taka milcząca, a do tego spędzasz tyle czasu sama... Kiedy zaczął przychodzić Wallace, odetchnęliśmy z ulgą. – Urywa na chwilę. – Próbuję powiedzieć, że mamy wrażenie, że już cię w ogóle nie znamy. Nie wiemy, na czym ci zależy.

Milknie, wbija we mnie wzrok i czeka.

Mówię:

– Na *Morzu Potwornym*. – Żadne inne słowa nie przychodzą mi do głowy. Potakuje ze zrozumieniem.

– I z tego powodu jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Ale... to już wszystko?

Wzruszam ramionami.

– W życiu chodzi o coś więcej niż opowieści, Elizo.

Mówi to, jakby to było coś prostego. Tak jakbym miała jakiś wybór.

Znowu pojawia się frustracja, wrząca i gotowa, zaś razem z nią jej nieodłączny towarzysz, gniew, więc moje dłonie zaciskają się w pięści, żołądek w supeł, a szczęka tak mocno, że moje trzonowce aż piszczą w niemym proteście. Mama cofa się lekko, a potem daje krok naprzód. Może spróbuje mnie przytulić. Ale nie chcę, żeby ktokolwiek mnie teraz dotykał.

– Idę nad jezioro – oznajmiam i znów odwracam się do niej tyłem.

Tym razem mnie nie zatrzymuje.

* * *

Sully, Church i tata są już na brzegu jeziora ze sprzętem wędkarskim w rękach. Na pewno jest za zimno, żeby łowić ryby. Ale i tak wędkują. Mama rusza, by do nich dołączyć.

Siedzę na skalnym występie wystającym nad jezioro i próbuję się gniewać, ale nie daję rady utrzymać złości. Potrzeba mi wybuchających wulkanów, huraganów, olbrzymich trzęsień ziemi. Gdybym pracowała właśnie nad *Morzem Potwornym*, orkusjańskie potwory wyrywałyby mi się z plansz komiksu na żer, szukając ofiary, którą mogłyby pochłonąć. Potrzebuję czegoś na potwierdzenie słuszności mojego gniewu – a nie ptasząt świergolących nad rozległym, błyszczącym jeziorem i lekkiej bryzy mierzwiącej mi włosy.

Natura nie liczy się z moim gniewem. Natura nie liczy się z żadnym moim uczuciem. Naturze nie mogę się poskarżyć ani do niej zaapelować, ani się na nią wściec.

Natura się mną nie przejmuje.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

18:43 – 21 mar 17

MirkerLurker: W końcu wypelzłam z piekła.

zaklinacz_deszczu: Ha ha, daj spokój, wycieczki na biwak nie są takie straszne. Ziemia! Świeże powietrze! OGNISKA!

MirkerLurker: Teraz jestem pewna, że coś jest z tobą nie tak. Nikt nie może aż tak przepadać za ogniskami.

zaklinacz_deszczu: Ogniska to trzaskająca radość. No to jak było?

MirkerLurker: Rodzice wykryli, że mam przy sobie komórkę, i mi ją zabrali. Nie pozwolili mi wziąć ze sobą szkicownika ani nic. Czy to naprawdę byłby taki wielki problem, gdybym wzięła swój cholerny szkicownik?

MirkerLurker: Przepraszam. Wiem, że nie powinnam tak narzekać. To było tylko parę dni. Ale robią mi takie rzeczy bez przerwy, a ja nie rozumiem, dlaczego nie mogą odpuścić.

zaklinacz_deszczu: Chyba chcą spędzać z tobą więcej czasu. Faktycznie masz tendencję do wyłączania się, kiedy pracujesz.

MirkerLurker: No to co? Ty też tak masz.

zaklinacz_deszczu: Kiedy mówię o "wyłączaniu się", to mam na myśli, że muszę zrzucić cię z krzesła, żebyś zwróciła na coś uwagę. To nie całkiem normalne. Rozumiem ich punkt widzenia - nie mówiłaś, że prawie przegapiłaś Gwiazdkę, bo nad czymś pracowałaś?

MirkerLurker: No tak, ale musiałam to zrobić. To było coś naprawdę ważnego.

zaklinacz_deszczu: Może mają trochę racji. Nie jest dobrze tak głęboko przeżywać różne sprawy. Może powinnaś to z kimś skonsultować?

MirkerLurker: To dopiero. Ty mi mówisz, że powinnam chodzić na konsultacje.

zaklinacz_deszczu: Ależ jesteś miła, Elizo. Chciałem tylko pomóc.

MirkerLurker: Nie prosiłam o pomoc.

zaklinacz_deszczu: Nie musiałaś.

18:55 – 21 mar 17

zaklinacz_deszczu: Teraz się do mnie nie odzywasz?

19:03 – 21 mar 17

zaklinacz_deszczu: Dobra.



Wponiedziałek stoję przy swojej szafce na szkolnym holu i wyobrażam sobie, że podłoga drży, kiedy Wallace kroczy ku mnie korytarzem, rozdzielając na boki morze uczniów, którzy co siłą umykają mu z drogi. Nie wygląda, jakby był zły. W szkole nigdy nie wygląda, jakby był zły. Wygląda po prostu beznamiętnie. Owiewa mnie zapach mydła Irish Spring, kiedy zatrzymuje się o krok przede mną i podsuwa mi pod nos kartkę papieru. Widnieje na niej tylko jedno słowo, wykaligrafowane jego pismem jak spod igły:

Skończyłaś?

– Tak, skończyłam – mówię.

Kiwa głową, wpycha sobie kartkę do kieszeni i opiera się o szafkę obok mojej. Wzrok skupia gdzieś na drugim końcu korytarza. Wiem, że ma rację i że czasem za bardzo przeżywam swoją pracę. Ale wiem, że ja też miałam rację, nawet jeśli nie zabrzmiało to zbyt miło, kiedy powiedziałam, że to on powinien chodzić na konsultacje. Pewnie należałoby przeprosić, ale jeśli go przeproszę, to będzie poniekąd znaczyć, że moim zdaniem wszystko jest w porządku i że powinien nadal do nikogo się nie odzywać.

Przed końcem kwadransa organizacyjnego chyba już mniej się na mnie gniewa, bo przysłała mi esemesem linka do czegoś, co – jak pisze – jest najlepszym, jaki widział, fanfikowym piątym tomem *Dzieci Hypnosa*. Przy obiedzie wręcza mi nowy rozdział swojej transkrypcji *Morza Potwornego*. Mówi, że zbliża się do końca planowanego pierwszego tomu cyklu i że dotarłby do niego wcześniej, gdyby nie przeszkadzał mu ogrom szkolnych spraw.

Wciągam nowy rozdział nosem. Nigdy nie mam dość jego prozy, sama nie wiem, czy dlatego, że pisze coś, co sama stworzyłam, czy dlatego, że jest po prostu taki dobry. Wolę myśleć, że jest po prostu taki dobry. Nie wrywa się z pokazywaniem mi swoich oryginalnych utworów, a ja nigdy go o to nie proszę. Nie wiem, co bym mu powiedziała, gdyby mi się nie spodobały.

On ze swojej strony też nigdy nie prosi mnie o pokazanie moich oryginalnych prac. Czasem mam pewność, że z tego samego powodu, ale czasem się zastanawiam – może go to po prostu nie obchodzi. Może, jak większości fanów *Morza Potwornego*, wisi mu, czy mam w sobie cokolwiek innego.

* * *

Produkcja *Morza Potwornego* idzie pełną parą. Co najmniej pięć plansz na tydzień, cały rozdział, jeśli naprawdę jestem w formie. Max, kiedy pojawia się w necie, ma jako Kuznie_Risztu pełne ręce roboty z wywalaniem trolli z forów. Emmy w każdy piątkowy wieczór musi monitorować witrynę i pilnować, żeby nic nie padło. Dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i środy o trzeciej, mamy zarezerwowany czas na nasze obowiązkowe sesje czatu, podczas których nie wspominamy słowem o *Morzu Potwornym*, zamiast tego rozmawiając o tym, jak Emmy idzie końcówka pierwszego roku studiów („Jeszcze żyje”) i co Max sądzi o swoim nowym szefie („demon z piekła

rodem”).

Weekendy są dla Wallace’a. Soboty spędzamy z Cole’em i – o ile może się przyłączyć – z Megan, a także z Leece i Czandrą na czacie, jeśli są w pobliżu komputera z kamerką. Nie zawsze „U Murphy’ego”. Czasami ruszamy na kręgle do „Niebieskiego Toru”. W któryś z weekendów jedziemy do parku za gimnazjum, gdzie Wallace i Cole uczą mnie, jak rzucać podkręconą piłkę, a potem na zmianę biegają w kółko z Hazel na ramionach, podczas gdy ja pokazuję Megan, jak szkicować pejzaż, posługując się jako pomocą naukową rozległym polem i lasem na horyzoncie. Po pewnym czasie podają jej karton i ołówek i kiedy sama próbuje, udzielam jej wskazówek.

– Naprawdę dobrze ci to idzie – mówi Megan, odgarniając sobie kosmyk włosów za ucho i skupiając zmrużone oczy na linii drzew. – W sensie, uczenie.

– Tak uważasz? Kilka lat temu próbowałam uczyć rysunku moich braci i uznali, że jestem złośliwa.

– Nie, nie złośliwa – śmieje się Megan. – Tylko obcesowa. Ale to dobrze.

Hazel piszczy. Wallace właśnie uniósł ją sobie nad głowę, robiąc samolocik, a Cole udaje nieprzyjacielski odrzutowiec, który mała musi zestrzelić.

Nie mówię już o nich „kumple Wallace’a”. To nasi kumple. Przede wszystkim, i w głównym stopniu, są nadal jego, ale teraz są także moi. Na forach rozmawiam z nimi jako MirkerLurker, nawet kiedy nie ma przy tym Wallace’a. Niektórym ludziom może się wydawać, że to nic wielkiego, ale dla mnie to dużo znaczy.

Kiedy nie jestem z nimi ani nie rozmawiam z Maxem i z Emmy, ani nie spędzam czasu z Wallace’em, obserwuję samą siebie. Pilnuję, żeby nie skupiać się za bardzo na pracy. Tyle że przy pięciu planszach na tydzień – łatwiej to powiedzieć niż zrobić! Zwłaszcza teraz, kiedy komiks tak bardzo

zbliża się do zakończenia. Jeśli uda mi się to rozłożyć w czasie jak należy, *Morze Potworne* skończy się równo z ukończeniem przeze mnie liceum. Może nawet nie pójde na uroczyste rozdanie dyplomów. Będę siedzieć przy komputerze i publikować w necie ostatnie plansze *Morza Potwornego* osobiście, bez pomocy żadnych software'owych harmonogramów.

Wiem, jak to się skończy. Historia. Reakcje fanów.

Będzie bajecznie.

* * *

I wtedy w szkole pojawia się okolicznościowy numer „Westcliff Star” na zakończenie liceum.

„Westcliff Star” skupia się co roku tylko na dwóch tematach. Pierwszy to, rzecz jasna, miejsce pamięci o ofiarach zakrętu Wellhouse. Drugi to ukończenie szkoły przez ostatnią klasę z liceum Westcliff. To wtedy wychodzi numer, w którym wszyscy rodzice z miasteczka zamieszczają krótkie notki o swoich kończących szkołę potomkach, a w gazecie drukuje się je razem z najbrzydszymi zdjęciami, jakie tylko uda się wytrzasnąć, po czym wszyscy w szkole czytają te teksty i śmieją się nawzajem ze wszystkich upokarzających rzeczy opowiedzianych przez rodziców.

Moi mama i tata nie mogli się doczekać tego wydania gazety, odkąd wróciliśmy z wiosennego biwaku. Uprzedzili mnie, że bardzo mi się spodoba. Ogromnie mi się spodoba.

Kiedy zjawiam się rano w pracowni profesor Grier, leży tam cała sterta egzemplarzy „Westcliff Star” i wszyscy czytają ten numer. Łapię gazetę i czuję nagły przypływ paniki, pot zbierający mi się na plecach. No, zobaczmy, co dołującego powiedzieli o mnie moi rodzice i co nowego o Upiornej Elizie będą mogli wszyscy przeczytać. Idę na swoje miejsce.

Profesor Grier odprowadza mnie wzrokiem z drugiego końca sali. Siedzi

przy swoim biurku wyprostowana, jakby kij połknęła, z szeroko otwartymi oczami i rozpostartą na blacie gazetą. Normalnie nie przygląda mi się w ten sposób, więc albo mam coś na twarzy, albo moi rodzice naprawdę powiedzieli o mnie coś, czego nie powinni. O Boże, pewnie zamieścili moje zdjęcie jako niemowlaka. Albo opowiedzieli anegdotę o mojej próbie gry w nogę, kiedy chciałam kopnąć piłkę, nie trafiłam i wywaliłam się na ziemię.

Pośpiesznie idę na swoje miejsce, siadam bez zdejmowania plecaka i otwieram gazetę tak gwałtownie, że niemal ją rozrywam. Drżącymi rękami przewracam kolejne strony, zdjęcie po zdjęciu, historie z dzieciństwa o złamanych rękach i meczach bejsbolu, szkolnych przedstawieniach i urodzinach. Artykuły są w układzie alfabetycznym według nazwisk, w pośpiechu przegapiam swoje i muszę się do niego cofnąć. W końcu jest, opatrzone okropnym zdjęciem z siódmej klasy, na którym mam przetłuszczone włosy, aparat na zębach i jestem w autentycznym golfie, w golfie, jakbym głosiła wszem wobec, że przybyłam tu, kurde, z lat sześćdziesiątych. Moi rodzice nigdy nie byli mistrzami pisania czegokolwiek, ale na potrzeby tego numeru wykrzesali z siebie cały akapit.

Eliza Mirk

Jesteśmy ogromnie dumni z naszej Elizy. To nasza najstarsza latorośl. Jest teraz równie uparta i pełna pasji, jak wtedy, gdy była dzieckiem. Te osiemnaście lat okazało się długą drogą, pełną zakrętów i zawirowań, ale Eliza nauczyła nas na niej wiele o tym, jak być rodzicami – a także jak być po prostu ludźmi. Uwielbia jajka na twardo, grube skarpety i może trochę za głośne słuchanie muzyki (ale która nastolatka tego nie lubi?). Przede wszystkim jednak jest artystką i najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie uwielbia rysowany przez siebie internetowy komiks Morze Potworne. Poświęciła mu i nadal poświęca mnóstwo czasu, wkładając w to całą siebie, i przy okazji tworząc coś dla siebie zupełnie od zera. Wiemy, że nieważne,

dokąd się teraz uda i czym się zajmie, odniesie sukces. Elizo, Kochamy Cię.

Peter i Anna Mirk

Podnoszę wzrok. W klasie panuje cisza. Nie dlatego, że wszyscy przestali rozmawiać, tylko dlatego, że w uszach dzwoni mi tak mocno, że nic i nikt tego nie zagłuszy. Sala robi się coraz większa, a ja się kurczę, ściany oddalają się ode mnie w zawrotnym tempie, a światło przygasa. Serce w mojej piersi terkocze urywanym rytmem.

Profesor Grier idzie wzdłuż mojego rzędu z gazetą w ręce. Przykłęka przy moim pulpicie. Jej głos dobiega do mnie w zwolnionym tempie:

– Elizo. Czy to prawda? – Unosi gazetę otwartą na akapicie z moim nazwiskiem i moją głupią twarzą. – Czy... czy to ty jesteś autorką *Morza Potwornego*?

W brzuchu coś gwałtownie mi się wywraca. Zatykam sobie usta dłonią.

– Bo ja... no cóż, pewnie nie powinnam ci tego pokazywać, ale... – Profesor Grier podciąga rękaw. Zawsze chodzi w długich rękawach, na letnie bluzki zakłada kardigany, nosi sweterki nawet latem, i teraz wiem dlaczego: po jej ramieniu w górę wędrują grube czarne litery tworzące słowa W TYM MORZU SĄ POTWORY.

Najsłynniejszy cytat z mojego komiksu wytatuowany na ręce mojej wychowawczynie.

Za plecami profesor Grier do klasy wchodzi Wallace. Wielki, niemrawy Wallace. Zazwyczaj taki powolny, dziś, w tym dziejącym się w zwolnionym tempie świecie, porusza się o wiele za szybko. Podchodzi do stolika z przodu sali, na którym piętrzą się gazety. Bierze jedną z nich. Otwiera. Wiem, że najpierw poszuka mojego nazwiska, bo jest wcześniej niż jego w kolejności alfabetycznej. Zobaczy je. Czyta powoli, ale nie dość powoli.

Wypadam ze swojego miejsca, przewracając profesor Grier, i podbiegam

do Wallace'a w samą porę, by wyrwać mu gazetę z rąk.

– Nie czytaj tego!

Przyciskam ją sobie do piersi, dysząc, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Ludzie odwracają głowy. Podnoszą wzrok znad swoich egzemplarzy. Wallace wpatruje się we mnie. Po jego twarzy przebiega wyraz dezorientacji, być może strachu.

– Nie... nie czytaj tego – powtarzam.

Kilka osób przewraca już strony gazet na swoich pulpitych, szukając notki o mnie. Wallace popatruje na nich, na mnie, na gazetę. Sięga po następny egzemplarz. Próbuję go powstrzymać, ale wielką dłonią łapie najpierw za jeden mój nadgarstek, potem za drugi, utrzymując mnie na dystans, jakbym była dzieckiem. Rozpościera gazetę na stoliku i otwiera jednym ruchem.

– Nie... Wallace, nie czytaj tego... proszę cię, proszę, nie czytaj...

Naciskam na jego ramię, próbując odepchnąć go od stolika, od gazet, ale jest jak lita skała. Teraz już tylko szepczę. Pozostali nie mogą słyszeć, że błagam go w ten sposób. Marszcząc brwi, odnajduje moje zdjęcie, notkę na mój temat i zaczyna czytać. Prawdziwa groza otacza mnie i ścisza jak druga, większa dłoń. Wiem, kiedy Wallace kończy czytać, bo z twarzy odpływa mu cały kolor, jakby ktoś odrąbał mu głowę i pozwolił się jej wykrwawić. Spogląda na mnie. Dziabie palcem w gazetę tak mocno, że strona się marszczy. Dziabie raz jeszcze. Wskazującym gestem. *Czy to prawda. Czy to prawda, czy to prawda.*

– Chciałam ci powiedzieć. – Nawet nie wiem, czy z moich ust wydobywa się jeszcze jakiś dźwięk. – Chciałam ci powiedzieć, naprawdę, ale nie wiedziałam jak...

Puszczam przeguby moich rąk, jakby były trujące, odstępuję o krok, a potem odwraca się i wychodzi z klasy. Próbuję iść za nim, ale profesor Grier kładzie dłoń na moim ramieniu. Coś do mnie mówi. Strącam jej dłoń ruchem barku.

Ktoś z tyłu klasy rzuca:

– Jasny gwint, *Morze Potworne* jest twoje?

Potykając się, wybiegam na korytarz. Wallace’a nie ma. Podłoga kołysze się w przód i w tył, a w moje pole widzenia na krawędziach wkrada się czerń.

Po chwili, może dwóch to wrażenie mija.

Przynajmniej wydaje mi się, że minęła chwila albo dwie. Może kilka minut. Może pół godziny, bo zanim udaje mi się wyrwać z tego stanu, słysząc dzwonek i na korytarz wylegają uczniowie.

Na pierwszą lekcję wędruję bez plecaka.

* * *

Z każdą mijającą lekcją coraz więcej spojrzeń znajduje mnie na korytarzu. Ludzie coś do siebie mówią, ale nie słyszę co. Nie widzę już nigdzie Wallace’a, co jest pewnym fenomenem, gdy wziąć pod uwagę jego gabaryty. Moje ciało to filiżanka, którą ktoś zamiast herbatą napełnił wszystkimi wewnętrznymi organami. To pewnie wina moich alergii. W końcu przecież mamy wiosnę.

Wallace będzie musiał porozmawiać ze mną przy obiedzie. Nie siedziałby beze mnie przy obiedzie.

Trzymam się na obrzeżach stada uczniów prących ku stołówce i pozwalam, żeby ponieśli mnie ze sobą przez drzwi. Po drugiej stronie odpadam od tłumu jak liść ciśnięty w zabłąkany nurt rzeki. Stoję przez chwilę, niepewna, jaka jest właściwa orientacja pomieszczenia, po czym chwiejnym krokiem ruszam w kierunku kolejek po obiad. Jeśli uda mi się kupić jedzenie i znaleźć Wallace’a, wszystko będzie dobrze.

Ktoś przede mną wyrasta. Ktoś wysoki. Deshawn Johnson. Wysuwa coś w moją stronę. Złożony arkusz papieru. Moja ręka wyciąga się, żeby go odebrać, jakbym była w jakimś śnie, w którym moje ciało reaguje bez mojej

wiedzy i zgody. Rozkładałam papier.

To mój rysunek. Ten, który Travis zabrał mi w październiku.

– ...naprawdę przepraszam – mówi Deshawn. – Travis zachował się jak palant... chciałem oddać ci to wcześniej, ale nie miałem okazji... to naprawdę super, że rysujesz *Morze Potworne*... mój brat mi je pokazał...

Mogę zwymiotować mu na buty, jeśli postoję tu choć chwilę dłużej, więc zataczając się, ruszam dalej. Wallace musi tu gdzieś być. Przy naszym stoliku. To oczywiste. Pod oknami. Patrzą. Nie ma go tam.

Ustawiam się w kolejce i wbijam wzrok w torebkę dziewczyny stojącej przede mną. Nie wiem, co wkładam na tacę, póki nie dojdę do końca i pani obiadowa nie podlicza mnie za dwie miseczki pomidorowej, tacę warzyw, garść pakiecików z musztardą i lodowy rożek. Lodowy rożek jest dla Wallace'a. Wallace uwielbia lodowe rożki.

Wychodzę z kolejki, jeszcze raz patrząc na nasz stół. Wallace'a nadal tam nie ma. Rozglądam się po stołówce. Nie ma go w żadnej z kolejek. Ani przy stolikach bliżej drzwi, ani tych pod ścianą. Czyżby był na dworze? Na to dzisiaj za zimno.

Odwracają się głowy. Obserwują mnie oczy. Tyle par oczu. Ruszam w stronę naszego stolika. Świat znów traci równowagę. Jakbym była pakiecikiem musztardy i rączka jakiegoś dziecka wyciskała ze mnie całą przyprawę. Ściskając moje serce, płuca, oczy, tak że moje pole widzenia zawęży się do maleńkiego punkcika na wprost mnie. Włosy kleją mi się do twarzy. Jedna z miseczek z pomidorową spada mi z tacy i rozbryzguje się na białych płytkach podłogi.

Ktoś woła mnie po imieniu. Tak mi się zdaje.

Możliwe, że zawołał „LadyKonstelacja!”.

Przechodzę przez płamę zupy. Gdzie on jest? Powinien tu być.

Czy zrobiłam plansze *Morza Potwornego* zaplanowane na ten tydzień? Nie

pamiętam. Na pewno tak. Mam tyle zapasu.

Mama i tata naprawdę nie powinni byli napisać tego o mnie do gazety.

Jak tu gorąco. Czemu tu tak gorąco?

Zaraz umrę, jeśli moje płuca nie wydostaną się z tej filiżanki.

Gdzie jest Wallace?

Umrę tu na sto procent.

Powinien tu być, żebym mogła mu dać ten pierdolony rożek lodowy.

Jezu, umieram.

Moja taca trafia w krawędź stolika. Odbija się od niej, trafia mnie w brzuch. Z łoskotem wypada mi z rąk. Nogi się pode mną uginają.

Ciemność wali mnie w łeb.

LADYKONSTELACJA ZDEMASKOWANA

Post z 6.05.2017 godz. 11.03, napisał(a) BlessedJester

Panie i Panowie, w tym upojnym dniu przynoszę wam informację z dawna wyczekiwaną przez rzesze internautów. Prawdziwa tożsamość LadyKonstelacji, artystki słynącej z tego, że strzegła swojej anonimowości, została dziś ujawniona, i to nie przez byle kogo, bo lokalne źródło prasowe. Klikajcie zdjęcie i dziwujcie się.

ElizaMirk.jpg

+90/-21 | Komentarzy: 43 | Odpowiedz | Zgłoś

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

13:15 (Do konwersacji dołącza emmiterliter)

emmiterliter: E???

emmiterliter: Co sie stalo?!?!

13:16 (Do konwersacji dołącza Zraz_Apokalipsy)

Zraz_Apokalipsy: nie ma jej, prawda?

emmiterliter: Nie

emmiterliter: Jest teraz w szkole

emmiterliter: Myslisz ze wie??

Zraz_Apokalipsy: pojecia nie mam.

Zraz_Apokalipsy: elizo, staramy sie ograniczyc szkody. w kazdym razie, na ile mozemy. ale boje sie, ze to moze byc przegrana sprawa... megamozgi zatopily w te sprawe swoje kly.

Zraz_Apokalipsy: a jak juz raz megamozgi cos chwycyca, to nie popuszcza.



Kiedy byłam mała, rodzice wysłali mnie na lekcje pływania. Trzydzieścioro maluchów w jednym basenie, zmuszonych do dryfowania na plecach albo utrzymywania głów nad powierzchnią wody w pozycji pionowej. Przy piłce nożnej potykałam się o własne buty, a podczas koszykówki regularnie mnie przewracano, więc rodzice liczyli na to – tak sędzę – że w pływaniu dopisze mi więcej szczęścia.

Wtedy miałam jeszcze w sobie chęć sprawiania im radości. Chciałam być w czymś dobra; po prostu nie byłam. Niespecjalnie podobało mi się pływanie, ale gdyby się okazało, że sobie z nim dobrze radzę, tobym pływała.

Nie radziłam sobie. Kiedy nasz instruktor próbował nas uczyć unoszenia się na powierzchni w pozycji na topielca – co wszyscy inni potrafili wykonać instynktownie – wciągnęłam wodę nosem i zaczęłam młócić wkoło rękami, aż usłyszałam, że mogę przestać. Ale nie przestawałam się starać.

W ostatnim dniu lekcji jeden z chłopaków namówił mnie do zanurkowania na dno basenu na jego głębszym końcu. Zrobiłam to. A w każdym razie spróbowałam. Musnęłam dłońmi dno i zaczęłam wracać, kiedy zdałam sobie sprawę, że brakuje mi powietrza. W trzech czwartych drogi powrotnej na

górze brak tlenu sprawił, że pociemniało mi w oczach, a rękami i nogami zaczęłam młócić wodę jak szalona. Kiedy wyrwałam się na powierzchnię, nie poczułam ulgi, że oddycham, bo zepsuły ją spazmatycznie nabierany oddech i kłucie, spowodowane zimnym powietrzem wciągniętym w płuca. Pod czaszką pulsował mi ból głowy.

Przebudzenie po zejściu na stołówce jest jak wynurzenie się na głębokim końcu basenu. Pulsujący ból w głowie, zimne powietrze. Wokół mnie nabiera ostrości wąska szpitalna salka. Mrużę oczy, a potem mocno zaciskam powieki w płynącej z góry jasności.

– Annie, zgaś światło.

Światła ciemnieją.

– Hej, Jajeczko. Słyszysz mnie?

Znowu ostrożnie rozchyłam powieki. Obok mojego łóżka siedzi tata. Mama wraca do niego z drugiego końca salki, gdzie znajduje się wyłącznik. W ustach mam chyba papier ścierny, więc przetykam ślinę.

– Aha.

Oboje się uśmiechają. Mama przesuwa sobie dłonią po twarzy.

– Co się stało? – pytam.

– Potknęłaś się w szkole na stołówce i uderzyłaś głową w blat stolika. – Tata wskazuje moje czoło. Nawet bez podnoszenia rąk i sprawdzania wiem, że mam na nim opatrunek. – Podobno polało ci się dużo krwi. Jak się czujesz?

– Głowa mnie boli – stwierdzam. – Wiadomo.

– Dobrze się czułaś, kiedy rano wychodziłaś z domu? – pyta mama. – Zjadłaś śniadanie?

Nie odpowiadam, bo w końcu przypomina mi się, z jakiego powodu zemdlałam, i tamta ściskająca jak kleszcze dłoń znowu zawisa nade mną. Zagraża mi. W płucach kłuje mnie ból uprzedzający strach.

Powiedzieli wszystkim o LadyKonstelacji. Wie już cała moja szkoła. Wie całe miasto.

Wie Wallace.

– Ile minęło czasu? – pytam.

– Od tego wypadku na stołówce? – Tata spogląda na zegarek. – Może półtorej godziny? Z urazem głowy woleli nie ryzykować, więc wsadzili cię w karetkę i przywieźli tutaj na sygnale. Lada moment pewnie lekarz wróci sprawdzić, jak się czujesz.

– Powiedzieliście im. Napisaliście do gazety. – Wzrok przesłaniają mi łzy. Salka zaczyna wirować, mimo że nadal leżę w łóżku.

– Powiedzieliśmy im... co? Masz na myśli to specjalne wydanie? – Mama patrzy na mnie, mrugając z dezorientacji, a potem przenosi wzrok na tatę. – To tylko „Star”, Elizo, nikt tego tak naprawdę nie czyta. Nie myśleliśmy, że wspomnienie o twoim internetowym komiksie będzie takie ważne. Ty tak za nim przepadasz... i jesteśmy z ciebie naprawdę dumni. Myśleliśmy...

– Tyle że czytają go miliony ludzi! Ten komiks! – Z trudem staram się usiąść w nadziei, że to pomoże na zawroty głowy. Nie pomaga. – Miliony ludzi! Niektórzy mieszkają tutaj!

Wszyscy mnie znajdą. Dowiedzą się, kim jestem, i mnie znajdą.

– Jajeczko. – Tata kładzie mi rękę na ramieniu, próbując skłonić mnie do położenia się; ma wypisaną na twarzy troskę. Nie sędzę, żeby usłyszał, co właśnie powiedziałam.

– Wallace tu mieszka – przypominam, odtrącając jego dłoń. – Gdzie on jest? Nie przyszedł tu, prawda? – Nie może zobaczyć mnie w tym stanie.

Mama marszczy brwi.

– On nie wiedział? Uznałam, że już mu powiedziałaś.

– Oczywiście, że Wallace nie wiedział! Nikt nie wiedział!

Przerzucam nogi przez krawędź łóżka i nagle znów kręci mi się w głowie,

jakbym za parę sekund miała ponownie zemdleć.

Otwierają się drzwi i do salki wkracza lekarz. Na fartuchu ma wyszyte nazwisko HARRIS. Kiedy widzi, co robię, rzuca kartę pacjenta na biurko i spieszy do mnie.

– Elizo, dobrze się czujesz? – Delikatnie popycha mnie z powrotem na łóżko.

– Nie mogę oddychać – mówię. – Zawroty głowy.

– Możesz oddychać. Bierz głębokie wdechy. Aż do brzucha. – Unosi mi kolana i pochyla mnie naprzód, żebym wcisnęła między nie głowę. Oddycham, jak mi powiedział, i po jakiejś minucie zawroty głowy mijają, a salka przestaje wirować wokół mnie. – Jesteś tutaj bezpieczna. Jesteś tylko ty, ja i twoi rodzice. Tak?

– Aha.

W kącie szumi i mruczy cicho jakiś aparat. Zacisk na moich wnętrznościach rozluźnia się.

– Skaleczenie na czole, które ci się przytrafiło, było dość paskudne – mówi doktor Harris – więc kiedy się zagoi, może ci zostać niewielka blizna. Czy tak samo czułaś się na stołówce, zanim się przewróciłaś?

– Tak. Ale wtedy było gorzej.

– Zdarzało ci się to już wcześniej?

– Nie.

– Możesz opowiedzieć mi dokładnie, co czułaś?

– Ja, ee... Nie mogłam złapać tchu. Zawroty głowy. Zawęziło mi się pole widzenia i wydawało mi się, że ktoś wyciska mnie z małej tubki. Myślałam, że umieram. Że umrę na oczach wszystkich.

– Powiedziała... zamieściliśmy w gazecie coś, czego pewnie nie powinniśmy mówić, i mogło to spowodować jakieś kłopoty w szkole – mówi mama, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Czy to mogło wywołać taki

skutek?

Doktor Harris kładzie mi rękę na plecach.

– Możliwe. Moim zdaniem zdarzył ci się napad paniki. Taki efekt mogą wywołać wyjątkowo stresujące okoliczności. Wielkie zmiany w życiu, śmierć kogoś bliskiego, tego typu sprawy.

Wciskam głowę głębiej między kolana. Czoło mi pulsuje.

– Mogę polecić świetną terapeutkę, która pomaga wielu nastolatkom z napadami lękowymi i stanami paniki – stwierdza doktor Harris. – Jeden atak to jeszcze nie zaburzenie, ale jeśli będą ci się zdarzały częściej, regularnie, to mogą przerodzić się w zespół lękowy. Postarajmy się do tego nie dopuścić.

Zespół lękowy? Nie mam zespołu lękowego. Zespół lękowy to coś, co pojawiło się na moim fakultecie z psychologii w ubiegłym roku. Przeczytałam o nim może z pół akapitu.

Doktor Harris mówi rodzicom, że mogę wyjść do domu, ale nie powinnam wracać dziś do szkoły – tak jakbym jeszcze miała na coś zdążyć – i że jeśli nie będę się czuć na siłach, nie powinnam iść do szkoły także jutro. Potem ekspediuje nas na parking. Człapię między mamą i tatą do samochodu; wsiadam z tyłu, gdzie leży mój odzyskany plecak, żeby pojechać do domu, i staram się nie myśleć o *Morzu Potwornym*.

Czy wszyscy fani już wiedzą? Czy ktoś im powiedział? Czy wierzą temu komuś, czy też uważają, że to tylko jeszcze jedna plotka?

W ciągu tych lat pracy nad komiksem *LadyKonstelację* „demaskowano” wielokrotnie. Zwykle podszywał się pod nią ktoś, kto próbował zdobyć trochę popularności, zanim zdążą się pojawić znawcy tematu, którzy odrą go z całego fejmu. Ale tym razem chodzi o prawdę, a prawda zazwyczaj się przyjmuje. Prawda to najgorszy z potworów, bo nigdy na dobre nie znika.

Kiedy wchodzę do domu, jest w nim pusto. Nie licząc Davy’ego, który

toczy się pod drzwi i powoli uwala całym cielskiem na moje nogi, podcinając mi kolana. Church i Sully są jeszcze w szkole. Mama z tatą próbują mnie namówić, żebym położyła się na kanapie w pokoju dziennym, ale upieram się, że lepiej mi będzie zasnąć we własnym łóżku. Pomagają mi wejść na górę, po czym zabierają się do przyrządzania rosółu z kury z makaronem i napoju imbirowego.

Wpuszczam do pokoju Davy'ego i zamykam za nim drzwi. Potem przemykam się do komputera i poruszam myszą, żeby go obudzić. Pulpit jest taki pogodny i spokojny. Otwieram przeglądarkę i przechodzę do forów.

Totalny chaos.

Dla niewprawnego oka forum internetowe to tylko zestaw przypadkowych wiadomości połączonych w wątki. Dla kogoś, kto wie, jak się wśród nich poruszać, jest to coś, co opowiada pewną historię. A dzisiejsza historia forów *Morza Potwornego* nosi tytuł „Eliza Mirk: fakt czy mit?”. Bez klikania w żadne podforum ani w żaden wątek wiem, że co do jednego wszyscy są zgodni: to fakt. Znaleźli artykuł w „Westcliff Star”. Znaleźli konto MirkerLurker i rysunki, do których publikacji tak gorąco namawiał mnie Wallace. Znaleźli mnie.

Jestem zalogowana na koncie LadyKonstelacji i w mojej skrzynce odbiorczej jest tyle wiadomości, że przy jej ikonie nie wyświetla się już ich liczba. Tylko wielokropek. W pół minuty po moim zalogowaniu kolejne wiadomości atakują mnie z prawej strony ekranu. Od znajomych, od nieznajomych. Od przyjaciół i od trolli. Początkowo napływa ich niewiele, ale stopniowo, w miarę jak coraz więcej ludzi orientuje się, że jestem online, zamieniają się w lawinę. Przychodzi ich tyle, że strona się zacina. Nadchodzą tak szybko, że nie nadążam z ich czytaniem.

Wylogowuję się i loguję z powrotem jako MirkerLurker.

Na tym koncie jest jeszcze gorzej. Tu też na ikonie skrzynki odbiorczej

widzę wielokropek, ale kiedy zaczynam odbierać nowe wiadomości, mam czas, żeby je przeczytać. A przynajmniej przeczytać jedną z nich:

WIDZIAŁEM, ŻE BYŁAŚ WŁAŚNIE ZALOGOWANA JAKO LADY
KONSTELACJA

WYLOGOWAŁAŚ SIĘ Z TAMTEGO KONTA I ZALOGOWAŁAŚ
NA TO

TO SIĘ STAŁO ZA SZYBKO JAK NA ZBIEG OKOLICZNOŚCI
TO NAPRAWDĘ TY?

W okienku wiadomości pojawia się zdjęcie. To mój portret do tegorocznej kroniki szkolnej. Nawet nie ta straszna fotka z siódmej klasy, którą zamieszczono w specjalnym wydaniu gazety. Jak ten ktoś zdobył mój portret z kroniki szkolnej?

Wylogowuję się z konta MirkerLurker i zamykam przeglądarkę, czując skurcze żołądka.

Odpycham się na krześle od biurka i znowu wciskam sobie głowę między kolana. Nie kręci mi się w niej ani nie mam kłopotów z oddychaniem jak wcześniej, ale dzięki tej czynności czuję się lepiej. Pozornie zawężyła to przestrzeń i przypomina mi, że jestem jedyną osobą w pokoju.

Łapię komórkę i otwieram apkę messenger. Wszystkie wiadomości adresowane do konta MirkerLurker nadal w niej są, ale przynajmniej w telefonie mogę je wyłączyć i przyjrzeć się mojej konwersacji z Maxem i Emmy.

Ograniczyć szkody. Starali się ograniczyć szkody. Wyrzywa mi się krótki, histeryczny śmiech. Jakim cudem można było jakoś ograniczyć szkody? To koniec. Fani wygrali. Ja przegrałam. Elizę Mirk pochłonęły wzburzone fale ich morza.

Przechodzę do swoich rozmów z Wallace'em. Nie ma w nich nic nowego

od ostatniego razu, kiedy korzystaliśmy z apki. Nie mam też od niego żadnych e-maili. Żadnych esemesów. Nie próbował do mnie dzwonić.

Dlaczego miałby to robić? Okłamywałam go miesiącami. Przez cały czas naszej znajomości. Mogłabym się bronić, że tak naprawdę nie kłamałam, tylko zatajałam szczegóły, ale już to samo w sobie byłoby kłamstwem. Na jego miejscu znienawidziłabym mnie.

Kroki na schodach – ktoś wchodzi na górę. Odwracam komórkę wyświetlaczem do spodu, wyłączam monitor komputera i zwijam się w kłębek na łóżku obok Davy’ego, który spokojnie leży i pozwala mi traktować się jak wielką poduszkę. Nogi mi się trzęsą. Mama cicho puka do drzwi – wiem, że to ona, bo tata nigdy nie puka cicho – i wchodzi z tacą z rosółem, krakersami i napojem imbirowym.

– Czujesz się lepiej? – pyta.

– Trochę.

Uśmiecha się i odgarnia mi włosy z czoła, uważając na opatrunek.

– To dobrze. Spróbuj się trochę przespać.

Nie robię tego. Wbijam wzrok w komputer po drugiej stronie pokoju, milczący i nieruchomy, zachodząc w głowę, na jakie to jeszcze burze zanoszą się we wszechwiedzącym internecie.

Wszystko to było tylko kwestią czasu. Od pierwszego dnia, w którym poznałam Wallace’a na kwadransie organizacyjnym. Odkąd zaczęłam spotykać się z jego znajomymi. Odkąd powiedziałam sobie, że się postaram.

Zapomniałam, że na tę głębokość powietrze już nie dochodzi.



Internetowej plotce wystarczy mniej niż dzień, żeby ucześcić się całej historii i ją rozpowszechnić. Następnego dnia rano już nawet ludzie spoza fandomu *Morza Potwornego* wiedzą, kim jestem i skąd jestem. Wiedzą, że uczę się w liceum. Wiedzą, że mam psa i dwóch młodszych braci. Nie jestem pewna, czy znają mój adres i numer telefonu, ale jeśli jeszcze nie, to wkrótce je zdobędą.

To, że przez tyle czasu zachowywałam anonimowość, tylko dolewa oliwy do ognia. Moja bezimiennność była jak gra, jak zagadka do rozwiązania. W internecie anonimowość nigdy nie trwa wiecznie – i wszyscy o tym wiedzieli.

LadyKonstelacja była ładną piniatą, w którą naparzali kijami, a nagrodą, która z niej wypadła, byłam ja.

Czytam wiadomości. Każdą z nich. Wiem, że nie powinnam, ale nie potrafię się powstrzymać, a nie chce mi się rysować ani czytać książek, ani nawet oglądać *Kanikuły*, więc czas mi się dłuży. Wiadomości są w większości krótkie. Mogłabym na ich podstawie sporządzić wykres czasu: na początku piszący badają grunt, niektórzy dociekają, czy pogłoski są

prawdziwe, inni pytają wprost. Potem przyjmują za pewnik moje nazwisko i drażą szczegóły. Zawieszają się najpierw na tym, że jestem dziewczyną, dopiero potem na tym, że nastolatką. Kwestię wieku potrafię poniekąd zrozumieć, ale dlaczego miałyby ich zaskoczyć, że jestem płci żeńskiej, pojęcia nie mam. LadyKonstelacja była płci żeńskiej. To się przecież nie zmieniło.

Do tego dochodzą fani. Niektórzy oświadczają, jaką inspiracją dla nich jestem. Niektórzy twierdzą, że są tacy sami jak ja i że ich zdaniem powinniśmy się zaprzyjaźnić. Inni chcą mi tylko podziękować. Podoba im się, że mogą teraz kojarzyć z nickiem jakąś twarz. Podoba im się, że mogą kojarzyć z nim nazwisko. Podoba im się, że już nie jestem niewidzialna.

Oczywiście są też wiadomości ordynarne. Ohydne. Sprawiające wrażenie, że pochodzą nie od żywego człowieka, tylko od jakiegoś komputerowego bota zaprogramowanego na mówienie rzeczy, jakich nikt nie powinien mówić innemu człowiekowi. Czytam także każdą z nich. To jak z chrupkami Pringles – może są strasznie niezdrowe, ale jak raz otworzy się tubę, to nie ma zmiłuj, trzeba ją dokończyć. To kolejka górską, która jedzie wyłącznie w dół. Pod koniec czuję się już jak cień człowieka – tylko klikam myszą i przebiegam słowa obolałymi oczami.

– Elizo? – Drzwi się otwierają. Pojawia się w nich głowa z ciemną czupryną. – Mama kazała ci powiedzieć, że obiad już gotowy. Krzyknąłem ci z dołu, ale powiedziała, że nie usłyszysz.

– Aha – potakuję, nie odwracając się od komputera.

– Co tak oglądasz?

Za moimi plecami słyszę ciężkawy tupot. W powietrzu rozchodzi się zapach chłopca, który powinien wziąć prysznic. Sully to szybki gnojek – zanim zdążę gdzieś kliknąć, żeby schować wiadomości z forów *Morza Potwornego* i miriady artykułów z innych stron, które pootwierałam

w kolejnych kartach programu, kładzie dłoń na myszy i sam zamyka przeglądarkę.

– Nie oglądaj tych śmieci – mówi autentycznie gniewnym tonem. – Ludzie to głupki, nie trzeba tego czytać. No chodź, obiad na stole.

Jest już za późno, ale tego przecież nie wie. Przeczytałam już wszystkie wiadomości, teraz czytałam tylko te nowe w miarę ich napływu. Zarówno te skierowane do LadyKonstelacji, jak i do konta MirkerLurker. Komentarze do artykułów prasowych. Odpowiedzi w portalu Megamózgów i na forach samego *Morza Potwornego*. Dobre, złe, brzydkie.

Wstaję od komputera i człapię za Sullym na dół.

* * *

Nie przyznaję się, że jestem zdrowa, i opuszczam szkołę także następnego dnia. Piątek. Plansze *Morza Potwornego* są już ustawione w harmonogramie publikacji. Ledwo daję radę dotykać klawiatury, więc o powrocie do witryny i dokładaniu kolejnych plansz nie ma mowy. Do swojego tabletu graficznego zresztą też nie podchodzę. Ani do ołówka i kartki. Nie chcę nawet myśleć o rysowaniu.

Nie chcę nawet myśleć o *Morzu Potwornym*.

Krucze skrzydła, płetwa jak u morskiego płaźca, przydługie szaliki, szable, akweny morskie, mechanizmy, planety, gwiazdy. Wszystko to przyprawia mnie o mdłości. Nie interesuje mnie planowanie plansz i paneli. Domykanie wątków ewolucji postaci – jeszcze mniej. Zakończenie historii, tak już bliskie, wyślizguje mi się z wiotkiej dłoni i ulatuje gdzieś daleko.

Nie dam rady. Wszelkie siły, które utrzymywały mnie na kursie, zniknęły.

Zdzieram ze ścian plakaty *Morza Potwornego*. Wpycham pod łóżko kompilacje komiksu w formie powieści graficznych. Pozbywam się całego fan artu, wszystkiego, co ktokolwiek kiedykolwiek mi przysłał, wszystkich

małych pluszaków i naklejek, z kostiumem Kite Waters na czele. Nawet Pana Ciachowskiego z pustym miejscem po odklejonych oczach. W koszu na śmieci ląduje wszystko, co tylko się w nim zmieści.

Kiedy nieco później mama przychodzi sprawdzić, co u mnie słychać, znów leżę na łóżku przytulona do Davy'ego. Mama omiata wzrokiem puste ściany i przepełniony kosz na śmieci, po czym pyta mnie, czy nic mi nie jest. Kłamię, że nie. Wychodzi.

Tego popołudnia dzwoni do nas jakaś reporterka z „Westcliff Star” i pyta, czy może przeprowadzić ze mną wywiad do artykułu. Sully, który odebrał telefon, każe jej się odpierdolić.

Tata karci go bez przekonania. Ale tylko za pierwszym razem. Kiedy zaczyna dzwonić coraz więcej osób – a nie mówią mi, kto dzwoni – tata już nikogo nie karci, tylko sam zaczyna radzić wszystkim, żeby wyrzucili nasz numer telefonu.

Rodzice chodzą wokół mnie, jakbym była pod napięciem. Mówią niewiele. Trzymają dystans, chyba że chcą sprawdzić szwy pod opatrunkiem. Chciałabym wierzyć, że jest im przykro, ale nie sądzę, żeby mieli pełną świadomość, co zrobili.

Tego wieczora przychodzą do mnie Church i Sully – dziwnym zbiegiem okoliczności dokładnie o tej porze, o której powinny zostać opublikowane plansze *Morza Potwornego* – i siadają po bokach na łóżku, żeby razem ze mną pooglądać powtórki *Kanikuły*. Przynajmniej tyle udało mi się znowu zacząć robić. Utrzymywanie umysłu w stanie ciągłego otępienia to wcale nie jest zły pomysł. Zamiast gałązki oliwnej Sully i Church przynoszą salaterkę jajek na twardo większą od głowy Churcha. Wcinamy je razem. Nabijają się z głupoty serialowych postaci. Zgadzam się z nimi, że postaci zachowują się głupio.

– Rozmawiałaś z Wallace'em? – pyta Church po trzech odcinkach serialu.

– Nie – odpowiadam, obierając jajko ze skorupki.

– Widzieliśmy się dziś w szkole z jego siostrą – mówi Sully. – Z tą, ee...

Lucy.

– Aha.

Wrzucam skorupkę do dodatkowej salaterki, którą przynieśli, i ostrożnie nagryzam jajko, starając się nie naruszyć zębami stwardniałego żółtka.

– I co mówiła? – pytam.

– Że Wallace naprawdę się martwi.

– I że powinniśmy spróbować cię namówić, żebyś z nim pogadała – dodaje Church.

Mam ochotę powiedzieć, że poprawianie mu humoru to nie moja działka, ale jestem mu winna lepsze przeprosiny niż te, które udało mi się wykrztusić w klasie profesor Grier. Mimo to za każdym razem, kiedy przychodzi mi do głowy, by do niego zaesemesować – tylko te trzy słowa „zaesemesować do niego” – wyobrażam sobie, że traktuje mnie jak powietrze, pluje mi w twarz albo bierze wszystkie rysunki, które dla niego zrobiłam, i je pali.

– Pomyślę o tym – mówię.

Pomyślę o tym. Jeśli w ogóle uda mi się zmusić do powrotu w poniedziałek do szkoły.



W poniedziałek nie wracam do szkoły. Jadę na parking najbliższego supermarketu, stawiam samochód na szarym końcu i kładę się na tylnym siedzeniu, gdzie przysypiam, aż w aucie robi się za duszno i muszę opuścić szyby. W porze, kiedy normalnie kończyłaby się szkoła, jadę do domu. Następnego dnia robię to samo.

Kiedy wracam, mama mówi:

– Dzwonili ze szkoły. Powiedzieli, że opuściłaś dwa dni z rzędu bez usprawiedliwienia.

Przystaję przed schodami.

– A. No tak. Po prostu... podjechałam pod szkołę, ale źle się czułam.

– Jeśli potrzebujesz więcej odpoczynku, zadzwonię do nich z usprawiedliwieniem. – W rękach trzyma stare szorty do joggingu. Na podłodze salonu za jej plecami leży sarta ubrań sportowych przeznaczonych dla organizacji charytatywnej.

– Dobrze – odpowiadam i ruszam schodami w górę.

– Elizo, poczekaj. – Podchodzi do mnie. – Jeśli zadzwonię, że jesteś chora, zgodzisz się pójść do tej terapeutki, którą polecał doktor Harris?

Niekoniecznie jutro, ale może w przyszłym tygodniu? Już z nią rozmawialiśmy i obiecała, że znajdzie dla ciebie trochę czasu.

- Po co? – protestuję, ale sama słyszę, że bez przekonania.
- Bo ostatnio zachowujesz się zupełnie jak nie ty, a tato i ja się martwimy.
- Nie bardzo mi się chce.
- Proszę, może jednak pójdziesz? Zrobisz to dla nas?

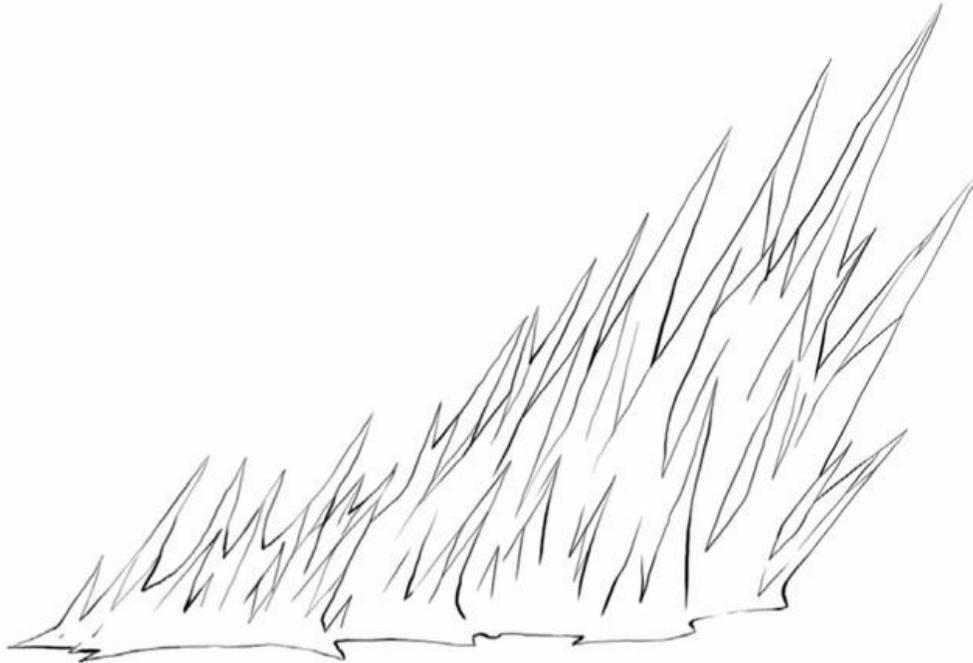
Wzruszam ramionami. To chyba wystarczy jej za odpowiedź, bo pozwala mi iść na górę.

* * *

Po tygodniu bez szkoły, tygodniu leżenia przez cały dzień w łóżku i oglądania *Kanikuły* tak długo, aż zapominam, po co kiedykolwiek próbowałam stworzyć coś własnego, czuję się okropnie. Boli mnie brzuch, głowa, kręgosłup. Boli mnie kark. Włosy mam przetłuszczzone. Jedynie to potrafi zmusić mnie do wstania z łóżka i wzięcia prysznic: kiedy czuję tłuszcz wysączaający mi się przez pory w skórze głowy. Mam dość bycia obrzydliwą. Mam dość poczucia, że moje ciało to jakaś rzecz, którą muszę ze sobą dźwigać przez cały dzień. Po prysznicu znowu padam na łóżko. Z powodu gołych ścian w sypialni czuję się jak w więziennej celi, ale nie mam siły przystroić ich niczym innym.

Na koniec tego tygodnia nie będzie żadnych nowych plansz *Morza Potwornego*. Nie weszłam do internetu sprawdzić, co fandom stwierdził na temat tych ostatnich. Skończyła mi się chęć. Chęć do rysowania, do mówienia, do robienia czegokolwiek. Kiedyś moje serce było opatulone *Morzem Potwornym*; teraz nie ma w nim nic.

Może to normalne. Rzeczy, na których najbardziej nam zależy, pozostawiają po sobie największą pustkę.



Generał White miał w sobie coś wyraźnie nieorkusjańskiego, czego jednak Amity nie mogła uchwycić. Wszystko w nim było ostre, jakby składał się z kawałków metalu stopionych razem w kształt człowieka i ubranych w mundur wojskowy Sojuszu Orkusjańskiego.

– Jeśli zabijesz Fausta – powiedział generał – zostaniesz uznana za bohaterkę. Może nawet legendę. Nie zakończy to ataków naszych wrogów, ale wyrówna nasze szanse; na więcej nie śmieliśmy liczyć od wielu dziesięcioleci.

– Wyrówna szanse... – powtórzył Faren, porzucając wcześniejszą koturnową intonację. – Jeśli Amity zgładzi Fausta, ale pozostanie żywa, czy szala szans nie przechyli się poważnie na waszą korzyść? Równie mocno, jak teraz przechyliła się przeciw wam?

– Obawiam się, że nie rozumiem – powiedział White.

– Co stanie się później? – Faren zgromił generała wzrokiem. – Co stanie się po tym,

kiedy Amity pokona Fausta? Domyślam się, że nie będziecie w stanie wyplenić z niej Strażnika. Amity nadal tu będzie i nadal będzie czuła, że musi bronić niewinnych. Przeciwko jakim wrogom wówczas ją wyślecie? Przeciwko risztianom? Aniołom? To są wrogowie, o których pan wspomina, czyż nie? Królowie mechanicznego miasta i demony Orkusa?

Przy ostatnim słowie podniósł głos. Amity przeszły po skórze ciarki; nigdy nie sądziła, że być może będzie zmuszona podjąć walkę z orkusjańskimi Aniołami. White, nieporuszony, odpowiedział Farenowi kamiennym spojrzeniem.

– Nikt tu nie wspomniał słowem o ewentualnych przyszłych wrogach, panie Nox.

– Nox-iz – poprawił go sucho Faren. Nigdy nie żądał, ba, nawet nie prosił o to, by zwracając się do niego, stosować nokturniańską tytułologię, i to, bardziej niż cokolwiek innego, zastanowiło Amity. Porzucił już wszelkie pozory słabej znajomości kolaaryjskiego.

– Absolutnie nie wierzę, że gdy Fausta już nie będzie, pozwolicie jej tu wrócić i żyć w spokoju. Pańscy ludzie spędzili ostatnie pół roku na przekształcaniu Amity w broń, a wiele lat wcześniej na jej badaniu. Wiecie, do czego jest zdolna. Przekonaliście ją, że Faust to jej odpowiedzialność... ale gdzie ona się kończy?



To bez sensu.

W drzwiach mojego pokoju stoi Sully z rękami założonymi na piersi. Leżę na łóżku i gapię się pustym wzrokiem w telewizor.

– Nieprawda – odpowiadam. – To mój ulubiony odcinek.

– Nie chodzi mi o *Kanikułę*.

Odwracam głowę i przyglądam mu się.

– Chodzi mi o to, że leżysz tutaj, zamiast powiedzieć mamie i tacie, co właściwie zrobili.

– Wiedzą, co zrobili.

Sully przewraca oczami.

– Bzdura. Myślą, że wiedzą, ale nie wiedzą, bo nie chcesz im powiedzieć.

Odwracam się z powrotem do telewizora.

– Nieważne. Stało się i się nie odstanie.

Odwarkuje mi:

– Jeśli ty im nie powiesz, ja to zrobię.

Wypada jak burza. Nie przejmuję się tym, póki nie słyszę, że drzwi do gabinetu rodziców na parterze otwierają się z trzaskiem, a Sully pyta na cały

głos, czy może pożyczyć ich laptop.

Wyskakuję z łóżka i zbiegam na dół. Na kuchennym stole leżą rozłożone prace domowe moich braci, ale obaj stoją przed rodzicami przy wyspowym blacie, otwierając coś na ekranie laptopa.

Tamten post w witrynie Megamózgów. Ten, na który lubiłam kiedyś co dzień patrzeć.

– Co to takiego? – pyta mama, odkładając magazyn o fitnessie. Ani ona, ani tata nie zauważają, że weszłam do kuchni.

– To jest post, od którego zaczęła się popularność *Morza Potwornego* – mówi Sully. – Ta witryna, Megamózgi, to miejsce, gdzie można dzielić się różnymi informacjami. Bywa tu masa ludzi, więc zrobić coś, żeby jakiś post znalazł się na samej górze forum, tak jak ten, i został tam tak długo, jest naprawdę ciężko.

– A zobaczcie tylko, ile tu jest komentarzy. I lajków, znaczy polubień – mówi Church. – To są wszystko realni ludzie, a większość z nich przeczytała *Morze Potworne* i się im spodobało.

– Ale to tylko mały procent wszystkich, którzy naprawdę ten komiks czytają. – Sully obraca laptop i przechodzi do kolejnej witryny, a potem znów pokazuje ekran rodzicom. Są na nim fora *Morza Potwornego*. – To jest strona, gdzie zbierają się fani. Zobaczylibyście to, gdybyście tylko dwa lata temu nie przestali jej oglądać. Popatrzcie na te liczby przy postach. Popatrzcie choćby na to, ile osób w tej chwili tu jest.

Czekają, a mama z tatą przewijają wątki forum, przyglądają się nickom, tytułom postów, liczbie komentarzy. Z mojego miejsca przy drzwiach widzę, że tata marszczy czoło, a mama zakrywa usta dłonią. Zwijam pięści w środku mojej bluzy od dresu i zaciskam wargi.

– Tych ludzi są miliony – mówi Sully. – Dużo więcej niż tych, którzy są online w tej chwili i tutaj. Czytają strony komiksu, które Eliza publikuje co

tydzień. Płacą jej za nie. Wiecie, ile na tym zarabia? Czasem nie wylogowuje się na swoim komputerze z konta bankowego, więc zobaczyliśmy. To są bająnskie sumy.

– Nie da się ukryć – mówi Church.

– Wiecie, nudzicie jej ciągle o uczelnianych stypendiach i tak dalej, ale ona ich nie potrzebuje. Wiedzieliście to czy przestaliście się tym interesować, kiedy kazaliście jej zacząć chodzić samej do księgowego?

– Ale przecież to... to tylko hobby – broni się mama.

– Właśnie że nie. – Sully kładzie dłonie płasko na blacie po obu stronach laptopa. – Sam już nie wiem, co mam wam pokazać, żebyście zrozumieli. To jest coś. Eliza jest sławna. Może nie jak gwiazda filmowa czy ktoś taki, ale masa ludzi chciała wiedzieć, kim ona jest. A teraz, dzięki wam, ci ludzie już wiedzą.

– Nikt z nich nie wiedział, kim ona jest? – pyta cicho tata.

– Nie, no skąd – mówi Church. – A myślicie, że czemu nigdy nie chciała nikomu o tym opowiadać?

– Zawsze trzymała się na uboczu. Myśleliśmy, że nie chce nadmiaru zainteresowania.

– No bo nie chciała – burczy Sully – ale nie dlatego, że... ech, jak wy nie kumacie! Zawsze mówicie nam, żeby dbać o własne bezpieczeństwo i podejmować właściwe decyzje, a potem robicie coś takiego. – Zabiera coś Churchowi: specjalne wydanie „Westcliff Star”. – To nie była dobra decyzja. To była bardzo zła decyzja. Podaliście ją jak na tacy milionom ludzi, a nie wszyscy są mili i sympatyczni. Już nigdy nie odzyska poczucia bezpieczeństwa. Ale wiecie, co jest najbardziej w tym wszystkim... najbardziej...

– Frustrujące – podpowiada Church.

– ...co jest najbardziej frustrujące? – Sully rozkłada ręce, obejmując tym

gestem gazetę, laptop i całą ich gromadkę. – Tego wszystkiego by nie było, gdybyście tylko poświęcili pół minuty, żeby wygoogłać *Morze Potworne*. Chcecie wiedzieć wszystko o całej reszcie naszego życia, ale akurat to nigdy was nie obchodziło.

Daję krok w tył i jakaś klepka parkietu skrzypi mi pod nogą. Obracają się do mnie całą czwórka. Mama płacze. Tata jest blady.

– Dlaczego nam nigdy nic nie powiedziałaś? – pyta mama. – Myśleliśmy, że to nic wielkiego. Na twoim koncie bankowym nigdy nie było za dużo... a podatki...

– Powiedzieliście księgowemu, że moje podatki to moja sprawa, i chcieliście, żebym zajmowała się nimi sama. – Głos okropnie mi drży.

Tata głośno przełyka ślinę.

– Nigdy nie napisalibyśmy w „Westcliff Star” tego, co napisaliśmy, gdybyśmy tylko wiedzieli. Myśleliśmy, że to jest coś, co robisz dla zabawy. Chcieliśmy ci pokazać, że jesteśmy z ciebie dumni. A „Star”... „Star” to lokalna gazeta, myśleliśmy, że kto to przeczyta? To miało być coś tylko naszego. Tylko dla nas.

Wzruszam ramionami. Czekają, aż coś powiem, ale co ja mam im powiedzieć? Mam się złościć? Oznajmić, że nic się nie stało? Rodzice nigdy wcześniej mnie tak nie przepraszali. Nigdy nie dali ciała aż tak strasznie. W głębi duszy nie spodziewałam się, że mogliby to zrobić.

Mama zaczyna płakać naprawdę mocno. Wstaje i wychodzi drugimi drzwiami, na korytarz prowadzący do ich gabinetu. Church idzie za nią.

Uciekam z powrotem na górę. Leżę zwinięta w kłębek na łóżku, w ściszonej telewizorze leci *Kanikuła*, a ja czuję się dziwnie rześko. Jakby wszystko miało bardziej wyostrzone kontury niż zwykle. Ale nie kręci mi się w głowie.

Po dziesięciu minutach Sully puka do drzwi i zagląda do pokoju.

– Dobrze się czujesz?

– Nie miałam pojęcia, że tyle wiecie o *Morzu Potwornym* – zauważam.

Wzrusza ramionami.

– Chcieliśmy wiedzieć, co przez cały czas robisz. Jesteś naszą starszą siostrą, no nie? Ale żyjesz jakby... w innym świecie. To dziwne. – Znowu wzrusza ramionami. – Czytamy ten komiks. Church też. I wszyscy nasi znajomi, ale nigdy im nie powiedzieliśmy, że ty to ty, bo spodziewaliśmy się, że może się zdarzyć coś w tym stylu. To naprawdę super. Nie to, co się teraz dzieje, tylko że narysowałaś to wszystko. A mama i tata zachowywali się przy tobie tak, że zorientowałem się, że pewnie nie wiedzą, jaka to ważna sprawa.

– Aha. – A ja przez cały ten czas myślałam, że bracia mnie nie cierpią. – Ja tylko... dzięki. Sama pewnie bym im nie powiedziała.

Sully przewraca oczami.

– Mama i tata nie kumają, bo są za starzy. Kiedy byli młodszy, nie mieli nawet komórek. Może googlowanie nic by im nie pomogło. – Pociera nos. – W każdym razie, gdybyś potrzebowała, no nie wiem, z kimś pogadać, to wiesz, gdzie mnie i Churcha znaleźć.

– Byłoby... w zasadzie to byłoby miło. – Mówię to cichutko, ale twarz Sully'ego się rozjaśnia. Po chwili wahania wślizguje się do pokoju, zamyka za sobą drzwi i siada z podwiniętymi nogami na drugim końcu łóżka.

– Dzięki – mówię.

Sully uśmiecha się do mnie po raz pierwszy, odkąd sięgam pamięcią.



We wtorek bardzo wczesnie rano, kiedy moi rodzice i Sully z Churchem jeszcze mocno śpią, wsiałam do samochodu i jadę na zakręt Wellhouse.

Tak wczesnym rankiem na drogach nikogo nie ma, więc parkuję na poboczu, przechodzę całą długość mostu i zerkam w dół urwiska na płaską łąkę trawy na brzegu czarnej rzeki. Wszystko oświetla jeszcze światło księżycy. Na szczycie wzniesienia widać krzyż, różne dekoracje i zabawki. Kwiaty, niektóre świeże, inne już zwiędłe, przyniesione ludziom, którzy wypadli z zakrętu. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek nadejdzie czas, kiedy nie będą potrzebne, kiedy zakręt nie będzie już zakrętem, a zwykłym wzgórzem.

Wallace napisał w swoim e-mailu, że nigdy tu nie wrócił. Na pewno Vee poświęciła ojcu Wallace'a coś, co znajduje się w tej stercie pamiątek, ale sam Wallace nigdy tego nie zrobił.

Nic przy sobie nie mam, jestem w piżamie i trzymam w ręce tylko kluczyki do samochodu. Rozglądam się. Na poboczu drogi nieopodal widzę płaski kamień. Łapię go, czyszczę trochę rękawem, po czym ustawiam na

pustej puszcze na karty do bejsbolu, pod pachą przemoczonego od deszczu misia.

– Niech to będzie w zastaw – mówię. – Później przywiozę coś lepszego.

Zakręt Wellhouse otaczają lasy, więc to i tak bardzo ciche miejsce, ale rzeka dodatkowo zagłusza odgłosy wszelkich okolicznych dróg. Siadam na tyłku obok kwiatów i zabawek i ostrożnie zsuwam się po pochyłości. Jak wrócić na górę, wykombinuję później. Na samym dole jest rozległa trawiasta polanka. Ile już samochodów wypadło z tej drogi? Dlaczego nikt nie naprawił barierki albo nie postawił bezpieczniejszej? Wszyscy się boją, że utracą źródło artykułów prasowych? Że w przyszłości będzie mniej ciekawie, jeśli w tutejszym gruncie nie będzie trwale osadzonych szczątków kolejnych aut?

Opadam na chłodną trawę i zadzieram głowę w niebo. Ciemność rozświetlają punkciki gwiazd. Choć znam tyle gwiazdozbiorów nokturniańskich, jedyne realne, jakie pamiętam, to Wielki i Mały Wóz. A, i oczywiście Wielki Pies, Canis Maior – na czele z Psią Gwiazdą, Syriuszem, zwiastunem letniej kanikuły. W serialu *Kanikuła* przytaczają ten fakt tak często, że musi to być najdłużej wykorzystywany dowcip z odwołaniem do tytułu w tle. Ale Syriusza nie ma teraz na niebie.

Czteroletnia Eliza byłaby mną strasznie rozczarowana.

Czteroletnia Eliza byłaby mną rozczarowana z wielu powodów. Z powodu ukrywania się, jedzenia obiadu w samotności przez większość czasu spędzonego w liceum, pozwolenia sobie na zatonięcie aż tak głęboko. Czteroletnia Eliza przynajmniej się starała. Chciała być w czymś dobra. Robiła różne rzeczy, bo chciała je robić, a nie dlatego, że kazali jej inni. Nie uznawała żadnych panów. Podobnie chyba jak wszystkie inne czterolatki.

Ale nie mam już czterech lat. Nie mogę nią być. Nie mogę być sobą samą w wieku czterech lat, nie mogę być LadyKonstelacją, nie mogę być nawet

dziewczyną Wallace'a. W tej chwili mogę być tylko Elizą Mirk, człowiekiem.

Wpłatom palce między źdźbła trawy. Nad moją głową przelatuje nietoperz, tak że gwiazdy na moment mrugają, znikając i zapalając się na nowo.

Tutaj zginął tata Wallace'a. Wydaje się, że jest tu zbyt pogodnie dla samochodu pędzącego na złamanie karku ku śmiertelnej kraksie. Założę się, że wtedy na zakręcie Wellhouse było tak samo pięknie. To nie zakręt Wellhouse zabija ludzi; zabijają ich zła pogoda, fatalne decyzje i nieszczęśliwe wypadki. To nie zakręt Wellhouse reklamuje, że w tym miejscu ludzi spotyka śmierć; to zadanie wzięła na siebie „Westcliff Star”. Bo zakręt Wellhouse, ta mała polanka, jest częścią natury, a natury, nic nie obchodzi. Natury, nie obejdzie, jeśli rzucimy się na nią z całej siły i pogruchozemy sobie kości. Natury nie obchodzi, że jest nam tak ciężko, jakbyśmy mogli zatonać w ziemi i nigdy już się z niej nie wyrwać.

Natury nie obchodzi, kim jestem, czy to w internecie, czy poza nim, i nie zrobi jej różnicy, że potrzebuję poleżeć tu sobie przez chwilę.



Wśród, dwa tygodnie po moim nieszczęśliwym wypadku na stołówce, leżę na podłodze w swoim pokoju, gapię się w sufit i pozwalam, żeby wilgoć z moich mokrych włosów wsiąkała w dywan, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Słucham kroków taty idącego przedpokojem. Cichego skrzypnięcia drzwi wejściowych odchylających się we framudze. Stłumionego głosu taty mówiącego „dzień dobry” i coś jeszcze, czego już nie słyszę.

Potem – kroki na schodach. Kroki taty. Serce zaczyna mi bić szybciej. Czemu wchodzi na górę? Na górze jestem teraz tylko ja.

Pukanie do drzwi.

– Jajeczko? Przyjechał Wallace.

Przyjechał Wallace.

Po co Wallace przyjechał?

– Nie chce mi się z nim gadać. – Moja odpowiedź jest natychmiastowa i stanowcza. Nie mam cienia wątpliwości. Nie mogę rozmawiać z Wallace’em. Nie mogę się z nim widywać.

– Jesteś pewna? – Tata nadal nie otwiera drzwi.

– Tak.

– No dobrze.

Schodzi po schodach na dół, wraca do drzwi wejściowych. Mówi coś półgłosem, pobrzmiwa w tym żal. Nie słyszę odpowiedzi, ale jeśli Wallace się odzywa, to może po prostu za cicho.

Drzwi się zamykają.

Gramolę się do okna. Okno wychodzi na trawnik przed domem i podjazd, na którym stoi samochód Wallace’a.

Wallace ciężkim krokiem idzie frontową alejką. Z tego miejsca widzę tylko jego ciemną czuprynę i koszulkę Coltsów. Przyciskam czoło do moskitiery. Jakim cudem nie czuje, że tu jestem? Jakim cudem nie wyczuwa, jak bardzo pragnę, żeby mnie nie nienawidził, i jak strasznie mi przykro? Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek jeszcze spojrzę na *Morze Potworne*, ale obchodzi, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę się z Wallace’em. W tej chwili obchodzi mnie to bardzo.

Chłopak obraca w palcach kluczyki do samochodu, po czym przystaje, jakby coś sobie przypomniał. Idzie na koniec podjazdu i ogląda się na dom.

Znajduje mnie od razu. Odskakuję od okna z zapartym tchem. Oczywiście wiedział, że tu jestem – musiał wiedzieć, że tu jestem. Ostrożnie wyglądam znad parapetu. Chodzi tam i z powrotem. I za każdym przejściem spogląda w moje okno. Jedno przejście, dwa przejścia, trzy.

Zbiera się na odwagę.

Zbiera się na odwagę? Po co zbiera się na odwagę? Planuje wyważyć frontowe drzwi?

W końcu przystaje i sięga do kieszeni po telefon. Pisze coś. Znowu spogląda w moje okno.

Łapię komórkę, która od dłuższego czasu zbiera na moim biurku kurz. Kiedy ją włączam, wyświetla się mnóstwo esemesów, ale na samej górze ten

od Wallace'a.

Musimy pogadać.

Nie czekając na moją odpowiedź, znów zaczyna pisać.

Naprawdę musimy porozmawiać, a ja nie chcę stać tu pod domem i esemesować.

I znowu:

Jeśli nie wpuścisz mnie dzisiaj, po prostu przyjdę znowu jutro.

Ściska mnie w żołądku. Chce wejść do domu, żeby móc na mnie nawrzeszczyć. Żeby mi powiedzieć, jak nie w porządku postąpiłam, jak strasznie, jak okropnie go potraktowałam. Może wtedy będę mogła mu odwrzeszczyć, że wiem, że czuję to w szpiku kości, jakby ktoś napompował je poczuciem winy.

Siedzę i przez chwilę obejmuję sama siebie, otaczając nogi ramionami, przyciskając czoło do kolan. Potem zmuszam się, żeby wstać z podłogi, wyjść z pokoju i zejść po schodach – sztywno, stopień po stopniu. Otwieram drzwi wejściowe na oścież, pędzę z powrotem na górę, do swojego pokoju – zostawiając drzwi do niego także szeroko otwarte – i kulę się na łóżku, wycofując się w kąt i zaciskając ręce wokół poduszki, jakby była tarczą.

Drzwi frontowe zamykają się. Wypuszczam poduszkę. Ciskam nią przez całą szerokość pokoju.

Ciężkie kroki na schodach. Wstaję i opieram się plecami o okno. Zamykam oczy i przyciskam komórkę do brzucha, aż czuję na sobie wzrok Wallace'a, podnoszę powieki i widzę jego sylwetkę w drzwiach.

Jest zły. Ależ jest zły. Nigdy nie widziałam na jego twarzy takiego wyrazu, nawet wtedy, kiedy złościł się na Tima, że nie pozwoli mu pisać, jeśli nie będzie mógł tym dobrze zarabiać. To więcej niż złość; to gniew, poczucie zdrady i dezorientacja stopione w jedno.

– Jak mogłaś m... – Zaciska szczęki. Patrzy w sufit. – Jak mogłaś mi nie...

– Zagryza usta. – Jak mogłaś mi nie powiedzieć...? – Głos cichnie mu aż do szeptu. Mruczy złowrogo, zaciska pięści. W oczach wzbierają mi łzy. Ależ się gniewa.

Znowu wyciąga telefon, wypuszczając powietrze nosem jak wściekły byk. Ocieram oczy, żeby widzieć wyświetlacz swojej komórki. Jego esemesy atakują mnie jak seria z karabinu.

Jak mogłaś mi nie powiedzieć? Przez cały ten czas?

Mieszalaś mi w głowie?

To był jakiś eksperyment czy coś?

Robiłaś to z nudów?

Dawałem ci czytać, co piszę! Dawałem ci czytać wszystko!

Zaprosiłem cię do domu!

Poznałaś moją rodzinę!

Jak mogłaś mi nie powiedzieć, kim jesteś?

Nie chciałaś?

Nie przyszło ci to do głowy?

Łzy płyną mi tak mocno, że nic przez nie nie widzę. Wallace daje krok naprzód i wchodzi do pokoju. Przesuwam kciukami po komórce, ale nie mogę zmusić ich do działania. I tak za głośno pociągam nosem. Mam czkawkę. Czkaam między jednym szlochem i drugim.

Zaciskam komórkę w jednej pięści, a drugą zwijam wewnątrz bluzy, mimo że tak naprawdę wolałabym ukryć w dłoniach twarz. Ale nie mogę chować się przed nim, nie teraz. Nie ma słów, które mogłabym wypowiedzieć, żeby zrozumiał, jak bardzo jest mi przykro, i na tę myśl tylko bardziej chce mi się płakać.

Łóżko skrzypi pod jego ciężarem. Kiedy zbieram siły, by spojrzeć, widzę, że siedzi na nim z łokciami wspartymi na kolanach i głową w dłoniach. Ponieważ nie patrzy, jestem w stanie znów unieść komórkę.

Nie, piszę. Nie mieszałam ci w głowie.

Najpierw nie chciałam ci powiedzieć.

Opuszczam komórkę i mówię:

– A potem zobaczyłam, ile *Morze Potworne* dla ciebie znaczy, i już nie mogłam ci powiedzieć.

Siedzimy w milczeniu przez kilka długich minut, aż wreszcie mówi cicho:

– Trochę myślałem, że może o to chodzi. Taką miałem nadzieję.

Unoszę głowę.

– Myślałem sobie: „Gdybym był na jej miejscu, co ja bym zrobił?”. Wydaje mi się, że bym ci powiedział, ale kto wie? Może nie. Może zachowałbym się tak samo.

Przezesuje ręką włosy, tak że zaczynają sterczeć na wszystkie strony.

– Nie rozumiem. Jakim cudem nią jesteś? Jak to możliwe, że się nie zorientowałem?

Urywa, jakby chciał, żebym mu odpowiedziała, ale nie wiem, jak to możliwe, więc się nie odzywam.

Znowu podnosi wzrok. Omiata spojrzeniem moje biurko, komputer, tablet graficzny, którego nie widział wcześniej. Potem – gołe ściany.

– Co się stało z twoim pokojem? – pyta.

– Nie mogłam już na niego patrzeć – mówię.

Spogląda na mnie, marszcząc brwi.

– A co ze szkołą?

Tłumaczę mu to. Nie wiem, czy rozumie, ale słucha.

– Nie chcę tam wracać – wyjaśniam. – Wiem, że to się znowu zdarzy. Nawet kiedy jestem sama, nie czuję się sama, bo jest tak, jakby ludzie z internetu mnie obserwowali. W szkole jest gorzej, bo sama ich widzę.

– Oni cię nie nienawidzą – protestuje. – Większość z nich to tak naprawdę fani. Albo ludzie, których zdaniem to fajnie, że jesteś w pewnym sensie

sławna.

– To bez różnicy. Przeczytałam wszystkie wiadomości. Czuję się, jakbym nie była w stanie wszystkich ich w sobie zmieścić. Wszystko jedno, dobrych czy złych.

– Wchodziłaś na fora?

– W zeszłym tygodniu, potem już nie. Teraz nie bardzo mam ochotę podchodzić do komputera.

– No – mówi. – Też bym nie chciał.

Czyli jednak miałam rację. Wszystko jest tak samo straszne jak wtedy, gdy przestałam czytać fora. Duże newsy mają tendencję do szybkiego wypalania się w internecie; wszyscy oburzają się czymś przez dzień, dwa, trzy, a potem przechodzą do następnej sprawy. Więc jeśli zdemaskowanie LadyKonstelacji w tydzień później jest nadal newsem, to znaczy, że nikt nie zamierza odpuszczać.

– Jak myślisz, co zrobią, kiedy w tym tygodniu nie wyjdą nowe plansze? – pytam. – Ani w przyszłym?

– Nie będziesz publikować nic nowego?

Kręcę głową.

– Mam kilka plansz w rezerwie, ale nie rysuję od tygodnia. Od ponad tygodnia. Nie chcę już rysować. Nawet nie chce mi się sięgać po ołówek.

– A wrzucisz je w końcu online?

– Może. Sama nie wiem.

Słyszę zmianę w jego oddechu. Spogląda na mnie, na swoje ręce, znowu na mnie. W jego bezruchu pojawia się coś dziwnego. Jakaś nerwowość, niepewność.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Mówi głośniejszym niż zwykle, jakby wyduszał z siebie słowa. – Na dzień przed tym wszystkim, przed specjalnym numerem gazety, dostałem e-mail od jednego wydawcy. Znaleźli moją transkrypcję.

Bardzo im się podoba popularność *Morza Potwornego* i chcą wydać tę historię w formie powieściowej.

– Chcą wydrukować twoją wersję?

Kiwa głową. Ocieram oczy rękawem.

– To świetnie. To fantastycznie. To umowa na książkę.

– Powiedzieli tylko, że będzie im potrzebna zgoda na publikację. Od autorki komiksu.

– Pewnie – mówię tak pospiesznie, że aż zaczynam się jąkać. Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić po całym tym syfie. Już nie ma znaczenia, czy moje nazwisko zostanie ujawnione. – Pewnie, że się zgadzam. Bezwarunkowo. Tylko powiedz, gdzie się mam podpisać.

Ale Wallace nie wygląda, jakby się cieszył. Wpatruje się we mnie, jakby umknęło mi coś ważnego.

– Nie chcą tego, dopóki nie będą wiedzieli, jak to się kończy.

– No to napisz zakończenie – mówię.

– Oni nie chcą mojego zakończenia, Elizo. Chcą twoje. Jeśli nie będzie twoje, będzie nie w porządku.

– Mogłabym ci powiedzieć, jak to się kończy, a ty byś...

– Chcą. Twoje. Zakończenie.

– Nie wezmą twojej książki, jeśli komiks nie będzie skończony?

Nie przestaje się we mnie wpatrywać. W brzuchu robi mi się zimno.

– To jakiś absurd – szepczę. – To nadal świetna historia... ludzie będą ją kupować...

– Musisz ją dokończyć. – W jego głosie brzmi surowość, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Nie mogę.

– Musisz ją dokończyć, Elizo.

– Teraz nie jestem nawet w stanie wziąć do ręki ołówka. Masz tak czasem,

prawda? Kiedy nie możesz nic zrobić, bo nic ci nie idzie, nic nie przychodzi do głowy, masz w niej pustkę...

– Musisz dokończyć historię. – Jego głos brzmi twardo. Żałuję, że nie zatrzymałam sobie tej poduszki jako tarczy. – Taka szansa już nigdy więcej mi się nie trafi. Jeśli to nie dojdzie do skutku, czekają mnie kolejne cztery lata robienia tego, co mi każą inni. A może dłużej. Ja już nie wyrabiam. Proszę cię, Elizo. To tylko kilka rozdziałów, po prostu zaciśnij zęby i dokończ.

On tego nie rozumie. Albo nie chce rozumieć.

– Nie dam rady – szepczę.

– Dlaczego nie?

– Ja nic... nic nie czuję.

– Dlaczego nie? Nie musisz nic czuć. Artyści bez przerwy coś tworzą, mimo że nie mają żadnej motywacji. Gdybym mógł zrobić to za ciebie, tobym to zrobił. Z dziką chęcią napisałbym coś bez motywacji, gdyby to znaczyło, że później mógłbym robić to, co chcę.

Tyle że ja nigdy nie miałam tego problemu. Nigdy nie byłam przez nikogo zmuszana do tworzenia czegokolwiek. Pojęcia nie mam, jak się do tego zabrać.

– Nie dam rady.

Odpycha się od łóżka i podnosi. Przesuwa po włosach rękami, potem opuszcza je do boków i zaciska dłonie w grube kulaki. W szczęce gra mu jakiś mięsień. Rozgląda się po pustych ścianach, pustym biurku, milczącym komputerze.

– Masz życie jak z obrazka – mówi – i nie możesz narysować paru rozdziałów.

– Nie mam życia jak z obrazka – protestuję.

– Wymyśliłaś tę czaderską rzecz, którą kochają i za którą uwielbiają cię

miliony ludzi. Wszyscy wiedzą, czego dokonałaś. Doceniają twój talent. Nie musisz się martwić, jak zapłacisz za swoje studia, nie musisz starać się o zwykłą pracę ani kombinować, co by tu począć ze swoim życiem. Nie masz nikogo, kto by ci mówił, co robić albo kim być. Musisz tylko narysować jeszcze kilka plansz. I tyle. To by ci zajęło ile – tydzień, dwa? Więc proszę cię, Elizo, narysuj je.

Kiedy nie przychodzą mi do głowy żadne słowa, kręcę głową.

Wallace odwraca się i wychodzi. Jego kroki brzmią ciężko, gdy człapie po schodach. Drzwi wejściowe zamykają się delikatnie, z cichym świstem powietrza.

Byłoby lepiej, gdyby je za sobą zatrzaskał.



Siedzę przy swoim biurku z czystym arkuszem papieru i ołówkiem. Ołówek leży poniżej arkusza, równoległe do jego krótszego, dolnego brzegu. Wpatruję się w ołówek. Ołówek wpatruje się we mnie.

Kilka rozdziałów. Koniec. Nie znam szczegółów, ale mam z grubsza pojęcie o tym, co ma się zdarzyć. To nie może być aż takie trudne.

Czyste arkusze podobno działają jak zaproszenie. A nawet więcej, wyzwanie. Oto twoje malarskie płótno; jak bardzo twórcza będziesz? Jakie granice wyobraźni przekroczysz, by tchnąć życie w to stworzenie siedzące ci w głowie? Czysty arkusz papieru oznacza nieskończone możliwości.

Kiedy jednak teraz na niego patrzę, widzę tylko otchłań. W miejscu, z którego kiedyś tryskały ze mnie pomysły i emocje, teraz jest blok granitu. Ogromny, nieruchomy i tak zimny, że aż drętwieją mi wszystkie kończyny. Patrzenie na papier przypomina mi tylko, że nie jestem dość silna, aby ten blok odsunąć.

Muszę spróbować. Muszę spróbować dla Wallace'a.

Sięgam po ołówek. Moja dłoń gra na zwłokę, palce się zwijają, nadgarstek opada powoli, aż ląduje na krawędzi biurka. Przecież to nie będzie wyglądało

jak należy. Postaci. Pejzaże.

Ludzie się zorientują. Zorientują się, że wszystko jest nie tak. Będę musiała wrzucić plansze online, bo wydawca nie weźmie od Wallace'a transkrypcji, dopóki historia nie będzie kompletna, i wszyscy czytelnicy, którzy przez cały ten czas krążyli i krążą na forach, zorientują się, że panele nie są tak dobre, jak mogłyby być. Rysunki nie są tak dobre i postaci nie są tak dobre, i historia nie jest tak dobra.

A kiedy się zorientują, będą wiedzieli, gdzie i jak mnie znaleźć, i będą mogli zapytać mnie o to twarzą w twarz. Niektórzy z nich pewnie w szkole.

A jeśli zaczną przysyłać mi listy?

A jeśli zaczną przychodzić do mnie do domu?

A jeśli zaczną rozmawiać o mnie tak, jak rozmawiają o Olivii Kane? Odludek Eliza uciekła do jaskini w górach i przepędza ludzi ze swojej posesji, grożąc im strzelbą. Zastawia sidła na własnych fanów. Rysowała tyle potworów, aż w końcu sama stała się potworem.

Zauważam, że trzymam krawędź biurka z taką siłą, że paznokciami żłobię w blacie płytkie wgłębienia, więc zwalniam uchwyt. Zmuszam się do nabrania oddechu, do zepchnięcia wszystkich innych myśli na zaplecze umysłu i do skupienia się na Wallasie. Wallace podpisze umowę na książkę. Wallace będzie mógł wykorzystać honorarium do opłacenia college'u i będzie mógł studiować to, co naprawdę lubi. Wallace nie będzie się musiał przejmować zaspokajaniem pragnień Tima ani martwić się, że utknie w jakiejś pracy, przez którą poczuje odrazę do samego siebie.

Muszę spróbować.

Znów sięgam po ołówek. Biorę go do ręki. Całym moim ramieniem wstrząsa szok, włosy na głowie stają mi dęba, po mięśniach rozchodzą się fale wstrętu. Zaciskam ołówek mocniej, po to tylko, żeby go od siebie nie odrzucić. Pierwsza linia, którą rysuję, jest koślawą. Sama nie wiem, co miała

oznaczać. Brzeg panelu? Płaszczyznę w twarzy postaci?

W którym momencie fabuły jestem? Już nawet nie pamiętam.

Przyciskam ręce do czoła. W klatce piersiowej czuję ucisk, coraz większy i większy, i większy. Wszystko zawsze przychodziło mi tak łatwo. *Morze Potworne* nigdy nie sprawiało mi kłopotu. Nawet kiedy nie byłam pewna, w którym kierunku chcę poprowadzić historię, mogłam po prostu zacząć rysować i fabuła w końcu sama się rozwijała. Teraz nie czuję nic, tylko bolesny lęk. Lęk płynący właśnie stąd, że nie czuję nic. Bo choć wiem, że to głupie i wiem, że wszyscy nazwaliby takie myślenie absurdem, mam wrażenie, że jeśli nie dokończę komiksu, Wallace'owi stanie się coś strasznego.

Nie mam pojęcia, co dokładnie ani w jaki sposób. Wiem tylko, że w gardle rośnie mi gula strachu.

Próbuję zacząć jeszcze raz. Cokolwiek. Twarze. Oczy. Odzież. Nic nie wychodzi jak należy. Jest za ciemne albo za jasne, albo przekrzywione w lewo. Proporcje są niewłaściwe. Kontury rozedrgane. Pogrubienia nie w tych miejscach, co trzeba.

Ołówek kończy swój żywot jako dwa odłamki: jeden ląduje za monitorem, drugi klinuje się w szparze między biurkiem i ścianą. Przemieszczam się z krzesłem na drugą stronę biurka, wybudzam komputer i googluję „zniknięcie Olivii Kane”. Wyświetlają mi się same spekulacje z internetowych serwisów wiadomości, forów fanowskich i mediów społecznościowych. Teoria Cole'a, ta o jaskini i strzelbie, jest w czołówce wyników. Część ludzi uważa, że Olivia Kane „sfiksowała do reszty”, jakby to było jakieś określenie medyczne. Inni twierdzą, że próbowała popełnić samobójstwo. Jest ich masa. Ta teoria jest powszechna. Czy naprawdę nigdy wcześniej jej nie dostrzegłam, czy tylko ją zignorowałam? Czy w swojej naiwności uznałam, że Olivia Kane po prostu się gdzieś zasyła?

Ludzie w depresji nie chowają się przed swoimi potworami. Ludzie w depresji dają się im pożreć.

Kulę się na krześle z głową wciśniętą między kolana, ustawiając przed sobą barykadę z ramion. Nie mogę już płakać. Chciałabym, żeby pociekły mi łzy, bo dzięki temu mogłabym się poczuć lepiej, ale usłyszeliby mnie rodzice albo Sully z Churchem, albo ktoś we wszechwiedzącym internecie usłyszałby mnie i odnalazł, i rozerwał na strzępy. Nie mogę płakać ani rysować, ani wchodzić online, ani z nikim rozmawiać, więc co ze mnie za pożytek?

Po co w ogóle żyję?



Szkoła to przerażająca bestia.

Spędzamy siedem godzin dziennie, łażąc po jej wnętrzu, a kiedy kończy się dzień, szkoła zmniejsza się tak, żeby zabrać się z nami do domu. Chowa się człowiekowi w ucho i szepcze wszystkie rzeczy, których może się spodziewać następnego dnia. Ubranie będzie na tobie źle leżeć. Włosy będą niesforne. Zapomnisz odrobić pracy domowej. Zadadzą ci więcej pracy domowej. Na stołówce będziesz musiała walczyć o wolny stolik.

Wszyscy wszyscy wszyscy będą cię oceniać.

Do końca szkoły zostały już tylko dwa tygodnie. Nie mam wyjścia.

Oto czego chcę: zostać w domu. A konkretniej – w moim pokoju, z zaciągniętymi roletami i telewizorem włączonym, ale ściszone na tyle, żebym mogła przysypiać przy mrużących, odmóżdżających odgłosach *Kanikuły*. Chcę, żeby był przy mnie Davy, którego będę mogła przytulić, i nie chcę rozmawiać ani widywać się z żadnymi ludźmi. Nie w realu, a już na pewno nie w internecie. Nie chcę myśleć o planszach, których nie dokończyłam, ani o wrytej w mojej pamięci minie Wallace’a, gdy mu powiedziałam, że nie mogę ich dokończyć.

Oto co nastąpi, jeśli dostanę, czego chcę: przesiedzę w domu końcowe dwa tygodnie mojej ostatniej klasy, a rodzice postarają się, żebym chodziła do tej terapeutki, aż mój mózg zostanie wyczyszczony i wypucowany, a wtedy wyskoczę z powrotem na świat jak talerz ze zmywarki. Może to zająć całe miesiące. Albo, nie daj Boże, lata. Nie chcę być taka przez całe lata. Nie chcę się tak czuć przez całe lata. Nawet pójdzie na studia nic nie poprawi, bo tam też będą ludzie, którzy wiedzą, kim jestem. Nie mogę już przed tym uciec.

Wracam więc do szkoły.

Tej wiosny jest za gorąco na bluzy od dresów. Radzę sobie dzięki technice nierzucania się w oczy, którą dopracowałam do perfekcji już wiele lat temu, kiedy podczas obozów sportowych męczyło mnie, że jestem wybierana do różnych zajęć ruchowych. Nigdy nie nawiązywać z nikim kontaktu wzrokowego. Ubierać się szaro i bezbarwnie. Poruszać się tym samym tempem, co reszta tłumu. Znikanie to forma sztuki, a ja jestem w niej mistrzynią. Przynajmniej kiedyś byłam.

Gdy tylko przekraczam drzwi wejściowe, blokują mi się kolana, a za oczami czuję uderzenie gorąca. Oddycham starannie. Kiedy jestem pewna, że mogę ruszyć dalej bez przewracania się, daję krok. Noga za nogą.

Nie przewrócę się i nie stracę przytomności.

Nie przewrócę się i nie stracę przytomności.

Nie przewrócę się i nie stracę przytomności.

Docieram do mojej szafki. Nie pamiętam kodu do szyfrowego zamka. Muszę po raz pierwszy od wizyty Wallace'a w moim domu wyciągnąć komórkę, żeby znaleźć kod wśród notatek w telefonie.

Gdy otwierają się drzwiczki, moje stopy zasypuje lawina złożonych kartek. Kolejne balansują chwiejnie na półce mieszczącej się poniżej szpar w drzwiczkach. Podnoszę jedną z nich i rozkładam.

Cześć, Elizo,

nie znasz mnie, ale jestem wielką fanką „Morza Potwornego”. Chyba największą na świecie. Czytam je dopiero od pół roku, ale to moja absolutnie najulubiejsza rzecz pod słońcem. Uwielbiam twoje rysunki! Mam nadzieję, że kiedyś nauczę się rysować tak jak ty. Zdrowiej szybko!

Listria_Marzy

PS. Wiem, że lubisz nas pytać o ulubione postaci – moja to Rory!

Ta osoba wetknęła liścik do mojej, kurwa, szafki.

Wypuszczam go z rąk i pochylam się, żeby powrzucić całą resztę z powrotem do środka, zanim ktokolwiek to zobaczy. Kartki parzą, jakby się paliły, i wyslizgują mi się z rąk. Jest ich za dużo.

Czyjś palec stuka mnie w ramię. Uskakuję przed tym człowiekiem, waląc głową i barkiem w drzwi szafki.

To Wallace.

Schyła się i zaczyna zgarniać liściki wielką dłonią. Nie próbuje wrzucać ich z powrotem do szafki – zamiast tego zdejmuję swój plecak i wpycha je do środka. Zduszam w sobie pytania, strach i łzy i wracam do tego, co planowałam, czyli do wyjęcia z szafki podręczników na kilka pierwszych lekcji. Wallace zarzuca plecak na ramiona i idzie na kwadrans organizacyjny.

Nie rozmawiałam z nim, odkąd przyjechał do mnie w zeszłym tygodniu. Co miałabym mu powiedzieć? „Próbowałam, ale nadal nie mogę dokończyć komiksu i przepraszam, że zrujnowałam ci życie”?

Nie wiem, jak rewelacja o mojej tożsamości wpłynęła na jego zaangażowanie w działania fandomu, ale jakoś wpłynąć musiała. Ludzie na forach wiedzieli, że zaklinacza_deszczu coś łączyło z dziewczyną o nicku MirkerLurker, nawet jeśli się z tym nie obnosiliśmy. Kiedy wyszło na jaw, że LadyKonstelacja i MirkerLurker to ta sama osoba, czy musiał się tłumaczyć, że nie miał pojęcia, kim jestem? Czy ktokolwiek połączył

zaklinacza_deszczu z Wallace'em w realu? Już odarcie z własnej anonimowości to coś strasznego; nie wiem, co zrobię, jeśli będę mieć też na sumieniu anonimowość Wallace'a.

Nawet nie próbuję myśleć o Cole'u, Leece, Czandrze i Megan. Ominęło mnie ich spotkanie „U Murphy'ego” w ostatni weekend. Nie umiałam stawić im czoła. Ich też okłamywałam tak samo jak Wallace'a, a to przede wszystkim jego przyjaciele. Będą na mnie źli tak jak on – może nawet bardziej.

Kiedy docieram na kwadrans organizacyjny, Wallace ma twarz jak wykutą w granicie. Nawet na mnie nie patrzy.

Kilka osób ogląda się na mnie, ale większość pilnuje swoich spraw. Wallace wyciąga kartkę papieru i zaczyna coś pisać. Profesor Grier siedzi przy swoim biurku ze spuszczoną głową i wzrokiem skupionym na trzymanym w dłoniach dzienniku. Spod prawego rękawa wygląda jej sam koniuszek tatuażu. Gdybym nie wiedziała, że tam jest, nawet bym go nie zauważyła.

A miałam nadzieję, że ten tatuaż to był tylko jakiś koszmar. Jakaś pokręcona wizja, która przytrafiła mi się w tamtym zupełnie pokręconym dniu.

Ale nie, to rzeczywistość. Moja wychowawczyni ma wytatuowane na ramieniu drukowanymi literami, jak jakiś okrzyk bitewny, najpopularniejsze zdanie z *Morza Potwornego*. W TYM MORZU SĄ POTWORY. Tak, pani profesor. Potwory w nim są. A pani jest jednym z nich. Jednym z tych, które miały pozostać ukryte w głębinach, ale pani tam nie pozostała. Pani wyrwała się na powierzchnię i teraz już nigdy nie zapomnę, że panią zobaczyłam. Nigdy nie zapomnę, że pani istnieje.

Wbijam wzrok we własny pulpit i zakładam sobie dłonie na kark. Twórcy nie powinni czuć się w ten sposób wobec swoich fanów. Nie powinnam

chcieć, żeby zniknęli. To z ich powodu mam... z ich powodu mam wszystko. To z ich powodu mogę opłacić sobie studia, kupować tablety graficzne, z ich powodu mogę poświęcać tyle czasu na robienie tego, za czym przepadam.

Mam nadzieję, że Olivia Kane nigdy nie czułaby się w ten sposób wobec mnie.

Olivia Kane.

Nie do końca wiem, co się z nią stało, ale wiem, że nie chcę, by to samo stało się ze mną.

Wyrywam z plecaka zeszyt i otwieram go na czystej stronie. Przed całym tym cyrkiem nigdy bym nie próbowała skontaktować się z Olivią Kane. Z wysiłku eksplodowałoby mi serce i za bardzo bałabym się tego, jaką odpowiedź mogłabym uzyskać.

Ale tonący brzytwy i tak dalej.

Pani Kane,

nazywam się Eliza Mirk. Nie piszę do Pani porozmawiać o „Dzieciach Hypnosa”, mimo że jestem Pani wielbicielką. Jestem autorką webkomiksu „Morze Potworne” i ostatnio moja anonimowa wcześniej tożsamość została ujawniona moim fanom. W dniu, w którym to się stało, przeżyłam atak paniki, przewróciłam się na stolik na szkolnej stołówce i straciłam przytomność.

Ja wiem, jestem żałosna.

Od tamtej pory ludzie próbują kontaktować się ze mną bez przerwy i wszelkimi możliwymi sposobami, w tym za pośrednictwem wiadomości na forach internetowych, e-maili, a nawet liścików wpychanych do mojej szkolnej szafki. Część jest bardzo sympatycznych, a część nie. Mam wrażenie, że ludzie nieustannie mnie obserwują i są cały czas świadomi mojej obecności, nawet kiedy siedzę akurat sama we własnej sypialni. Ostatnio nie jadłam ani nie śpiam za dobrze i nie wiem, co ze sobą zrobić.

Po dwóch tygodniach w domu wróciłam do szkoły, ale bez przerwy cierpię mi skóra i mam wrażenie balansowania na krawędzi bezdechu i zawrotów głowy, jakby panika mogła lada moment wyciągnąć rękę i mnie pochwycić. Chcę wrócić do domu. Chcę nigdy nie wychodzić ze swojego pokoju.

Wiem, że to nie jest sytuacja identyczna z Pani sytuacją, ale najgorsze z tego wszystkiego jest to, że nie mogę dokończyć „Morza Potwornego”. Byłam bardzo blisko zakończenia, a teraz cała motywacja do dokończenia historii gdzieś przepadła. Jest jak w wyschniętej studni. Nie wiem, jak znów napełnić ją wodą, i nie wiem nawet, czy tego chcę, ale muszę to zrobić. Istnieje mnóstwo powodów, dla których muszę dokończyć komiks. Nie powinnam czuć się w ten sposób, prawda? Nie powinnam czuć się tak atakowana. Z takimi rzeczami muszą radzić sobie osoby publiczne. Boję się, że coś jest ze mną nie tak, a ja nie wiem, jak to naprawić. Przeraza mnie, że zostanę taka już na zawsze. Strasznie się boję, przez cały czas.

Nie wiem, czy może mi Pani pomóc ani czy choćby wie Pani, o czym mówię, ale przyszła mi Pani do głowy jako jedyna osoba, która może to zrozumieć.

Dziękuję za poświęcony mi czas.

Eliza Mirk

PS. Przepraszam, wiem, że miałam nie mówić o „Dzieciach Hypnosa”. Nie musi Pani odpowiadać, a jestem pewna, że słyszy Pani to pytanie bez przerwy, więc jeśli jest dla Pani niewygodne, proszę je zignorować. Czy wie Pani, jak planowała Pani zakończyć swój cykl? Nie pytam o konkrety; ciekawi mnie tylko, czy znała Pani zakończenie i tylko nie mogła go napisać, tak jak ja, czy też zakończenie nie istniało.



Daję radę przeżyć resztę dnia w szkole, ściskając w dłoniach złożony we troje list do Olivii Kane.

Przy obiedzie na dziedzińcu Wallace wręcza mi swoją kartkę rozmów nad tacą wyładowaną jedzeniem. Przynajmniej ktoś tu nie traci apetytu z powodu tego wszystkiego.

Co tam masz?

To pierwsze słowa pisane czy mówione, które do mnie skierował od wizyty w moim pokoju. Nawet przyjrząwszy się jego twarzy i językowi ciała nie mam pojęcia, w jakim tonie zadaje to pytanie. Czy jest zdenerwowany? Ciekawy? Chyba się nie martwi, prawda? Nie mam pojęcia, po co w ogóle ze mną teraz siedzi. Pewnie z przyzwyczajenia.

List do Olivii Kane, odpisuję. Na dziedzińcu siedzą dziś także inni uczniowie i nie mam ochoty mówić na głos.

Wallace marszczy czoło. *Mogę przeczytać?*

Przesuwam złożony list w palcach. Nie był przeznaczony dla Wallace'a. Chłopak nie czeka na niego z wyciągniętą ręką ani nic w tym stylu. Nie zawadziłoby w niczym dać mu go do przeczytania. Może wtedy zrozumiałby,

co próbowałam wyjaśnić mu wcześniej. Mógłby mi nawet doradzić, jak go poprawić – w końcu sam jest pisarzem.

Nie, to w zasadzie coś tylko do niej.

Czyta to i nie mówi już nic więcej.

Po powrocie do domu znajduję w gabinecie rodziców kopertę ze znaczkiem i zanoszę list do skrzynki pocztowej¹. Kilka lat temu na forach poświęconych *Dzieciom Hypnosa* pojawił się adres wydawcy Olivii Kane, który z jej upoważnienia odbiera wszelką skierowaną do niej pocztę. Nie wiem, czy nadal to robi ani czy przekazuje ją na jej aktualny adres. Szanse, że autorka przeczyta mój list, są bliskie zeru, a szanse, że mi odpisze, są jeszcze mniejsze. Ale nie obchodzi mnie, czy przepędza ludzi z okolicy strzelbą i czy drze się przy tym jak upiór.

Muszę przynajmniej spróbować.

1. W Stanach Zjednoczonych listonosze odbierają listy od nadawców z tych samych skrzynek, w których zostawiają listy i przesyłki nadesłane (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)



Elizo, może zajmiesz miejsce na kanapie? Usiądź wygodnie.
– Aha.
– Może chciałabyś się czegoś napić?
– Hmm, może wody.

– Woda zatem, proszę bardzo. Cieszę się, że zdecydowałaś się przyjść ze mną porozmawiać.

– Nie planowałam, że tu przyjdę. To znaczy... moi rodzice chcieli, żebym przyszła. Właściwie to nie lubię rozmawiać. Chcę po prostu mieć już to wszystko za sobą.

– Oczywiście. Przeczytałam kwestionariusz, który dla mnie wypełniłaś, i dodałam do tego to, co opowiedzieli mi twoi rodzice... W tym roku szkolnym przydarzył ci się chyba niezły zjazd. Jak na kolejce górskiej w lunaparku.

– No, chyba tak.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Wszystko zmieniło się na gorsze. Nie, nie tak. Jakby na gorsze? Sama nie wiem, „gorsze” brzmi jakoś nie tak. Na bardziej intensywne?

– „Intensywne” może być dobrym określeniem. Jak ci się wydaje, kiedy sprawy zaczęły się pogarszać?

– Zanim się pogorszyły, najpierw się poprawiły. Bo ja wiem. Może w październiku.

– Co się stało w październiku?

– Ee... To wtedy poznałam Wallace’a.

– Wallace to twój chłopak, tak?

– Tak. Albo były chłopak. Sama już nie wiem.

– Dobrze, czyli kiedy poznałaś Wallace’a. W jaki sposób odczułaś wtedy zmianę?

– Zaczęliśmy spędzać razem czas. Wcześniej nie spędzałam czasu z nikim w szkole... ani poza szkołą. Wallace jest fanem *Morza Potwornego* i wtedy po raz pierwszy spotkałam kogoś takiego w realu. Poznałam też jego przyjaciół.

– Dobrze się z nimi rozumiałaś?

– Pewnie.

– A czy Wallace poznał twoich przyjaciół?

– Technicznie rzecz biorąc, tak. I Max, i Emmy bywają na forach *Morza Potwornego*, więc pewnie ich tam widział.

– Nie znasz Maxa i Emmy w sensie realnym?

– Znam ich w sensie realnym. Przecież żadne z nich nie udaje kogoś innego tylko dlatego, że pojawia się w internecie.

– Miałam na myśli twarzą w twarz, tak żebyś mogła wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

– Nie. Jedno z nich mieszka w Kanadzie, a drugie uczy się w Kalifornii.

– Więc przywykłaś do interakcji z innymi ludźmi głównie przez internet.

– Chyba tak. Przed znajomością z Wallace’em wchodziłam w interakcje głównie z moją rodziną. Czy to źle?

– Niekoniecznie. Wiele osób, zwłaszcza nastolatków w twoim wieku, swoich najbliższych przyjaciół i społeczności znajduje przez internet. Przepraszam, że powiedziałam „w sensie realnym” – wcale nie chciałam sugerować, że to nie są cenne relacje.

– Nie szkodzi. Idzie pani lepiej niż moim rodzicom.

– Co mówią twoi rodzice?

– Masę rzeczy. Kiedyś mówili, że nie przeszkadza im to, co robię w internecie, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Za to ucieszyli się, kiedy pojawił się Wallace. Pewnie myśleli, że wyłazę ze swojej skorupy czy coś w tym stylu.

– A wyłaziłaś?

– Może. Bo ja wiem. Zaczęłam spędzać więcej czasu poza domem, ale to i tak nie było to samo, co przebywanie w necie.

– Jak się czułaś w internecie?

– Jak autorka jednego z najpopularniejszych webkomiksów na świecie. Byłam nie do pokonania. O wiele łatwiej jest radzić sobie z ludźmi, kiedy ma się poczucie, że nie mogą nas dotknąć.

– Przeżywanie tego rodzaju wahań poczucia wpływu na rzeczywistość jest czymś normalnym. Czy w obecności Wallace’a czułaś się w ten sposób przez cały czas?

– Nie. Czasem, ale nie bez przerwy. Udawałam, że też jestem fanką. Wallace jest najpopularniejszym autorem fan fiction do *Morza Potwornego*.

– Może porozmawiamy trochę dłużej o *Morzu Potwornym*?

– Na przykład o czym?

– Może opowiesz mi, o czym jest ten komiks?

– Nie czytała go pani? Uch... przepraszam, zabrzmiało to okropnie. Chodzi mi o to, że cała ta sprawa dotyczy *Morza Potwornego*, więc myślałam, że może pani weszła do internetu i popatrzyła... przepraszam, nie

jestem pretensjonalna, słowo daję.

– Nic nie szkodzi. Faktycznie sprawdziłam, co to jest, ale chciałam usłyszeć, jak ty to opisujesz.

– To... trudno wyjaśnić. Są tam chłopak i dziewczyna i... czytała pani *Fausta*? Albo widziała? Zna pani legendę o Fauście, tak?

– Owszem, wiem, kto to Faust.

– No dobrze, więc chłopak i dziewczyna, z grubsza rzecz biorąc, oddali swoje dusze w zamian za wielką moc. Tak jakby. To pokręcone. Mieszkają na olbrzymiej, odległej planecie zwanej Orkus, która składa się w większości z oceanu. Ten chłopak i ta dziewczyna jako jedyni są zdolni nawzajem się zabić, a są wystawieni do walki po przeciwnych stronach w pewnej wojnie... nie za dobrze mi idzie to wyjaśnianie.

– Idzie ci świetnie.

– Więc dziewczyna odkrywa, że została wprowadzona w błąd przez swoją stronę wojny, a chłopak próbuje namówić ją do przejścia na jego stronę, ale okazuje się, że poniekąd jest tym potworem, za którego wszyscy go zawsze biorą, tylko w nieco innym sensie...

– Od jak dawna pracujesz nad tym wszystkim?

– Od bardzo dawna.

– Często o tym komiksie myślisz?

– Codziennie. Czasami nie myślę o niczym innym. Ale od jakiegoś czasu nie jestem w stanie nad nim pracować... od kilku tygodni.

– Odkąd wyszło na jaw, że to ty jesteś jego autorką.

– Tak.

– Dlaczego?

– Straciłam całą motywację. Kiedyś to była część mnie, coś, co robiłam bez przerwy. Sama nawet nie wiem, czy mi tego brak, czy nie.

– Pracujesz może nad czymś innym?

– Nie. Próbowałam, ale wtedy miałam poczucie winy, że nie pracuję nad *Morzem Potwornym*.

– Skąd to poczucie winy?

– Częściowo chyba przez fanów. Czytają ten komiks od tak dawna i jest już tak blisko zakończenia, że czuję się, jakbym sprawiała im zawód. Faktycznie sprawiam im zawód. Ale częściowo powodem jest także sama historia... zresztą nieważne. To bez sensu.

– Nic nie jest bez sensu, Elizo. Więc co z tą historią?

– Mam poczucie, że sprawiam zawód samej historii. Jakbym do niej nie dorosła dlatego, że nie mogę jej dokończyć.

– Czy często się tym przejmujesz?

– Przyśniło mi się kilka związanych z tym koszmarów.

– Koszmarów?

– Takich... typu „pożarcie przez morskie potwory”. To też normalne, tak?

– To normalne, że miewa się koszmary, kiedy jest się pod wpływem stresu, tak. Poznałam już artystów, którzy doświadczali podobnych uczuć – wrażenia niedorośnięcia do własnego dzieła, poczucia winy z powodu nieukończonego utworu, niepokoju w związku z tym, czego chcą od nich fani i jak mają im to zapewnić. To normalne, co nie znaczy, że to zawsze zdrowe. Elizo, twoja wartość jako osoby nie zależy od sztuki, którą tworzysz, ani od tego, co myślą o niej inni.

– W takim razie... od czego? Co istnieje poza tym, co tworzymy i co po sobie zostawiamy?

– Czy uważasz, że najwięcej wariacji są wyłącznie ci, którzy fantastycznie wykonują swoją pracę?

– No...

– Pozwól, że spytam inaczej: twoi bracia to sportowcy, prawda?

– Tak.

- Czy jeśli przegrają mecz, także ryzykują utratę kibiców?
- Chyba tak.
- Czy przez to ich życie jest warte mniej niż życie dwóch chłopców, którzy zawsze wygrywają?
- Oczywiście, że nie. To byłby jakiś absurd. To tylko gra.
- Oni mogliby powiedzieć to samo o *Morzu Potwornym*. To tylko komiks.
- To jednak co innego.
- Zdziwiłabyś się, jak niewielka jest w rzeczywistości różnica między sztuką i sportem – niektórzy artyści podchodzą do swojej sztuki jak do sportu, a niektórzy sportowcy traktują swoją dyscyplinę jak sztukę. Chodzi mi o to, że przypisujemy wartość tym rzeczom, na którym najbardziej nam zależy, ale czasami nie przystajemy na tyle długo, by spojrzeć na coś bardziej całościowo. Jesteś w stanie stwierdzić, kim są twoi bracia w oderwaniu od tego, co robią i co osiągają, ale podejście w ten sposób do samej siebie sprawia ci kłopot.
- Ja... no, może...
- Naszej wartości jako osoby nie wyznaczają żadne namacalne dowody. Nie ma na to testów, nie ma skali wartości. Każdy człowiek ma własne pojęcie o tym, czym ona jest. Ale mogę cię zapewnić, że *Morze Potworne* nie jest miarą twojej wartości w życiu, Elizo. To, czy je dokończysz, czy nie, nie decyduje o tym, czy powinnaś żyć, czy umrzeć.
- Ale... Wallace. Wallace'owi zaproponowali umowę na wydanie książki, jego transkrypcji mojej historii, i to by kompletnie odmieniło jego życie, ale wydawca nie chce jej, dopóki komiks nie zostanie skończony. Jeśli go nie dokończę, to Wallace wszystko straci.
- Czy to jest kwestia życia i śmierci?
- Nie.
- Czy on jest w jakimś niebezpieczeństwie, z którego tylko to go uratuje?

– No... nie. Ale to by mu wszystko bardzo ułatwiło...

– Faktycznie brzmi to jak trudna sytuacja.

– I co ja mam zrobić? Dlatego tu jestem, dlatego próbuję uporać się z tym wszystkim i móc znowu rysować. Gdyby nie chodziło o niego, już nigdy nawet nie pomyślałabym o komiksie. Chcę go dokończyć dla Wallace'a, ale nie mogę. Jeśli on nie podpisze umowy na tę książkę, to będzie moja wina.

– Nie wydaje mi się, żeby najważniejszą rzeczą było dla ciebie dokończenie komiksu. Ważne jest, żebyś zdała sobie sprawę, że nie możesz być odpowiedzialna za życie Wallace'a ani za życie swoich fanów. Samopoczucie twojego fandomu nie powinno dyktować ci poczucia własnej wartości.

– Ale to moja wina. Powinam być w stanie dokończyć pracę, nawet jeśli mi się nie chce.

– Rozumiem, że to może nie jest dla ciebie priorytetowe rozwiązanie, a z pewnością nie najsympatyczniejsze, ale co jest ważniejsze: żebyś pracowała mimo blokady twórczej czy może poświęciła nieco czasu na odpoczynek?

– A to nie pani powinna mi powiedzieć?

– Wydaje mi się, że w tym przypadku istotniejsze jest, żebyś zdecydowała o tym sama. Ta kwestia – twojego lęku – może nie być z gatunku tych, które dadzą się szybko rozwiązać. Mogę przepisać ci leki, ale najważniejsze jest, żebyś się nauczyła, jak rozpoznawać sytuacje, kiedy masz wrażenie, że coś cię przerasta, a także jak odróżniać, kiedy możesz przeć naprzód, a kiedy powinnaś odpuścić.

– Aha.

– Zastanówmy się wspólnie nad czymś innym. Wyobrażałaś sobie kiedykolwiek, co zrobisz, kiedy już skończysz *Morze Potworne*?

– Ja... chyba miałam wrażenie, że po prostu padnę na ziemię. Wie pani,

jak marionetka z odciętymi sznurkami.

– Nie miałaś żadnych innych pomysłów, które chciałabyś przetestować?

– Nie.

– Życie nie kończy się z końcem opowieści. Być może nie dokończysz tego komiksu. A może dokończysz. Być może nie narysujesz już po nim nic innego. A może narysujesz. Fanom i tak będzie się on podobać. Hejterzy znajdą sobie coś innego do hejtowania. Czas się nie zatrzyma – i ty też nie.

– Ale... jak długo to potrwa? Męczą mnie, że tak się czuję.

– Trudno powiedzieć.

– Jesienią muszę pójść na studia. Nie mogę... nie chcę męczyć się z tym i dodatkowo jeszcze z pobytem w nowym miejscu.

– Nie myślałaś o zrobieniu sobie przerwy? Na rok? Nie musisz od razu rzucać się na głęboką wodę college'u.

– Tylko co miałabym ze sobą począć? Nie mogę przez cały czas siedzieć w moim pokoju, prawda? Nawet jeśli tylko na to mam ochotę.

– Jeśli będziesz dalej do mnie przychodzić, możemy o tym porozmawiać, ale byłby to świetny moment na zrobienie życiowego bilansu. Na ponowne skupienie się na sobie. Da ci to też mnóstwo oddechu do pracy nad swoim lękiem.

– To... brzmi miło.

– Chcesz może jeszcze wody? Lód ci się roztopił – chyba jest już ciepła.

– O... Tak, poproszę.



Nie mogłam się doczekać zakończenia szkoły.

W ciągu ostatnich kilku tygodni opuściłam się w nauce, ale było już tak blisko końca semestru, że nie miało to znaczenia. Niemożliwe było, żeby któryś z college'ów anulował z tego powodu zaproszenie mnie na studia. Wybrałam mały lokalny uniwersytet i niemal od razu napisałam list do kierownika działu naboru, tłumacząc, dlaczego proszę o odroczenie przyjęcia mnie o rok.

Jeszcze zeszłej jesieni mamie i tacie nie podobałby się pomysł, żebym zrobiła sobie rok przerwy przed studiami. Po tym wszystkim jednak zgodzili się, że tak może będzie najlepiej. Myślę, że częściowo zareagowali tak z powodu zaimprovizowanej interwencji Sully'ego i Churcha w moim imieniu. Tata zaczął od razu przechwytywać wszystkie telefony i przesyłki pocztowe kierowane pod moim adresem. Mama zaplanowała całą listę obowiązków, które pozwalałyby mi na częstsze wychodzenie z domu – na szczęście większość z nich wiąże się z oprowadzaniem Davy'ego po okolicy – i przyczepiła na lodówce małą tabliczkę z rzędem emotikonów, żebym codziennie mogła zaznaczać, jak się czuję. Kiedyś nazwałabym to głupotą,

ale w niektóre dni tak jest faktycznie łatwiej niż o tym mówić.

– Co to znaczy, że w przyszłym roku nie będziesz musiała chodzić do szkoły? – drze się Sully przy obiedzie, kiedy mama z tatą ogłaszają cały plan.

– A my musimy normalnie iść do szkoły! To nie fair!

Church w milczeniu pakuje sobie groszek do ust.

– Sully! – syczy mama.

Moim braciom nie wolno się skarżyć – nawet w żartach – na nic, co zdarza się z powodu moich „załamek”, jak określa je Sully, ale podoba mi się, że brat tak się irytuje. Dzięki temu wszystko to sprawia wrażenie głupkowatego problemu z jakiejś komedii. Wszystko rozwiąże się ładnie po półtoragodzinnej porcji zabawy dla całej rodziny.

Sully osuwa się na krzesło z kwaśną miną.

Coś brzęczy. Church wyciąga z kieszeni swoją komórkę.

– O, hej, popatrz. – Podaje mi komórkę przez stół. Na ekranie jest esemes od Lucy Warland.

– Dlaczego masz numer Lucy Warland? – pytam.

– Bo jest fajna – mówi Church. – A także dlatego, że Sully nie chciał sam jej poprosić.

Sully pąsowieje na twarzy.

– Obiecała mi przysłać fotki z rozdania dyplomów ukończenia szkoły – ciągnie Church.

Ach, ukończenie szkoły. To, co udało mi się osiągnąć, a czego potem nie zgodziłam się świętować. Już sama świadomość, że moja noga nigdy więcej nie postanie w tym liceum, pozwala mi swobodniej oddychać. Wyświetlam fotkę na całym ekranie i widzę aulę pełną moich kolegów i koleżanek z rocznika usadzonych schludnymi rzędami w jedwabistych togach absolwentów. Po jednej stronie sceny, na którą wszyscy wchodzą odebrać dyplomy od dyrektora, uformowała się kolejka.

Lucy zrobiła zdjęcie, akurat kiedy Wallace wchodził na scenę. Widzę to, jakby zamiast zdjęcia przysłała wideo: Wallace w swoim własnym, nieśpiesznym tempie wkracza na stopnie i rusza przez całe podwyższenie. Wyraz twarzy ma, jak zawsze, stoicki, bo w sali jest o wiele za dużo osób, a im bardziej przeciążony czuje się Wallace, tym mniej wyrazistą ma minę. Jest większy od dyrektora. W jego dłoni ręka tamtego wygląda miniaturowo. Odbiera swój dyplom i, człapiąc ociężale, schodzi ze sceny, podczas gdy większość zgromadzonych myśli, że to jakiś debil, głupi zapaleniec sportu albo zupełnie nikt.

Ale ja wiem, kto to jest. I wiem, co potrafi.

– Oddasz mi kiedyś ten telefon?

Podaję komórkę Churchowi. Sully gromi mnie wzrokiem.

– Co z tobą znowu? – pyta. – Wyglądasz, jakbyś połknęła żabę.

– Mogę odejść od stołu?

Mama mruga gwałtownie.

– Pewnie. Po co?

– Muszę skoczyć na górę. Żeby się przebrać. Miałam po uroczystości spotkać się z Wallace'em u niego w domu.

Mama i tata wymieniają między sobą spojrzenia.

– Nic nie wiedzieliśmy – mówi tata.

– Przepraszam, zapomniałam wam powiedzieć.

Biegnę na górę i przepatruję komodę w poszukiwaniu czegoś ładnego do założenia. Czegoś naprawdę ładnego, jak jedno z tych ubrań, które mama z tatą kupili mi na gwiazdkę. Poprawiam włosy. Próbuję się umalować, nie wychodzi mi, próbuję jeszcze raz. „Warland” wypada pod sam koniec listy alfabetycznie wywoływanych nazwisk, więc do tej pory jest już pewnie po uroczystości.

Mama i tata pozwalają mi wyjść bez specjalnych ceregieli. Są chyba

w szoku na widok tego, jak ładnie wyglądam i że w dodatku mam zrobiony makijaż.

Kiedy dojeżdżam do domu Keelerów, jest w nim pusto. Parkuję przy krawężniku i podchodzę do ganku, by na nim usiąść. Późnomajowy wieczór jest ciepły, choć słońce w oddali schowało się już do połowy za linią horyzontu. Za długo mnie tu nie było. Wallace i ja na dobrą sprawę nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu listu do Olivii Kane, choć nadal jadaliśmy razem obiady. Z odchodzeniem od rutyny jest za dużo zachodu. Nie wiem, czy oferta wydawcy wobec Wallace'a jest jeszcze aktualna i nie wiem, czy chłopak spodziewa się, że któregoś dnia stanę – tak jak w tej chwili – na progu jego domu z gotowymi planszami w ręce.

Wiem za to, że nie dlatego tu teraz jestem. Jestem tu, bo muszę sprawić, żeby zrozumiał to jątrzące się wciąż we mnie poczucie winy.

Czekam piętnaście minut, aż w końcu w uliczkę i na podjazd wjeżdża jakiś samochód.

Wysiadają z niego Keelerowie. Najpierw Tim, Bren i Lucy. Potem Vee. Wallace gramoli się z tylnego siedzenia na końcu, co znaczy, że musiał jechać wciśnięty między siostry. Jak we trójkę udało im się tam zmieścić, w życiu nie pojmem.

– O, Eliza! Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj, złotko! – Vee podskakuje i zagarnia mnie w serdecznym uścisku.

Następna podbiega Lucy, jakby życzliwość miała w genach. Zamiast miliona małych warkoczyków ma teraz gładkie i proste włosy.

– Widziałaś fotki, które wysłałam Churchowi? Nie zrobiłam ich za dużo, ale powiedział, że chce jakieś, więc...

– Aha, dostałam je.

Potem pojawiają się Bren i Tim, ale żadne z nich nie przepada za uściskami, a mnie to pasuje. Bren kładzie mi rękę na ramieniu. Dziś jej włosy

przytrzymuje gruba pomarańczowa opaska.

– Jak się miewasz?

– Całkiem nieźle.

Uśmiecha się.

– Żałowaliśmy, że nie ma cię na rozdaniu dyplomów – mówi Tim, również z uśmiechem. Wcześniej nie byłam do końca pewna, jaką ma o mnie opinię, ale teraz, kiedy wie, że jestem autorką *Morza Potwornego*, jest ona chyba lepsza. Niewątpliwie. – Zostaniesz na dłużej?

– Och... jeszcze nie wiem. Chciałam zamienić słowo z Wallace'em.

Tim ogląda się przez ramię na samochód, przy którym Wallace nadal stoi.

– Dobrze, wobec tego zostawiamy was samych, droga młodzieży.

Zapędza resztę rodziny do domu i po chwili zostajemy tylko ja, Wallace i milcząca ulica.

– Hej – zagajam.

– Hej – odpowiada. Mówi tak cicho, że jego głos z trudem pokonuje dzielącą nas odległość. Biret i tokę trzyma wetknięte pod pachę; pod nimi miał garnitur bez kamizelki.

– Dobrze ci w krawacie – mówię.

– Mam uczucie, że ktoś mnie dusi – odpowiada. – Umalowałaś się?

– Troszeczkę. Wyglądam beznadziejnie?

– Nie.

Odgarniam sobie kosmyk włosów za ucho. Zmuszam się do wyrównania oddechu i razem z nim zwalnia mi gonitwa myśli. *Moje ciało nie jest obrzydliwą rzeczą, którą muszę ze sobą wszędzie nosić. Nikt mnie nie wyciska z cieniutkiej tubki. Jestem tutaj. Dam radę.*

Powtarzam sobie te rzeczy po cichu raz za razem, ale sama nie wiem, czy w nie wierzę. Jeszcze nie.

– Lucy przysłała nam twoje zdjęcie. I to mnie... to mnie naprawdę

ucieszyło.

– Aha.

Podchodzę do niego o krok.

– Nie dokończyłam komiksu. Powiedziałabym ci, gdyby mi się udało. Ja... naprawdę się starałam.

Wallace ani drgnie.

– Tak bardzo chciałabym go dokończyć. Nie cierpię tego, że nie mogę. Nie cierpię tego, że to właśnie ja cię blokuję. I miałeś rację. Że mam wszystko, czego mi w życiu trzeba. Nie wydaje mi się, żeby moje życie było idealne, ale jest całkiem niezłe w porównaniu z innymi i wiem, że nie powinnam narzekać na nie tak bardzo, jak mi się zdarza.

Nie odzywa się.

– Przepraszam – dodaję. – Że okłamywałam cię i że nie jestem w stanie dokończyć tej historii.

Nadal zero reakcji.

W końcu wyrywa mi się:

– Brak mi ciebie.

– Brak ci mnie – powtarza. Wyraz twarzy ma nieodgadniony.

– Wiem, że między nami jest teraz dziwnie z wielu powodów. I nie będę mieć ci za złe, jeśli... jeśli mnie znienawidzisz. – Nogi zaczynają mi się trząść, więc ściskam kolana razem. – Ale chciałam, żebyś wiedział, że brak mi ciebie i że nie chcę, by między nami tak było. Jeśli chcesz, żebyśmy byli tylko znajomymi... albo jeśli nawet tego nie chcesz... to w porządku, ale kiedy minie to lato, nic już nie będzie takie samo.

Po nieznośnie długiej chwili milczenia odpowiada mi:

– Nie wiem, czy rozumiesz, jak bardzo jestem zły.

Ściska mnie w żołądku.

– Co?

– Okłamywałaś mnie tak długo, nawet po moim mejlu, a potem... ta sprawa z pisaniem. – Wzrusza tymi swoimi ogromnymi ramionami. – Sam nie wiem, jak mam zapłacić za uczelnię. Muszę chyba załatwić sobie sporo roboty. Będę pracował przez większość lata, więc raczej nie dam rady się z tobą widywać.

– Aha.

– Po prostu. No wiesz.

– Tak. – Skupiam się na przednim zderzaku samochodu.

Mija mnie, żeby wejść do domu. Żadnego „do widzenia”. Żadnego „na razie”. Znika w środku, a ja zostaję sama, tak jak stałam. Mam wrażenie, że nogi grzęzną mi w ziemi. Przejście po podjeździe jest jak wędrówka przez bagno i kiedy docieram na jego koniec, nie mogę się już ruszyć ani o krok dalej. Kucam z dłońmi założonymi na karku, wciskając łokcie między kolana. Oddech wyrywa mi się z piersi ostrymi, zdławionymi sapnięciami.

Wallace nie chce mi wybaczyć. Nieważne, co będę sobie powtarzać. Nieważne, ile razy będę go przeproszać albo się usprawiedliwiać. W najgorszych koszmarach nie wyobrażałam sobie, że nie będzie chciał nawet tego, żebyśmy pozostali znajomymi. Ale w moich najgorszych koszmarach najstraszniejszą rzeczą, która się wydarzała, było to, że odkrywa, kim jestem.

Wallace nie chce mi wybaczyć.

Jak mógłbyś chcieć ktokolwiek inny?

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

22:05 (Do konwersacji dołącza MirkerLurker)

MirkerLurker: Jesteście tu może?

22:08

MirkerLurker: Ja tylko

MirkerLurker: mam trochę kłopotów

MirkerLurker: ze wszystkim

22:10

MirkerLurker: Okej

22:21

MirkerLurker: Muszę lecieć.



Siedzę w swoim samochodzie na końcu mostu i wpatruję się w zakręt Wellhouse. W głowie pulsują mi słowa Wallace'a. Wywołują na pierwszy plan wszystkie posty z forum, wszystkie e-maile, wszystkie wiadomości od ludzi, którzy chcą wiedzieć, kim jestem, czym jestem i kiedy zamierzam dokończyć *Morze Potworne*. Siedzę tu na środku pustej drogi sama, ale czuję się zupełnie inaczej.

Podniszczone przez pogodę wstęgi przywiązane do krzyża u szczytu zakrętu Wellhouse zwisają nieruchomo. Niebo jest czarne jak aksamit obsyty punkcikami gwiazd.

Z oddali dobiega mnie pisk opon. Zamieram, czując ogień w żyłach i strach owijający mi się węzowymi splotami wokół serca. Każdy, kto zobaczy samochód, który zatrzymał się przed zakrętem Wellhouse, będzie wiedział, co tutaj robię.

Mija minuta. Noc znów ogarnia cisza.

Moje ciało uspokaja się, a strach topnieje; pozostaje tylko ów silny ucisk w żołądku, który nigdy nie zniknął na dobre od momentu, kiedy moje nazwisko wyszło na jaw. Nieprawda, że nic mi nie jest. Wiem, że coś mi jest

i że są sposoby na to, żeby znowu nic mi nie było, ale nie mogę czekać aż tak długo. Nie będzie warto wrócić do stanu, w którym nic mi nie jest, bo ludzie nadal będą mnie nienawidzić. Zawsze będę rozczarowaniem, cudaczką, łotrzyką najgorszego sortu z miejskich kanałów.

Poza tym wszystko i tak będzie działać lepiej beze mnie; nie będę psuć moim bliskim momentów umacniania więzi rodzinnych ani zawracać głowy Maxowi czy Emmy moimi problemami, ani przypominać Wallace'owi o wszystkim, czego przeze mnie nie osiągnął.

Jestem taka zmęczona. Męczy mnie lęk ściskający mój żołądek tak mocno, że nie mogę ruszyć całą resztą ciała. Męczy mnie stała czujność. Męczy mnie, że chcę coś ze sobą zrobić, ale zawsze wybieram pójście na łatwiznę.

Myślałam, że to też będzie łatwizna. Wpatruję się w zakręt Wellhouse, ale zakręt Wellhouse ignoruje mnie, tak jak ignoruje każdego. Kiedy przejeżdżałam obok niego godzinę temu, wydał mi się taki praktyczny. Może nawet wydał mi się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Tyle razy patrzyłam na niego i myślałam sobie, że może fajnie byłoby pofrunąć. I oto się pojawił, akurat kiedy go potrzebowałam. Godzinę temu, kiedy się zatrzymałam, uznałam, że to będzie łatwa decyzja: wcisnąć stopą pedał gazu, utrzymując kierownicę na wprost. Ale wystarczyło o tym pomyśleć – o prędkości, pedzie, opadaniu – nie, to wcale nie jest łatwe. Ktokolwiek myśli, że to pójście na łatwiznę, nie musiał się z tym zmierzyć.

Wszystko będzie dobrze, przekonuję samą siebie, ale wrywa mi się histeryczny śmiech.

Myślę o tym, żeby się zabić. To oczywiste, że nic nie będzie dobrze.

Ukrywam głowę w ramionach. Już nic nie wiem. Nic nie wiem, nic nie wiem, Boże, jaka jestem zmęczona. Tęsknię za Davym i moim przytulnym, cichym pokoikiem, gdzie nikomu nie dzieje się nic złego, i za wiecznym szumem mojego komputera. Chciałabym tam być.

Więc może powinnam odjechać. Ta myśl przytępia ostrze mojej paniki. *Mogłabym wrócić do domu.* Tylko na dzisiejszą noc. Siedząc tu, jestem i tak bardziej zestresowana, niż byłabym w domu, a przecież nie muszę się z tym śpieszyć. Na razie mogę pójść spać, a to oznacza przynajmniej kilka godzin, przez które nie będę musiała o niczym myśleć.

Tak. Tak właśnie zrobię.

Wyciągam nogi i szukam ręką dźwigni zmiany biegów. Ani na chwilę nie spuszczam z oczu zakrętu Wellhouse, jakby był śpiącym smokiem, który może się zbudzić i mnie zaatakować. *Nie dziś,* mówię w myślach do niego i jego pamiątkowych ozdób. *Dzisiaj nie możesz mnie mieć.*

Od tych słów po ramionach wędruje mi radosny dreszcz. Dzisiaj nie.

Chrzęst opon na asfalcie. Przede mną zza zakrętu wyłaniają się światła reflektorów. Oślepiają mnie, kiedy gorączkowo sięgam do zapięcia pasów i do kluczyków.

Ten drugi samochód zatrzymuje się na samym środku zakrętu, w pobliżu wszystkich pamiątek. Otwierają się drzwi od strony kierowcy i jakaś zwalista, ciemna sylwetka wyskakuje zza nich tak szybko, że potyka się i ześlizguje na drogę, podpierając się ręką. Przebiega sprintem w świetle moich reflektorów – to Wallace, nigdy w życiu nie widziałam, żeby poruszał się szybciej – po czym z poślizgiem wyhamowuje obok, niemal odrywając mi przy tym boczne lustro.

Zagląda do środka. Krzyżuje ze mną wzrok. Wali ręką w szybę.

– WYSIADAJ Z WOZU!

Nie czeka, aż coś zrobię. Jednym szarpnięciem otwiera drzwi, odpycha moje nie do końca zapięte pasy i wyciąga mnie z siedzenia, jakbym ważyła nie więcej niż worek liści. Stawia mnie na nogi tuż obok auta i natychmiast wypuszcza z rąk.

– Powinnaś już być w domu. Nie odbierałaś komórki. – Głos mu chrypi

przy każdym ciężkim oddechu. Szeroko otwarte oczy, czerwona twarz. – Dlaczego nie odbierałaś komórki?

– Wyłączyłam ją. Już jadę do siebie. – Nie muszę mówić mu całej prawdy. On i tak ją zna. Widzę to w jego oczach, kiedy napełniają się łzami.

Chwilę później miażdży mnie w uścisku; zapomniał o swojej sile. Wyginam się w tył, dopasowując do krzywizny jego torsu, i choć wyciska ze mnie oddech, mrówki przebiegają mi po całym ciele, od czubka głowy aż po pięty, w reakcji na to, jak miło jest być przytuloną.

Nie ruszam się. Nie mogę. Jeszcze nie.

– Byłeś zły. – Słowa wydobywają się ze mnie nie głośniej od szeptu.

– Jezu, Elizo, skąd. – Nie odsuwa się, żeby to powiedzieć, tylko jeszcze mocniej zaciska ramiona. Głos łamie mu się i rwie jak seria z karabinu. Całe jego ciało drży. – Skąd, tamto wszystko nic mnie nie obchodzi. Przyjechałaś tu przeze mnie? Byłem takim palantem. Powinienem był widzieć... widziałem, co się dzieje, ale ja nawet... nawet nie próbowałem ci pomóc, byłem taki głupi, skupiony tylko na tym, czego chciałem... – Pociąga mocno nosem, głos ma coraz wyższy. – Proszę cię, nie. Proszę cię. Nie chcę już nikogo stracić na tym głupim zakręcie.

Dopiero wtedy rozumiem, co planowałam zrobić i jaką krzywdę by to wyrządziło Wallace'owi, i też zaczynam płakać.

Jak okropnie by się stało, gdybym faktycznie zrobiła to, o czym pomyślałam. Jak okropnie, że znalazł mnie tutaj, przyłapał na myśleniu o tym.

– Przepraszam cię. – Słowa wyrywają mi się, przerywane czkawką. – Ja nie... ja nie chciałam... nie pomyślałam. Nie myślałam. Nie powinnam była... nie tutaj.

– Nie, nie. – Kładzie mi dłoń na karku. Jego twarde palce uspokajają mnie, powstrzymują przed odsunięciem się od niego. – Cieszę się tylko, że żyjesz.

To wszystko. Nie jesteś nikim złym. Nie myśl tak, proszę cię.

– Ale cię okłamywałam. I twoja transkrypcja jest ważna. – Moje dłonie pełzną po jego bokach, po plecach, aż do ramion. – Pisanie i studia, i robienie tego, co kochasz. To ważne.

Ściska mnie jeszcze raz, mocno. Opadamy na samochód i osuwamy się po nim na ziemię.

– Nie tak ważne jak twoje życie. – Znowu pociąga nosem, głośno, a potem siada, wypuszczając mnie z objęć. Odruchowo pochylam się w jego stronę, ale wysiłkiem woli powstrzymuję się i także siadam. Wallace ociera sobie twarz kołnierzykiem koszuli. – Cholera, tak się trzęsę, że zaraz wydłubię sobie oczy.

Śmieję się, tylko trochę, bo chociaż nadal czuję się paskudnie jako człowiek i jeszcze paskudniej jako przyjaciółka, ja też się trzęsę. To niekończące się drzenie z nerwów zbyt długo utrzymywanych w napięciu, które promieniuje mi od podstawy czaszki przez całe ciało.

– Naprawdę jechałaś już do domu? – pyta.

– Aha.

– Proszę cię, nie wracaj tu więcej.

Kiwam głową. Już nie chcę. Nie wrócę.

Wallace łapie mnie za dłoń i oburącz przyciska ją sobie do brzucha. Zamyka oczy. Ręce ma starte od upadku na drogę.

– Tak się bałem.

– Wiem. Przepraszam cię.

– Ja też cię przepraszam.

Wygląda jak Hulk, kiedy siedzi tak z opuszczoną głową, trzymając w rękach moją, dużo mniejszą dłoń. Grube dłonie, grube przeguby, grube ramiona. Całe jego ciało dygocze w poczuciu winy, tak samo jak moje. Nie ma już między nami racji i przewinień. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Wallace.

Podnosi wzrok.

– Chcę być szczęśliwa – mówię.

– Ja też – odpowiada.

Siedzimy w milczeniu przez kilka długich minut, aż oboje przestajemy dygotać. Wstaję i pociągam go w górę, ale przy jego masie sprawia to bardziej wrażenie, że odchyłam się od niego w przestrzeń; w końcu sam się podnosi. Przytula mnie znowu, tym razem delikatniej.

Patrzy, jak wsiadam w samochód i ruszam w kierunku domu.

* * *

Budzę się, bo Sully rzucił mi na twarz jakąś kopertę.

Przez okna mojej sypialni wpadają promienie słońca. Na moich stopach leży Davy. Sully zostawia za sobą otwarte drzwi, przez które dobiegają mnie głosy mamy, taty i Churcha krzątających się na dole. Na kopercie jest moje nazwisko i adres, a zamiast nadawcy – tylko skrytka pocztowa bez nazwiska. Wszystko wypisane zamaszystym, solidnym pismem ręcznym. Podważam skrzydełko i po otwarciu koperty wyciągam liścik napisany na grubym pergaminie.

Wiem, czyj podpis zobaczę u dołu, zanim jeszcze rzucę na niego okiem, ale cała ta sprawa nie robi się przez to wcale mniej niewiarygodna.

Droga Elizo,

bardzo dziękuję Ci za list. Sama rzadko pisuję listy i minął już jakiś czas, odkąd korespondowałam z kimś żyjącym w promieniu większym niż osiem kilometrów ode mnie, więc daruj mi, jeśli którykolwiek fragment zabrzmiał jakoś dziwnie.

Zacznijmy od tego, że nie jesteś żalosna. Nie znam Cię, a jednak mam pewność, że choćby nie wiem jak wysilać wyobraźnię, nie jesteś żalosna. Ludzie w większości nie są żałośni, tylko tak im się wydaje. Przewrócenie się na stolik w szkolnej stołówce i utrata przytomności nie oznaczają, że jesteś żalosna. (Chociaż jestem pewna, że nie służą zdrowiu).

Wystawienie na widok publiczny jest niewątpliwie wystarczająco trudne, nawet kiedy nie przeżywa się równocześnie pobytu w szkole średniej. I to w dodatku w wieku nastu lat. Ja też byłam kiedyś nastolatką w liceum i nie są to dla mnie przyjemne wspomnienia. Moja siostra uwielbiała szkołę średnią. Ja, w przeciwieństwie do niej, nie miałam drygu do, często równoczesnego, żonglowania nauką, pracami domowymi, zajęciami nadobowiązkowymi i udzielaniem się w szkolnych kręgach towarzyskich. Nigdy jednak nie zazdrościłam jej tego talentu, ponieważ miałam możliwość ucieczki we własne pisarstwo.

Mam wrażenie, że w Twoim przypadku mogło być inaczej. Moja popularność nadeszła dopiero na późniejszym etapie, kiedy wiodłam już stabilne życie, a o szkole nie myślałam od wielu lat. Twoja towarzyszyła Ci bez przerwy; wnosząc z tego, co zrozumiałam z kilku przekazanych mi artykułów, Ty nad swoją opowieścią pracowałeś przez większość czasu spędzonego w liceum. Nie umiem sobie wyobrazić, jak to było utrzymywać wszystko w tajemnicy, zarazem dzieląc się tym fragmentem duszy z tyloma odbiorcami.

Tworzenie jest działaniem w samotności, dlatego my, introwertycy, tak się nim upajamy, ale kiedy zaczynają wisieć nad nami zaglądający nam przez ramię fani, staje się ona samotnością innego rodzaju. Stajemy się zwierzętami w klatce, obserwowanymi przez publikę, od których oczekuje się występu, aby gawiedź nie zaczęła się nudzić albo złościć. Nie zawsze jest źle. Czasami idzie nam dobrze, a wtedy klatka zaczyna przypominać piedestał.

Mam nadzieję, że nie wystraszyłam Cię tą zoologiczną metaforą. Nie sądziłam, że zabrzmiał aż tak gorzko. To po części dlatego nigdy nie dokończyłam „Dzieci Hypnosa” – w owym czasie miałam poczucie, że moje pisarstwo przechodzi pewną zmianę, i obawiałam się, że piąty i ostatni tom cyklu nie będzie przypominać tych wcześniejszych. Bałam się, że moi fani to zauważą i że ogromnie im się ten fakt nie spodoba. Bałam się, że już nigdy nie kupią żadnej mojej książki. To właśnie w ostatecznym rozrachunku powstrzymało mnie przed kontynuowaniem: strach. Strach pozbawił mnie motywacji i miłości do tej historii.

Wydaje mi się, że pytanie, jakie powinnaś sobie zadać, jeśli naprawdę chcesz dokończyć to, co zaczęłaś, brzmi: dlaczego przerwałaś? Z powodu strachu? Czystej apatii? Czy może z jakiegoś innego? Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie za Ciebie, mogę Cię jednak zapewnić, że jeśli chodzi o coś, co tkwi w Tobie, jeśli nikt w świecie fizycznym nie

trzyma Ci noża na gardle i nie grozi Ci śmiercią za kontynuowanie pracy, to możesz to przewartościować. Cokolwiek to jest, minie. Mój lęk przed reakcją na piąty tom „Dzieci Hypnosa” minął mi już kilka lat temu, a co kilka tygodni moje zainteresowanie budzi się na nowo. Płomyk w moim sercu zapala się i migocze przez kilka godzin, czekając na więcej opału. Jeśli podsycać ten płomyk, zainteresowanie rośnie. Jeśli przestaję go podsycać, zainteresowanie gaśnie.

Jeśli chcesz odzyskać motywację, musisz ją podsycać. Podsycaj ją wszystkim. Książkami, telewizją, filmami, obrazami, teatrem, doświadczeniami życiowymi. Czasami podsycać oznacza po prostu pracę, pracę przewyższającą brak motywacji, pracę nawet wtedy, kiedy jej nienawidzisz.

Tworzymy sztukę z wielu powodów – dla bogactwa, sławy, miłości, podziwu – ale odkryłam, że tym, co daje najlepsze rezultaty, jest pragnienie. Jeśli pragniesz tego, co tworzysz, Twoje dzieło rozbłyśnie pięknem, nawet jeśli nie będzie idealne we wszystkich szczegółach. Pragnienie jest paliwem twórców, a gdy je mamy, w ślad za nim pojawia się i motywacja.

Straciłam pragnienie tworzenia „Dzieci Hypnosa”. Nadal mogłabym to robić; mogłabym napisać ostatni tom. Ale nie byłoby to równie dobre jak kiedyś, moi fani nie byłiby zadowoleni, a ja poczułabym, że doprawdy sprawiłam zawód zarówno im, jak i sobie. Wolę już, żeby spekulowali bez końca na temat zakończenia, niż żeby dostali słabe zakończenie, na które nie zasłużyli. A, co istotniejsze, słabe zakończenie, na które nie zasłużyłam ja – ta młodsza ja, oryginalna autorka tej historii, pałająca do niej miłością, którą dopiero zaczynam odzyskiwać.

Liczę na to, że nie utracisz pragnienia rysowania „Morza Potwornego”. Brzmi jak cudowna historia.

Ze szczerą nadzieją

Olivia Kane

PS. Prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko odpowiedzi na to pytanie. „Dzieci Hypnosa” nie mają może zakończenia, które mogliby przeczytać fani tej serii, ale pisząc ją, faktycznie miałam je w głowie. Wydaje mi się, że zawsze mamy je gdzieś na dnie umysłu, nawet jeśli nie rozważamy go na poważnie. Podobnie jak w życiu, to, co nadaje historii znaczenie, to fakt, że się kończy. Nasze historie żyją własnym życiem – i to naszą rolą jest nadać im jakieś znaczenie.

Morze Potworne – Wiadomość prywatna

10:48 (Do konwersacji dołącza MirkerLurker)

MirkerLurker: No więc...

MirkerLurker: Ktoś jest w domu?

10:51 (Do konwersacji dołącza Zraz_Apokalipsy)

Zraz_Apokalipsy: powrot corki marnotrawnej. sorry, ze nie bylo nas tutaj wczoraj -
wszystko w porzadku? zaczynalismy sie martwic.

Zraz_Apokalipsy: no bo wiesz, z kim by emmy miala ogladac kanikule?

MirkerLurker: Ha!

MirkerLurker: Nie, wszystko u mnie w porzadku. Staralam sie trzymac z dala od internetu.

MirkerLurker: I chcialam was przeprosic za to, ze zniknelam na tyle czasu.

MirkerLurker: A takze podziekowac wam za wszystko, co oboje dla mnie zrobiliscie wtedy,
kiedy informacja wyszla na jaw.

Zraz_Apokalipsy: nie masz za co przepaszac. na twoim miejscu zrobilbym to samo. nikt
nie chcialby skupiac na sobie az tyle uwagi, zwlaszcza jak sie tak dlugo zachowywalo
anonimowosc.

Zraz_Apokalipsy: i nie ma za co - choc faktycznie nalezy mi sie sporo slow uznania za
moje zaszczytne dzialania w ramach operacji "skandal z eliza mirk". moze to byc awans na
udzielnego wladce i boga forow. przyjme tez swoja podobizne w postaci odlewu w zlocie
naturalnej wielkosci.

10:58 (Do konwersacji dołącza emmiterliter)

emmiterliter: E!!!!!!

emmiterliter: WROCILAS!!!!!!!

MirkerLurker: Cześć, Em.

emmiterliter: CO SIE Z TOBA DZIALO???

emmiterliter: NIC CI NIE JEST???

MirkerLurker: No, nie narzekam. Głównie trzymam się z dala od internetu.

emmiterliter: Ludziom strasznie sie podobaja plansze Morza Potwornego

emmiterliter: Tylko martwia sie ze nie wrocisz juz zeby je dokonczyc

Zraz_Apokalipsy: ej, serio, em. wez sie zamknij.

Zraz_Apokalipsy: nie musisz ich wcale koncyc, jesli nie chcesz, e. w ogole nic nie musisz

robic tylko pod wpływem mazgajstwa jakichs bachorow z forow.

MirkerLurker: Tyle że to nie są bachory, to są fani. To oni są jedynym powodem, dla którego to wszystko istnieje. Muszę spróbować dokończyć to dla nich, tak?

Zraz_Apokalipsy: nie.

emmiterliter: No wiesz chciałabym zobaczyć jak to się kończy

emmiterliter: Ale jeśli miałoby ci to sprawić przykrość to nie chce żebyś się zmuszała

MirkerLurker: Nieważne, i tak nie zajrzałam tutaj, żeby gadać o Morzu Potwornym. Co się z wami działo przez ten czas? Max, tylko bez jakichś lejmerskich odzywek w stylu "żarłem Twizzlersy". Nie wysyłałam ci ostatnio żadnych Twizzlersów, a wiem, że jedyne, jakie jesz, to te ode mnie.

MirkerLurker: Em, skończyłaś rok na uczelni?

emmiterliter: Tak!!

emmiterliter: Dostałam 92% z tych ćwiczeń z rachunku różniczkowego

emmiterliter: Niech się pan chrzani profesorze Teller

Zraz_Apokalipsy: i jeszcze naprawdę mu tak powiedziała.

MirkerLurker: Nie wierzę.

MirkerLurker: Przyznaj, że powiedziałaś.

emmiterliter: Niewykluczone

emmiterliter: Nie mówia ci tego o studiowaniu ale to naprawdę fajne uczucie móc pokazać nauczycielom palantom co się o nich myśli

Zraz_Apokalipsy: już za samo to dostałabys u mnie piatkę z plusem.

emmiterliter: Dzięki

emmiterliter: O o o!!!

emmiterliter: A Max zszedł się na nowo z Heather!!!

MirkerLurker: Serio?

Zraz_Apokalipsy: no ja wiem, dziwne. może nie słyszalyscie o czymś takim, ale najbliżsi, wyobraźcie sobie, naprawdę to doceniają, kiedy spędza się z nimi czas osobiście, w realu. to taka nowa rzecz, która wypróbowała od jakiegoś miesiąca czy dwóch.

Zraz_Apokalipsy: w zasadzie to całkiem niezłe działa.

Zraz_Apokalipsy: ale za to ona zaczęła grać ze mną w World of Warcraft trzy razy w tygodniu, więc wynioskuje sobie z tego, co tam chcecie.

MirkerLurker: Och, jak się cieszę! Fajnie, że do siebie wróciliście.

Zraz_Apokalipsy: a co u ciebie i pana wallace'a?

Zraz_Apokalipsy: jak on sie poczul, kiedy sie dowiedzial, kim jestes?

MirkerLurker: Jeśli pozwolicie, to wolałabym nie mówić o Wallasie.

MirkerLurker: W zasadzie to wpadłam tu tylko powiedzieć wam, jak za wami obojgiem przepadam. Tak dużo dla mnie robicie. Za rzadko wam to mówię.

Zraz_Apokalipsy: nie ma sensu, zebys sie tu nam roztkliwiala, e.

emmiterliter: Nie musisz nam tego mowic

MirkerLurker: Właśnie że muszę. Nie rozmawiam z wami przez całe tygodnie, a wy jakby nigdy nic przyjmujecie mnie z powrotem. Zawsze macie czas na moje problemy, chociaż ja nigdy nie pytam o wasze. Na początku nawet nie wiedziałam, że między Maxem i Heather coś się psuje, i nawet nie było mnie przy tym, kiedy Emmy powiedziała temu profesorowi do słuchu.

MirkerLurker: Bardzo was przepraszam, kochani.

Zraz_Apokalipsy: juz lepiej przestan, bo sie zaraz pobecze.

Zraz_Apokalipsy: a jesli ja sie pobecze, to co zrobi biedaczka emmy?

Zraz_Apokalipsy: na litosc boska, przeciez ona ma dopiero dwanascie lat.

emmiterliter: NIE MAM 12 LAT

emmiterliter: Teraz mam juz 15



Noc przed jej wyjazdem Faren spędził razem z nią, czuwając. Żadne z nich nic nie mówiło. Kiedy na zewnątrz zaczęły krakać kruki – co sygnalizowało przedświt, bo trwały miesiące zimowe i wiedzieli, że słońce nie wzejdzie jeszcze przez pewien czas – oboje zwlekli się z łóżka i ubrali. Podczas śniadania, złożonego z wodnistej owsianki, czujnik, który otrzymała Amity, zawibrował na stole, zawiadamiając ich, że wkrótce zjawi się Sato. Oboje zagapili się na urządzenie. Amity odłożyła łyżkę. Poczuli, że nagle straciła apetyt.

Nie chciała przywitać Sato w domu. Nie chciała pod żadnym pretekstem zapraszać go do środka ani pozostawać tu dłużej niż to konieczne, więc wyszła na kamienny dziedziniec i usiadła na jednej z niskich ławek w otoczeniu czarnodrzewi, z dobrym widokiem na ścieżkę wiodącą w górę klifowego urwiska. Sąsiednie drzewa obsiadły niezliczone stada kruków, dodatkowo zaciemniając otoczenie.

Faren zniknął na dłuższą chwilę w domu i wrócił z jedną ze swoich papierowych map. Była to jedna z mniejszych, brązowy arkusz pomarszczony ze starości; złożony, mieścił mu się zgrabnie w dłoni. Faren usiadł na ławce obok Amity, wziął ją za rękę i wcisnął w nią gruby papier.

– Wiem, White powiedział, że niczego nie będziesz potrzebować, ale pomyślałem, że to ci może pomóc.

Rozłożyła arkusz. Znajdowała się na nim nieznana jej konstelacja.

– To jakaś wymyślona?

Pokręcił głową.

– To jedna z Nienazwanych.

Obróciła arkusz, oglądając go z różnych stron. Gwiazdozbiór nie miał żadnego konkretnego kształtu; z niczym się jej nie kojarzył. Nokturnianie dzielili konstelacje na dwa rodzaje: swoje własne i te należące do wszystkich innych. Ich własne miały nazwy takie jak Faren czy Gyurhei; inne pozostawały Nienazwane, ponieważ Nokturnianie nie mogli rościć sobie do nich praw. Amity nie do końca to rozumiała; czy nie trzeba wiedzieć, czym jakaś konstelacja jest, zanim choćby uzna się ją za konstelację? Gdy chodziło o konstelację przedstawicieli innej kultury, jak można było to wiedzieć, nie pomówiwszy z nimi? Ale Nokturnianie wiedzieli.

– Dlaczego narysowałaś akurat tę? – zapytała.

– Bo ta jest twoja. – Dotknął arkusza i wyprostował go w jej rękach. Konstelacje nie miały własnego kierunku, ale u dołu tej mapy Faren nagryzmolił „AMITY”. – Odkryłem ją kilka lat temu. Jeszcze przed Strażnikiem. Amity to oczywiście nie jest jej właściwa nazwa. Nie wiem, jak ona brzmi. Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć. Ale pomyślałem... że jeśli chodzi o tę jedną, moglibyśmy zrobić wyjątek.

Ponownie spojrzała na rysunek.

– To jest... Odnalazłeś moje imię w konstelacji?

W przypadku Nokturnian nie było to nic trudnego, bo ich imiona pochodziły od gwiazd. Ale jeśli ona była powiązana z jedną z Nienazwanych... czy to znaczyło, że pochodzi z kultury, do której należy ta konkretna konstelacja? Gdyby zdołała się dowiedzieć, co ten gwiazdozbiór znaczy i skąd się wziął, czy dowiedziałyby się zarazem, skąd wzięła się ona sama?

Odnalazł ją w konstelacji.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Ucisk w jej sercu zagłuszał wszystkie inne uczucia. Faren otoczył ją całym sobą, jedną ręką pieszcząc jej włosy. Przycisnął wargi do jej szyi.

– Wróć tu – powiedziała. – Wróć. Obiecuję.



Codziennie wychodzę z Davym na spacer. Siadam na ławce w parku i słucham śpiewu ptaków. Patrzę, jak moi bracia ćwiczą na swoich letnich treningach piłki nożnej. Pomagam rodzicom w różnych obowiązkach domowych, bo – jak się okazuje – przy wymyślonej przez mamę „jodze do składania prania” autentycznie można się odprężyć. Zwłaszcza gdy się ją połączy z moim nowym lekiem przeciwlękowym.

Moja terapeutka nazywa tę porę „latem odkryć”, a pierwsze, co odkrywam, to że lubię przebywać na świeżym powietrzu. W parkach, w lasach, nad jeziorami, na wsi wśród pól kukurydzy. Wallace zabiera mnie w jedno miejsce, gdzie jego tata kiedyś grywał w futbol, wielkie otwarte pole na odludziu, w otoczeniu drzew. W pobliżu nie ma żadnych szos ani dróg, żadnych instalacji elektrycznych. Cisza jest tu tak absolutna, że aż niesamowita. Momentalnie zakochuję się w tym miejscu.

W ciągu dwóch miesięcy, które mijają, myślę o zakręcie Wellhouse już tylko mniej więcej co drugi dzień. Myśl jeszcze się tli, ale towarzyszące jej poczucie, że jest to myśl serio, przychodzi i odchodzi.

Wracam tam tylko raz, w jeden z tych dni mniej serio, i z Wallace'em.

Stajemy u szczytu zakrętu, obok krzyża i wszystkich pamiątkowych podarunków. Zabieram kamień, który położyłam tu parę miesięcy temu; w jego zastępstwie Wallace zostawia koszulkę futbolową, która do tej pory wisiała na ścianie w jego pokoiku, z napisem WARLAND 73, powiewającą na krzyżu w łagodnym letnim wietrze.

Wallace zaczyna chodzić do własnego terapeuty. Nie opowiada mi wiele o tych wizytach, wspomina tylko o ćwiczeniach, które ma wykonywać, żeby nauczyć się na nowo odzywać w obecności nieznajomych. Na pewno mówi terapeutce o swoim tacie i o wszystkim, o czym opowiedział mi w e-mailu, ale my o tym nie rozmawiamy i moim zdaniem tak jest dobrze. Zamiast tego mówimy o tym, że jesienią wybiera się na studia biznesowe z fakultetem z pisania kreatywnego. Rozmawiamy o tym, jak będziemy się widywać, kiedy wyjedzie. I o czytanych przeze mnie nowych rozdziałach jego własnej oryginalnej historii, o której myślał już od pewnego czasu.

Jedziemy zobaczyć się z jego przyjaciółmi. Rozmawiał z nimi mnóstwo razy od czasu tamtej demaskującej wiadomości, ale ja wcale. Tak jak się spodziewałam, najwięcej zrozumienia okazuje mi Megan. Leece zwyczajnie cieszy się, że mnie zna. Czandra przez dłuższą chwilę się rozkręca, a potem nagle zaczyna się przejmować, że widziałam jej rysunki. Cole'owi cała sprawa zajmuje najwięcej czasu. Siedzimy przy naszym stoliku „U Murphy’ego”, a on przez prawie całą pierwszą godzinę obserwuje Wallace’a. Kiedy nie zanoszą się, żeby Wallace miał mnie stamtąd wyrzucić, Cole spogląda na mnie i mówi:

– No. To tego. Fajnie, że jest, jak jest.

Nie wiem, czy po tym wszystkim mogą być także moimi przyjaciółmi, ale mam nadzieję, że tak.

Wallace przekonuje moich braci, żeby popołudniami zaczęli grać z nim w futbol. Mama i tata przyłączają się do nich, bo są mamą i tatą, a dla nich

każda forma wysiłku fizycznego to małe szczęście. Na początku dziwnie jest patrzeć, jak grają; dopiero po chwili po raz pierwszy w życiu orientuję się, że robią to dla zabawy. Nie jest to dla nich ani kara, ani sposób zabicia czasu. To sprawia im radość na takiej samej zasadzie, na jakiej mnie sprawiało radość rysowanie.

Najdziwniej jednak jest patrzeć na Wallace'a; słyszeć, że uwielbia grać w futbol, to jedno, ale zobaczyć to na własne oczy to coś zupełnie innego. W dodatku jest w tym dobry, co wydaje się aż nie fair. Jak jednemu człowiekowi może iść tak dobrze w dwóch tak diametralnie różnych dziedzinach? Jakim cudem ma w sobie dość entuzjazmu zarówno dla futbolu, jak i dla pisania? A jeszcze w jego przypadku ma się wrażenie, że nie ma żadnych granic, że to nie kwestia jakichś wybiórczych decyzji, że w żaden sposób nie wiąże swojego zamiłowania do sportu z oddaniem dla własnej twórczości.

Całą grupką dopraszają do gry dzieciaki z okolicy i po jakimś czasie spotykają się już regularnie co tydzień. Któregoś sierpniowego dnia idę na spacer z Davym obok trawiastego placu, na którym grają, i słyszę, jak Wallace krzyczy coś przez całą jego długość.

W pierwszej chwili nie poznaję jego głosu. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby krzyczał tak głośno na tak otwartej przestrzeni. Ale jedną dłoń trzyma zwiniętą przy ustach, a drugą macha, udzielając wskazówek innym zawodnikom – w tym Lucy, która przekonała pozostałych, żeby dali jej grać, a teraz śmiga wszędzie szybciej od nich wszystkich.

Przystaję, żeby popatrzeć. Zauważa mnie przebiegający nieopodal Church. Na drugim skrzydle spotyka się z Sullym, daje mu kuksańca w żebra i wskazuje mnie skinieniem głowy. Uprzejmie udaję, że tego nie widzę. Potem nagle Sully przejmuje piłkę i we dwóch zaczynają biec i żonglować nią między sobą w stylu, o którym nawet ja wiem, że jest niedozwolony

w futbolu, lawirując między pozostałymi graczami, aż docierają do zrobionej z koszy na śmieci bramki na drugim końcu boiska. Wallace wrzeszczy coś do nich i śmieje się, kiedy zaczynają odstawiać jakieś zwariowane tańce za linią przyłożenia.

Wallace przywołuje ich na linię wznowienia. Zagrywa drużyna przeciwna. Piłkę dostaje rozgrywający i rozgląda się, komu ją podać. Wallace przebija się przez przeciwników i szarżuje na niego.

Drę się:

– ZWAL GO Z NÓG!

Zarówno Wallace, jak i rozgrywający oglądają się na mnie zszokowani, a siła rozpędu Wallace'a sprawia, że trafia prosto w tamtego chłopaka i obaj lądują na ziemi, koziołkując.

– Sorry! – krzyczę.

Ktoś woła o czas. Wallace gramoli się z ziemi, pomaga się podnieść tamtemu, po czym truchta do mnie. Przepocona koszulka klei mu się do klatki piersiowej, a on sam uśmiecha się, kiedy podaję mu swoją butelkę lemoniady. Wypija duszkiem połowę. Davy trąca go nosem w nogę, aż w końcu Wallace go głaszcze.

– Wiesz, że gramy w wersję z wykluczonym kontaktem – oświadczam. – Powinienem wyrzucić cię z trybun za zakłócanie gry.

– E tam, byłoby dużo mniej zabawy. – Wyciągam rękę i ciągnę go za rękaw. – Śmierdzisz jak nie wiem co.

– Powinnaś z nami zagrać – mówi.

W tym tygodniu nie odsunął się ode mnie ani razu, kiedy kilkakrotnie wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, ale zawsze zastyga na moment, co świadczy o tym, że to zauważa. Sam nie wykonuje żadnych takich gestów. Pewnie ma całe mnóstwo powodów, dlaczego nic nie robi, ale na razie pozwalam mu zachować je dla siebie.

– Nie sądzę, żeby cokolwiek z tego wyszło. – Gdybym próbowała grać, zostałabym stratowana. Jak mawia moja terapeutka, dobrze jest być świadomym własnych możliwości. Moje tutaj się kończą. – Ale Lucy rozstawia wszystkich po kątach.

– Nie da się ukryć.

– Strasznie wrzeszczysz.

– Ty też.

Do krawędzi boiska podbiega Lucy.

– Ej, matole! Wracamy do gry!

– Idę!

Wallace oddaje mi butelkę z lemoniadą. Zostało jej już tylko trochę na dnie. Pewnie powinnam wrócić do domu i przygotować się na to, że Wallace i reszta mojej rodziny wpadną tam po grze i wyczyszczą lodówkę do cna.

Wallace przez chwilę gapi się na boisko, po czym odwraca się i, nim zdąży zareagować, nachyla się i mnie całuje. Smakuje potem i lemoniadą. To całus szybki. Swobodny. Cofa się, spuszczaając oczy, i mówi cicho:

– Niespodzianka.

Czuję ulgę. Marszczę nos i wybucham śmiechem.

– Jak nie wiem co.

– Daj spokój, sama wiesz, że to kochasz. – Łopocze przepoconą koszulką w moim kierunku, a potem okręca się na pięcie i truchtem wraca do gry.

– Kocham ciebie – poprawiam go, ale jest już za daleko i nie słyszy.

Nic nie szkodzi. I tak to wie.

* * *

Wracam do domu ze spaceru z Davym i spuszczam go ze smyczy, żeby mógł powlec się za mną na górę i uwalić na drzemkę na moim łóżku. Moją kołdrę i tak od tygodni pokrywają jego białe kłaki, więc co jej zaszkodzą kolejne?

Otwieram okno na oścież i włączam obrotowy wentylator, żeby zwiększyć cyrkulację powietrza w pokoju, po czym odsuwam na bok biurowe krzesło i przez dziesięć minut robię ćwiczenia na rozciąganie. Od rozciągania wszystkie mięśnie zaczynają czuć się lepiej. Mięśnie szyi, pleców, nóg. Te wszystkie, w których zawsze łapały mnie kurcze od za długiego siedzenia przy biurku.

Rodzice badają temat ergonomicznych krzeseł biurowych. Mama chce mi kupić do siedzenia piłkę gimnastyczną. Wciąż im mówię, że będę używać dowolnej rzeczy, jaką mi kupią, bo przez cały ten czas tak bardzo starają się być potrzebni. Wiedzą, że źle zrobili, widzę to po ich minach za każdym razem, kiedy coś do mnie mówią. Chcę, żeby już przestało im być przykro. Może osiągnięcie tego stanu zajmie dłuższy czas, ale warto.

Kiedy się już porozciągałam i czuję, że umysł mi oddycha, wspinam się na krzesło i włączam komputer.

Mniej więcej od tygodnia na tym polega mój codzienny rytuał. Usiąść. Popatrzeć na komputer. Włączyć go. Codziennie próbuję pójść o mały krok dalej, ale nie na tyle daleko, żeby poczuć się od tego źle. Po włączeniu komputera patrzę przez kilka minut na pulpit albo gram w jakieś gry. Któregoś dnia wygooglałam nawet bardziej komfortowe uprząże dla psów. Rozmawiam znowu z Maxem i Emmy, ale z nikim innym. Z nikim z forów *Morza Potwornego*.

Nie wróciłam jeszcze na fora. Dzisiaj otwieram przeglądarkę i zawieszam wskaźnik myszy nad zakładką prowadzącą do forów, ale jej nie klikam. Wciąż jeszcze czuję, że jeśli to zrobię, tylko się zdenerwuję. Więc zostawiam ją w spokoju.

Chcę jednak gdzieś się ruszyć. Wybrać się w miejsce, które nie jest wyszukiwarką ani witryną pełną odnośników. Mój wzrok wędruje poza komputerowy monitor, do książek ustawionych rzędem obok niego. Książek,

które są teraz jedynymi przedmiotami na biurku poza samym monitorem. Przeniosłam je tam, kiedy znudziło mi się, że biurko jest takie puste. *Dzieci Hypnosa*.

Tam. To tam się wybiorę.

Moje palce same przypominają sobie adres strony, jakbym znowu miała trzynaście lat i codziennie wchodziła na fanowskie fora *Dzieci Hypnosa*. Witryna wyświetla się natychmiast. Nadal tam jest, po całym tym czasie. Wszystkie wątki, wszystkie posty. Może i fandom się rozpieczę, ale jego serce nadal tu bije, jak w małej kapsule czasu.

Wystarczy, że rzucam okiem na wątek powitalny i powracają do mnie wszystkie dawne emocje. Przez kilka lat to było moje miejsce w świecie. Byłam obywatelką miasta zwanego fandomem *Dzieci Hypnosa* i co dzień rano budziłam się pełna emocji, aby rozmawiać ze współfanami. Przewijam kilka starych wątków RPG, w których kiedyś udawałam, że sama jestem łowczynią koszmarów w świecie *Dzieci Hypnosa* i dzierzę w dłoniach o wiele za duży topór bojowy, jak jedna z moich ulubionych postaci, Marcia. Potem znajduję dyskusję, w której ludzie kłócili się o znaczenie symboli z okładek poszczególnych tomów i fragmentów fabuły. Potem: rozmowy o ulubionych cytatach z wszystkich czterech książek. Potem: niekończące się spekulacje o widmie piątego tomu i o tym, co się stało z Olivią Kane – spekulacje, które rozdarły fandom na strzępy i na dobre uśmierciły to forum.

Nie chcę, żeby fandom *Morza Potwornego* rozpadł się w ten sam sposób. Nie chcę, żeby moi fani odpłynęli gdzieś tak jak wtedy ja. Nie wszyscy będą dysponować dobrodziejstwem własnej twórczości, która pozwoli im gdzieś przycumować; nie wszyscy będą zdolni do stworzenia własnych nisz, w których będą mogli być tym, kim chcą, i kochać, co chcą, bez obawy o to, że ktoś ich będzie oceniać. Nie chcę, żeby stracili tę historię albo tę społeczność. Nie znam ich wszystkich, ale wiem, kim sama byłam, i wiem,

ile by to dla mnie znaczyło.

Wiem też, że to nie jest wystarczająco dobry powód, żebym zmusiła się do dokończenia komiksu. Jeśli nie będę miała do tego motywacji, zakończenie nie wyjdzie dobrze i nikt nie będzie zadowolony z rezultatu.

Ale motywacja nie przychodzi znikąd. Jak każdego dobrego potwora, trzeba ją dokarmiać.

Biorę do ręki pierwszy tom *Dzieci Hypnosa* i przebiegam palcami po młocie bojowym wytłoczonym na okładce. Na przedzie tych tomów nigdy nie drukowano nazwiska Olivii Kane ani tytułu książki. Widniała tam tylko broń. Muskam palcami grzbiet i napotykam nazwisko KANE, a potem, wytłoczony większymi literami, tytuł ŁOWCZYNI SNÓW.

Rozchyłam okładkę. Czytam streszczenie na lewym skrzydełku obwoluty: „Emery Ashworth ma koszmary, które regularnie usiłują ją zabić...”. Potem przerzucam kartki do pierwszego rozdziału. Tak jak zawsze, pierwsza strona zachęca mnie do przeczytania drugiej, druga – trzeciej, trzecia – czwartej, aż drzwi wejściowe domu otwierają się z hukiem, do środka wpadają z ciężkim tupotem moi bracia i Wallace i okazuje się, że pochłonęłam całość aż do ostatniego rozdziału i jestem o kilka stron od skończenia książki.

Wallace wsadza głowę przez drzwi.

– Hej. Pomyślałem, że może tu jesteś.

Podnoszę wzrok.

– Która godzina?

– Koło wpół do piątej. Twoi rodzice robią obiad.

– Aha.

– Czytasz od nowa *Dzieci Hypnosa*?

– Ja... no, chyba tak. – Nie planowałam, ale teraz naprawdę mam ochotę od razu zacząć drugi tom. – Już prawie skończyłam.

Wallace siada na podłodze przy łóżku i głaszcze Davy’ego, a ja kończę

czytać.

Tego popołudnia po obiedzie wracam na górę, biorę drugi tom i czytam dalej. Potem trzeci. Czytałam je już tyle razy, że przelatuję przez nie jak na skrzydłach i o piątej rano jestem już w połowie czwartego tomu. Kiedy moi rodzice wstają z łóżka, kończę, wyżęta ze wszystkich emocji jak mokra ścierka. Jakby ktoś rozciął moje ciało, wyszorował wszystkie wnętrzości ryżową szczotką, a potem zeszył mnie na nowo.

Mózg chodzi mi na wysokich obrotach. Krew pulsuje mi w żyłach, palce mnie świerzbią i czegoś potrzebuję. Potrzebuję, potrzebuję, potrzebuję. I to zaraz, potrzebuję tego w tej chwili, bardziej niż kiedykolwiek w życiu czegokolwiek.

Potrzebuję ołówka.



Morze *Potworne* jest moje.
To ja stworzyłam je, a nie na odwrót.
To nie jest mój pasożyt, obowiązek ani przeznaczenie.
To potwór.
Ale należy do mnie.
I czeka na niego mój topór bojowy.

MORZE POTWORNE – FORA

PROFIL UŻYTKOWNIKA

LadyKonstelacja **

Administrator



: 18

: Indiana

: Rysowanie. Chodzenie na spacer z psem. Jajka. (Nadal także: ujeżdżanie morskich potworów).

Obserwujących: 6 125 397 | Obserwuje: 0 | Postów: 7038

AKTUALNOŚCI

Zobacz wcześniejsze aktualności

25 sie 2017

Klikajcie. Czytajcie. Podziękujecie mi później.
morzepotworne.com



Oczywiście przed publikacją plansz pokazuję je Emmy i Maxowi. Nie jestem taką zupełnie okropną przyjaciółką. Max żąda, żebym wrzuciła je do netu natentychmiast. Emmy za bardzo panikuje na temat zakończenia, więc jedyne, co każe mi zrobić, to wskoczyć w samolot do Kalifornii z wiaderkiem lodów, żeby ją przytulić.

Nie zaglądam do komentarzy. Nie wchodzę na fora. Nie chcę widzieć, co ludzie mówią o mnie czy o mojej historii. Na to nie jestem jeszcze gotowa; jestem jednak gotowa na to, by ta historia się zakończyła.

Max i Emmy monitorują fora, a Wallace składa mi raporty o stanie fandomu.

– Wszystkim normalnie odjechało – mówi mi od razu w noc publikacji plansz.

W jednym oknie mam wideo z jego internetowej kamerki, a w drugim otwartego Sopera. Wallace patrzy gdzieś w bok, klikając po forach *Morza Potwornego*. Za nim widzę mały pokój w akademiku, piętrowe łóżko z wmontowanym poniżej biurkiem jego współlokatora i telewizor balansujący chwiejnie na komodzie zarzuconej makaronem z chińskich zupek

i otwartymi pudełkami płatków śniadaniowych. Chętnie obwinięłabym za ten stan rzeczy kolegę z pokoju, ale skoro to jedzenie, bałagan jest najprawdopodobniej dziełem Wallace'a.

– Codziennie więcej ludzi czyta ten komiks. Dużo więcej niż kiedykolwiek było ich w całym fandomie. A ci, którzy wtedy w maju pisali artykuły o tobie i twojej tożsamości... teraz mówią właśnie o tym. Że komiks powrócił, ale że się kończy. To jest coś, Elizo. Czytanie *Morza Potwornego* to jest coś, co wszyscy robią. Nie tylko ci, co lubią komiksy, tylko... dosłownie wszyscy. Pełno go w całym internecie.

Czyszczę z min róg planszy Sopera.

– Wyobraź sobie, co zrobią, kiedy się dowiedzą o twojej transkrypcji.

Wallace się rozpromienia.

– Zdaniem mojej redaktorki jesteśmy na naprawdę dobrej drodze, żeby mieć przedpremierowe egzemplarze pierwszego tomu gotowe przed konwentem. – Zaczyna klikać coś na swoim ekranie. – O, tutaj napisała: „Tekst rozdziałów był od samego początku tak dobry, że poprawek redakcyjnych spodziewamy się tylko gdzieś tam”. I wciąż mnie pyta, czy moim zdaniem będę miał czas na dyskusję o poprawkach mimo zajęć na uczelni. – Uśmiecha się jeszcze szerzej. – Tak jakby moi profesorzy byli w ogóle w stanie zadać mi dość pracy domowej, żebym już nie miał czasu na transkrypcję.

– Jeśli się postarają, to znam takich, co byliby skłonni ci z tym pomóc.

– Nie sugerujesz chyba, żeby ktoś odrabiał za mnie prace domowe?

– Nie słyszałeś? Jestem sławna. Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Wallace się śmieje.

– Kto jest sławny? – Za plecami Wallace'a wchodzi do pokoju jego współlokator, Tyler, niosąc w rękach kosz wypranych ubrań. Wallace szybko wyjaśnia mu, o co chodzi; kiedy wspomina o *Morzu Potwornym*, Tyler

nachyla się do obiektywu kamerki. – To ty narysowałaś *Morze Potworne*? –
Potem ogląda się na Wallace’a. – *Morze Potworne* narysowała twoja
dziewczyna?

– Ma na imię Eliza – mówi Wallace.

– Bez jaj. – Tyler upuszcza kosz z rzeczami i wypada z pokoju. Po minucie
wraca z całym stadkiem studentów paplających między sobą o *Morzu*
Potwornym.

Wallace radzi sobie z nimi całkiem nieźle. Najpierw blokuje im dostęp do
komputera, dając chwilę na uzgodnienie wstępnych pytań, a dopiero potem
pozwala im mnie zobaczyć. I mnie zobaczyć ich.

To nie potwory. To ludzie. Witamy się nawzajem, zachowują się
uprzejmie, a na początek chcą wiedzieć, jak to jest być mną.

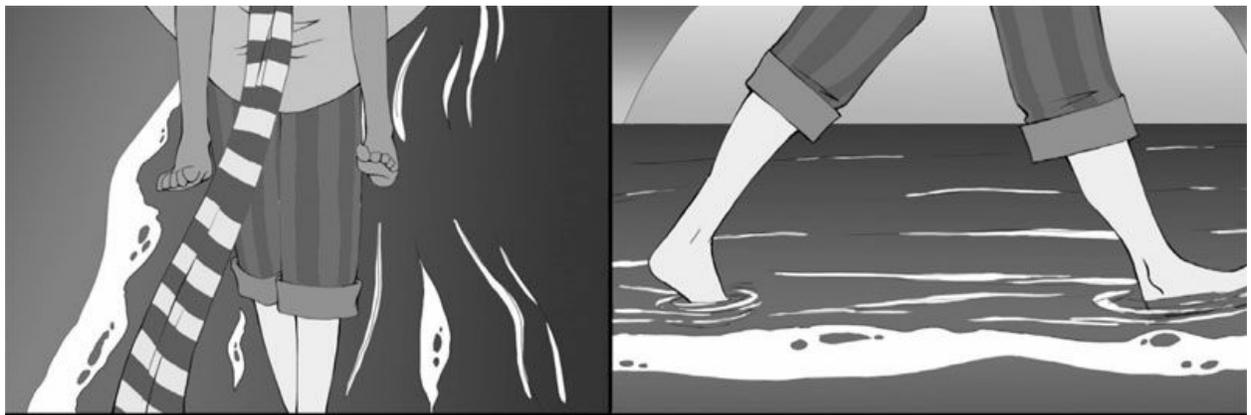
– Teraz już dużo lepiej niż jakiś czas temu – odpowiadam.

Chyba dam sobie radę. Chyba będzie trochę dziwnie i prawdopodobnie
strasznie, i chyba nadal będą zdarzać się momenty, kiedy będę się uważać za
najgorszego człowieka na świecie. Ale wydaje mi się, że będę też kochać
siebie i to, co stworzyłam, i będę wiedzieć bez cienia wątpliwości, że jedno
jest odrębne od drugiego.

Jestem Elizą Mirk, córką, siostrą, przyjaciółką.

Jestem Elizą Mirk, matką fandomu.

Jestem Elizą Mirk.





W TYM
MORZU
SĄ
POTWORY!

Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej o Morzu Potwornym,
odwiedź stronę www.monstroussea.com,
a jeśli o Dzieciach Hypnosa,
zajrzyj na www.childrenofhypnos.com
(strony w języku angielskim)

